

Tom Clancy

Kolekcjoner

TŁUMACZYŁA MONIKA WYRWAS-WIŚNIEWSKA

WSPÓŁPRACA DAVID MICHAELS

Podziękowania

Autor i wydawca chcieliby wyrazić swoje uznanie dla pracy Raymonda Bensona, którego bezcenny wkład w tę książkę trudno przecenić. Chcielibyśmy również podziękować pracownikom Ubi-soft Entertainment: Mathieu Ferlandowi, Alexis Nolent i Olmerowi Henriotowi za pomoc i współpracę. Na koniec pragniemy wyrazić naszą wdzięczność Joe Konrathowi za jego wkład i Jamesowi MacMahon za informacje.

1.

To uczucie przypomina zapadanie w niebyt. Próżnia. Równocześnie światło i ciemność. Brak grawitacji. Brak powietrza, choć wiem, że oddycham. Żadnych dźwięków. Nic nie widzę, ani nie czuję. Żadnych marzeń sennych.

Tak wygląda sen w moim wykonaniu. Mam szczęście. Potrafię zasnąć na życzenie, wszędzie, o każdej porze. Nie szkolono mnie w tej dziedzinie. Ta umiejętność towarzyszy mi od zawsze, od dziecka. Po prostu mówię sobie „a teraz czas spać” i zasypiam. Z pewnością wielu ludzi zazdrości mi tego talentu. Nie uważam go za rzecz oczywistą. W mojej pracy trzeba umieć łapać chwile snu w najdziwniejszych miejscach i porach.

Czuję pulsujące dotknięcia na nadgarstku, które delikatnie wyrywają mnie z tego pozbawionego wymiarów świata. Powoli odzyskuję władzę nad zmysłami. Na twarzy czuję dotyk ciepłego metalu. Słyszę odległe, nieokreślone echa.

Budzi mnie umieszczony na nadgarstku OPSAT. Kiedy włącza się bezgłośny „alarm”, małeńki pręcik w kształcie litery T wyskakuje z elastycznego paska. Raz po raz uderza leciutko w bijący u nasady dłoni puls sygnalizując memu ciału, że czas się obudzić. Kiedy zobaczyłem po raz pierwszy to urządzonek, przypomniał mi się film szpiegowski z lat sześćdziesiątych, w którym James

Coburn grał tajnego agenta. Potrafił na życzenie zatrzymać pracę serca, zapewne wprowadzając się w stan zbliżony do hibernacji, i też budził go zegarek z takim pręcikiem. Pamiętam, jak się śmiałem w kinie na ten widok. Wtedy wydawało mi się to takie niepoważne. Kto mógłby wziąć coś takiego serio? No a teraz sami widzicie.

Biorę kilka głębokich wdechów. Powietrze w szybie wentylacyjnym, gdzie spędziłem ostatnie sześć godzin, jest suche i zatęchłe. Przywracam krążenie w kończynach zginając ręce. Prostuję stopy, choć tkwią w dobrze dopasowanych butach.

Potem otwieram oczy.

W szybie jest równie ciemno, jak wtedy, gdy się tu wślizgnąłem.

OPSAT kończy swoje obowiązki i mały pręcik wycofuje się na dobre. Podnoszę do twarzy lewą rękę i naciskam przycisk, który włącza podświetlenie niewielkiego panela. Nie ma nowych wiadomości od Lamberta. Żadnych e-maili. Na świecie bez zmian.

OPSAT to bardzo przydatne urządzonek, które Wydział Trzeci obmyślił specjalnie dla swoich agentów. Tak naprawdę nazywa się Satelitarne Łącze Operacyjne. To przede wszystkim narzędzie komunikacji, ale ma również wiele innych zastosowań. Ja szczególnie sobie cenię wbudowany cyfrowy aparat fotograficzny.

Nagle dociera do mnie jak tu gorąco i przypominam sobie gdzie jestem. Szyb wentylacyjny kasyna „Tropical” w Makau. Leżę na wznak w miejscu nieco mniejszym niż budka telefoniczna. Dobrze, że nie cierpię na klaustrofobię, bo do tej pory nie nadawałbym się już do niczego. Ponieważ trzeba było poczekać na właściwy moment akcji, ustawiłem alarm na czwartą nad ranem. Założyłem, że o tej porze w kasynie panować będzie najmniejszy ruch. Jest czynne całą dobę, co oznacza, że w środku zawsze ktoś się kręci.

W wojskowym kombinezonie pocę się jak mysz, bo przed zaśnięciem zapomniałem wyregulować temperaturę. Szybko przekręcam umieszczoną na pasie gałkę termostatu i natychmiast czuję, jak zimna woda przepływa przez wszyte w podszewkę komory. Ten wojskowy strój opracowano w ramach programu Żołnierz Sił Uderzeniowych. Przypomina skafander astronautów, tylko jest bardziej elegancki i mocno dopasowany. Niezależnie od warunków otoczenia mogę podwyższać lub obniżać temperaturę w jego wnętrzu. Uszyto go z grubej materii wzmocnionej włóknami kewlarowymi, a jednak jest na tyle elastyczny, że pozwala wykonywać wszelkie akrobacje, jakie mi przyjdą do głowy. Nie jest kuloodporny, to fakt, ale niewiele mu brakuje. Twarda zewnętrzna warstwa w dotyku przypomina skórę słonia i w znacznym stopniu potrafi absorbować energię kinetyczną. Zapewne zginąłbym, gdyby strzelono do mnie z bardzo bliska, ale już kule wystrzelone z odległości pięciu metrów uszkodziłyby tylko kombinezon, nie mnie. Włókna kewlarowe działają w takim przypadku jak tarcza. Niezły materiał, nie ma co. Inną ciekawą właściwością kombinezonu są światłoczułe nici, które reagują na promień lasera emitowany przez nowoczesne znaczniki celu. Jeśli taki promień na mnie padnie, kombinezon wysyła ostrzeżenie do OPSAT-u, że namierzył mnie snajper.

Moim zdaniem ten strój ma tylko jedną wadę. Jest zbyt dopasowany i zbyt gładki, przez co wyglądam w nim jak jakiś komiksowy superbohater. Nawet hełm, kiedy nasunę na oczy gogle, sprawia wrażenie maski.

Wyciągam z kołnierza rurkę i piję zimną wodę z zapasów zaszytych w komorach w różnych miejscach kombinezonu. Jest jej tam dość na jakieś dwanaście godzin, jeśli racjonuje się ją z głową. Od czasu do czasu kombinezon trzeba „napełniać”. Zgadza się, że to dziwaczna koncepcja.

Pora na dostarczenie ciału nieco energii. Unoszę się na tyle, by dosięgnąć plecaka i wyciągam rację polową. Sprasowana żywność, jaką mi dostarczają, smakuje prawie tak samo, jak racje amerykańskich żołnierzy. Smaki są dość urozmaicone - od ryżu z fasolą po spaghetti i pieczoną pierś kurczaka. Niewykluczone, że racje zawierają nawet jakiś niewielki procent tych produktów. Ta, którą wyciągam, przypomina sezamki z orzechami w miodzie.

Chrupiąc przysmak odtwarzam w pamięci, jak się tu dostałem i na czym polega moje zadanie.

Wszedłem do kasyna wczoraj, dość wczesnym wieczorem, akurat kiedy lokal zaczynał się zapełniać. Uznałem, że nawet ubrany zupełnie przeciętnie, mniej się będę rzucał w oczy wśród tłumu gości niż w pustym lokalu. Kasyna w Makau różnią się od innych podobnych przybytków na świecie, ponieważ Chińczycy traktują hazard śmiertelnie serio. Nigdy nie ogłasza się tu radośnie wygranej,

nikt się nawet nie uśmiecha. Obsługa wygląda tak, jakby nie sprawiało jej różnicy, czy rozda klientom karty, czy strzeli im między oczy. Sądzę, że to zupełnie zrozumiałe. W kasynach w Makau przesiadują głównie członkowie triad, a przynajmniej ja nigdy nie widziałem uśmiechniętego Chińczyka z triady. Zresztą, zważywszy, że w 1999 roku Makau przestało być portugalską kolonią i przekształciło się w jeden ze Specjalnych Regionów Administracyjnych Chin, jego mieszkańcy zapewne nie mają specjalnych powodów do radości. Podobnie jak Hongkong, Makau jest obecnie częścią komunistycznych Chin, choć chiński rząd przyrzekł, że przez następne pięćdziesiąt lat, przynajmniej teoretycznie, nic się tu nie zmieni. Nadal niedokładnie wiadomo, co podziemny światek Makau sądzi o tym przekazaniu - w dwudziestym wieku miasto zyskało sobie reputację gniazda szpiegów, intryg i zbrodni.

Zagrałem kilka razy, najpierw przegrywając nieduże kwoty, potem odzyskując ich część, aż wreszcie ruszyłem do łazienki położonej na przeciwko upatrzonemu schowka na szczotki. Przed rozpoczęciem misji nauczyłem się na pamięć rozkładu całego budynku. Gdyby zaszła taka konieczność, mógłbym poruszać się po kasynie z zamkniętymi oczami.

Kiedy wyczułem, że korytarz jest pusty, wyslizgnąłem się z łazienki i stanąłem przed drzwiami schowka. Zamek trzeba było otworzyć wytrychem. Na szczęście nie był specjalnie skomplikowany. W końcu zabezpieczał jedynie schowek na szczotki.

Wszedłem do środka, zamknąłem za sobą drzwi i zdjąłem ubranie, pod którym krył się komiksowy kombinezon. Złożyłem zdjęte rzeczy i starannie spakowałem do plecaka, po czym włożyłem na głowę hełm. Byłem gotów do drogi. Przemiana z Clarka Kenta w Supermana zajęła mi jakieś czterdzieści sekund.

Po półkach wspiałem się do szybu wentylacyjnego, delikatnie podważyłem zamykającą go kratkę i zawiesiłem na gwoździu wbitym w ścianę obok. Sprawdziłem, czy konstrukcja utrzyma mój ciężar, po czym wślizgnąłem się do środka. Z najwyższym trudem udało mi się obrócić w ciasnym szybie - sięgnąłem po kratkę wentylacyjną i zaniknąłem nią otwór od wewnątrz. Ponownie się przekręciłem i cicho poczołgałem w głąb tunelu, aż znalazłem miejsce odpowiednie na drzemkę. I tu właśnie teraz jestem.

Kończę posiłek pochłaniając również jadalne opakowanie, aby nie zostawić po sobie żadnego śladu. Wątpię, by często zaglądan do szybu wentylacyjnego, ale nigdy nic nie wiadomo.

Czas działać.

Zaczynam czołgać się szybem, który, zgodnie z przewidywaniami, skręca w lewo. Jeszcze jakieś dwadzieścia metrów do następnego zakrętu, tym razem w prawo, a potem zsuwam się pionowym spadkiem o jakieś trzy metry. Na niższym poziomie szyb rozchodzi się w trzech kierunkach. Przełączam OPSAT na tryb kompasu, w zasadzie tylko po to, by sobie potwierdzić, że tunel po lewej istotnie prowadzi na zachód, po czym czołgam się dalej.

Jeszcze jeden zakręt w prawo i widzę już kratkę na końcu szybu. Biuro dyrektora kasyna.

Wyglądam ostrożnie przez pręty, by się upewnić, że biuro jest puste. Delikatnie wypycham kratkę, trzymając ją równocześnie drugą ręką. Nie chcę, by spadła z brzękiem. Wysuwam z szybu górną połowę ciała i delikatnie odkładam maskownicę na podłogę za kanapą, stojącą dokładnie pode mną. Potem chwytam oburącz dolną część otworu wentylacyjnego, wyciągam z szybu biodra i nogi, robię przewrót i ląduję na dywanie. Jak na razie idzie mi nieźle.

Naciągam na oczy gogle i przełączam je na noktowizor. Nie chcę zwracać na siebie uwagi włączaniem światła. Żelazna zasada w mojej profesji, to pozostać niewidocznym. Wykonać zadanie w taki sposób, by nikt cię nie zauważył, ani nie usłyszał. Jeśli mnie złapią, rząd Stanów Zjednoczonych wyprze się wszelkiej wiedzy o moim istnieniu. W rękach obcej agencji będę zdany wyłącznie na siebie, nie będą mnie chronić żadne międzynarodowe prawa, nikt też nie ułatwi mi ucieczki. Wszystko będzie zależało tylko ode mnie. Wcale mi się nie pali do tego sprawdzianu, choć przygotowuję się do niego od wielu lat. W takich testach zawsze trafiają się podchwytliwe pytania.

Ruszam prosto do komputera, stojącego na drogim, mahoniowym biurku dyrektora, włączam go i niecierpliwie stukam palcami w blat czekając, aż system się podniesie. Kiedy prosi o podanie hasła, wpisuję to, które zdaniem Carly powinno zadziałać -i rzeczywiście działa. Carly St. John jest cudotwórcą, jeśli chodzi o takie techniczne sztuczki. Potrafi włamać się do każdego systemu, wszędzie. I to nie ruszając się z swego biurka w Waszyngtonie.

Szybko wyszukuję potrzebne mi foldery. Zawierają dane o płatnościach dla różnych instytucji i osób prywatnych. Muszę mieć pewność, że dostałem się do właściwych danych, a nie do oficjalnego rejestru wydatków kasyna, ale na szczęście Carly pokazała mi, jak stwierdzić różnicę. Rzeczywiście, znajduję charakterystyczne znaczniki, o których mówiła, czyli na sto procent jestem u celu.

Rozsuwam zamek błyskawiczny kieszeni umieszczonej na lewej łydce i wyciągam transponder, który wkładam w napęd dyskietkowy komputera. Drugi koniec kabla transpondera podłączam do OPSAT-u. Naciskam kilka guzików i voila - zaczyna się kopiowanie plików. Cała operacja zabiera około minuty.

Kiedy OPSAT przyjmuje dane, rozmyślam o Danie Lee, innym agencie Wydziału Trzeciego, który został zamordowany w tym kasynie trzy miesiące temu. Zajmował się sprawą nielegalnego handlu bronią w Chinach, a śledztwo zaprowadziło go do Makau. Tym handlem parają się, rzecz jasna, ludzie ze Sklepu, a Lee, nim zginął, zdołał przekazać Lambertowi dowody, że kasyno „Tropi-cal” wykorzystywane jest jako przykrywka nielegalnych transakcji. Zamknięcie Sklepu jest jednym z naszych priorytetowych celów, a można go osiągnąć jedynie cierpliwie podążając do źródła śladem nieskończenie licznych nitek pajęczej sieci, którą oplótł cały świat. Wyszukiwanie takich nici to tylko połowa sukcesu. Teraz, kiedy weszliśmy w posiadanie listy klientów Sklepu, inne amerykańskie agencje zajmą się zrywaniem tej konkretnej nitki pajęczyny.

Nadal nie wiemy dokładnie, co stało się z Danem Lee. Pracował dla ABN - Agencji Bezpieczeństwa Narodowego - od mniej więcej siedmiu lat. Choć nigdy nie poznałem go osobiście - agenci Wydziału Trzeciego nigdy się ze sobą nie spotykają - wiedziałem, że to samotny strzelec. Doskonale wykonywał swą pracę. Był dobrym człowiekiem. Zdaniem Lamberta ktoś ze Sklepu

odkrył jego tożsamość i zwabił go do kasyna używając tych danych jako przynęty. Lee nigdy już stąd nie wyszedł.

OPSAT skończył transfer w chwili, gdy na korytarzu prowadzącym do gabinetu rozlega się jakiś hałas. Cholera. Wyciągam transmitter z komputera. Słysząc zgrzyt klucza w zamku i rozmowę, której towarzyszy śmiech. Jest ich dwóch. Nie mam czasu wyłączyć komputera, ale naciskam przycisk na monitorze i ekran gaśnie.

Odsuwam się od biurka i mierzę wzrokiem odległość do szybu wentylacyjnego, słysząc równocześnie, jak w zamku przekręca się klucz. Za daleko. Nie starczy mi czasu, żeby się tam dostać. Szybko wdrapuję się więc po szafkach na dokumenty i wciskam w kąt gabinetu, zapierając się głową o sufit. Trudno wytrwać w takiej pozycji. Prawie cały ciężar ciała spoczywa na kolanie opartym o wierzch szafki, a równowagę utrzymuję wpierając z całych sił obie ręce w ściany schodzące się w rogu pomieszczenia. Nie, wcale nie jest mi wygodnie. Dokładnie w chwili, gdy zastygam w bezruchu, otwierają się drzwi gabinetu. Może mnie nie zauważą, skoro tkwię jakieś półtora metra nad ich głowami.

Rozpoznaję pierwszego z wchodzących, tego z kluczem. To Kim Wei Lo, najprawdopodobniej mózg operacji Sklepu w Makau. Jest na Ustach najbardziej poszukiwanych przestępców wszystkich trzyliterowych amerykańskich agencji - no wiecie, CIA, FBI, ABN... Kiedy drugi mężczyzna obraca się lekko, rozpoznaję i jego. To Chen Wong, ochroniarz Lo. Duży facet, ale widywałem większych. Jeśli dojdzie do konfrontacji, nie sądzę, by miał większe szanse.

Lo naciska dwa z szeregu włączników świateł umieszczonych przy drzwiach. Świetlówki bezpośrednio nad biurkiem zaczynają mrugać. Bogu dzięki, że nie włączył pozostałych. Ta część pokoju, w której się ukrywam, pozostaje ciemna. Przynajmniej nadal znajduję się w mroku, chociaż, jeśli któryś z nich spojrzy w górę i przyjrzy się uważnie ścianie nad szafkami, zobaczy, jak tam wiszę, niczym jakiś gigantyczny pająk.

Obaj podchodzą do biurka, a Lo mówi coś po chińsku. Wyłapuję słowo „komputer” i dochodzę do wniosku, że pewnie się dziwi, dlaczego nie wyłączono go na noc. Nie wzbudza to na szczęście jego podejrzeń. Siada przy biurku i zaczyna pracować, a Wong przechadza się powoli za jego plecami, wyglądając przez wielkie okno wychodzące na główny trakt tej nędznej imitacji miasta. Obszar miejski byłby tu zapewne lepszym określeniem. Jest środek nocy, ruch na ulicach prawie zamarł, pali się niewiele neonów. Mam nadzieję, że coś zaabsorbuje uwagę Wonga i pozostanie zwrócony do mnie plecami.

Na wszelki wypadek próbuję w myślach przeprowadzić operację wyciągnięcia w tej pozycji pistoletu, ale szybko dochodzę do wniosku, że nie jest to możliwe bez upadku na podłogę. Moją podstawową broń stanowi belgijski pistolet Five-seveN, jednak obowiązuje mnie dyrektywa, by nie zabijać, jeśli nie jest to bezwzględnie konieczne. Prawdę mówiąc, wielokrotnie musiałem ją złamać. Nie sprawia mi to przyjemności, ale czasami trzeba robić to, co trzeba.

W pokoju jest gorąco. Pewnie wyłączają na noc klimatyzację. Albo może w ten sposób chcą

skłonić graczy do kupowania większej ilości napojów? Marzę o tym, by wyregulować temperaturę w kombinezonie, ale boję się ruszyć. Czuję, jak na czole zbiera mi się pot i jak zaczyna spływać mi po twarzy.

Niech to szlag. Wong odwraca się i przez chwilę krąży bez celu wokół biurka, po czym rusza w moim kierunku. Wyciąga pistolet - stąd wygląda zupełnie jak Smith & Wesson. 38 Special - i kręci nim młynka, jak na westernach. Nagle zakręca w miejscu i staje zwrócony twarzą w stronę półek na książki. Nadal obracając pistoletem przegląda tytuły. Niewykluczone, że naprawdę potrafi czytać.

Lo coś mówi, a Wong odpowiada chrząknięciem. Nie podchodzi jednak z powrotem do biurka. Niech to szlag. Porzuca książki i zaczyna przechadzkę w kierunku szafek na dokumenty. Jeśli spojrzy w górę, na pewno mnie zobaczy. Dywan musi być jednak szalenie interesujący, bo cały czas trzyma głowę pochyloną. Zupełnie jakby obserwował własne stopy.

Och, żeby to jasna cholera, staje teraz dokładnie pode mną. Moje ciało wznosi się nad szafką, a głowa i ramiona rysują się wyraźnie na tle sufitu. Tylko nie patrz w górę, sukinsynu.

Czuję, jak po nosie spływa mi kropla potu. Kurwa mać!. Nic nie mogę zrobić. Nie mogę teraz nawet drgnąć. Niewielka kropelka słonej wody zawisa na chwilę na czubku nosa, kołysząc się dokładnie nad głową Wonga. Przystaję oddychać. Czas staje w miejscu.

Kropla potu odrywa się wreszcie od ciała i spada dokładnie w sam środek kwadratowej, ostrzyżonej na zero głowy ochroniarza. Poczuję ją. Unosi rękę, dotyka miejsca gdzie spadła i powoli podnosi twarz, by spojrzeć na sufit.

Odbijam się od ściany i spadam na niego, przewracając ochroniarza na podłogę. Pistolet wypada mu z ręki. W walce w bezpośrednim dystansie używam wyłącznie izraelskiej techniki Krav Maga. Nazwa oznacza dosłownie „walka wręcz”. Jest to nie tyle sztuka samoobrony, co sztuka przetrwania w każdej sytuacji i za wszelką cenę. Wszelkie chwytaki są w niej dozwolone. Łączy w sobie elementy wschodnich sztuk walki, takich jak karate, judo czy kung fu, z podstawami boksu oraz różnymi brudnymi sztuczkami. Uczą jej i stosują w izraelskim wojsku, w policji i żandarmerii wojskowej oraz w tamtejszych oddziałach antyterrorystycznych i specjalnych. Krav Magę opracował po drugiej wojnie światowej niejaki Imi Lichtenfeld. Od tego czasu zdołała się rozprzestrzenić na cały świat i jest powszechnie nauczana obok innych sztuk walki. Nie należy jednak do konkurencji sportowych - to po prostu walka o życie. Jej celem jest nie tylko obrona, ale również brutalne wyeliminowanie przeciwnika, i to w jak najkrótszym czasie.

Tak więc, kiedy Wong leży na podłodze pode mną, walę go z całej siły w twarz głową, hełmem i goglami. Wrzeszczy z bólu, kiedy brzeg gogli rozcina mu skórę na czole. Uderzam mocno w jego krtań, ale sukinsyn jest szybki. Moja dłoń nie trafia w jabłko Adama, więc zadaję mu tylko ból, a nie zabijam. Facet przekręca się teraz na bok i zrzuca mnie z siebie z taką łatwością, jakbym był kocem. W jednej chwili obaj stajemy na nogach i szykujemy się do dalszej walki.

Lo zdołał już wstać i wyciągnąć własną broń. To jakiś miniaturowy pistolet maszynowy - nie

jestem pewien jakiego typu, bo teraz wszystko zaczyna się dziać bardzo szybko. Widzę, jak we mnie celuje, więc łapię Wonga za kołnierz koszuli i ciągnę go do siebie, równocześnie obracając tak, że staje pomiędzy mną a biurkiem. Lo strzela, a Wong podskakuje w moich rękach, kiedy kula uderza w jego plecy i rozwala mu mostek. Czuję gorący powiew, kiedy pocisk z gwizdem przelatuje obok mego ucha i wbija się w ścianę za mną. Chwilę później z rany Wonga zaczyna płynąć krew, ochlapując mi twarz i pierś.

Ciskam trupa w kierunku biurka. Uderza z dużą siłą w mebel i zrzuca monitor komputera na Lo, do którego właśnie dotarło, że zabił niewłaściwego faceta. W panice zaczyna biec do drzwi. Przewiduję jego zamiar i przecinam mu drogę. Lo nie jest wojownikiem - to raczej mózgowiec, więc nie wie jak zerwać duszący uchwyt, w którym trzymam jego głowę. Dłonią tłumię jego krzyk, po czym nagłym ruchem pcham jego głowę do przodu, łamiąc zaskakująco kruche kości karku. Pada na podłogę akurat w chwili, gdy za drzwiami rozlega się tupot biegnących nóg. Znowu nie ma czasu na powrót do szybu wentylacyjnego, więc przyciskam się do ściany koło wejścia.

Drzwi otwierają się gwałtownie i do pokoju wpada trzech uzbrojonych strażników i z niedowierzaniem wpatrują się w martwego Lo leżącego na podłodze obok równie martwego Wonga. Ich szok i zaskoczenie dają mi szansę na ciche wyslizgnięcie się przez otwarte drzwi. A jednak nie udaje mi się zniknąć niepostrzeżenie. Ktoś krzyczy „Tam jest!” i wszyscy trzej rzucają się w pogoń.

Biegnę korytarzem do klatki schodowej, która, jak wiem z planów kasyna, znajduje się prosto przede mną. Jest to jedyna droga ucieczki z tego miejsca budynku. Zamiast zbiegać schodami przeskakuję przez poręcz i ląduję na ugiętych nogach w połowie ciągu schodów piętro niżej. Zbiegam po trzy po pozostałych stopniach i docieram na parter. Oczywiście teraz wiedzą już o mnie wszyscy strażnicy. Dokładnie na wprost mnie jeden wpada tu z głównej sali kasyna. Krzyczy coś, a ja biegnę w jego stronę. Widzę, jak wyciąga z kabury pistolet, który wygląda na Smith & Wessona. Skaczę na ścianę korytarza, obijam się od niej energicznie stopami i rzucam na niego. Przewraca się na plecy, a ja z wdziękiem ląduję na samych czubkach palców rąk, na moment zastygam w stójce, po czym wybijam się w powietrze i obracam, by stanąć na nogach.

Najbliżej znajduje się główne wyjście z budynku, ale żeby się do niego dostać muszę przebiec przez główną salę kasyna. W przeciwieństwie do innych podobnych przybytków w Makau, tutaj wszystkie gry prowadzi się w jednym wielkim pomieszczeniu, tak samo jak w Las Vegas - w innych tutejszych kasynach każdy rodzaj gry ma własną salę. Na tej wielkiej przestrzeni gra się we wszystko: blackjacka, ruletkę, pokera, baccarata, na maszynach do gry, a także w kilka chińskich gier hazardowych, których reguły są dla mnie kompletną zagadką. O tej porze doby nie ma tu wielu klientów, więc postanawiam dostarczyć im ciekawego tematu do rozmów w pracy. Wpadam do sali i biegnę przejściem między stołami do blackjacka.

Wokół panuje śmiertelna cisza. Mniej więcej piętnastu graczy podnosi głowy znad gry i patrzy na mnie z otwartymi ustami. Krupierzy są zbyt zaskoczeni, by chociaż drgnąć. Pewnie się zastanawiają co to za gweilo w śmiesznym stroju biegnie przez kasyno. Ale dwaj strażnicy u wejścia do sali reagują zupełnie inaczej. Wyciągają broń i celują we mnie, nawet nie fatygują się, by nakazać gościom aby padli na podłogę. Gdy wyczuwam, że jeden ma mnie na muszce, robię unik i skaczę na

stół od blackjacka. Przeskakuję na kolejny stół, a stos sztonów rozpryskuje się pod moimi stopami na wszystkie strony. Właśnie odbijam się, by skoczyć na kolejny, kiedy ogień otwiera drugi ze strażników. Czuję się zupełnie jak żaba skacząca po liściach nenufarów.

Znaczna część mego morderczego treningu w Wydziale Trzecim skupiała się na nauce, jak wykorzystać otoczenie do szybszego poruszania się w przestrzeni. Umiem używać ścian, mebli i ludzi jako punktów wybicia, i z ich pomocą pokonywać przeszkody. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem jak robią to inni, natychmiast przyszły mi na myśli kulki we flipperze - jak się później okazało, właśnie ta koncepcja stała za opracowaniem całej techniki. Okazuje się ona szczególnie przydatna, kiedy ktoś do Ciebie strzela. Ruchomy cel, który w nieprzewidzianych momentach zmienia kierunek, naprawdę niełatwo trafić.

Gdy po kasynie zaczynają latać pociski, goście, zgodnie z przewidywaniami, krzyczą i kulą się ze strachu. Niektórzy mają nawet dość rozumu, by paść na ziemię, gdy przeskakuję obok nich. Dwaj strażnicy, strzelają teraz gdzie popadnie w nadziei, że uda im się mnie trafić. Nie mam wyboru, muszę zaatakować. Nurkuję pod stół, wyciągam pistolet i odbezpieczam. Ten model belgijskiej firmy Fabrique Nationale Herstal wyposażony jest w mechanizm spustowy pojedynczego działania. W magazynku jest dwadzieścia naboje ss 190, 5.7 x 28 mm, które skutecznie przebijają wszelkie pancerze i kamizelki kuloodporne. Mimo to producentowi udało się zachować rozsądną wagę, rozmiar i odrzut broni. Rany, jakie potrafią zadać te naboje nieosłoniętemu ludzkiemu ciału trzeba zobaczyć na własne oczy, by uwierzyć. Mimo to nie lubię używać tej broni w strzelaninie. Ma dość ograniczony zasięg, nadaje się więc raczej do sytuacji, kiedy wiem, że mam przewagę. Jak na przykład teraz.

Strzelam zza nogi stołu - raz i jeszcze raz - trafiając obu strażników w pierś. Wyjście staje otworem. Podnoszę się i ruszam naprzód, przeskakując po drodze przez jedno z ciał.

Słyszę jak ktoś wykrzykuje rozkazy, po czym strzelanina wybucha na nowo. Oglądam się przez ramię i widzę trzech kolejnych strażników wbiegających do sali kasyna. Cholera, skąd ich tu tyle o tej porze? O czwartej nad ranem wystarczyłoby dwóch do pilnowania forsy. Dochodzę do wniosku, że pewnie wszystkie czarne charaktery trzymają rezerwę ludzi na te rzadkie okazje, kiedy do ich kwatery wdziera się w środku nocy amerykański agent.

Sięgam do kieszeni po zewnętrznej stronie prawego uda i wyciągam granat dymny, ten mniej szkodliwy. Mam na wyposażeniu dwa typy granatów - jeden wydziela tylko gęsty czarny dym, za którym mogę ukryć swoje działania, natomiast drugi wypełniony jest gazem CS, nazywany przez miłośników językowych łamańców Ochlorobenzylidene malonitrile. To paskudna broń. Gaz CS gwałtownie wpływa na działanie układu oddechowego, a jeśli człowiek narażony jest na długotrwały kontakt - traci przytomność. Wyciągam zawleczkę i rzucam granat za siebie, czekając na głośne puknięcie. To niezwykle skuteczna zabawka - czarny dym wypełnia salę kasyna w czasie krótszym niż pięć sekund. Ma się takie wrażenie, jakby ktoś nagle wyłączył światło. Ponieważ na oczach mam gogle, nie obawiam się podrażnienia spojówek. Widzę wyraźnie wyjście z kasyna.

Wbiegam do głównego holu mijając kilku przerażonych klientów. Strażnicy pilnujący wejścia

musieli pobiec do sali, ponieważ droga jest wolna. Popycham szklane drzwi i zbiegam po schodkach na ulicę. Oczywiście nadal jest ciemno, ale uliczne latarnie całkiem nieźle oświetlają teren. Czynnych jest jeszcze kilka kasyn. Za kilka minut, czy nawet sekund, pojawią się dalsze kłopoty.

Okrażam budynek, by dostać się na niewielki parking dla gości, i podbiegam do pierwszego z brzegu sportowego samochodu. To Honda, jeden z luksusowych modeli. Padam na beton parkingu i wczołguję się pod samochód. Chwytam podwozie i unoszę się na rękach nad ziemię tak, żeby nie było mnie widać, jeśli ktoś zajrzy pod samochód. Przypinam się do podwozia karabinkiem przymocowanym do pasa kombinezonu, dzięki czemu przez dłuższą chwilę mogę utrzymać tę pozycję.

Zgodnie z przewidywaniami słyszę tupot nóg i krzyki. Strażnicy znaleźli drogę na zewnątrz i zaczynają starannie przeszukiwać parking. Wyobrażam sobie przerażenie, jakie maluje się na ich twarzach. Gdzie, do licha ciężkiego, podział się ten facet? Jak udało mu się tak szybko zniknąć?

Widzę parę nóg przebiegającą koło sportowego wozu. Krzyki przybierają na sile. Zamieszanie robi się coraz większe. Szef ochrony wrzeszczy na swoich ludzi, klnąc po chińsku. To jego głowa poleci za dzisiejsze wydarzenia. Znajdźcie mi natychmiast tego gweilo! Tupot nóg nasila się, kiedy strażnicy zaczynają starannie przeszukiwać rzędy zaparkowanych samochodów.

Poddają się dopiero po dziesięciu minutach. Dochodzą do wniosku, że intruz musiał pobiec w inną stronę. Czekam jeszcze Pięć minut, żeby zamieszane ucichło na dobre, po czym powoli opadam na beton. Rozglądam się, czy nigdzie nie widać żadnych nóg. Pusto. Wysuwam się spod Hondy, rozglądam na obie strony, po czym unoszę się do przysiadu. Powoli wysuwam głowę ponad maskę samochodu i rozglądam się po parkingu. Jestem sam.

Opuszczam to miejsce dokładnie tak, jak się na niego dostałem, wykorzystując okrywającą mnie ciemność. Skradam się niczym bezpański kot, cichy i niewidoczny. Kryję się przy ścianach, albo za latarniami. Ta gra nazywa się ostrożność, a ja zawsze byłem w niej świetny.

Akcja przebiegła raczej spokojnie, jak na misję Kolekcjonera. Bo żadna misja nie jest „łatwa” sama z siebie. Wszystkie stawiają określone wyzwania. Niczego nie mogę przyjmować za pewnik, a zadanie należy wykonać nie pozostawiając po sobie żadnych śladów. Na tym polega praca Kolekcjonera. Wejść. Wyjść. Nie zostawić odcisków palców. I tyle.

Kolekcjoner zawsze działa samotnie. Z dala czuwa nade mną i udziela mi wsparcia zespół - specjaliści i to cholernie dobrzy w swej robocie - ale to ja jestem tutaj, na linii ognia. Każdy swój ruch należy starannie przemyśleć, jakby odbywał się na gigantycznej szachownicy. Każdy błąd może się okazać ostatnim.

Lubię myśleć, że nie popełniam błędów. Nazywam się Sam Fisher. Jestem Kolekcjonerem.

2.

Podpułkownik Dirk Verbaken spojrzął na zegarek i doszedł do wniosku, że pora się zbierać. Do spotkania miał jeszcze czterdzieści minut - czasu aż nadto - ale musiał zachować jakiś margines na nieprzewidziane okoliczności.

Wstał, wziął teczkę i wyszedł z biura.

- Idę na lunch - rzucił swojej asystentce, a ona skinęła głową i zanotowała czas wyjścia. Ruszył korytarzem i zatrzymał się przy drzwiach męskiej toalety. Uchylił je, ale nie wszedł do środka. Poczł ukłucie niepokoju, kiedy tak stał rozglądając się dookoła, by sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje. Następnie przeszedł na drugą stronę korytarza, do archiwum. Wiedział, że o tej porze będzie puste.

Przepisy obowiązujące w Departamencie Wywiadu i Bezpieczeństwa Narodowego były rygorystyczne, szczególnie w kwestii wnoszenia dokumentów poza budynek. Każdy, kto chciał coś wypożyczyć z archiwum musiał przejść przez biurokratyczne piekło, zużyć hektolitry atramentu i całe bele papieru. Prowadzono rejestr takich pożyczek, a prawie każdą sprawę badano. Dlatego Verbaken uznał, że najlepiej będzie, jeśli po prostu zabierze potrzebne materiały i przemyci je na zewnątrz. Po lunchu po prostu na powrót schowa akta do szafki i nikt nie będzie się musiał wymądrzać na ten temat. W końcu jest tu jednym z najwyższych rangą urzędników. A w Departamencie Wywiadu i Bezpieczeństwa Narodowego Belgii pracuje już od dziesięciu lat.

Podszedł do szafki oznaczonej literą „B” i otworzył ją własnym kluczem. Wyciągnął szufladę zawierającą szare zawieszki z aktami i szybko zaczął wertować ich opisy, aż znalazł tę, której szukał. Wyciągnął ją, wsunął szufladę na miejsce, a potem zamknął szafkę na klucz. Podszedł do stołu, położył na nim teczkę, schował do niej zawieszkę, po czym zatrzasnął zamek. Następnie szybko podszedł do drzwi archiwum. Otworzył je delikatnie i wyjrzał. Pusto. Wyszedł na korytarz i ruszył ku windom, po drodze otwierając drzwi męskiej toalety. Jego asystentka z pewnością była zajęta czymś innym, ale wolał zamarkować korzystanie z łazienki przed wyjściem.

W Brukseli była piękna pogoda. Verbaken wyszedł z nierzucającego się w oczy budynku, sąsiadującego z Grand-Place, wspaniałym rynkiem, uważanym za centrum miasta. Tu na każdym kroku widać było historyczne pamiątki królestwa Belgii. Nawet Verbaken, rodowity Belg, niezmiennie pozostawał pod ogromnym wrażeniem tych przepięknie zdobionych dachów z wieńczącymi je filigranowymi, złotymi figurkami, połączanych fasad, i średniowiecznych chorągwi. Jednakże dzisiaj niewiele go obchodził widok olśniewającego piętnastowiecznego gotyckiego Hotel de Ville, siedemnastowiecznego neogotyckiego Maison du Roi, czy Maison du Brasseurs, siedziby cechu browarników. Myśłami był zupełnie gdzie indziej.

Szedł szybko wąskimi, brukowanymi uliczkami do skrzyżowania Rue de Chene z Rue de L'Etuve, nie zwracając uwagi na turystów, którzy fotografowali sławną rzeźbę siusiającego chłopca nazywaną Manneken-Pis. Spojrzął na zegarek i stwierdził, że nadal ma sporo czasu. Nie było powodu się

spieszyć, dlatego postanowił się zatrzymać i postać chwilę w tłumie. Był niezły w wykrywaniu ogonów. Starannie obejrzał ludzi, którzy szli za nim, uznał, że nie ma w nich nic podejrzanego, po czym mszył dalej.

Wkrótce dotarł do „Metropolu”, jedyne dziewiętnastowiecznego hotelu w tym słynnym mieście. Położony w centrum historycznego Place de Bruckere budynek przypominał raczej pałac niż hotel. Verbaken zawsze marzył, żeby spędzić tu z żoną drugi miesiąc miodowy. Kochała tę mieszankę stylów, która nadawała wnętrzu wrażenie luksusu i bogactwa - boazerie, polerowane drewno tekowe, marmury z Numibii, połączony brąz i kute żelazo. Pałac wywierał na niego kojący wpływ.

Kiedy już znalazł się w środku, czekające go zadanie wydało mu się nagle całkiem przyjemne.

Na chodniku przed hotelem dwaj wyglądający na biznesmenów mężczyźni, ubrani w drogie garnitury od Armaniego, siedzieli przy małym okrągłym stoliku i pili kawę. Kawiarnia „Metropolu” cieszyła się w dni powszednie w porze lunchu dużą popularnością, a dziś było nie inaczej. Wszystkie stoliki zostały zajęte, a przed wejściem kolejka biznesmenów i turystów czekała niecierpliwie na zwalniane miejsca. Ale tych dwóch to nie obchodziło. Nie spiesząc się popijali kawę.

Jeden z nich, Rosjanin znany jako „Wład”, skinął na kelnera i zamówił po francusku lody. Kelner sprawiał wrażenie nieco rozdrażnionego, ponieważ zajmowali stolik już od ponad godziny, a zamówili jedynie kawę - a teraz jeszcze lody. Ale uśmiechnął się, mruknął „Tres bien” i poszedł do kuchni. Wład popatrzył na swego towarzysza i wzruszył ramionami.

Drugi mężczyzna, Gruzin, który posługiwał się imieniem „Jurij”, zamierzał właśnie powiedzieć, że raczej nie będzie już czasu na deser, ale po namyśle uznał, że lepiej zachować milczenie.

Sprawdził, czy klucz uniwersalny spoczywa bezpiecznie w jego kieszeni. W Metropolu pokoje nadal otwierane są tradycyjnymi kluczami. A poranna kradzież klucza uniwersalnego jednej z pokojówek nie była trudnym zadaniem.

Minęło kilka minut, ale żaden z mężczyzn nie odezwał się ani słowem. Kelner przyniósł lody i, w charakterze delikatnej aluzji, położył na stoliku rachunek. Wład omal nie zaprotestował, że jeszcze nie wychodzą, ale Jurij rzucił mu wymowne spojrzenie, więc podziękował kelnerowi z uśmiechem.

Kiedy jego towarzysz zaczął jeść lody, Jurij skupił się na obserwacji mijających kawiarnię przechodniów. Był to normalny tłum, pojawiający się tu w każde robocze południe - biznesmeni, turyści, piękne kobiety, niezbyt piękne kobiety... Aż nagle zauważył cel.

Trącił lekko stopą nogę Włada. Ten podniósł głowę i spojrzał na mężczyznę z teczką, przechodzącego właśnie przez ogródek kawiarni w kierunku głównego wejścia do hotelu.

Dirk Verbaken.

Wład szybko położył na stole pieniądze, wziął do ust ostatnią łyżeczkę lodów i obaj z Jurijem wstali. Poprawili krawaty, po czym dyskretnie weszli do środka za podpułkownikiem.

Przypadkowy obserwator mógł uznać obu Rosjan za bankierów, ponieważ wyglądali na ludzi, którzy mają do czynienia z pieniędzmi. Albo za prawników. Albo członków zarządu dużej firmy. Roztaczali wokół siebie aurę bogactwa, wyrafinowania i obycia w świecie. I dokładnie takie wrażenie chcieli sprawiać.

Choć, oczywiście, było ono zupełnie nieprawdziwe.

Verbaken zapukał do drzwi. Zauważył w wizjerze jakiś ruch, a po chwili wejście stanęło otworem ukazując przysadzistego Amerykanina około trzydziestki. Ubrany był w koszulkę i spodnie od dresu, a na szyi miał zawinięty mokry ręcznik. Przy lewej nodze trzymał Berettę Bobcat, kalibru 0,22 cala.

- Podpułkownik Verbaken - stwierdził.

- Witam. - Belg mówił płynnie po angielsku.

- Proszę wejść. - Amerykanin przytrzymał drzwi, poczekał aż Verbaken wejdzie do środka, po czym zamknął je na klucz i wyciągnął do podpułkownika rękę. - Miło mi wreszcie poznać pana osobiście. Rick Benton.

- Miałem wrażenie, że jest pan starszy - powiedział Verbaken potrząsając jego ręką.

- Uznam to za komplement - uśmiechnął się Benton. - Proszę, niech pan siada. Coś do picia? - wprowadził Verbakena do saloniku. Stało tu wielkie drewniane biurko, minibarek, telewizor, stolik do kawy o szklanym blacie, zielona kanapa i krzesła, szafa z sięgającym podłogi lustrem oraz liczne rośliny doniczkowe. Wielkie okno wychodziło na taras.

- Wystarczy woda mineralna, dziękuję. Wie pan, że mieszkam w Brukseli przez całe życie, a nigdy jeszcze nie byłem w apartamencie w „Metropolu”?

- Bardzo przyjemne miejsce - stwierdził Benton. Podeszedł do minibarku, wyjął dwie butelki wody źródlanej i wrócił do gościa. -

Jak sądzę, przyniósł pan to, o co prosiłem? - spytał, patrząc uważnie na gościa.

Verbaken kiwnął głową. Położył teczkę na kolanach, otworzył ją i Podał Bentonowi kartonową zawieszkę.

- Mamy niecałą godzinę - zaznaczył.

Benton sprawdził liczbę stron.

- Nie powinno być problemu. Sfotografuję je tym - pokazał Belgowi OPSAT-a, w który wyposażyla go ABN. - Jak sądzę nigdy nie spotkał pan obiektu?

Verbaken pokręcił głową.

- Nie, to było jeszcze zanim zacząłem tam pracować. Wstąpiłem do służby jakieś dwa lata po jego śmierci. Ale niewykluczone, że pracuje jeszcze jakiś oficer, który go pamięta. Bardzo interesujący człowiek.

Benton przytaknął i zrobił zdjęcie pierwszej strony.

- Słyszał pan coś nowego o naszych przyjaciółach na Bliskim Wschodzie?

- Nic poza tym, co już wiecie, ale nadal nad tym pracuję. Powiedziałbym nawet, że to mój ulubiony projekt. Był pan już kiedyś w Belgii?

- Tak, jakiś czas temu. Zdecydowanie wolałbym pracować w Europie niż siedzieć po uszy w gównie na Bliskim Wschodzie. Niech mi pan wierzy, czuję się tu jak na wakacjach - odparł Benton równocześnie fotografując akta OPSAT-em.

Verbaken stłumił śmiech.

- Nie wątpię.

- Był pan kiedyś w Stanach?

- Trzy razy. Żona i ja... - Przerwało mu pukanie do drzwi. Zamarł, otwierając szeroko oczy.

Benton uspokajająco pomachał rękę.

- Niech się pan nie denerwuje, to tylko obsługa hotelowa. Zamówiłem lunch. - Ujął w dłoń Berettę i podszedł do drzwi. Wyjrzał na korytarz przez judasza, a potem otworzył. Na progu stał niewysoki człowiek w białej marynarce.

- Obsługa hotelowa - powiedział po angielsku.

- Proszę postawić przy oknie. - Benton otworzył szerzej drzwi.

Kelner wtoczył do pokoju wózek z trzema przykrytymi półmiskami. Benton spojrzał na Verbakena.

- Może pan również coś przekąsi? - spytał.

- Nie, nie, dziękuję. Nie jestem głodny.

- Jak pan woli.

Kiedy kelner ustawił wózek we wskazanym miejscu, Amerykanin dał mu napiwek i odprowadził do drzwi. Ponownie zamknął je na klucz, po czym wrócił do akt.

- Mówił pan, że...?

- Hmm? A tak, Ameryka. - Verbaken napił się wody. - Spędziliśmy tam z żoną miesiąc miodowy. W Nowym Jorku. Fascynujące miejsce.

Benton zrobił kolejne zdjęcie, po czym zajął się lunchem. Położył pistolet na łóżku i zaczął podnosić pokrywki półmisek.

- Mmmm. Wygląda wspaniale. Zupa ziemniaczana z wędzonym łososiem, łosoś w cieście z kawiozem, szparagi i butelka piwa Duvel. Jedyne w swoim rodzaju, prawda?

- Nie wątpię, że wszystko jest wyśmienite.

- Na pewno nic pan nie zje?

- Nie, dziękuję.

Benton zmarszczył brwi.

- Zaraz. Prosiłem też o chleb i masło. Cholera. - Podeszedł do telefonu, podniósł słuchawkę i połączył się z obsługą.

- Mówi Benton z pokoju 505. Nie dostałem do lunchu chleba i masła, chociaż zamawiałem. Aha. Dobra, dzięki. - Rozłączył się, wrócił do akt i zrobił kolejne zdjęcie. - Zaraz przyniosą - wyjaśnił.

- Proszę spokojnie jeść - powiedział Verbaken. - Mnie to nie Przeszkadza.

Benton uśmiechnął się i odłożył OPSAT na stół, obok akt. Podeszedł do wózka, ale zatrzymał go dźwięk klucza przekręcane w zamku.

- Błyskawiczna obsługa - stwierdził Belg.

- Jak dla mnie, nieco zbyt błyskawiczna. - Benton rzucił się w kierunku leżącej na łóżku Beretty, ale nim zdołał ją chwycić drzwi stanęły otworem, a Jurij przystawił mu do twarzy wyposażoną w tłumik lufę pistoletu Heckler & Koch VP70, uniemożliwiając dalsze ruchy.

- Panowie, żadnych numerów. Proszę się cofnąć i położyć ręce na głowie - poprosił przybysz, drugą ręką chowając do kieszeni uniwersalny klucz hotelowy.

Benton zrobił, co mu kazano. Verbaken zbladł.

Wład również wyciągnął broń, Glocka, i wycelował w Belga.

- Lepiej nie wstawaj - ostrzegł.

- Kim jesteście? Czego chcecie? - spytał Verbaken niemal szeptem. Wład uderzył go w twarz lufą pistoletu.

- Nie kazałem ci mówić - powiedział.

Verbaken przycisnął obie dłonie do policzka i pochylił się do przodu.

- Ręce radzę trzymać w powietrzu - uprzedził Wład.

Belg wypełnił polecenie. Na jego policzku pojawiła się purpurowa pręga. Jurij skinął w stronę kanapy.

- Proszę tam usiąść - nakazał Bentonowi. -1 ręce cały czas w górze.

Amerykanin powoli obszedł stolik do kawy, obok którego stał wózek z lunchem. Nagle, z prawdziwie kocią szybkością złapał z wózka nóż i rzucił nim w Jurija. Jednakże Rosjanin okazał się szybszy. Odchylił się w bok unikając noża, który wbił się w ścianę za jego plecami. Heckler&Koch odezwał się dwa razy - pam, pam - a Bentona odrzuciło w tył, prosto na wózek z jedzeniem. Hałas tłuczonego szkła zmieszał się z dźwiękiem spadających naczyń, Amerykanin osunął się z wózka na podłogę, twarzą do ziemi.

Yerbaken w panice skoczył na równe nogi i pobiegł do drzwi, pam, pam - tym razem zadanie wykonał Glock Włada. Belg uderzył w drzwi i powoli osunął się na ziemię, pozostawiając na ich powierzchni krwawą smugę.

- Nie poszło nam najlepiej - stwierdził Jurij po kilku sekundach ciszy.

- Rzeczywiście - zgodził się Wład. - Straszny bałagan.

- Lepiej się pospieszmy. Hałas może kogoś zwabić.

Wład kiwnął głową i podszedł do stolika. Zebrał papiery - te z już sfotografowanego stosu i te jeszcze nie sfotografowane - włożył do zawieszki z brunatnego papieru, po czym podniósł OPSAT Bentona, rzucił go na dywan i rozgniół obcasem.

- Potrzebne nam coś jeszcze? - spytał towarzysza.

- Idź do sypialni i sprawdź, czy jest tam laptop. I zabierz broń Amerykanina, jeśli od razu rzuci ci się w oczy - odparł Jurij. Wład mruknięciem wyraził zgodę i zniknął w drugim pokoju. Jurij podszedł do ciała Bentona i wymierzył kopniaka w głowę.

- Ty pierdolcu - syknął.

Jego partner wrócił z laptopem i pistoletem Five-seveN, standardową bronią oficerów ABN.

- Zobacz co znalazłem - powiedział.

- Świetnie. Wynośmy się stąd.

Wyjrzał na korytarz, po czym skinął na Włada i obaj wyszli, zamykając za sobą drzwi apartamentu.

Minęły może trzy minuty. Do drzwi znów ktoś zapukał, a ponieważ w środku panowała cisza, ponowił pukanie.

- Obsługa hotelowa - tym razem głos należał kobiety.

Puk, puk.

- Halo?

Kelnerka wyciągnęła klucz uniwersalny i uchyliła lekko drzwi.

- Obsługa hotelowa - powtórzyła. - Jest tu ktoś?

Otworzyła drzwi szerzej i zobaczyła na podłodze okrwawione ciało Verbakena. Gwałtownie wciągnęła powietrze, zobaczyła drugie zwłoki pod oknem pokoju i z krzykiem rzuciła się do ucieczki.

3.

Mieszkam w domu położonym w trójkącie, jaki tworzą między-stanowa autostrada 1-695, York Road i Dulaney Valley Road w miasteczku Towson, w stanie Maryland. Jest to przedmieście Baltimore, powszechnie uważane za „hippisowskie”, ponieważ mieści się tu Uniwersytet Towsona. Może faktycznie jest takie? Nie mam na ten temat opinii. Nie jestem towarzyski. Nie umawiam się na randki, nie wychodzę wieczorami, a większość czasu spędzam samotnie. Kiedy nie mam zleceń z Wydziału Trzeciego, prowadzę dość nudny tryb życia. Nie mam przyjaciół, moi sąsiedzi zapewne uważają mnie za odludka, a jedyne sklepy do jakich chodzę to pobliski spożywczy, monopolowy i pralnia znajdująca się w pasażu handlowym przy York Road.

Odpowiada mi takie życie.

Dom jest za duży dla samotnego mężczyzny po czterdziestce. Całe trzy piętra, po których mogę hulać do woli. Pozwalam sobie aa proste przyjemności, których dostarczają: ogromny, superpłaski telewizor, odtwarzacz DVD i odpowiedni system nagłośnienia. Na pierwszym piętrze znajduje się biblioteka i mój gabinet. Gdy-y ktoś obejrzał moje książki, uznałby pewnie, że jestem wykładowcą geografii, albo może historykiem. Zawodowo badam różne kraje świata. Staram się być na bieżąco we wszystkim, co się dzieje w polityce i gospodarce, szczególnie w tak zwanych punktach zapalnych globu. Czasami informacja o jakimś nieistotnym szczególe, który dotyczy tylko jednego kraju może uratować życie. Najważniejszą sprawą podczas akcji jest wiedza, kto tak naprawdę stoi po twojej stronie, a kto nie. Dlatego codziennie próbuję dowiedzieć się czegoś nowego o jakimś miejscu na Ziemi. W ten sposób zachowuję ciągłą czujność.

Mieszkam niedaleko Towson Town Center, wielkiego centrum handlowego, które przyciąga ludzi z całej okolicy. Unikam go jak zarazy. Nie znoszę centrów handlowych, ponieważ wszystkie są takie same. Takie same sklepy, takie same sieci handlowe i tacy sami durnie, zajmujący się wydawaniem pieniędzy - zwykle cudzych. Kiedy czegoś potrzebuję, chodzę do położonych na uboczu sklepików rodzinnych. Ubrania mogę kupić wszędzie, a jeśli mam ochotę na płyty albo filmy na DVD, zamawiam je przez Internet i dostaję pocztą. W zasadzie robię dużo zakupów przez Internet. W ten sposób swoje stosunki z ludźmi sprowadzam do minimum.

Staram się pozostać tak anonimowy, jak to tylko możliwe.

Sam gotuję posiłki i jestem w tym niezły. To jedna z nielicznych umiejętności, jakie ceni we mnie Sara. Wpada tu sporadycznie, ale już kiedy wpadnie, zawsze woli, żebym to ja coś dla niej ugotował, niż iść do restauracji. Mnie to odpowiada. Bycie dobrym kucharzem jest cechą cenną w moim zawodzie. Nie uwierzycie w ilu dziwacznym i nieprawdopodobnym miejscach przyszło mi pichcić sobie posiłek z tego, co udało mi się znaleźć. Nauczyłem się jadać różne obrzydlistwa, dlatego umiejętność przyrządzenia sobie porządnego posiłku jest dla mnie taka cenna.

Choć rzadko wychodzę z domu, są dwa miejsca, do których uczęszczam regularnie. Pierwszym jest siłownia, położona przy York Road, za uniwersytetem, właściwie już na granicy oddzielającej Towson od Baltimore. Jest to niewielka siłownia, która najwyraźniej przypadła do gustu przedstawicielom mniejszości etnicznych. Przychodzi tu niewielu białych, stałymi bywalcami są raczej Latynosi i Murzyni, którzy koncentrują się na boksie, albo podnoszeniu ciężarów. Odnoszę wrażenie, że większość należy do lokalnych gangów, ale kompletnie mnie to nie obchodzi.

Jeszcze bardziej regularnie niż na siłownię uczęszczam na zajęcia Krav Magi do sali znajdującej się w tym samym pasażu handlowym, co moja pralnia. Jest na tyle blisko domu, że chodzę tam pieszo. I tam właśnie wybieram się dziś po śniadaniu.

Zakładam strój treningowy - właściwie treningowy kombinezon - i sprawdzam, czy włączyłem alarm. Wychodzę z domu i rozpoczynam dziesięciminutowy spacer do pasażu. Dzień jest piękny - wiosna w tym roku przyszła wcześnie, a i zima nie była zbyt ostra. Zresztą i tak przez większość zimy mnie tu nie było, więc jej surowość nie miała dla mnie większego znaczenia. Misja na Dalekim Wschodzie zajęła mi prawie trzy miesiące. Głównie siedziałem w Hongkongu, przygotowując się do akcji w Makau, kilka razy musiałem też lecieć do Singapuru. Wyśledzenie powiązań Sklepu na tych terenach okazało się trudniejsze niż przewidywałem.

Moja akcja w Makau wzbudziła mieszane uczucia. Lambert ucieszył się z danych, które zdobyłem z komputera w kasynie, ale nie zachwyciły go ofiary w ludziach. Chociaż Kim Wei Lo był naprawdę złym człowiekiem i zasługiwał na śmierć, zdaniem Lamberta mieliśmy szansę wyciągnąć z niego później więcej informacji. Zapewne zostałby aresztowany przez chiński rząd, kiedy ABN przekaże mu dowody działalności Sklepu w Chinach i w chińskich Strefach Specjalnych. Do diabła, wiem, że nie wysłano mnie po to, bym go zabił, po prostu tak wyszło. Albo ja albo on. Lambert to rozumie, ale wyraźnie był zaniepokojony. Chociaż chyba w końcu się z tym pogodził.

Jako Kolekcjoner mam szczęście, że nie przydzielono mnie do jakiegoś konkretnego miejsca. Dan Lee, agent, który zginął w Makau, mieszkał i pracował na Dalekim Wschodzie. Oczywiście był Chińczykiem, więc jego przydział nie był pozbawiony sensu, ale niektórzy Kolekcjonerzy zostali przydzieleni do takich terytoriów, gdzie z pewnością nie chciałbym mieszkać przez dłuższy czas.

Lubię pomiędzy misjami wracać do Stanów, nawet jeśli czeka na mnie tylko hippisowskie Towson w stanie Maryland. Podejrzewam, że mam w Wydziale Trzecim specjalny status. Ponieważ jestem ich pierwszym Kolekcjonerem, a w dodatku łatwo przystosowuję się do nowego otoczenia, bardziej przydaję się jako „wykonawca”, a nie „rezydent”. Dawniej szpiegami najczęściej byli dyplomaci, albo oficerowie wywiadu przydzieleni do ambasady w danym kraju. Podejrzewam, że nadal tak jest. Ale w Wydziale Trzecim Kolekcjonerami są ludzie, którzy nie mają żadnych powiązań z rządem Stanów Zjednoczonych - przynajmniej oficjalnie. Podczas misji korzystam z wielu fałszywych tożsamości, czasami muszę nawet opanować podstawy nowego zawodu czy rzemiosła, by uprawdopodobnić taką przykrywkę.

Nim zostałem Kolekcjonerem, pracowałem w CIA. Ale za dużo tam biurokracji, za dużo wewnętrznych rozgrywek i za mało współpracy z innymi agencjami. W CIA należało się posługiwać tradycyjnymi metodami - udawać dyplomatę albo jakiegoś urzędnika - co wymagało dużo większego udzielania się towarzysko, niż miałem ochotę. Nie jestem dobry w zabawianiu premierów i ich żon, czy w dyskusjach o miejscowej polityce. Później przenieśliem się do Stanów, do Wydziału Uzbrojenia. Sądzę, że wykonałem tam kawał dobrej roboty w dziedzinie wojny wywiadowczej, ale biurokratyczna machina podcinała mi skrzydła. Strasznie to było frustrujące. Jestem człowiekiem czynu i właśnie dlatego porzuciłem CIA kiedy pułkownik Irving Lambert zaproponował mi pracę w Wydziale Trzecim.

Początkowo podszedłem do tej kwestii niechętnie, ale Lambert dobrze się przygotował do rozmowy. Zaczął od stwierdzenia, że jestem stworzony do tej pracy. Że należę do tego „rzadkiego gatunku” szpiegów, którzy nigdy nie wzbudzili podejrzeń i nigdy nie groziło im wykrycie. A choć mam za sobą wiele lat pracy wywiadowczej (jestem o cztery lata starszy od Lamberta), nie zdarzyło mi się pozostawić po sobie najdrobniejszego nawet śladu. Umieję przetrwać w każdych warunkach i pozostać niewidoczny. Potrafię dotrzymać tajemnicy. No i tak mnie właśnie przekonał.

Robota w Makau była typowa. W Hongkongu podawałem się za dziennikarza, tak jak przy kilku innych okazjach. Udawałem, że pracuję nad książką o przemianach, jakie zaszły na wyspie po 1997 roku. Prawdę mówiąc, nie dostrzegłem żadnych zmian. Byłem wielokrotnie w Hongkongu przed przekazaniem go Chinom i ze dwa razy później, a jedyna różnica, jaką zauważyłem, to mniej Anglików na ulicach.

Oczywiście nadal działają tam brytyjskie agencje rządowe. To one dostarczyły mi łódź, którą przepłynąłem się do Makau i z powrotem, choć całą resztę misji musiałem wykonać samodzielnie. Opłynąłem nocą półwysep i zacumowałem jakieś trzy kilometry od portu. Podobnie jak Amerykanie, Angole zapewne nie mieli pojęcia o moich działaniach na tym terenie, choć Zjednoczone Królestwo jest równie zainteresowane zamknięciem Sklepu, jak my. Dlatego nam pomagają.

Dochodzę do pasażu handlowego i wchodzę do studia KM, jak zwykle za wcześnie. Zawsze przychodzę pierwszy. Instruktorem jest Żydówka z Izraela, Katia Loenstern. Ma trzydzieści kilka lat i jest niezwykle atrakcyjna. Oraz silna i pełna entuzjazmu. Sądzę, że się jej podobam, choć nie mogę odwzajemnić jej zainteresowania. W mojej pracy angażowanie się w związek bywa bardzo niebezpieczne, a poza tym nigdy nie wiem, kiedy będę musiał wyjechać z kraju, nie wolno mi też mówić o tym, czym się zajmuję. To nienajlepsze podstawy do zbudowania trwałego związku. Niezbyt mi odpowiada celibat, ale nauczyłem się z tym żyć. Lubię patrzeć na ładne kobiety, ale mój proces myślowy nie wykracza poza tę prostą przyjemność. Nauczyłem się zatrzymywać go w punkcie, w którym nie włącza się jeszcze mechanizm pożądania.

Katia jest już na miejscu, rozgrzewa się przy baletowym drażku. Podejrzewam, że w dni, kiedy nie ma zajęć wynajmuje salę na kursy baletowe. Nie sądzą, żeby dochód z samych treningów Krav Magi wystarczał jej na opłacenie czynszu.

- Sam! - wykrzykuje, wyraźnie zaskoczona, że mnie widzi.

- Cześć, Katia - odpowiadam.

- Gdzie się podziewałeś, u diabła? Już sądziłam, że zniknąłeś z powierzchni ziemi.

W pewnym sensie nie myliła się - byłem przecież na Dalekim Wschodzie. Nie zjawiałem się na zajęciach przez trzy miesiące, choć zapłaciłem za cały rok z góry.

- Wyjeżdżałem w interesach - wyjaśniam. Do pewnego stopnia jest to nawet prawda. - Przepraszam. Powinienem być cię uprzedzić.

Prostuje się i zagląda mi w twarz. Jak zwykle przy rozgrzewce ubrana jest w trykot i rajtuzy. Włoży nieco więcej rzeczy na czas zajęć sparingowych. Katia jest wysoka, mocno zbudowana i ma naprawdę niezłe ciało. Jej czarne włosy sięgają tuż za ramiona. Oczy są brązowe, nos długi, a usta nadąsane. Tak, w innym życiu chętnie bym ją przeleciał.

- A jakie to interesy?

- Handel. Trzy miesiące spędziłem na Dalekim Wschodzie. Rzuca mi sceptyczne spojrzenie.

- Nie wyglądasz na handlowca.

Odkładam torbę, w której trzymam ręcznik i zapasową koszulkę, po czym siadam na macie. Zaczynam własną rozgrzewkę od rozciągania.

- Naprawdę? A jak twoim zdaniem powinien wyglądać handlowiec? - pytam.

Siada na macie w pobliżu mnie i zaczyna ćwiczyć callanetics.

- Nie wiem. Inaczej.

- Na kogo w takim razie ja wyglądam?

- Na żołnierza. Na zawodowego żołnierza. Takiego, który służył w armii przez trzydzieści lat.

- Trzydzieści lat? Aż taki stary nie jestem!

- No to może dwadzieścia. A właściwie ile ty masz lat, bo zapomniałam?

- Podawałem ci wiek, kiedy się zapisywałem na zajęcia.

- Tak wiem. Mogłabym pójść sprawdzić, ale akurat jestem trochę zajęta.

- Mam czterdzieści siedem lat.

Robi minę z której wynika, że zrobiło to na niej wrażenie.

- Nie wyglądasz na więcej niż czterdzieści. A może nawet na trzydzieści osiem. Czyli jakbyś był niemal w moim wieku.

Spoglądam na nią, a ona się uśmiecha. Flirtuje ze mną? Czy to była zachęta?

- A ile masz lat? - pytam.

- Przecież wiesz, że to niegrzecznie pytać kobietę o wiek.

- O rany, daj spokój. Ja się przyznałem.

- Zgadnij.

Jestem prawie pewien, że wiem, ale udaję, że się zastanawiam.

- Trzydzieści pięć? Unosi brwi.

- Zgadłeś za pierwszym razem.

Dwaj kolejni uczestnicy zajęć wchodzą do studia. Josh i Brian, ortodoksyjni Żydzi, którzy wierzą, że „wojna” kiedyś dotrze i w ich sąsiedztwo, a wtedy chcą być gotowi do obrony. Obaj są potężnie zbudowani. Nie sądzę, żeby mieli większe problemy z obroną również bez znajomości Krav Magi.

- W każdym razie miło, że wpadłeś - mówi Katia To nic ciekawego, kończąc rozmowę.

- Dzięki - odpowiadam.

W ciągu następnych dziesięciu minut zjawiają się pozostali uczestnicy kursu. Z dwunastu osób dziewięć to mężczyźni w wieku od szesnastu do czterdziestu kilku lat. Mam wrażenie, że jestem tu najstarszy. Wszystkie trzy uczestniczące w zajęciach kobiety są młode, gdzieś między osiemnastką a trzydziestką. Katia jest dobrym instruktorem. Każde zajęcia zaczyna od podstawowej rozgrzewki, swego rodzaju aerobiku wzbogaconego o pompki i przysiady oraz stretching. Rozgrzewka na każdym zajęciach jest inna, żeby zapewnić urozmaicenie i zapoznać uczestników z dużą ilością ćwiczeń, które pomogą im utrzymać formę w przerwach między treningami. Po rozgrzewce Katia przez piętnaście minut ćwiczy z nami techniki rąk. Tym razem ten fragment treningu poświęcony jest ciosom - uderzeniu pięścią, dłonią i łokciem - oraz ich parowaniu. Następne piętnaście minut poświęcamy walce nogami - kopaniu, uderzeniom kolanem i sposobom obrony. Ostatni kwadrans to ćwiczenia samoobrony, a w technice Krav Maga wiele można się na ten temat nauczyć. Katia dokładnie, krok po kroku prezentuje każdy układ, aby wszyscy zrozumieli zasadę. Następnie ćwiczymy z partnerem. Trening obejmuje też wzmacnianie siły mięśni, zaprawę kardio oraz ćwiczenia, które mają nauczyć uczestników jak walczyć w silnym stresie albo gdy jest się zmęczonym, jak się bronić przed kilkoma napastnikami na raz i jak utrzymać ducha walki przez całe starcie.

W przeciwieństwie do innych sztuk walki, Krav Maga nie korzysta z systemu pasów o różnych kolorach, ale dzieli się na poziomy- Na tych zajęciach możesz maksymalnie osiągnąć poziom 3B, wyżej Katia nie uczy. To mój poziom. Uczestniczę również w „kursie walki”, gdzie prowadzimy walki sparingowe w odpowiedniej odzieży ochronnej. Na poziomie 3B uczymy się obrony przed różnymi rodzajami broni, walki kijem, blokowania, kopania z miejsca i z półobrotu oraz innych zaawansowanych kombinacji.

Gdy zajęcia dobiegają końca, wszyscy ociekamy potem. Marzę o jak najszybszym powrocie do domu i prysznicu. Kiedy inni wychodzą, ocieram twarz i kark ręcznikiem i staram się odzyskać oddech. Podchodzi do mnie Katia.

- To ty powinieneś ich uczyć nie ja - mówi.

- Świetnie dajesz sobie radę, naprawdę - odpowiadam.

- Mówię serio. Ćwiczysz od dawna, prawda? Wiedziałaś, że jesteś dobry, ale dziś nauczyłeś mnie paru nowych sztuczek. Gdzie przedtem trenowałeś? Mieszkałeś w Izraelu?

Kręcę głową.

- Nie. Urodziłem się i wychowałem tutaj, w Stanach.

- I nie jesteś Żydem?

Uśmiecham się.

- Kiedyś zapytano o to Charlie Chaplina. A on odpowiedział: „Niestety, nie spotkał mnie ten zaszczyt”.

Katia zaczyna się śmiać.

- No cóż, jesteś świetny. Nie chciałabym cię mieć za przeciwnika w prawdziwej walce.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc wzruszam ramionami.

- Dzięki - mamroczę.

- Musisz już lecieć? - pyta. - Może napijesz się ze mną kawy? Albo czegoś zimnego? Możemy iść do tego barku obok.

O Chryste. Tylko tego mi trzeba. Jakaś część mnie chce z nią iść, ale reszta woli uciekać. Po prostu nie mogę nawiązać teraz bliskich stosunków z kobietą. Wiem doskonale, że nic z tego nie wyjdzie. Już kiedyś próbowałem.

- Nie wiem, czy... - zaczynam.

- Och, daj spokój. Przecież cię nie pogryzę. Mogę cię kopnąć w jaja, ale nie pogryzę.

- Oboje ociekamy potem.

Przewraca oczami.

- O co ci chodzi? Szukasz pretekstu, żeby się wykręcić? Usiądziemy w kąciku i nikt nas nie wywęszy.

Cholera, jest urocza.

- Zgoda - mówię.

Kręci głową jakby chciała powiedzieć, „nie mam pojęcia, o co ci chodzi”. Zbiera swoje rzeczy, ja zbieram swoje i ruszamy do barku.

Katia zamawia średnią kawę, czarną. Ja wolę taką bez kofeiny. Nie chcę się uzależniać od podobnych drobiazgów. Jeśli potrzeb- , na ci filiżanka kawy, jeśli to ona wzmaga twoją uwagę, nie nadajesz się na Kolekcjonera.

A teraz ta trudna część. Zapewne zada mi masę osobistych pytań i będę musiał kłamać. Mam cały katalog fałszywych historii, przygotowanych na podobne sytuacje. Gotowe odpowiedzi na » zwyczajowe: „Czym się zajmujesz?” i „Gdzie chodziłeś do szkoły?” i „Byłeś kiedyś żonaty?”.

Siadamy przy stoliku. Katia uśmiecha się do mnie.

- No to jesteśmy. Jak widzisz, nic ci nie grozi.

- Rzeczywiście - odpowiadam. Może, jeśli ograniczę się do monosylab, szybko straci zainteresowanie.

- A teraz powiedz mi raz jeszcze, czym się zajmujesz. Dużo podróżujesz?

- To nic ciekawego - wyjaśniam. - Sprzedaję łożyska. Jeżdżę za granicę i sprzedaję łożyska. Bardzo ciekawe zajęcie. Zaczyna się śmiać.

- Na pewno ciekawsze, niż chcesz mi pokazać. Mnie interesowałyby podróże.

- Na początku pewnie tak, ale szybko by ci się znudziły poranne pobudki, zatłoczone lotniska, drobiazgowo kontrole i długie loty odrzutowcami. Wierz mi, to wcale nie jest takie egzotyczne, jak się wydaje na pierwszy rzut oka.

- No dobrze, a czym się zajmujesz dla zabawy?

- Kiedy jestem za granicą?

- Nie głuptasie, tutaj. Co robisz poza treningami Krav Magi?

Odwracam wzrok. Czasami udawanie nieśmiałego odstręcza

kobiety, a czasami wzbudza ich ciekawość. Mam nadzieję, że w przypadku Katii znajdzie ten pierwszy przypadek, ponieważ ona sama jest taka otwarta i śmiała.

- Nie wiem - mamroczę. - Niewiele. Mieszkam sam. Nie jestem zbyt towarzyski.

- Tak, pewnie - odparowuje. - Taki przystojny facet jak ty? Musisz mieć z tuzin dziewczyn.

Kręcę głową.

- Obawiam się, że nie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Oho! Najwyraźniej nabrała otuchy. Może lepiej było powiedzieć, że mam sześć przyjaciółek, które mieszkają ze mną wszystkie razem? Cholera, to takie trudne.

- Wiem, że nie jesteś gejem, więc w czym rzecz? Złe doświadczenia w małżeństwie?

- Skąd wiesz, że nie jestem gejem?

Uśmiecha się chytrze.

- Daj spokój, kobiety czują takie rzeczy.

- No a ty? Nie jesteś mężatką, prawda?

- Ja zapytałam pierwsza. Ale faktycznie, nie jestem. Byłam mężatką przez cztery lata, zaraz po skończeniu koledżu. Duży błąd. Nie lubię wspominać. A ty?

A ja nie lubię mówić o tych sprawach.

- Też byłem żonaty. Moja żona umarła.

Uśmiech Kam" znika. Ta wiadomość najwyraźniej zepsuła nastrój. Niewykluczone, że częściej powinienem mówić prawdę.

- Och, przepraszam - mamrocze. - Jak to się stało?

- Rak - odpowiadam.

- To okropne. Długo byliście małżeństwem?

- Nieco ponad trzy lata.

- Mieliście dzieci?

Nie jestem pewien, czy chcę jej o tym mówić, ale mówię.

- Tak, jedno. Mam córkę. Chodzi do koledżu w Illinois.

- Rany! - mówi Katia. - Często ją widzisz?

- Niezbyt - odpowiadam zgodnie z prawdą.

- Słuchaj, a lubisz jeść? - pyta wyczuwając, że powinna zmienić temat.

Wzruszam ramionami.

- Jak każdy.

- Bo ja bardzo lubię gotować. Może masz ochotę kiedyś wieczorem spróbować specjałów Katii Loenstern? - pyta.

Nie zamierzam się jej zwierzać, że ja też lubię gotować. Bo to byłoby coś, co mielibyśmy wspólne.

- Och, raczej nie - odpowiadam. To straszne, że muszę powiedzieć coś takiego.

Wygląda tak, jakbym właśnie wymierzył jej policzek.

- Naprawdę? - pyta. - Dużo tracisz.

- Wierzę. Dzięki, ale nie mogę. Przepraszam.

- O co ci chodzi? Mówiłam przecież, że nie gryzę.

- Nie w tym rzecz - mruczę pod nosem. Próbuję udawać introwertyka, który boi się kobiet, żeby ją zniechęcić.

- Uważasz, że nie jestem atrakcyjna? Kolej na moją kluczową kwestię.

- Właśnie.

Naprawdę sądziłem, że to załatwi sprawę, ale ona mówi tylko:

- Bzdura. Uważasz, że jestem boska. Przecież widzę. No dalej, co jest z tobą nie tak?

Śmieję się i mówię:

- Słuchaj, jesteś moją instruktorką. Ja nie mogę... nie mogę się wiązać, rozumiesz? Pozostaniemy raczej przyjaciółmi.

Kręci głową, ale nadal się uśmiecha.

- Chłopie, nie wyobrażasz sobie nawet, ile razy to już słyszałam. Dobra. Widzisz, wszyscy mamy jakąś przeszłość, którą chcemy ukryć. Nie masz się czym martwić. Zostaniemy przyjaciółmi, jeśli rzeczywiście tego właśnie chcesz.

Wypiliśmy już kawę. Patrzę na zegarek:

- Chyba będę leciał. Muszę jeszcze, hmm, przygotować dziś kilka raportów - stwierdzam.

Katia wzdycha.

- Dobra. Będziesz na następnych zajęciach?

- Powinienem być. Chociaż w mojej pracy nigdy nic nie wiadomo.

Wychodzimy razem z barku, a ona wyciąga do mnie rękę. Ujmuję ją i lekko odwzajemniam uścisk.

- Dobra, przyjacielu - mówi. - Do zobaczenia następnym razem.

- Do zobaczenia - odpowiadam. Po czym rozstajemy się. Ona wraca do studia, a ja ruszam do domu, przeklinając się w duchu za to, że jestem takim durniem.

Kiedy docieram do domu, słyszę dzwoniący telefon. Mam zwykłą zastrzeżoną linię telefoniczną. Jeden aparat jest w kuchni, zaraz koło wejścia.

Podnoszę słuchawkę i słyszę w niej słodki głos Sary.

- Cześć tato, to ja.

- Sara, skarbie. Cieszę się, że dzwonisz - mówię. Naprawdę ogarnia mnie takie miłe ciepłe uczucie, kiedy z nią rozmawiam.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że zaraz jedziemy z Rywką na lotnisko. Jestem taka podekscytowana, wiesz.

Czuję nagły przypływ napięcia.

- Hola, powoli panienko, na jakie lotnisko? Dokąd lećcie?

- Do Jerozolimy. Nie pamiętasz? Planowałyśmy to od...

- Przecież rozmawialiśmy na ten temat! Mówiłem, że ci nie pozwalam.

- Tato, daj spokój. Wcale nie powiedziałaś, że nie mogę jechać. Powiedziałeś tylko, że nie chcesz, żebym jechała, a nie, że zabraniasz mi jechać.

- No więc zabraniam. W Izraelu jest teraz zbyt niebezpiecznie. A stosunek do Amerykanów na świecie nie jest obecnie zbyt przyjazny.

Jest wściekła, jak było do przewidzenia.

- Tato, daj spokój - powtarza. - Mam dwadzieścia lat. Nie możesz mi po prostu zabronić! Właśnie jesteśmy w drodze na lotnisko. I mamy już bilety.

Niech to szlag. I co mam jej na to powiedzieć?

- Szkoda, że nie porozmawialiśmy na ten temat dłużej - próbuję opanować gniew.

- Słuchaj, zadzwonię z Jerozolimy. Spróbuję obliczyć różnicę czasu i nie zadzwonić w środku nocy. Muszę kończyć, pa!

Nie przychodzi mi do głowy nic innego, jak tylko:

- Uważaj na siebie. Kocham cię.

Ale i tak już się rozłączyła. Niech to szlag! Chyba rzeczywiście zapomniałem o jej planach. Chciała pojechać ze swoją przyjaciółką Rywką do Izraela, w czasie wiosennej przerwy w zajęciach. Powiedziałem, że to kretynstwo jechać w tak niebezpieczne miejsce, ale widocznie nie byłem dość przekonujący. No i co mam teraz zrobić? Ujmując rzecz czysto technicznie, jest już dorosła.

Sara studiuje na uniwersytecie w Evaston, w stanie Illinois, na północ od Chicago. Jest na przedostatnim roku. Czasami zapominam, jak długo już tam jest. Rywka to jej najlepsza przyjaciółka i tak się składa, że pochodzi z Izraela. Zapewne zamieszkają w Jerozolimie, u jej rodziców, i spędzą tam tylko niecały tydzień.

Rzucam okiem na zdjęcie Sary, które przyczepiłem magnesikiem do lodówki. Jest podobna do matki jak dwie krople wody. Piękna i mądra. Pierwsza klasa pod każdym względem. Jedyna rzecz, jaką odziedziczyła po mnie, to upór.

Przez myśli przebiega mi wspomnienie porodu Regan. Był trudny, a fakt, że odbył się w amerykańskiej bazie wojskowej w Niemczech, niczego nie ułatwił. Pracowałem wtedy w CIA, w Europie Wschodniej, zaś Regan była kryptoanalitykiem w ABN. Poznaliśmy się w Gruzji, wówczas jeszcze republice radzieckiej. Przeżyliśmy szalony romans, a kiedy Regan zaszła w ciążę, wzięliśmy cichy ślub w bazie w Niemczech i tam właśnie przyszła na świat Sara.

Nie lubię wspominać tych trzech lat z Regan. To nie był szczęśliwy okres. Kochałem ją, a ona mnie, ale przeszkadzała nam praca. Małżeństwo na odległość, pełne problemów. Regan wyjechała w końcu do Stanów, zabierając ze sobą Sarę. Wróciła do panińskiego nazwiska, Burns, i zmieniła prawnie nazwisko naszej córki na swoje. Natomiast ja poświęciłem się pracy, najpierw w Niemczech, potem w Afganistanie i w krajach satelickich Związku Sowieckiego, jeszcze przed jego upadkiem. Nie trzeba dodawać, że przestałem mieć z Regan i Sarą cokolwiek wspólnego.

Sara miała chyba piętnaście lat, kiedy Regan umarła. To było takie cholernie trudne. Od lat nie rozmawiałem z żoną, a kiedy dowiedziałem się, że został jej niecały rok życia, za wszelką cenę próbowałem się z nią pogodzić. Kurewski rak jajników. Nie trzeba psychoanalityka, żeby zrozumieć, dlaczego nie chcę się znowu wiązać. Poczucie winy, że mnie nie było, kiedy Sara dorastała, a potem świadomość, że kobieta, którą kochałem umiera, każdego zniechęciłaby do związków.

Zostałem prawnym opiekunem Sary i wtedy właśnie zacząłem wykonywać dla CIA papierkową robotę w Stanach. Miałem nadzieję, że zdołam osiedlić się na jakimś przedmieściu i skupić na wychowaniu córki. Niestety, obecność ludzi mi przeszkadza, a co dopiero piętnastolatki. To był dziwny i trudny okres, wydaje mi się jednak, że wszystko jakoś się w końcu ułożyło. Kiedy Sara skończyła liceum, zaczęła chyba bardziej mnie lubić. Czytałem, że wszystkie nastolatki przechodzą przez coś takiego. Kiedy opuszczają dom, nagle zaprzyjaźniają się z rodzicami. Dzięki Bogu, że stało się tak i w naszym przypadku.

Szkoda, że nie widuję jej częściej.

Słyszę własne westchnięcie i zmuszam się, żeby przestać o tym myśleć. Idę na dół do gabinetu i sprawdzam, czy nic nie nagrało się na sekretarce na drugiej linii. To łącze z ABN tak naprawdę w ogóle nie jest linią telefoniczną, tylko rodzajem pagera. Wyglądem przypomina przycisk do papieru. Jeśli dioda się świeci, oznacza to, że muszę skontaktować się z Lambertem z bezpiecznej linii gdzieś poza domem. Nigdy nie dzwonię do niego od siebie. Dioda się świeci.

4.

Konstabl Robert Perkins z całego serca nienawidził swojego rewiru. Co wieczór powtarzało się dokładnie to samo, oprócz niedziel, kiedy teatr był nieczynny. Co dzień rozgrywał się tu koszmar z powodu popołudniowe.

Perkins był odpowiedzialny za cały teren przylegający do Teatru Narodowego w Londynie i dlatego uważał, że kierowanie ruchem jest poniżej jego godności. Niemniej wykonywał swe obowiązki bez słowa skargi. W zasadzie nie musiał bezpośrednio kierować ruchem - dzięki Bogu i za to - chyba że w sytuacjach kryzysowych, kiedy przyjeżdżał ktoś z rodziny królewskiej albo jeśli jakiemś idiocie udało się spowodować wypadek. Patrolował ten rewir od dwudziestu dwóch lat i zapewne będzie go patrolować jeszcze przez przynajmniej dziesięć. Zawsze mógł złożyć podanie o przeniesienie, ale jego przełożeni niechętnie patrzyli na takie prośby. Miał czterdzieści trzy lata i czuł, że zaczyna się robić ciut za stary do takiej pracy.

Wieczorem w weekendy ruch był tu nawet większy niż w godzinach szczytu w normalny dzień pracy. Górą biegł most Waterloo przecinający Tamizę z północy na południe, a ilość pojazdów wybierających tę trasę nigdy nie ulegała zmniejszeniu. Najgorzej było w godzinach szczytu, tuż przed wieczornym przedstawieniem. Nawet dodatkowe pięć funtów opłaty „przeludnieniowej” nie zniechęcało kierowców do prób zaparkowania na niewielkim parkingu przy teatrze. Perkins zastanawiał się, dlaczego ludzie nie korzystają częściej z metra. Na pewno tak byłoby dużo prościej i spokojniej.

Stał zwykle na skrzyżowaniu Theatre Avenue i Upper Ground, ponieważ jedyne miejsce, gdzie autobusy mogły wysadzić pasażerów znajdowało się na Upper Ground, na tyłach teatru. Ten punkt wypadał dokładnie pod mostem Waterloo. Hałas samochodów na estakadzie był straszny, dlatego Perkins codziennie cierpiał na bóle głowy.

Było wpół do siódmej, a wieczorny ruch właśnie osiągał szczyty napięcia. Ze skrzyżowania Perkins mógł obserwować, jak rozdrażnieni kierowcy autobusów zatrzymują wozy i ruszają, zatrzymują i ruszają. Zwyczajni kierowcy i taksówkarze jadący Theatre Avenue mieli chyba jeszcze gorsze humory. Uważali pewnie, że świat powinien stanąć w miejscu, ponieważ oni chcą zobaczyć najnowszą inscenizację Szekspira.

Perkins całe życie mieszkał w Londynie, a nigdy nie wszedł do Teatru Narodowego w sprawach innych niż zgłoszenia kradzieży, przypadki zachorowań na widowni, albo agresywni widzowie. Nigdy w życiu nie zasiadł w fotelu żadnej z trzech scen, żeby obejrzeć sztukę. Nie zależało mu na tym. Nie obchodziła go ta „intelektualna” rozrywka. Ale kiedy poinformował o tym żonę, ta stwierdziła, że w czasach Szekspira jego sztuki uważano za rozrywkę dla niższej i średniej klasy. Perkins nie znalazł na to odpowiedzi.

Jego uwagę przyciągnął nagle dźwięk klaksonu dobiegający z gąszczy taksówek na Upper Ground. Zerknął w tamtym kierunku i zamarł na widok pojazdu, który poruszał się powoli ulicą, a w końcu

zatrzymał, na podwójnej czerwonej linii, wstrzymując cały ruch.

Była to duża ciężarówka z platformą, na której stały teatralne dekoracje. Trzej aktorzy odgrywali coś na niej dla przechodniów i ludzi w samochodach, próbujących rozpaczliwie ominąć ciężarówkę. Perkins w życiu nie widział czegoś podobnego, mimo tylu lat spędzonych na południowym brzegu Tamizy. Już pomijając wszystko inne, na tej ulicy obowiązywał zakaz wjazdu ciężarówek.

Wyszarpnął radio przywieszzone do paska i wywołał swego zastępcę, konstabla Blake'a, którego stanowisko znajdowało się po drugiej stronie teatru.

- Słucham?

- Blake, widziałeś tę ciężarówkę na Theatre Avenue?

- Jaką ciężarówkę?

- Na tyłach teatru stoi cholerna ciężarówka z aktorami. Odgrywają jakieś przedstawienie. Robi się tu straszny bałagan.

- Nic o tym nie wiem.

- Idź do kasy teatru i zapytaj, czy to ich ciężarówka.

- Tak jest.

Blake się wyłączył, a Perkins ruszył w kierunku kłopotliwego pojazdu, przygotowując się psychicznie do piekła, jakie zaraz wywoła. Musiał się jednak zatrzymać i przepilotować wokół ciężarówki kilka samochodów, a potem wrócić biegiem na skrzyżowanie, by rozładować korek taksówek, który utworzył się tam w niecałe dziesięć sekund. Krańcowo zirytowany zaczął w końcu kłąć i uderzył dłonią w dach jednej z taksówek, każąc kierowcy ruszyć z miejsca i przestać trąbić.

Blake wywołał go przez radio.

- Tu Perkins.

- Teatr nic nie wie o tej ciężarówce. To nie oni zorganizowali to przedstawienie.

- Dobra. Sprawa jest zatem jasna. Dzięki, Blake.

Schował radio na miejsce i wziął głęboki oddech. Był teraz wściekły i aż żal mu było tego biedaka, na którego naskoczy. Porzucił zamieszanie na skrzyżowaniu i ruszył prosto w stronę ciężarówki.

Aktorzy przebrani byli w średniowieczne kostiumy, a wygłaszanych przez nich kwestii i tak nie

było słycać w hałasie dobiegającym z mostu nad głowami. „O co im może chodzić?” - zastanawiał się Perkins.

Kierowca siedział w szoferce i dziwacznie kiwał się nad kierownicą. Był to chyba Arab - miał ciemną cerę i czarny zarost. Perkins podszedł do okna ciężarówki i zapukał w nie głośno.

- Słuchaj no! Musisz stąd odjechać! Nie wolno ci tu stać! -krzyknął.

Kierowca nawet na niego nie spojrzał. Dalej kiwał się w tył i w przód, mamrocząc coś pod nosem.

- Proszę pana! Proszę otworzyć okno! Mówię do pana!

Perkins ponownie zastukał w szybę, aż nagle dotarło do niego, co robi ten kierowca.

On się modlił.

Gdy tylko Perkins to zrozumiał, poczuł jak zamiera mu serce. Gwałtownie zaczerpnął powietrza i cofnął się od ciężarówki, ale było już za późno.

Eksplozja była tak silna, że unicestwiła ciężarówkę z trupą samobójczych „aktorów” i osiem samochodów na Theatre Avenue, a także zawałiła jedno z przęseł mostu Waterloo. Czternaście samochodów spadło z estakady, tworząc płonąca kupę złomu. Ściana teatru zwrócona w kierunku wybuchu została osmalona, a z kilku okien wyleciały szyby. Zginęły sześćdziesiąt dwie osoby, a prawie sto pięćdziesiąt było rannych.

Konstabl Perkins nigdy więcej nie musiał już kierować ruchem wokół Teatru Narodowego.

Wszystkie większe stacje telewizyjne w Wielkiej Brytanii informowały o tragedii, ale to BBC-2 zdobyło wyłączność na wywiad ze specjalistą od tureckiego terroryzmu, który akurat przebywał w Londynie w interesach. Pewna bystra reporterka złapała Namika Basarana, kiedy ten pięćdziesięciodwuletni mężczyzna wychodził z „Ritza” z zamiarem udania się na Embankment w celu obejrzenia osobiście miejsca tragedii. Towarzyszył mu ochroniarz, barczysty mężczyzna w turbanie.

- Panie Basaran, czy może nam pan powiedzieć, w jakim celu odwiedza pan Londyn? - spytała reporterka.

Basaran, śniady mężczyzna o zwracającym uwagę stanie skóry na twarzy, mówił wprost do kamery.

- Jestem przewodniczącym tureckiej organizacji charytatywnej, noszącej nazwę Tirma. Przez cztery lata naszego istnienia udzielaliśmy pomocy ofiarom ataków terrorystycznych na całym świecie. Wielka Brytania nie jest tu wyjątkiem. Mam nadzieję, że już niedługo przeznaczymy kilka tysięcy funtów na pomoc ofiarom tej strasznej tragedii.

- Mówi się, że jest pan ekspertem od spraw związanych z terroryzmem. Może pan to rozwinąć?

Basaran potrząsnął głową.

- Nikt nie jest ekspertem w tych sprawach. To nonsens. Terroryzm jest zagadnieniem płynnym i zmienia się z dnia na dzień. Kiedyś polegał przede wszystkim na porywaniu samolotów i zmuszaniu pilota, aby wylądował we wskazanym przez porywaczy miejscu. Ta forma rozwinęła się w przetrzymywanie na pokładzie zakładników, aby zmusić w ten sposób dany rząd do podjęcia określonych działań. Obecnie mamy do czynienia z porywaczami, którzy zamierzają zginąć w porwanym samolocie wraz ze wszystkimi pasażerami. Terroryci stają się coraz bardziej zdesperowani i śmiali.

Na ekranie telewizorów pojawił się napis informujący, z kim przeprowadzany jest wywiad - „Namik Basaran, prezes i dyrektor naczelny Akdabar Enterprises, przewodniczący organizacji Tirma”.

- Czy to prawda, że swego czasu pan również padł ofiarą terrorystów?

Basaran lekko dotknął skóry na twarzy. Czyżby był to przeszczep?

- Jest to dla mnie bardzo bolesny temat i wolałbym nie mówić o tym w telewizji. Wystarczy chyba, jeśli powiem, że w moim życiu wydarzyła się tragedia i że poświęciłem wszystkie swe zyski

z firmy Akdabar Enterprises na rzecz organizacji Tirma. Przez wiele lat zajmowałem się zjawiskiem terroryzmu na Bliskim Wschodzie i w innych częściach świata, nawiązując cenne kontakty, które pomagają ludziom pragnącym wyplenić to straszne zjawisko.

- Czy podejrzewa pan, kto stoi za dzisiejszym zamachem?

Oczy Basarana rozbłyły.

- Za wcześnie by mieć pewność, ale nie byłbym zaskoczony, gdyby jutro rząd brytyjski dowiedział się, że do zamachu przyznały się Cienie - powiedział.

- Czy pana zdaniem Cienie to dziś najbardziej niebezpieczna organizacja terrorystyczna na świecie? Mówi się, że obecnie ich pozycja jest wyższa niż takich grup jak al-Kaida czy Hez-bollah.

- Obawiam się, że muszę potwierdzić te opinie. Cienie z każdym dniem stają się coraz potężniejsze. Jest to organizacja, z którą światowe rządy już wkrótce będą zmuszone poważnie się liczyć. To wszystko, spieszę się. Chcę na własne oczy zobaczyć miejsce zamachu, aby przygotować raport dla naszej rady ambasadorów w Turcji. Dziękuję. Farid, idziemy.

Ochroniarz wyprowadził Basarana z pola widzenia kamery, po czym obaj wsiedli na tylne siedzenie limuzyny. Reporterka zwróciła się teraz prosto do kamery.

- Mówił Namik Basaran, przewodniczący działającej w Turcji charytatywnej organizacji na rzecz uwalniania ofiar terroryzmu. Jeśli pan Basaran ma rację, po raz kolejny mamy do czynienia

z atakiem Cieni. Ta tajemnicza grupa terrorystyczna przyznała się do kilku ostatnich zamachów na Bliskim Wschodzie, w Azji i Europie, z których najpoważniejszym jest tragedia, jaka wydarzyła

się dwa tygodnie temu w Nicei we Francji. Mówiła Susan Harp dla BBC-2.

5.

Kiedy jestem w Marylandzie jeżdżę Jeepem Grand Cherokee z 2002 roku. To model terenowy, z napędem na cztery koła i silnikiem V8 o mocy 265 koni mechanicznych. Taki wóz jest stanowczo za duży do miasta, ale czasami lubię się przejechać po trudnym terenie. Ostatnio na zlecenie Wydziału Trzeciego śledziłem pewnego terrorystę ukrywającego się w Las Vegas. Pojechałem tam moim Cherokee i to dopiero było coś - kilka razy miałem okazję przejechać się z dużą prędkością po bezdrożach. Lubię podróże samochodem, a Jeep dobrze mi służy.

Wyjeżdżając z Towson słucham stacji NPR, która podaje informację o zamachu samobójczym w Londynie. Właśnie do niego doszło na południowym brzegu Tamizy, a wybuch zniszczył część mostu Waterloo. Nie wiadomo jeszcze ile osób zginęło lub zostało rannych, ale paskudnie to wygląda. Zastanawiam się, czy moje spotkanie z Lambertem ma coś wspólnego z tym zamachem.

Zazwyczaj spotykamy się w miejscach publicznych. Unikam waszyngtońskich siedzib agencji - gdyby ktoś mnie zobaczył, jak wchodzę do budynku ABN czy CIA od razu byłoby wiadomo, że pracuję dla rządu. Zmieniamy miejsca spotkań, ale zwykle są to centra handlowe. Podejrzewam, że Lambert robi to specjalnie, żeby mi dokuczyć. Ma zwichnięte poczucie humoru.

Dziś jadę do Waszyngtonu autostradą 1-95, po czym skręcam na zachód, kierując się na Silver Spring. Drogowskazy wskazują jak dojechać do centrum handlowego City Place Mall na Colesville Road. Parkuję Jeepa i wchodzę do środka. Część restauracyjna widoczna jest z daleka, a przy jednym ze stolików czeka już na mnie Lambert. Ubrany jest w koszulę z dzianiny z krótkim rękawem i golfem oraz w spodnie khaki - nigdy nie nosi munduru podczas naszych spotkań. Kupił sobie chyba mega zestaw Big Maca. Pozdrawiam go skinieniem głowy i podchodzę do jednego z fast-foodów by zamówić coś dla siebie. O tej porze, czyli wczesnym popołudniem, nie jestem jeszcze głodny, dlatego kupuję jedynie porcję pizzy. Jak to się dzieje, że we wszystkich centrach handlowych w Stanach są dokładnie takie same restauracje szybkiej obsługi? To jedna z nieodgadnionych tajemnic wszechświata.

Może i jestem nieco starszy od Lamberta, ale na pewno wyglądam młodziej. On przypomina mi aktora Danny Glovera. Kręcone włosy kompletnie mu posiwiały, a worki pod oczami wskazują na presję, pod jaką pracuje szef jednego z ważniejszych departamentów wywiadu rządu amerykańskiego. Lambert jest bystry i ambitny, a ja mam poważne podejrzenia, że w ogóle nie sypia. Wypija natomiast oceany kawy. Należy do facetów, którzy są zawsze zajęci i nigdy nie odpoczywają. Kiedy jest zdenerwowany, zabawnie przesuwając ręką po krótko ostrzyżonych włosach na czubku głowy.

Pułkownik Lambert pracuje w tym fachu od młodości. Wiem, że zlecono mu wiele zadań podczas wojny w Zatoce. Dziś ma doskonale powiązania w Waszyngtonie, choć odnoszę wrażenie, że raczej mu się tam nie ufa. Nigdy nie zdobył publicznego uznania, ale sądzę, że woli, aby tak zostało.

Wydział Trzeci to sekcja, której istnienia nikt nie ma prawa nawet podejrzewać. Jak wiadomo

ABN zajmuje się wywiadem kryptologicznym, a ponadto wdraża i koordynuje wyspecjalizowane projekty dotyczące ochrony systemu informacyjnego Stanów Zjednoczonych. Ponieważ działa na styku telekomunikacji i przetwarzania danych, wykorzystuje rzecz jasna wszystkie najnowsze nowinki techniki. Przez wiele dziesięcioleci skupiała się przede wszystkim na tak zwanym „biernym” kolekcjonowaniu danych, niejako przy okazji innych zadań. Wydział Pierwszy, poprzez sieć międzynarodowych agencji wywiadowczych i specjalistów od nasłuchu, rejestrował najrozmaitsze sygnały komunikacyjne i przysyłały je do Stanów, do analizy. Tego typu działalność miała bardzo istotne znaczenie w okresie zimnej wojny, ale kiedy rozpadł się Związek Sowiecki, a w technikach telekomunikacji poczyniono ogromny postęp, również dla ABN koniecznością stało się wykorzystywanie zaawansowanych technologii. Wówczas powołano Wydział Drugi, który skupił się wyłącznie na nowych trendach w technikach komunikacji. Niestety, ogromna ilość danych w połączeniu z coraz szybszym rozwojem technologii przesyłu i szyfrowania przerosły siły tego Wydziału. ABN przeżyła pierwsze w historii załamanie swego systemu. Wobec cyfryzacji transmisji i zaawansowanych technik szyfrowania bierne kolekcjonowanie danych przestało być efektywne. Odpowiedzią agencji było powołanie ściśle tajnej sekcji - Wydziału Trzeciego - której celem był powrót do bardziej, jakby to ująć, „klasycznych” metod szpiegostwa, tyle że wspieranego przez najnowsze technologie. W ten sposób planowano rozpocząć czynne, a nawet agresywne, kolekcjonowanie danych. Innymi słowy ABN postanowiła powrócić do starego dobrego świata agentów i szpiegów. Od tej pory to oni ryzykują życie, by zrobić zdjęcie, nagrać rozmowę, czy skopiować dane z dysku komputera. Agenci Wydziału Trzeciego nazywani są Kolekcjonerami, a ja zostałem zwerbowany jako pierwszy z nich.

Zadaniem Kolekcjonerów jest fizyczne przeniknięcie do najważniejszych i najpilniej strzeżonych obiektów wroga i zebranie danych za pomocą wszelkich dostępnych metod, a podstawową wytyczną działania - pozostanie w ukryciu. Wolno nam wykraczać poza granice określone przez międzynarodowe prawo, ale taka swoboda ma swoją cenę: rząd Stanów Zjednoczonych nigdy nie przyzna się do wiedzy o naszych operacjach, ani nie udzieli nam wsparcia.

Wydział Trzeci, podagencja działająca w ramach ABN, składa się z elitarnego zespołu strategów, hakerów i agentów terenowych. Reagujemy na wszelkie kryzysy w wojnie informacyjnej -wojnie ukrytej przed wzrokiem mediów i zwykłych zjadaczy chleba. Nie zobaczycie naszych batalii w CNN. Przynajmniej mam taką nadzieję. Jeśli je zobaczycie, będzie to oznaczać, że zawiedliśmy.

- Jak leci, Sam? - pyta Lambert, żując ze smakiem hamburgera.

- Nie mogę się skarżyć, pułkowniku - odpowiadam, siadając na przeciw niego przy plastikowym stole. Prosił mnie kiedyś, żebym zwracał się do niego per „Irv”, ale jakoś nie mogę się na to zdobyć. Jeśli o mnie chodzi, „pułkownik” brzmi wystarczająco familiarnie. Te nasze spotkania zawsze wydają mi się takie absurdalne. Oto dwaj na pozór nieszkodliwi faceci w średnim wieku spotykają się w restauracjach szybkiej obsługi w centrach handlowych, żeby porozmawiać o rzeczach, które mogą mieć bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych.

Lambert od razu przechodzi do sedna.

- Zamordowano kolejnego Kolekcjonera - mówi, patrząc mi w oczy.

Czekam, co powie dalej.

- Ofiarą jest Rick Benton. Stacjonował w Iraku, ale załatwili go w Brukseli.

- Słyszałem o nim, ale nigdy go nie spotkałem - stwierdzam.

- Oczywiście. Nie bez powodu izolujemy was od siebie.

- Wiemy co się stało? - pytam. Lambert kręci głową.

- Nadal czekamy na szczegóły. Zajmuje się tym belgijska policja, więc musimy zdobywać informacje kanałami dyplomatycznymi, a sam wiesz dobrze ile to trwa. Współpracujemy także z belgijskim wywiadem wojskowym i agencją bezpieczeństwa. Razem z Bentonem zginął ich pracownik.

- A co wiemy?

- Współpracownik Bentona w Brukseli, oficer wywiad o nazwisku Dirk Verbaken, właśnie przekazywał mu jakieś poufne informacje. W porze lunchu nieznani sprawcy zamordowali ich obu w pokoju hotelowym Bentona. Widać Benton i Verbaken postanowili spotkać się osobiście, ale ktoś się o tym dowiedział. Obu zastrzelono. Podejrzewamy, że zrobili to ci sami sprawcy, którzy zabili Dana Lee w Makau. Ta sama broń, ten sam kaliber i tak dalej.

- Myśli pan, że to Sklep?

- Na pewno. Nie przychodzi mi do głowy żadna inna organizacja, która choćby podejrzewała nasze istnienie. Sklep jest na tapecie od ponad roku i z całą pewnością wie, że ABN się nim interesuje. Ale czy są też świadomi istnienia Wydziału Trzeciego i jego zadań, pozostaje w sferze domysłów. Ja uważam, że o nas wiedzą. Bo jak inaczej zdołaliby wyśledzić aż dwóch Kolekcjonerów w ciągu zaledwie trzech miesięcy?

Wzruszam ramionami.

- Może dobrali się do naszych akt osobowych? Może też mają utalentowanych hakerów? - wyrażam przypuszczenie.

- Nasz firewall jest nie do przejścia - zapewnia Lambert. - Carly zna się na rzeczy. Wiedzielibyśmy, gdyby to był haker.

- A to naruszenie bezpieczeństwa dziewięć miesięcy temu?

Lambert kiwa głową.

- Myślałem o tym. To możliwe. Mało prawdopodobne, ale możliwe. Rozmawiałem na ten temat z Carly i jej zdaniem szansa, że ktoś się dostał do systemu jest jak jeden do trzystu.

- A w jakiej sprawie Benton spotkał się z tym Belgiem? Mówi pan, że jak on się nazywał?

- Verbaken. Ostatni raport, jaki dostałem od Bentona wskazuje, że badał powiązania Sklepu z „czymś w Belgii”. Powiedział, że jedzie do Brukseli spotkać się z tamtejszym pracownikiem wywiadu i że przyśle mi zaraz potem raport. Od miesiący próbował wyśledzić jeden z większych kanałów Sklepu, którym przerzucają broń z północy do Iraku. Jej odbiorcami są różni buntownicy i frakcje terrorystyczne, te, które atakują naszych sprzymierzeńców, nowy rząd Iraku i nas samych od momentu, kiedy prezydent ogłosił koniec wojny. Wiem, że Benton był bliski uzyskania wiarygodnych informacji o tych ludziach. - Lambert pociągnął duży łyk wody mineralnej. - Obawiam się, że zrobił się nieostrożny i to kosztowało go życie.

- Czy Belgia przekazała nam jakieś informacje o swoim człowieku? Nad czym pracował?

- Mamy pewną wskazówkę. W pokoju hotelowym Bentona znaleziono jego OPSAT-a. Został starannie zgnieciony, ale po zbadaniu urządzenia nasi eksperci zdołali odzyskać pewną ilość plików, których Benton nam nie przetransmitował. Było tam między innymi zdjęcie jednej strony akt przyniesionych przez Verbakena. Belgijski wywiad potwierdził, że są to brakujące dokumenty dotyczące działalności Gerarda Bulla.

- Gerarda Bulla? - Jestem zaskoczony. Od lat nie słyszałem tego nazwiska. Gerard Buli był kanadyjskim handlarzem i projektantem broni, który działał w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Przez krótki czas pracował dla naszego rządu, ale szybko doszło do nieporozumień. Odsiedział krótki wyrok za nielegalny handel bronią, a kiedy wyszedł na wolność, pracował przeważnie w Europie. W latach osiemdziesiątych miał bliskie związki z Saddamem Husseinem i wiele czasu poświęcił na projektowanie i konstruowanie zaawansowanej technicznie broni dla Iraku. Jego najślawniejszym „wynalazkiem” było, jak to określał, „superdziało”. Nazwał je „Babilon”. Miało olbrzymie rozmiary i niezwykle daleki zasięg. Przy zastosowaniu odpowiednich urządzeń wspomagających pocisk można było wystrzelić nawet w przestrzeń kosmiczną, bez konieczności użycia rakiety nośnej. Buli nie ukończył tego projektu, ale zbudował niewielkich rozmiarów prototyp nazywany „Małym Babilonem”. Został on rozebrany na części i zniszczony podczas Wojny w Zatoce. Bulla zamordowano w 1990 roku - dokładnie mówiąc, w Brukseli. Powszechnie uważa się, że za zamachem stał Mossad.

- Więc o co w tym chodzi? - pytam.

- Nie wiem - odpowiada Lambert. - Wywiad belgijski potwierdził, że Verbaken ostatnio uzupełnił te akta o nowe materiały, ponieważ sądził, że ktoś, uprzednio związany z Bullem, nadal pracuje dla terrorystów na Bliskim Wschodzie. Niestety nie zakończył swego śledztwa i nie przekazał do archiwum szczegółowego raportu. Umarł nie zostawiając nikomu klucza do tego, nad czym pracował. Zapewne wszystko było w aktach. Tych, które zaginęły.

- Prócz tej jednej strony odzyskanej z OPSAT-u?

- Właśnie.

- Czy to zabójcy zabrali akta?

- Tak uważamy. Zastanawiam się, czy chodziło im o nie, czy też ich celem był Verbaken lub Benton, a akta zabrali tylko przy okazji.

- A może chodziło im i o nich obu i o akta? - wysuwam przypuszczenie.

- Niewykluczone.

Na chwilę milkniemy, oceniając prawdopodobieństwo takiego przebiegu wypadków. Kończę pizzę i pytam:

- Słyszał pan o Londynie?

Lambert ponuro kiwa głową.

- O tym też chcę z tobą porozmawiać. Jak się zapewne domyślasz, bardzo nas to niepokoi.

- Informacje w radio były bardzo niejasne. Co się wydarzyło?

- Byłem już w samochodzie, kiedy się dowiedziałem – wyjaśnia Lambert. - Natychmiast połączyłem się z Pentagonem, a oni w ciągu tych kilku minut zdołali tylko ustalić, że zamachu dokonali samobójcy przebrani chyba za aktorów. Wybuch miał miejsce koło Teatru Narodowego. W powietrze wyleciała wielka ciężarówka napakowana materiałami wybuchowymi. Zawaliła się część mostu Waterloo. Straszne tam teraz zamieszanie.

- Czy ktoś się przyznał do zamachu?

- Jeszcze nie. Ale sposób jego przeprowadzenia wskazuje na Cienie, nie sądzisz?

Cienie. Banda indywiduów, która ostatnimi czasy nieustannie przyciąga uwagę mediów. Całkiem nowa organizacja terrorystyczna obejmująca swym działaniem cały świat, której baza znajduje się najprawdopodobniej gdzieś na Bliskim Wschodzie. Nie pamiętam, kto wymyślił tę nazwę, ale na pewno nie oni sami. Chyba któraś z gazet wychodzących w tym regionie - może turecka - napisała, że działają jak cienie i tak już zostało. Od tamtej pory wszystkie oświadczenia grupa podpisuje tym słowem. Chyba im to pochlebiło.

Wydział Trzeci próbuje zdobyć dane na ich temat, ale ponieważ istnieją od niedawna, jest to dość

trudne. Nikt nie wie, czy reprezentują jakiś konkretny kraj - pod tym względem przypominają al-Kaidę i inne niezależne ugrupowania terrorystyczne. Zapewne mają gdzieś bogatego wujka, który płaci rachunki. W ciągu ostatniego roku przyznali się do wielu zamachów bombowych, w tym do tego naprawdę krwawego w Nicei, we Francji zaledwie dwa tygodnie temu. Zawsze działają tak samo - w jakimś miejscu publicznym zatrzymuje się ciężarówka, po czym następuje wybuch. Niech ich szlag trafi. Co za potwór robi takie rzeczy?

- Chyba jeszcze nieco za wcześnie, nie sądzi pan? - pytam. - Na to, żeby się przyznali do zamachu.

- Racja. Pewnie zrobią to jutro. Ale założę się dziesięć do jednego, że to oni.

Kiwam głową.

- Zapewne ma pan rację.

- Interesujące jest natomiast to, że obie sprawy się łączą. -Jak?

- Ta strona z akt Gerarda Bulla - ta skopiowana... -Tak?

- Tam również wymienia się Cienie. -O?

- Tekst sugeruje, że to obecnie największy klient Sklepu i zapewne grupa stojąca za tym, czego Benton szukał w Belgii.

Odchylam się na oparcie krzesła.

- Jeśli udałoby się nam powiązać te dwie grupy... I zidentyfikować ich głównych graczy...

Lambert uśmiecha się.

- Szybko łapiesz o co chodzi.

- A więc chce pan, żebym pojechał do Belgii?

- Nie. Chcę, żebyś pojechał do Iraku.

Irak. Niech to szlag.

- Chcę, żebyś podjął tam ślad Bentona - ciągnie Lambert. - Odkryj nad czym pracował. Na pewno miał jakieś podejrzenia i jest pewne, że zginął ponieważ mógł nam przekazać, o co chodziło. Zostaniesz przetrzucony do Bagdadu. - Lambert sięga do teczki i wyciąga szarą kopertę. Przesuwa ją po blacie stołu w moim kierunku.

- Tu jest wszystko, co musisz wiedzieć. Bądź gotów do wyjazdu z transportem wojskowym dziś o dwudziestej drugiej z Dulles. Powinieneś zdążyć wrócić do domu, przygotować się i dojechać na

lotnisko na dwudziestą pierwszą.

Tak, zdążę, choć będę się musiał spieszyć.

Kiwam głową i stukam palcami w kopertę, nie otwierając jej. To może poczekać, aż dojadę do Towson.

- Zgoda - mówię. I tak nie mam innych planów.

6.

Nigdy nie zabieram na misję wielu rzeczy. Istotną część mojego kombinezonu stanowi płaski, zrobiony na zamówienie, zaskakująco pojemny plecak. Mogę do niego spakować dwie czy trzy zmiany ubrania oraz gadzety Wydziału Trzeciego, które zawsze powinny znajdować się pod ręką. Mam tam apteczkę wyposażoną w środki odkażające i przeciwbólowe, bandaże i gotowe zastrzyki z atropiny pozwalające przetrwać skutki ataku chemicznego oraz kilka flar - chemicznych i ratunkowych - które często przydają się w akcji. Chemiczne flary zapala się zgniatając ich wewnętrzny zbiorniczek. Można za ich pomocą zwabić wroga, albo odwrócić jego uwagę. Flary ratunkowe to zwykle flary drogowe wydzielające ciepło - można nimi na przykład zmylić czujniki ciepła, w jakie wyposaża się wszelkiego rodzaju termolokatory. Trzymam też pod ręką kilka standardowych granatów odłamkowych M67. Te ważące czterysta gramów maleństwa składają się ze stalowego kulistego płaszczka o średnicy sześciu centymetrów otaczającego prawie dwieście gram materiału wybuchowego. Kiedy wybuchają, lepiej nie znajdować się w polu ich rażenia. Rozpryskujące się z ogromną prędkością odłamki potrafią dosłownie pokroić człowieka na kawałki. Poza granatami zwykle zabieram przynajmniej jedną minę ścienną. Jest to ładunek wybuchowy, który można przyczepić do niemal każdej powierzchni, detonowany przez czujnik ruchu. Potrafię również improwizować - odkryłem na przykład, że jestem całkiem niezły w rozbrajaniu min wroga, które, jeśli zachodzi taka potrzeba, dodaję potem do swego wyposażenia.

Inne niezbędne akcesoria to podstawowy zestaw wytrychów, kluczy i sond do otwierania prostych zamków. Te trudniejsze, na przykład zamki sejfów, otwieram za pomocą jednorazowych wytrychów termicznych. Zawierają mikroładunki, których wybuch niszczy bolce zamka, a choć moc można dopasować do potrzeb, poważną wadą jest to, że czasami okazują się jednak za głośne. Mam również zmyślny zakłócaacz kamer nadzoru, który emituje impulsy mikrofalowe. On też ma wadę - zasila go kondensator, który trzeba po każdym użyciu ładować. Poza tym na wyposażeniu znajduje się światłowód - przypomina to coś, co lekarze wpychają w kiszki stolcową pacjenta podczas kolonoskopii. Jest bardzo giętki i można go wsunąć pod drzwi, albo przez dziurkę od klucza, i obejrzeć, co znajduje się po drugiej stronie. Można go nawet ustawić na nocny tryb pracy.

Standardową bronią Kolekcjonerów jest pistolet Five-seveN w wersji taktycznej z kurkowym mechanizmem spustowym oraz wbudowanym tłumikiem dźwięku i rozbłysku. Magazynek mieści dwadzieścia naboju. Już wam opowiadałem trochę o tej broni, ale chyba nie wspomniałem, że jest wyposażona w laserowy mikrofon, który rejestruje drgania rozmaitych powierzchni, szczególnie szklanych szyb. Można go wycelować w różne obiekty i regulować zasięg, jak w kamerze. Doskonale sprawuje się jako narzędzie podsłuchu, ale mogę z niego bezpiecznie korzystać tylko wtedy, gdy jestem dobrze ukryty. To draństwo, kiedy jest włączone, daje emisję w podczerwieni.

Mój kombinezon, który też już opisałem, po złożeniu zajmuje niewiele miejsca i mieści się w specjalnej kieszeni plecaka. Prawdziwym skarbem są gogle. Mają dwa tryby pracy: noktowizji i termowizji. Tryb noktowizji wykorzystuje rzecz jasna promieniowanie podczerwone z samego dołu skali, odbite od różnych obiektów. Dzięki niemu doskonale można działać w ciemności - wadą jest grube ziarno obrazu, przez co trudno rozróżnić szczegóły. Tryb termowizyjny również doskonale

sprawuje się w ciemności, gdyż wychwytuje górne rejestry podczerwieni, czyli raczej ciepło, niż odbicie światła. Pozwala mi to dostrzec ciepło ludzkiego ciała nawet przez dym czy gaz. Termowizja umożliwia jeszcze jedną, wyjątkowo użyteczną rzecz: jeśli z jej pomocą obejrzę klawiaturę komputera, na której przed chwilą ktoś pisał, na klawiszach, których dotykał, widać słabe oznaki ciepła. Bez termowizji nie może się obyć żaden dobrze wyposażony szpieg. Specjalny tryb fluorescencyjny pozwala rozróżniać odciski palców, plamy i wzburzenia kurzu, zwykle niewidoczne gołym okiem. Pożyteczna rzecz, na przykład kiedy się szuka ukrytych pomieszczeń.

Moją ulubioną bronią jest znajdujący się na standardowym wyposażeniu Kolekcjonerów modułowy karabinek szturmowy SC-20K. Oczywiście nie mogę z nim podróżować. Na miejsce dostarcza go zwykle ABN - wraz z przygotowanym przeze mnie plecakiem - i zostawia tam, skąd mogę go łatwo odebrać. W kraju, w którym nie ma amerykańskiej ambasady czasami trzeba się dobrze przy tym nagimnastykować. SC-20K wygląda jak nieco przykrótka wersja Steyra, ale ma znacznie większe możliwości. Dzięki układowi konstrukcyjnemu Bull-pup jest bardzo lekki i zwarty, nie tracąc przy tym nic z siły ognia (strzela nabojami 5.56x45 mm ssl09, trzydzieści w magazynku, w trybie półautomatycznym lub automatycznym). Posiada tłumik dźwięku i rozbłysku, jest też zintegrowany z niewielką, wielofunkcyjną wyrzutnią, co czyni go bronią idealną w polu. Strzały z dużej odległości możliwe są dzięki zastosowaniu celownika optycznego. Pod lufą znajduje się wyrzutnia, która pozwala na wystrzelenie najprzeróżniejszych rzeczy, na przykład pocisków ogłuszających w kształcie pierścienia które obezwładniają wroga zamiast go zabić. Celny strzał w głowę znokautuje nawet najsilniejszego mężczyznę, zaś jeśli trafię w tułów, przeciwnik zostanie co najmniej unieruchomiony. Z jej pomocą mogę też wystrzelić kamerę przylepną - przywiera ona do powierzchni, na które nie mogę się wspiąć. Takie miniaturowe kamery, wyposażone w tryb noktowizji i termowizji przekazują bezpośrednio do OPSAT-u zarówno obraz panoramiczny, jak i zbliżenia. Inną wersją kamer przylepnych są kamery dywersyjne w których całą optykę zastąpiono głośnikiem oraz pojemnikiem z gazem obezwładniającym. Mogę zdalnie odpalić taką „kamerę” z panelu OPSAT-u. Najpierw przyciągam uwagę wroga emitowaniem rozmaitych dźwięków, a następnie obezwładniam go gazem. Podobnie do tych kamer działają przylepne paralizatory, pokryte lepką żywicą urządzenia rażące prądem o wysokim napięciu. Przylepiają się one do ubrania wroga i obezwładniają go wyładowaniem elektrycznym. Poręczne mogą się też okazać granaty dymne, wyposażone w pojemniki z gazem CS, który potrafi powalić całą grupę przeciwników. Lubię mmi rzucać jak kulami do kręgli, starając się w kogoś trafić. Mam również podobne granaty bez gazu paralizującego, które wydzielają czarny dym, doskonale ukrywający moje ruchy.

Na koniec muszę jeszcze aktywować wszczepione pod skórę implanty. Jest to nadajnik i odbiornik, które Wydział Trzeci umieścił (odpowiednio do swoje funkcji) na mojej szyi, tuż przy strunach głosowych, oraz w uchu wewnętrznym. Kiedy odbiornik jest aktywny, dzięki przekazowi satelitarnemu mogę słyszeć, co Lambert ma do powiedzenia i mieć pewność, że tylko ja odbieram jego głos. Oczywiście implanty najlepiej działają na odkrytym terenie, ale nieźle sprawują się też w budynkach. Natomiast jeśli zejdem pod ziemię są gówno warte. Na tej samej zasadzie co odbiornik działa też mój nadajnik, wyposażony w funkcję NiM - Naciśnij i Mów. Mój głos jest przetwarzany na strumień danych i przesyłany do Wydziału Trzeciego, gdzie zostaje odczytany przez syntezytor mowy. Muszę tylko nacisnąć lekko okolice jabłka Adama i mówić szeptem, a wszystko co powiem, zostanie

przekazane do syntezy. W ten sposób mogę się kontaktować z Wydziałem Trzecim praktycznie zawsze i wszędzie. Fajnie. Tyle że sygnał łatwo namierzyć, dlatego mamy z Lambertem niepisany układ, że z implantów korzystamy jedynie w ostateczności, a normalnie komunikujemy się za pomocą wiadomości tekstowych OPSAT-u.

Kiedy już jestem spakowany, ustanawiam na koncie stałe zlecenia - rachunki będą w ten sposób regularnie opłacane pod moją nieobecność. Sprawdzam, czy na specjalnych kontach, z których mogę korzystać na całym świecie, mam dość pieniędzy. Dzwonię również do studia Krav Magi i nagrywam wiadomość na automatycznej sekretarce Katii. Wyjaśniam, że zostałem nagle wysłany za granicę. Pewnie uzna mnie za palanta. Trudno.

Zostawiam Jeepa w domu. Lambert przyśle samochód, który zawiezie mnie do Dulles. Źle bym się czuł wiedząc, że mój ukochany Grand Cherokee tkwi na jakimś długoterminowym parkingu na lotnisku, niewykluczone, że przez kilka miesięcy. Niewiele zostaje mi już do załatwienia, kiedy dzwoni telefon.

- Tato? - to słodki głosik mojej już nie takiej małej córeczki.

- Cześć Saro, cieszę się, że dzwonicz - mówię. Naprawdę się cieszę z jej telefonu, więc staram się zapanować nad uczuciami, jakie wzbudza we mnie jej podróż do Izraela. Nasza ostatnia rozmowa nie była zbyt przyjemna. - Jesteś już na miejscu?

- Aha. Jest środek nocy, ale nie możemy spać. Obie z Rywką żyjemy jeszcze w strefie czasowej Chicago.

- Jak lot?

- Długi. Dobrze, że Rywka ze mną była, bo zanudziłabym się na śmierć. Słuchaj, tato...

-Tak?

- Przepraszam za to nieporozumienie. Wiedziałaś przecież, że jadę.

Nieporozumienie? Moim zdaniem nie było żadnego nieporozumienia. Nie posłuchała mnie, a teraz za późno na żal.

- Ja też cię przepraszam, kochanie.

- Widziałyśmy dziś cudowny zachód słońca, cały w odcieniach czerwieni i pomarańczy. Z dachu domu Rywki wyglądał zupełnie jak na filmie. Tu jest przepięknie.

- Jej rodzice są z wami?

- Aha. Bardzo mili ludzie.

- To świetnie. Słuchaj, kotku, ja też muszę dziś wyjechać z kraju. Wiesz, praca.

- Znowu? Przecież dopiero co wróciłeś? Wzdycham.

- Tak. Ale sama wiesz, jak to jest.

W jej głosie pobrzmiewa dawne rozgoryczenie.

- Nie, nie wiem, jak to jest. Nigdy mi nic nie mówisz o swojej pracy. Gdzie jedziesz tym razem?

- Na., na Bliski Wschód, tak jak ty. Ale bez obaw, będę daleko.

Słyszę jak Sara rozmawia z kimś, zatykając mikrofon słuchawki. Dobiega mnie męski śmiech.

- Kto tam jest z tobą? - pytam.

- Co? Och, to tylko Rywka.

- Słyszałem chyba mężczyznę.

- A! To Noel, jej chłopak. Przyszli do nas z Elim, skoro i tak nie możemy spać. Zabawiają nas. Pamiętasz, opowiadałam ci o Elim?

- To ten student konserwatorium, z którym chodziłaś? - pytam.

- Tak. Wrócił do Izraela w tym semestrze, tak samo jak Noel, który kiedyś chodził z Rywką. Pamiętasz, tak się poznaliśmy.

Chodzi mi po głowie, że coś słyszałem na ten temat. Na drugim roku studiów chodziła z chłopakiem z Izraela. Rywka zna masę takich ludzi.

- Jak EU ma na nazwisko, kotku? - pytam.

- Horowitz. Eli Horowitz. Mówi, że chciałby cię kiedyś poznać.

Znowu słyszę w tle męski śmiech. Sara też chichocze.

- No dobrze, chętnie się z nim zobaczę - odpowiadam. Staram się, żeby to nie zabrzmiało zniechęcająco. - A czemu w tym roku nie studiuje?

- Och, nie przedłużyli mu wizy studenckiej - wyjaśnia Sara. -I Noelowi tak samo. Jakieś głupie kwestie formalne.

Nie wiem dlaczego, ale nagle w moim mózgu rozlega się sygnał alarmowy. Ale może z powodu zaostrzonych rygorów bezpieczeństwa po 11 września traktuje się inaczej zagranicznych studentów w

Stanach? Departament imigracyjny zaczął widać staranniej przyglądać się wizom studenckim.

- Słuchaj, a ile on jest od ciebie starszy? - pytam.

- Tato, proszę. Jakies dwa lata. Nie, trzy. - Wydaje się rozdrażniona.

- Jego rodzice też mieszkają w Jerozolimie?

- O co ci właściwie chodzi? Po co to przesłuchanie?

- To żadne przesłuchanie, kotku - mówię, starając się usunąć z głosu irytację. - Chcę tylko wiedzieć z kim się spotykasz w obcym kraju, to wszystko. A w Izraelu czasami bywa niebezpiecznie, więc ostrożności nigdy dość. W końcu jestem twoim ojcem.

- Jestem już dorosła.

- Ale nie pełnoletnia.

- Rzeczywiście. Brakuje mi siedmiu miesięcy - odpowiada sarkastycznie.

Omam nie wymyka mi się uwaga, że to prawie rok, ale udaje mi się powstrzymać. Nie chcę się wdawać w kolejną bitwę z serii „nastolatki kontra rodzice”. Przeszedłem to z Sarą ciężko, kiedy była w liceum.

- Chcę tylko powiedzieć, że powinnaś dowiedzieć się czegoś więcej o nim i jego rodzinie, nim się poważnie zaangażujesz, to wszystko - tłumaczę. Sam wiem, że brzmi to strasznie kulawo.

- Tato, proszę. Chodziliśmy ze sobą przez trzy miesiące w zeszłym roku, ale pewnie i tak nie pamiętasz. Znam go już dość dobrze.

- Dobra, dobra. Już przestaję się zachowywać jak ojciec. Masz dość pieniędzy?

- Tak. Dzięki.

- I pamiętasz, pod jakim numerem możesz mnie zawsze złapać?

- Znam go na pamięć - odpowiada. Jest to specjalny, bezpłatny numer, na który może dzwonić z całego świata, gdy jestem na misji. Łączy się wtedy z Wydziałem Trzecim, skąd na mój OPSAT przekazywana jest wiadomość tekstowa, bez względu na to, gdzie jestem. Ten numer znamy tylko my dwoje. Dawno temu nauczyłem ją, jak się nim posługiwać i zastrzegłem, że dotyczy tylko nagłych wypadków. Wszystkie sprawy codzienne mogą poczekać do mojego powrotu do Marylandu.

- Kiedy wracacie do Chicago? - pytam.

- W sobotę. Akurat jak przystosuję się do tej strefy czasowej.

- Taaa. Zawsze tak jest.

- Tato, muszę kończyć. Miło było z tobą porozmawiać.

- Saro, kotku, tylko bądź ostrożna.

- Będę. Ty też, czymkolwiek się zajmiesz - znów ten sarkastyczny ton w jej głosie. Nie podoba jej się, że nic nie wie o mojej pracy. Nawet powiedziała mi to kilka razy wprost.

- OK. Baw się dobrze. Kocham cię.

- Też cię kocham. Pa, pa. Rozłącza się.

Zaczynam się zastanawiać, czy niepokój, jaki wzbudza we mnie jej chłopak, to po prostu normalna reakcja ojca, gdy jego dwudziestoletnia córka wiąże się ze starszym od siebie facetem, czy też tkwi w tym coś innego. Założę się, że nie mam się czym martwić. Eli Horowitz mieszka pewnie z rodzicami. Zapewne są bogaci, skoro stać ich na wysłanie go na studia do Ameryki. Ciekawe, o co tak naprawdę chodziło z jego wizą? Może powinienem to sprawdzić?

Dochodzę do wniosku, że teraz niewiele zdołam zrobić w tej sprawie. Muszę się skupić na misji i zapoznać z dokumentami, które dostałem dziś od Lamberta. Dowiem się z nich, z kim mam się kontaktować w Iraku, skąd mam wziąć środek transportu oraz gdzie czekać będzie na mnie SC-20K, plecak i reszta potrzebnego sprzętu. Na bank tym razem wszystko dostarczy mi wojsko. Poinformowano o mnie pewnie kogoś wysoko postawionego w tamtejszym łańcuchu dowodzenia.

Kiedy kończę przygotowania do podróży, rzucam okiem na zdjęcie mojej córki, stojące na nocnym stoliku w sypialni. Czuję nagłą potrzebę przytulenia jej i pocałowania. Dotykam lekko palcem wskazującym ust, a potem zdjęcia.

Na razie musi mi to wystarczyć.

7.

Mezopotamia. Tak się kiedyś nazywał Irak - obecna nazwa pochodzi chyba z siódmego wieku naszej ery. W Mezopotamii znajdował się Babilon i jego legendarne Wiszące Ogrody, uznawane za jeden z siedmiu cudów świata. To tu zbudowano niegdyś legendarną wieżę Babel, a biblijny Rajski Ogród leżał zapewne w okolicach Ournah. W połowie siódmego wieku dotarł w te okolice islam i Mezopotamia stała się kulturalnym centrum arabskiego świata. Wielu uczonych uważa, że to na tych terenach wynaleziono pismo. W Iraku powstały Baśnie Tysiąca i Jednej Nocy. Niegdyś nad miastami dominowały wielkie meczety i pałace, zbudowane przez mocarnych władców, którzy pragnęli nadać namacalne formy bogactwu swego kraju. Arabskie Noce, latające dywany, sułtani...

Brzmi to wszystko bardzo pięknie i egzotycznie, nieprawdaż? Wielka szkoda, że obecnie nie patrzymy już w ten sposób na Irak. Teraz uważamy go za bardzo niestabilny i niebezpieczny kraj - rozdarły wojną, trudny do zrozumienia i nieprzyjazny. Nie zamierzam się wdawać w spekulacje na temat tego, czy powinniśmy zaatakować w 2003 roku. Bez wątplenia Saddam Hussein stanowił zagrożenie, a jego rządy były okrutne i bezlitosne. Ale czy Irakijczykom wiedzie się teraz lepiej? Kto to, kurwa, może wiedzieć?

Dziś trudno uwierzyć, że Bliski Wschód, a szczególnie Irak, były niegdyś „kolebką cywilizacji”, jak twierdzą historycy. Moja praca wymaga bym wiele wiedział o Bliskim Wschodzie, dlatego czytałem niejedno o Iraku i innych krajach w tym regionie. Co nie oznacza, że je do końca rozumiem. Życie na Bliskim Wschodzie naprawdę bardzo się różni od życia w Stanach. To smutne, że ani nasz rząd, ani większość Amerykanów, nie chce zrozumieć, że Bliski Wschód nigdy nie będzie taki, jak Zachód. Moje zadanie nie polega jednak na pouczeniu polityków. Staram się być z polityką na bieżąco, ale się w nią nie wdawać. Wykonuję po prostu swoją pracę.

W dwudziestym wieku świat nawiedziło tyle katastrof. Przed pierwszą wojną światową Irak wchodził w skład Imperium Otomańskiego i podlegał Istambułowi. Po wojnie został przekształcony w brytyjskie terytorium mandatowe, a w 1932 roku przyjęto go oficjalnie do Ligi Narodów jako niepodległe państwo - pierwsze na Bliskim Wschodzie. Ale monarchia, jaką ustanowili tu Brytyjczycy, została obalona w 1958 roku przez nacjonalistycznych Wolnych Oficerów, a w 1963 roku rządy przejęła partia Baas. Choć wkrótce została odsunięta od władzy, doszła do niej ponownie w roku 1968. I tak się miały tutejsze sprawy, póki nie zainterweniowaliśmy po raz pierwszy w 1991 roku, a na poważnie dwanaście lat później. Przez te trzydzieści pięć lat Irak uwikłał się najpierw w wojnę z Iranem, następnie z Kuwejtem, siłami Narodów Zjednoczonych pod wodzą USA oraz z własnymi ludźmi w północnym, zamieszkałym przez Kurdów rejonie kraju.

Ach ten dwudziesty wiek. Co za czasy.

Wszystko to przemyka mi przez głowę, kiedy amerykański samolot transportowy ląduje w bazie 3 Armii pod Bagdadem. Mieliśmy jedno międzyładowanie, w Niemczech. Moja umiejętność

zasypiania wszędzie i o każdej porze sprawiła, że podróż minęła mi błyskawicznie. Obudziłem się na chwilę, w Niemczech, by rozprostować nogi i coś zjeść, po czym przespałem drugą połowę podróży. Zbudziłem się ponownie, gdy samolot lądował w Iraku.

W przerwie między drzemkami przypomiąłem sobie dokładnie wszystko, co wiem o sytuacji w tym kraju. Mimo powstania irackiego rządu, obecność Amerykanów jest tu nadal znaczna, gdyż Irakijczycy po prostu nie radzą sobie z utrzymaniem porządku. Narody Zjednoczone starają się pomóc w odbudowie kraju, ale zgadnijcie, kto wykonuje czarną robotę? Stare dobre Stany, oczywiście. Jednak tutaj nikt nie jest nam za to wdzięczny. Wybawiliśmy tych ludzi z rąk Husseina, a oni natychmiast wbili nam nóż w plecy. Zresztą sami wiecie.

Ataki terrorystyczne są tu prawdziwą plagą i w każdej chwili jakiś zamachowiec-samobójca może wjechać w twój samochód wyładowaną materiałami wybuchowymi ciężarówką. Celem są głównie urzędnicy państwowi i politycy, zdaniem terrorystów marionetki w rękach plugawego Szatana, czyli Ameryki. Terrorysty są wszędzie i nigdzie. Irak to duży kraj. Są tu miliony kryjówek. Pamiętajcie, jak trudno było znaleźć Husseina? Ukrywał się w dziurze wykopanej w ziemi. A w Iraku są miliony takich dziur.

Za ataki terrorystyczne wini się bliżej niesprecyzowanych „rebeliantów” i ruch antyamerykański. Jako głównego sprawcę niepokojów nadal wskazuje się al-Kaidę, ale również mniejsze ugrupowania terrorystyczne, które wyrastają tu jak grzyby po deszczu. Ostatnio największe kłopoty sprawiają Cienie. Jak al-Kaida, nie mają żadnych zahamowań, by publicznie chwalić się szczególnie krwawymi zamachami i są jeszcze bardziej medialni niż ona. Wysyłają kasety magnetofonowe, kasety wideo, listy, faksy i e-maile do różnych agencji informacyjnych, podpisując je „Cienie”. Oczywiście wiele z tych listów to głupie dowcipy, albo próby podszycia się pod kogoś innego, ale nasi ludzie każdy taki przekaz traktują śmiertelnie serio. Tak już musi być.

Choć baza wojskowa położona jest na przedmieściach Bagdadu, w oddali zauważam wiele dźwigów, bez wątplenia pracujących przy odbudowie wielkiego miasta. Wojna roku 2003 spowodowała wiele zniszczeń, podobnie jak Wojna w Zatoce z 1991 roku - wtedy również w gruzach legła znaczna część Bagdadu, w tym szkoły, mosty i szpitale. Odbudowa zajęła prawie całą następną dekadę, po czym znów powtórzyło się to samo. W swych dziejach Bagdad był tyle razy niszczony i odbudowywany, że cud iż jeszcze istnieje. Mimo wszystko jest to całkiem nowoczesne miasto, ma nawet takie obszary, które przypominają centra wielkich miast na Zachodzie. W większości dzielnic przeważa jednak architektura arabska, labirynty wąskich pasaży i dziedzińców. Przepiękne są tutejsze meczety, zdobione skomplikowanymi mozaikami z kolorowych kamieni. Ażurowe, wiszące nad głowami przechodniów balkony - zwane shenashil - które tak naprawdę są osobnymi pokojami, stanowią charakterystyczną cechę arabskich części miasta, podobnie jak pięknie dekorowane wejścia do domów. Można się łatwo zgubić wędrując po labiryncie uliczek w starych egzotycznych i pełnych uroku dzielnicach. Byłem już kiedyś w Bagdadzie, przed wojną, i pamiętam, że oczarowało mnie piękno tego miasta, ukryte za fasadą bólu, biedy i rozpacz. Podejrzewam, że dziś jest tu tak samo.

Wysiadam z samolotu i pokazuję przygotowane przez ABN papiery, z których wynika, że jestem detektywem z Interpolu, pracującym w Szwajcarii. Używam prawdziwego nazwiska. W Iraku taka

przykrywka znaczyć będzie dużo więcej, niż fakt bycia agentem ABN. Moim oficjalnym zadaniem jest zebranie danych do raportu, który Interpol zamierza opublikować na temat terroryzmu na Bliskim Wschodzie. Kiedy zostaję wpuszczony do bazy, jakiś sierżant prowadzi mnie do biura znajdującego się w tętniącym życiem centrum dowodzenia. W ogóle się nie odzywa, ale mierzy zaciekawionym spojrzeniem. Pewnie się zastanawia, kim jestem, skoro mam przepustkę z ABN. Pozostawia mnie w rękach mojego nowego łącznika, podpułkownika Dana Petlowa, który wita mnie bardzo rzeczowo. Kiedy zostajemy w biurze sami, wyjaśnia, że jest jedynym oficerem w Iraku, który wie o mojej misji. Okazuje się, że zna osobiście pułkownika Lamberta i od dawna współpracuje z Wydziałem Trzecim.

- Byłem również łącznikiem Ricka Bentona - wyjaśnia, nim mam okazję sam o to zapytać.

Jest mniej więcej w moim wieku. Pytam, jak długo służy w Iraku, na co odpowiada, że stracił już rachubę.

- Nie, no, żartuję - poprawia się zaraz. - Jestem tu od szesnastu miesięcy. Ten kraj potrafi zatruć człowiekowi życie.

Proponuje coś zimnego do picia i podaje mi szklankę. Siadamy pod elektrycznym wiatrakiem, ponieważ w budynku trwa właśnie naprawa klimatyzacji. Warunki na zewnątrz przypominają Phoenix w Arizonie w sierpniu, ale w biurze jest zaledwie jak w piecu.

- Niech mi pan opowie o Bentonie - zaczynam.

- Był kompetentny, ale nieco lekkomyślny - odpowiada Petlow. - Nie znałem go dobrze, spotkaliśmy się osobiście tylko dwa razy. Ale znał się na swojej robocie. Był ekspertem w sprawach Bliskiego Wschodu.

- Wie pan coś o jego ostatniej misji?

- O sprawie handlu bronią? Niewiele. Benton nie lubił się zwierzać. Twierdził, że pracuje nad wykryciem kanałów Sklepu prowadzących z północy do Iraku. Mówił, że broń dostarczana jest do Mosulu, co oznacza, że musi przechodzić albo przez Iran do Rawanduz i dalej do Mosulu, albo przez Turcję do Amadiyah. Obie te wioski znajdują się na terenach kontrolowanych przez KDP.

Mosul to największe miasto w północnym Iraku. Leży dosłownie rzut kamieniem od terenów kontrolowanych przez uznawany oficjalnie Regionalny Rząd Kurdystanu, gdzie utrzymują się silne niepokoje i napięcia pomiędzy różnymi ugrupowaniami Kurdów. Z kolei Rawanduz to wioska leżąca między Mosulem a granicą z Iranem, a Amadiyah - podobna wioska, leżąca na północ od Mosulu, w pobliżu granicy z Turcją. Na wszystko co dzieje się w północnym Iraku mają wpływ dwie główne kurdyjskie partie polityczne. Pierwszą z nich założył w 1946 roku kurdyjski bohater narodowy Mel Mustafa Barzani. Jest to Demokratyczna Partia Kurdystanu - w skrócie KDP - która ma związki kulturowe z Iranem. Druga partia, Unia Patriotyczna Kurdystanu - PUK - powstała w 1976 roku jako rywalka KDP. Istnieją również inne, mniejsze kurdyjskie ugrupowania polityczne, ale KDP i PUK mają największe wpływy. Teoretycznie dzielą się władzą w kurdyjskiej części Iraku, ale wpływy

KDP najwyraźniej przeważają. W ostatnich latach obie partie współpracowały ze sobą, choć niechętnie, w takich kwestiach, jak edukacja czy zdrowie publiczne. Ale raczej nie należy oczekiwać, że członkowie pierwszej zaproszą członków drugiej na obiad.

- A co pan przypuszcza? - pytam Petlowa.

- Wątpię w teorię turecką. Nie ma większego sensu. Przede wszystkim Turcja jest naszym sojusznikiem, a nielegalny handel bronią niepokoi ją równie mocno jak nas. Poza tym taki kanał przerzutowy byłby trudniejszy. Benton uważał, że broń pochodzi z jednej z byłych republik sowieckich, może z Azerbejdżanu. Żeby dostarczyć ją do Iraku przez Turcję, musieliby najpierw przewieźć ją przez Armenię. Prosta droga z Azerbejdżanu do Iraku prowadzi natomiast przez Iran.

- Więc pana zdaniem najpierw należałoby sprawdzić powiązania w Rawanduz? - pytam. Petlow wzrusza ramionami.

- To tylko przypuszczenie. Wcale nie znaczy, że mam rację.

Rozważam przez chwilę jego słowa.

- Południowo-wschodnia Turcja to również region kurdyjski. Może mamy do czynienia ze współpracą plemienną? Zresztą w tej części Turcji terroryści są bardzo aktywni.

- To prawda. Będę z panem szczery. Nie bardzo ma pan tam punkt zaczepienia. Bo co niby pan zrobi? Będzie pan chodził od domu do domu i pytał? Benton nie zostawił żadnych wskazówek?

- Nie, dlatego z początku będę musiał improwizować. Podejrzewam, że powinienem zacząć śledztwo w Mosulu. Poobserwuję te miejsca, gdzie znaleziono nielegalną broń. Faktycznie muszę złapać jakiś punkt zaczepienia, który wskaże mi kierunek poszukiwań.

- Życzę powodzenia. - Petlow wstaje i podnosi marynarski worek. - To przyszło w poczcie dyplomatycznej z Waszyngtonu - mówi, podając mi go. - Dla pana.

Jedyna broń, jaką miałem przy sobie podczas podróży samolotem to nóż bojowy piechoty morskiej. Ma on osiemnastocentymetrowe żłobione ostrze ze stali węglowej i dwunastocentymetrową skórzaną rękojeść. Wyjmuję go z pochwy i przecinam sznur, którym przewiązany jest worek. Karabinek i plecak są w środku, wraz z paczkami różnego typu amunicji.

- Przyda mi się - mruczę pod nosem.

Wówczas Petlow otwiera szufladę i podaje mi kluczyki.

- Na zewnątrz stoi Toyota Land Cruiser. Może pan jej używać dowolnie. Zrobiliśmy przegląd, jest w porządku. Choć trudno w to uwierzyć, importowane samochody doskonale sprzedają się w Iraku. Znam jednego dealera w Bagdadzie, który od początku wojny zdążył zostać milionerem.

- A jak z kontrolą na drogach? Mam się spodziewać punktów kontrolnych?

- Może się ich pan spodziewać zawsze i wszędzie. Na pewno znacznie opóźnią panu podróż. Ale jeśli odpowiednio się pan ubierze, nie powinno być kłopotów z miejscowymi. Ma pan tak smagłą cerę, że mógłby pan spokojnie uchodzić za Araba. Mówi pan po arabsku?

- Tak. - Prawdę mówiąc, znam siedem języków. Naprawdę. Tylko angielski idzie mi tak kulawo. Biorę kluczyki. - Dzięki.

- Jadł pan coś? Może chciałby pan....

Ale zaproszenie przerywa nagle głośny huk, jakby gromu, od którego trzęsie się cały budynek. Patrzymy na siebie i natychmiast dociera do nas, że na pewno nie był to piorun.

- O, w mordę - mruży Petlow. - Tym razem był wielki. - Biegnie do drzwi i wypada na zewnątrz. Ruszam za nim i przyłączam się do tłumu żołnierzy, którzy wybiegają z baraków.

W powietrzu unosi się kurz i dym, a na miejsce z rykiem syren nadjeżdżają służby ratunkowe. Zewsząd padają rozkazy, ale zamieszanie trwa jeszcze przez chwilę. Jednak w końcu dym zaczyna się rozwiewać. Nad ogrodzeniem oddzielającym bazę od świata zewnętrznego widzę płomienie. Część płotu zniknęła, a w jego miejscu widać masę czarnego, dopalającego się metalu.

Staram się zejść żołnierzom z drogi i obserwuję jak kontrolę przejmują odpowiednie służby. Wszyscy najwyraźniej przywykli do takich sytuacji. Piętnaście minut później podpułkownik Petlow zauważa mnie i zabiera do środka.

- Furgonetka z pralni - wyjaśnia. - Oczywiście zamachowiec-samobójca. Świadkowie twierdzą, że pruł z ogromną prędkością prosto na punkt kontrolny. Jeden z wartowników otworzył ogień, żeby go zatrzymać, ale było już za późno. Cholera, w wybuchu zginęło dwóch naszych ludzi i szlag trafił duży kawał ogrodzenia.

To już trzeci wybuch w tym tygodniu.

Wyrażam współczucie i pocieszam go przypomnieniem, że nie zginął nikt więcej.

- Wie pan co? Oni zaopatrują się na bieżąco w materiały wybuchowe - warczy Petlow. - Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Nie mogli zgromadzić aż takich zapasów. Niech pan przerwie tę sieć. Będę tu, na wypadek gdyby pan czegoś potrzebował, więc proszę śmiało dzwonić. Ma pan mój numer?

Uśmiecham się do niego niewesoło. Podajemy sobie ręce, po czym on wraca do płonącego wraku.

8.

Sara Burns świetnie się bawiła w Jerozolimie. Trzeciego dnia pobytu obie z Rywką postanowiły zerwać z tradycją podwójnych randek i wyjść na miasto osobno ze swymi chłopakami. Rywka i Noel poszli do kina, ale Sara i Eh woleli romantyczny spacer po Starym Mieście, z perspektywą kolacji gdzieś w Nowym Mieście.

Sara została wychowana na sposób świecki, stąd żadna religia nie była jej bliska. Należała do tych naiwnych, ale pełnych dobrych chęci ludzi, których zawsze zdumiewa brak porozumienia między różnymi wyznaniem i rasami. Właśnie ta niewinność serca czyniła ją atrakcyjną, a ona doskonale o tym wiedziała. Często wykorzystywała tę cechę, pozując na czarującą i bardzo amerykańską dziewczynę z sąsiedztwa. Na studiach radziła sobie świetnie i przywykła do roli prymuski, co wcale nie oznaczało, że była szczególnie zaradna. Przed prawdziwym światem chroniła ją najpierw matka, a później ojciec, dlatego, w sposób nieunikniony stała się łatwowierna - choć nie sądziła, że właśnie ta cecha charakteru wpędzi ją pewnego dnia w kłopoty.

Kiedy tak szła u boku Eliego, mężczyzny, którego kochała, jej myśli były jak najdalsze od kwestii terroryzmu, zamachowców-samobójców, konfliktu arabsko-żydowskiego, czy procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie. Tego wieczoru zajmowało ją tylko jedno - czy wspólna wyprawa zakończy się w łóżku.

Eliego poznała na drugim roku studiów, w bibliotece uniwersytetu. Rywka Cohen należała do klubu zrzeszającego młodzież żydowską, który działał w kampusie i załatwiła sobie pomoc w nauce ze strony chłopaka, którym była zainteresowana - Noela Brooksa. Pewnego razu zaproponowała Sarze udział w takiej naukowej sesji, ponieważ Noel zamierzał przyprowadzić kolegę. Sara również musiała się pouczyć do egzaminu, dlatego pomyślała sobie - czemu nie? Usiadły z Rywką przy stole w bibliotece, a wkrótce zjawił się Noel z przyjacielem i zajęli miejsca na przeciwko. Przedstawili się. Towarzysz Noela nazywał się Eli Horowitz i zdaniem Sary, był najpiękniejszym facetem na świecie: miał ciemne, kręcone włosy, brązowe oczy oraz krótko przyciętą brodę i wąsy, a poza tym był wysoki i dobrze zbudowany. Gdyby nie broda, wyglądałby wypisz wymaluj jak Dawid Michała Anioła. Próbowwała się uczyć, ale obecność młodego człowieka bardzo ją rozpraszała.

Eli, podobnie jak Noel, był studentem z Izraela. Pasjonował się muzyką i chciał zostać dyrygentem. Nie specjalizował się w jakimś konkretnym instrumencie, ale twierdził że potrafi grać na kilku, choć „niezbyt dobrze”. Po nauce dziewczęta pożegnały się i każdy poszedł w swoją stronę. A wieczorem Eli zadzwonił do Sary, żeby się z nią umówić. Chodzili ze sobą przez trzy miesiące. Eli i Noel wynajmowali mieszkanie poza kampusem, a Sara wkrótce zaczęła tam często zostawać na noc. Na drugim roku nadal musiała mieszkać w akademiku, ale przepisy dopuszczały „pozostanie na noc u przyjaciółki”. W końcu doszło do tego, że rzadko kiedy nocowała u siebie. A potem nagle obaj, Noel i Eli, znikli. Rywka i Sara na próżno usiłowały ustalić co się stało. Początkowo były wściekłe, ponieważ doszły do wniosku, że zostały porzucone bez pożegnania, ale mniej więcej miesiąc później każda z nich dostała list. Młodzi ludzie wyjaśniali, że zostali nagle wydaleny ze Stanów. Ich wizy wygasły kilka miesięcy wcześniej. Wobec zaostrożenia środków bezpieczeństwa w stosunku do

studentów z zagranicy, nie mieli innego wyjścia, jak wyjechać.

Sara utrzymywała kontakt mailowy z Elim, kiedy już się urządził w Izraelu. Często nie odpowiadał na listy, co ją denerwowało, ale tłumaczyła sobie, że pewnie jest zajęty szukaniem pracy, czy czymś w tym rodzaju. Kiedy do niej pisał, jego e-maile pełne były miłości i uwielbienia, często z seksualnym podtekstem. Zapraszał ją też do Izraela. Wszystko to wpływało wydatnie na wzmocnienie jej uczuć.

Dziesięć miesięcy później, spacerowała u jego boku po historycznym Starym Mieście Jerozolimy. Eli opowiadał jej o nim, kiedy szli wąskimi uliczkami.

- Jerozolima jest podzielona na cztery sektory. Teraz jesteśmy w chrześcijańskim. Tam dalej jest sektor muzułmański, w tamtą stronę armeński. Sektor żydowski jest na przeciw nas, na wschodzie.

- Mówisz jak przewodnik wycieczki - roześmiała się Sara.

- Pracowałem jako przewodnik wycieczek kiedy byłem nastolatkiem - wyjaśnił Eli. - Woziłem po mieście grubych Amerykanów firmowym wozem. Czasami jeździłem bardzo szybko i napędzałem im niezłego stracha.

Uderzyła go lekko po ramieniu.

- Jesteś okropny - stwierdziła.

Podeszli do ponurego kościoła, który wyglądał zupełnie jak przedziwna układanka. Składało się na niego kilka stylów architektonicznych, ale i tak robił wrażenie starego.

- To jest Kościół Świętego Grobu - poinformował Eli. - Został zbudowany w miejscu, gdzie zdaniem katolików został ukrzyżowany Jezus.

- Naprawdę?

- Tak. Z tym poglądem zgadza się też kościół prawosławny i koptyjski.

- Chcesz powiedzieć, że nie wszyscy uważają, że stało się to tutaj?

- Właśnie. Według protestantów Chrystus został ukrzyżowany we wschodniej Jerozolimie. Chcesz wejść do środka?

- Raczej nie. Lepiej chodźmy dalej.

- Dobrze.

Ruszyli na południowy wschód, w kierunku luterańskiego kościoła Zbawiciela. Eh zabrał Sarę na

wieżę, skąd rozciągał się wspaniały widok na Stare Miasto.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, gdzie mieszkasz. Wynajmujesz mieszkanie z Noelem? - zapytała nagle Sara, kiedy podziwiali panoramę.

- Nie, mieszkam teraz sam - odparł Eli. - Mam mieszkanie we wschodniej Jerozolimie.

- Naprawdę? Pokażesz mi je? - Ścisnęła mu kokieteryjnie rękę. Uśmiechnął się.

- Może. Wiesz, że wschodnia Jerozolima to sektor palestyński?

- Co z tego?

- Tylko uprzedzam.

Zeszli z wieży i ruszyli w kierunku ulicy Dawida, a potem dalej na zachód. Kiedy doszli do bramy Jaffy, odezwał się Eli.

- Według tradycji to jest brama pomiędzy Starym a Nowym Miastem - wskazał na stary budynek. - A to cytadela krzyżowców. Uważa się, że tu właśnie powiesił się król Herod.

- Tyle tu historii - stwierdziła Sara, rozglądając się z zaciekawieniem.

- Jesteś głodna?

- Po prostu umieram z głodu!

- No to chodźmy coś zjeść. Znam bardzo dobrą restaurację w Nowym Mieście.

Ruszyli ulicą Jaffy, mijając drogie sklepy z pamiątkami i knajpki, aż dotarli do restauracji „Village Green”.

- Słyszałam o niej - stwierdziła Sara.

- Niektórzy uważają, że jest najlepsza w Jerozolimie - odparł EU. Weszli, dostali stolik i zaczęli przeglądać menu.

- To koszerna restauracja wegetariańska - wyjaśnił chłopak. - Nie znajdziesz tu mięsa dla amerykańskich mięsożerców. Kopnęła go lekko pod stołem.

- Lubię hamburgery, to prawda, ale lubię też kuchnię wegetariańską. Co tu jest najlepsze?

- Jestem fanem tutejszej pizzy.

Ostatecznie Sara zamówiła bezmięsną lazanię, zupełną wegetariańską i sałatkę. Eli wziął pizzę z

grzybami i butelkę koszernego czerwonego wina. Kiedy patrzyła jak je, przypomniały jej się dociekliwe pytania ojca. Bardzo lubiła Elię, ale naprawdę niewiele o nim wiedziała.

- Opowiedz mi o swoich rodzicach - poprosiła. Wzruszył ramionami, pracowicie przeżuując kęs pizzy.

- A co tu opowiadać?

- Mieszkają tutaj?

- Hmm, nie. Kiedyś mieszkali.

- A teraz?

- Mama jest w Libanie. Mój ojciec był Żydem, a matka jest muzułmanką. Rozstali się.

- Nie wiedziałam - stwierdziła Sara. - Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Nie sądziłem, że to ma jakieś znaczenie.

- Ile miałeś lat kiedy.... kiedy się rozwiedli?

Roześmiał się serdecznie.

- Nie byli po ślubie. Taki związek to tutaj skandal. Niewielu muzułmanów i Żydów płodzi wspólnie dzieci. Mama wychowywała mnie do siódmego roku życia. Potem... hmm, pojechałem do krewnych, do Libanu. Wróciłem tutaj, gdy miałem osiemnaście lat.

- A gdzie jest twój ojciec?

- Nie żyje.

- Och, przepraszam.

Znów wzruszył ramionami.

- Zginął, kiedy byłem jeszcze mały. Zamach bombowy. Po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

- O rany.

- Twoja mama też nie żyje, prawda? - spytał.

- Tak. Umarła na raka jak miałam piętnaście lat.

- A twój ojciec... nadal zajmuje się „międzynarodowym handlem”?

Spojrzała na niego spod oka.

- Mówisz to tak, jakbyś w to nie wierzył.

Roześmiał się.

- No bo niewiele wiesz o tym, jak zarabia na życie. Nigdy nie wiedziałaś.

- Masz rację.

- Często go widzisz?

- Nie, nie bardzo. Mieszka w Baltimore, a raczej na przedmieściach Baltimore.

- To niedaleko Waszyngtonu, prawda? - spytał.

- Chcesz mi coś dać do zrozumienia?

- Pewnie pracuje dla CIA - odparł żartobliwie.

- A wiesz, kiedyś faktycznie tam pracował, ale to było dawno. Zrezygnował i już się tym nie zajmuje. Był w CIA, kiedy poznał moją matkę.

- Kurde, serio? -Tak.

- To znaczy, że był szpiegiem?

- Naprawdę nie wiem. Miał coś wspólnego z dyplomacją. EH roześmiał się.

- Czyli był szpiegiem. Zawtórowała mu śmiechem.

- Może i masz rację. Ale i tak nie wiem, co teraz robi.

- Rozumiem.

- Zamierzasz zostać w Izraelu, czy wrócić do Stanów i zrobić dyplom?

Napił się wina.

- Zastanawiał się na pójściem do Juillarda. Przyjęli moje papiery. Muszę tylko dostać wizę.

- Naprawdę? Chcesz iść do Juillarda? -Aha.

- Czyli nie wrócisz do Chicago?

- Raczej nie. Ale przecież możesz zamieszkać ze mną w Nowym Jorku po dyplomie. Został ci jeszcze tylko rok, prawda? Pytanie zupełnie zaskoczyło Sarę.

- Chcesz, żebym z tobą zamieszkała?

- Pewnie. Czemu nie? Przecież mnie lubisz?

- No... tak, ale to... zupełnie jakbyśmy się mieli pobrać.

- Nie, wcale nie, głuptasie. Będziemy tylko razem mieszkać. Poczwała zdenerwowanie.

- Musimy o tym jeszcze porozmawiać.

- Nie ma pośpiechu - odparł. Pochylił się nad stołem, położył dłoń na jej ręce i delikatnie uściskał. Sarę zaskoczyła ta nagła wylewność. Nie sądziła, że zależy mu na niej aż tak, by proponować wspólne mieszkanie.

Zacząła się zastanawiać jak wyglądałaby jej przyszłość z Elim Horowitzem. Po skończeniu anglistyki zapewne dostałaby pracę nauczycielki gdzieś w Nowym Jorku, oczywiście po uzyskaniu licencji stanowej. Albo mogłaby zostać pisarką i pracować w domu. A tego właśnie zawsze chciała. Prawdziwa idylla, prawda? Ona, autorka bestsellerów i Eli, sławny dyrygent.

Odwróciła dłoń tak, aby móc odpowiedzieć na jego uścisk.

Może nam się udać, pomyślała.

9.

Wyruszam Toyotą z Bagdadu na północ. Irakijskie siły bezpieczeństwa zatrzymują mnie na dwóch punktach kontrolnych na przedmieściach. Bardzo gruntownie sprawdzają dokumenty. Za pierwszym razem chcą obejrzeć moje zezwolenia i paszport. Pytają, czy jestem uzbrojony, choć z papierów jasno wynika, że mam pozwolenie irackiego rządu na poruszanie się po kraju z bronią. W odpowiedzi pokazuję pistolet Five-sevenN, ale karabinek pozostaje ukryty w worku. Po kilku minutach wypełnionych podejrzliwymi spojrzeciami i marszczeniem brwi pozwalają mi jechać dalej. Przy drugim punkcie kontroli jest podobnie. Pytają, co planuję robić w Mosulu i jak długo się tam zatrzymam. Udzielam im informacji, które moim zdaniem powinny zaspokoić ich ciekawość i ruszam dalej.

Autostrada jest nowoczesna - świeży asfalt pokrywa zniszczenia spowodowane wojennymi bombardowaniami i późniejszymi zamachami terrorystycznymi. Choć ulice w mieście były zatłoczone, tu prawie nie ma ruchu. Dobrze się czuję na tej otwartej przestrzeni. Od czasu do czasu mijam pojazdy wojskowe, również amerykańskie. Dość często trafiają się też zdezelowane ciężarówki i furgonetki przewożące zaopatrzenie.

Jaskrawe słońce świeci mi prosto w oczy. Cieszę się, że nie zapomniałem o zwykłych okularach przeciwsłonecznych. Okolice jest płaska i jałowa. Jak już wspominałem, przypomina mi nieco południową Arizonę. To surowy, okrutny kraj. Za nic nie chciałbym utknąć gdzieś na środku tej pustyni bez samochodu. I niech Bogu będą dzięki za tego faceta, który wymyślił klimatyzację.

- Sam, słyszysz mnie? - cichy głos Lamberta rozbrzmiewa w czeluściach mojego prawego ucha zupełnie jak głos sumienia. Zdejmuję jedną rękę z kierownicy i naciskam na szyi miejsce, które aktywuje nadajnik.

- Tak, jestem.

- Jak ci poszło z Petlowem?

- Świetnie, choć miał pełne ręce roboty. Tu jest nadal bardzo niespokojnie.

- Wiem. Słuchaj, jedziesz do Mosulu?

- Jestem właśnie w drodze. Za jakąś godzinę dotrę do Samarry.

- Zapomnij o Mosulu. Musisz jechać do Arbil - mówi Lambert.

- Właśnie dlatego kontaktuję się z tobą przez implant, a nie przez OPSAT. Przed chwilą dostaliśmy wiadomość, że kurdyjska policja przejęła tam nowy transport broni. Paskudna sprawa. Masa Kałasznikowów, ale i kilka Stingerów. Aresztowali kierowcę, który je przewoził, ale nie chce gadać. Transport trzymają na komendzie w centrum miasta. To świeży ślad, dlatego proponuję żebyś go

sprawdził nim wszystko przeniosą w inne miejsce. Jeśli zdołasz ustalić skąd pochodzi ta broń, może uda ci się dotrzeć do źródła.

Tylko pamiętaj, że to terytorium kurdyjskie. Nie masz zezwolenia na przebywanie w tej strefie, dlatego musisz się tam dostać, a potem zniknąć, tak, żeby żywy duch cię nie zauważył.

- W porządku - odpowiadam. - Jak się tam najszybciej dostać?

- Chłopcy z wywiadu proponują, żebyś dojechał do Mosulu, a stamtąd ruszył na wschód, do Arbil. Główna autostrada z Bagdadu do Arbil biegnie równolegle do twojej trasy, ale drogi łączące te autostrady nie są bezpieczne.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Nie, to wszystko. Powodzenia, Sam.

- Koniec przekazu - odkładam rękę na kierownicę i jadę dalej. Mijam Samarrę i kieruję się na Tikrit, rodzinne miasto Saddama Husseina. Kiedy w końcu wyplątnę się z tamtejszych blokad drogowych, powtarzając procedurę przeciwiczoną w Bagdadzie, dochodzę do wniosku, że w Tikrit nie ma nic interesującego. Na szczęście nie postawili jeszcze tablic z napisami TUTAJ URODZIŁ SIĘ SADDAM HUSSEIN.

Mosul jest drugim co do wielkości miastem Iraku, a znajduje się na samym skraju części uważanej za kurdyjską. Słyszałem, że słowo „muślin”, jakim określa się cieniutką tkaninę, pochodzi właśnie od nazwy Mosul. Zapewne zaczęto go tkąć w tych okolicach. Zaraz za miastem znajdują się ruiny starożytnej Niniwy. Podobno warto zwiedzić tamtejsze wykopaliska archeologiczne, ale ja niestety nie jestem turystą i muszę pozabawić się sprawą gdzie indziej. Kolejna blokada, kolejny kontredans z papierami i jadę teraz na wschód, do Arbil. Oficjalnie to kraj Kurdów, a Arbil uważa się za kurdyjską stolicę Iraku. Obie główne kurdyjskie partie, KDP i PUK mają swoje siedziby w tym mieście. Uważa się, że jest to jedna z najstarszych osad na świecie - znacznie wcześniejsza niż te z czasów Rzymian czy Aleksandra Wielkiego. Odkryto tu nawet szczątki neandertalczyków. Nowoczesna część miasta unosi się znacznie ponad okoliczny teren, ponieważ od wielu wieków domy buduje się tu na szczątkach poprzednich budowli.

Krajobraz irackiego Kurdystanu ostro kontrastuje z resztą kraju. Tutaj wznoszą się wysokie góry, poprzecinane żyznymi i pełnymi kolorów dolinami. Im dalej na północ, tym łańcuchy górskie stają się bardziej imponujące - powszechnie nazywa się ten obszar „Alpami Bliskiego Wschodu”. W starożytności góry pełniły funkcję naturalnej bariery oddzielającej poszczególne nacje. Z etnicznego punktu widzenia Kurdowie nie mają nic wspólnego z Arabami, a podczas ostatniej wojny byli sprzymierzeńcami Amerykanów, przynajmniej teoretycznie. Zastanawiam się, czy powinienem im ufać.

Słońce już zachodzi, kiedy docieram do Arbil. Widoczne na drodze światła wskazują, że powinienem zwolnić - kolejna blokada. Kiedy się zatrzymuję, Toyotę otacza czterech mężczyzn.

Ubrani są w mundury irackiej policji, ale ogarnia mnie uczucie, że coś jest nie w porządku. Dwóch trzyma karabiny, a jeden pistolet.

Kiedy otwieram okno mężczyzna z pistoletem celuje mi w twarz.

- Pojedziemy na przejażdżkę, przyjacielu - mówi po arabsku. To z pewnością nie są Kurdowie.

- Proszę spojrzeć, dokumenty mam w porządku - odpowiadam w tym samym języku.

- Zamknij się! - krzyczy. Czeką, aż jego trzech kolesie wsiądą na tylne siedzenie, potem obchodzi samochód i siada na siedzeniu pasażera. Cały czas celuje mi w głowę. Teraz odzywa się ten nieuzbrojony, który siedzi z tyłu.

- Jedź tam! - Wskazuje ciemną, zaśmieconą drogę odchodzącą w bok od autostrady. Nie mam innego wyjścia, muszę posłuchać. Ruszam zgodnie z poleceniem, a wąska droga prowadzi prosto w zarośla. Gdyby nie światła reflektorów, nic bym nie widział.

- Dokąd jedziemy? - pytam po arabsku.

- Zobaczysz - odpowiada ten z tylnego siedzenia. - Siedź cicho i prowadź.

Trzy minuty później znajdujemy się mniej więcej półtora kilometra od autostrady. Ten z tylnego siedzenia każe mi się zatrzymać, zostawić zapalone światła i wysiąść.

Nie mam wyboru. Otwieram drzwi i wysiadam, a za mną wszyscy czterej pasażerowie. Na zewnątrz jest teraz bardzo ciemno, ale światła Toyoty dostatecznie oświetlają teren. Nieuzbrojony mężczyzna, zapewne przywódca, brutalnie obraca mnie i pcha na maskę samochodu.

- Ręce do góry, na głowę - rozkazuje.

Robię, co mi każe, ale zaczynam być wkurzony. Nie zamierzam dać się sponiewierać. Dupek bez broni zaczyna mnie obszukiwać - dzięki Bogu, że pistolet zostawiłem w schowku. Muszę coś wymyślić, żeby odczepili się od samochodu.

- Jestem z Interpolu - mówię. - Mam zezwolenie od waszego rządu.

- Zamknij się!

Facet z pistoletem wyszczerza się do mnie w uśmiechu. Widać wyraźnie, że brakuje mu trzech zębów. To najbrzydszy skurwysyn jakiego spotkałem, odkąd wylądowałem w Iraku.

- Skąd masz taki ładny samochód? - pyta.

Ten, który mnie przeszukuje, zapewne szukając pieniędzy, zaczyna się denerwować.

- Gdzie twój portfel? - zadaje pytanie.

- Nie noszę portfela - odpowiadam, zgodnie z prawdą.

Łapie mnie za ramię i odciąga od samochodu. Wszyscy czterej stoją teraz na przeciw mnie. Ci dwaj z karabinami trzymają je przewieszane przez piersi. Jeszcze do mnie nie celują. Są uzbrojeni w Hakimy, ale Szczerbaty ma rewolwer Smith & Wesson. 38 Special. Zapewne prosto z czarnego rynku.

- No to chyba weźmiemy sobie twój samochód - mówi przywódca. Trzej pozostali zaczynają się śmiać. - Bo widzisz, musimy przewieźć parę skrzynek. - Śmieją się jeszcze bardziej. - Siedzieliśmy sobie właśnie i czekaliśmy na przyjaciół z ciężarówką, ale twoja terenówka na pewno nam wystarczy. Możemy ją sobie pożyczyć? - Znow śmiechy.

- Skąd jesteś, przyjacielu? - pyta Szczerbaty. Kręci na palcu młynka rewolwerem, jak John Wayne w westernach. - Rzadko spotyka się ludzi z Zachodu, którzy mówią po arabsku.

- Jestem Szwajcarem - odpowiadam. - Oficerem Interpolu. Proponowałbym, żebyście pozwolili mi jechać dalej.

- Och, proponowałbyś, żebyśmy ci pozwolili jechać dalej? - przedrzeźnia mnie ich przywódca podchodząc bliżej. - A ja bym proponował, żebyś padł na kolana i zaczął się modlić, bo niedużo życia ci zostało.

No chodź, zachęcam go w myślach. Podejdz do mnie jeszcze o krok bliżej.

- Chcesz, żebym uklęknął? - pytam.

- Przecież mówię!

Patrzę uważnie na ziemię pod nogami.

- Tutaj?

Moja sztuczka działa. Przywódca robi jeszcze jeden krok w moją stronę.

- Tak, powiedziałem, żebyś.... - zaczyna.

Kopię go mocno w krocze. Poruszam się teraz szybko, jak błyskawica. Wykorzystując umiejętności zdobyte na treningach Krav Magi, łapię go za koszulę na piersiach i osłaniam się nim, kiedy Szczerbaty zaczyna strzelać. Przywódca dostaje w plecy cały magazynek, a wówczas ciskam jego ciało w Szczerbatego z taką siłą, że obaj padają na ziemię.

Nim pozostali dwaj faceci mają czas zareagować, lewą ręką łapię lufę jednego z karabinów,

prawą wsuwam pod kolbę i dzięki uzyskanej w ten sposób dźwigni wyrzucam broń z rąk zaskoczonego faceta. Zanim jego towarzysz ma czas opuścić karabin i wystrzelić, robię zamach kolbą świeżo zdobytej broni i walę go w twarz. Wrzeszczy, upuszcza broń i pada na kolana, osłaniając twarz dłońmi. Jego pozbawiony broni towarzysz wydaje groźny pomruk, gotów rzucić się na mnie. Walę go kolbą w nos, a potem kopię prawą stopą w pierś. Ogluszony, cofa się kilka kroków, ale nie pada. Wyrzucam karabin w powietrze, tak aby się obrócił. Łapię go, tym razem z lufę wycelowaną we właściwą stronę. Naciskam spust i facet dostaje serię z bliska. Pada na ziemię.

Obracam się, by wymierzyć w Sczerbatego, ale nie ma go już na ziemi obok ciała przywódcy. Widzę, jak biegnie w stronę ciemnych zarośli. Przez chwilę rozważam, czy powinienem go zastrzelić, ale postanawiam pozwolić mu uciec i w spokoju lizać rany. I tak daleko nie zabiegnie po ciemku, w takiej okolicy. Dwóch napastników nie żyje, w tym przywódca. Pozostaje facet, którego walnąłem kolbą w twarz. Nadal klęczy, jęcząc. Prawdopodobnie strzaskalem mu kość policzkową.

- Ty - mówię. - Przestań jęczeć. Porozmawiajmy.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczyma. Nadal nie potrafi zrozumieć, jak zdołałem pokonać czterech uzbrojonych ludzi. Prawa strona jego twarzy zaczyna puchnąć - wygląda przez to dziwnie asymetrycznie.

- Kim jesteś? - pytam. - Bo, że nie policjantem, to pewne.

Bełkocze coś po arabsku. Unoszę kolbę, dając do zrozumienia, że mogę uderzyć ponownie. Mówi mi, jak się nazywa i jak się nazywali jego towarzysze. Same pospolite arabskie nazwiska, jakie można spotkać na całym Bliskim Wschodzie.

- Skąd wzięliście policyjne mundury?

Wyjaśnia, że zostali zatrudnieni w charakterze milicji obywatelskiej, ale moim zdaniem historyjka nie trzyma się kupy.

- Skąd jesteś? - pytam.

Znowu bełkot. Tym razem jestem brutalny i walę go kolbą w ramię. Wrzeszczy i pada na plecy. Staję nad nim i ponownie pytam skąd pochodzi.

- Z Iranu - wyrzuca. On i jego trzech koledzy pochodzą z Iranu.

- Co robicie w Iraku?

Facet przekręca się na brzuch i łapie garść piachu. Wyczuwam, co zamierza zrobić i kiedy ciska mi w twarz piasek, zamykam oczy. Zrywa się na równe nogi, ale jestem na to przygotowany. Kiedy sięga po karabin, podrywam go do góry i naprzód. Nawet na oślep udaje mi się zdzielić go bokiem kolby w podbródek. Otwieram oczy i poprawiam uderzeniem w pierś. Upada na ziemię, nieprzytomny.

Niewykluczone, że zламаłem mu mostek, co może spowodować zatrzymanie akcji serca.

Cholera. Trzy trupy. Nie mam wyboru, muszę ich tu zostawić, chociaż wiem, że to błąd. Jednak nie mogę tracić czasu na ich ukrywanie. Na szczęście jesteśmy spory kawałek od autostrady. Kiedy, o ile w ogóle, zostaną odnalezieni, ich śmierć zapewne pójdzie na konto band rebeliantów.

Rzucam karabin na ziemię i wsiadam do samochodu. Wracam na autostradę i jadę dalej, do miasta, zastanawiając się, co się mogło stać ze Szczerbatym.

10.

Docieram do Arbil wkrótce po północy. O tej porze ulice miasta są całkiem wymarłe, a wszędzie panuje śmiertelna cisza. Teren oświetlony jest oszczędnie, w zasadzie można stwierdzić, że panuje tu zupełna i nieco złowieszczą ciemność. Carly z Wydziału Trzeciego przesłała na mój OPSAT plan miasta, więc bez trudu odnajduję komisariat.

Parkuję Toyotę parę budynków dalej i zdejmuję cywilne ciuchy, pod którymi mam kombinezon. Zakładam hełm, wydaję ze schowka pistolet, zarzucam na ramiona plecak i jestem już gotów do akcji. Wsiadam z samochodu, po czym, kryjąc się w cieniu, skradam się do celu. Wprawdzie nikogo tu nie ma, ale w moim zawodzie ostrożności nigdy dość.

Komenda policji w Arbil jest niewielka: parterowy budynek, na którego tyłach znajduje się parking. Trochę dziwi mnie fakt, że nie stoją na nim żadne radiowozy. Siatka w oknach jest zbyt gęsta, by zajrzeć do środka, dostrzegam jednak światło w oknach od frontu. Albo ktoś zostawił na noc zapaloną lampę, albo faktycznie ktoś tam jest. Idę na tyły budynku i delikatnie naciskam klamkę w stalowych drzwiach. Oczywiście, zamknięte. Na szczęście zamek jest prosty, więc otwieram go wytrychem. Zajmuje mi to raptem siedemnaście sekund. Nieźle.

Zaglądam do środka. W korytarzu jest ciemno, więc zakładam gogle i przełączam je na tryb noktowizji. Rozglądam się po ścianach pod sufitem w poszukiwaniu kamer nadzoru, a potem wślizguję się do środka i zamykam za sobą drzwi. Przyciskając się plecami do ściany przesuwam się w kierunku wejścia znajdującego się w połowie korytarza i nasłuchuję. Cisza. Ostrożnie otwieram drzwi i zaglądam do pokoju. To zwykłe biuro - biurko, szafki na akta, dwa krzesła. Ruszam dalej i wkrótce docieram do miejsca, gdzie korytarz rozchodzi się na dwie strony. Na lewo widzę drzwi oznaczone napisem WSTĘP WZBRONIONY, oczywiście po kurdyjsku. Niezbyt dobrze znam ten język. Jestem w stanie dość płynnie porozumiewać się po arabsku, ale kurdyjski to stracona sprawa - wyłapuję zaledwie kilka słów, to wszystko. Jeśli będę tu musiał rozmawiać z jakimś Kurdem, może być kłopot. Na szczęście Kurdowie na ogół znają arabski.

Światło, które widziałem z zewnątrz, pali się na prawo. Powolutku przesuwam się przy ścianie w tamtą stronę i zaglądam za róg, do jasno oświetlonego pomieszczenia. To główna sala posterunku. Dalej, za przeszklonym przepierzeniem, znajduje się poczekalnia. Niedaleko mnie siedzi na krześle jakiś mężczyzna, nogi opierając na biurku. Chrapie głośno. Wyłączam tryb noktowizji w goglach i unoszę je na czoło. Teraz widzę dużo lepiej.

Mężczyzna ubrany jest w policyjny mundur, który wydaje się o dwa numery na niego za mały. Coś jest nie tak.

Wślizguję się cicho do sali i staję za jego plecami. Jest przysadzisty i ma wąsy a la Saddam Hussein. Delikatnie zatykam mu usta lewą ręką i szczypię go w nos. Policjant budzi się, bardzo zaskoczony. Gdy tylko się pochyła, stosuję chwyt Krav Magi, który odcina dopływ krwi do mózgu. Puszczam go dopiero, kiedy traci przytomność. Upada do przodu i zsuwa się z krzesła na podłogę.

Obliczam, że jeśli szczęście mi dopisze, będzie nieprzytomny jakieś dziesięć minut.

Pobieżnie przeszukuję biurko, ale nie znajduję tu nic interesującego prócz pęku kluczy w jednej z szuflad. Zabieram go i wracam na korytarz. Nie wątpię, że jeden z kluczy otwiera drzwi z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Za nimi widnieje kolejny korytarz. Nasłuchuję przez chwilę i jeszcze raz sprawdzam, czy nie ma kamer. Tylko jeden facet pełni służbę? Bardzo dziwne. Ale może Ar-bil to oaza spokoju?

Docieram do kolejnych zamkniętych drzwi i znów próbuję kluczy z zabranego pęku. Już trzeci okazuje się właściwy. Kiedy zapalam światło, ze świstem wciągam powietrze do płuc. Jest to rodzaj magazynu, pełnego skrzynek. Jedna z nich, otwarta, stoi niecały metr ode mnie. Widać w niej całą masę karabinów Hakim. Pochylam się i przyglądam uważnie tej broni. Karabiny są czyste i gotowe do użycia. Podchodzę do kolejnej skrzynki, której wieko wyraźnie było otwierane już wcześniej. Unoszę je i znajduję kolejne karabiny - tym razem Kałasznikowy. Kolejna skrzynka zawiera sowieckie pistolety maszynowe Makarów kalibru 9 mm, pochodzące jeszcze z lat pięćdziesiątych. Również w doskonałym stanie. I jeszcze jedna skrzynka, pełna karabinów wyborowych SWD Draganów.

W sumie jest tu szesnaście skrzynek, większość jeszcze zaplombowana. Na pewno ten przejęty transport, o którym informował Lambert. Ciekawe, co policja z Arbil zamierza z nimi zrobić? Czyżby nie chcieli przekazać ich zwierzchnim władzom?

Muszę jakoś stwierdzić skąd pochodzą te cholerstwa. Pierwsza skrzynka nie ma żadnych oznaczeń, ale na boku drugiej widzę jakąś pieczęć. Napis jest w farsi. Można odcyfrować WYTWÓRNIA OPAKOWAŃ TABRIZ. Tabriz? To przecież w Iranie! Oglądam kolejną skrzynkę i znajduję taką samą pieczęć. Na szesnaście skrzynek dziewięć zostało oznaczonych w ten sam sposób.

Albo sama broń pochodzi z Iranu, albo dostawca użył skrzynek dostępnych na miejscu. Zawsze to jakiś ślad.

Przy przeciwległej ścianie magazynu stoją, jeden na drugim, cztery duże, płaskie pojemniki. Przypominają nieco futerały na gitarę, ale są dużo szersze. Otwieram zatrzaski i unoszę wieko tego na samej górze.

Stingery. Cztery pojemniki Stingerów, po dwa w każdym. Kurwa, aż nie chce się wierzyć. To amerykańska produkcja. Jak je u licha ciężkiego zdobyli? Z boku futerału umieszczono ręczną wyrzutnię pocisków. Te maleństwa są niezwykle skuteczną bronią przeciw maszynom latającym na niskim pułapie, na przykład helikopterom (o czym boleśnie przekonali się Rosjanie w Afganistanie), a może je odpalić jeden człowiek, dokładnie w taki sam sposób, jak strzela się z bazuki.

Notuję swoje odkrycia w OPSAT-cie, robię kilka zdjęć i wychodzę z magazynu. Ruszam korytarzem dalej, do stalowych drzwi z zakratowanym okienkiem. Areszt? Sięgam znowu po klucze i otwieram drzwi. Skrzydło obraca się ze skrzypnięciem, od którego twarz sama mi się wykrzywia w grymasie. Na szczęście w środku nikogo nie ma. Jest za to sześć cel, a po lewej stronie stoi

niewielkie biurko. Jego blat jest pusty, z wyjątkiem leżącego na samym środku młotka. Oglądam główkę narzędzia i widzę ślady zaschniętej krwi, trochę włosów i zapewne nieco tkanki miękkiej. Odwracam się, by wyjść, ale coś na pryczy w pierwsze celi przyciąga mój wzrok. Początkowo wziąłem to za stos koców, ale teraz rozróżniam wyraźnie sylwetkę leżącego człowieka. Rzeczywiście jest to ciało, całkowicie przykryte kocem. Trup?

Podchodzę do następnej celi i widzę kolejne zawinięte w koc ciało. To samo w trzeciej, czwartej i piątej. Szósta jest pusta. Sięgam po pęk kluczy, otwieram pierwszą celę i ściągam koc z ciała. Facet z przestrzeloną głową. Na ile mogę stwierdzić, strzelono mu w podstawę czaszki, a kula przeszła na wylot rozwalając twarz.

Oczywiście nie da się go zidentyfikować. Odrzucam zupełnie koc i stwierdzam, że nieboszczyk ubrany jest jedynie w bieliznę.

Człowiek w sąsiedniej celi został załatwiony tak samo, ale przed śmiercią go torturowano. Na jego piersi widać przypalenia, zapewne od papierosa. Trzecie zwłoki mają zmiążdżoną dłoń, jakby ktoś kilka razy uderzył w nią młotkiem. Zapewne tym, który leży na stole. Czwarty mężczyzna, podobnie jak pierwszy, został tylko zastrzelony.

Wychodzę z aresztu i zamykam za sobą drzwi. Na klucz, ponieważ ktokolwiek to zrobił, na pewno tu wróci. Mój przyjaciel w głównej sali posterunku wkrótce się ocknie, a pewnie sporo wie na temat tego, co tu się wydarzyło. Niewykluczone, że to jeden z zabójców.

Wracam na front budynku i stwierdzam, że strażnik nadal jest nieprzytomny. Oddycha głęboko, więc mam pewność, że jedyną pamiątką, jaka mu po mnie zostanie, będzie potężny ból głowy. Ruszam w kierunku pierwszego korytarza i tylnego wyjścia, ale po drodze postanawiam sprawdzić biuro, które mijałem. Otwieram drzwi, wchodzę do środka i nasuwam na oczy gogle, by uniknąć konieczności zapalania światła.

Mam podstawy sądzić, że to biuro komendanta. Na ścianach wisi kilka pochwalnych dyplomów i zdjęcie policjanta ściskającego dłoń jakiegoś człowieka, zapewne któregoś z kurdyjskich polityków. Przyglądam się uważnie fotografii i dochodzę do wniosku, że jeden z trupów w areszcie to komendant. Nie mam stuprocentowej pewności, ponieważ twarze ofiar zostały zmasakrowane. Mimo to, gdybym musiał się zakładać, postawiłbym na faceta leżącego w drugiej celi, tego, którego przed śmiercią torturowano.

Na biurku leży kilka kartonowych teczek pełnych policyjnych akt z fotografiami przestępców. Otwieram pierwszą z brzegu i z zaskoczeniem widzę podobiznę kogóż by innego, jak nie samego Sczerbatego. Pod spodem leżą zdjęcia reszty facetów, którzy próbowali ukraść mój samochód i zostawić mnie na pewną śmierć pod Arbil. Tekst na odwrocie napisano po kurdyjsku, ale rozpoznaję słowa terrorysta, poszukiwany i Iran. Na podobiznie Sczerbatego odszyfrowuję jeszcze jedno znajome słowo - Cienie. Obok narysowano duży znak zapytania.

Wszystko staje się jasne. Bandyci, których spotkałem po drodze, byli tu wcześniej. Zabili

prawdziwych policjantów, zabrali im mundury i wsadzili zwłoki do cel. Potrzebowali mojego Land Cru-isera, żeby przewieźć broń? Jeden z nich mówił, że czekają na ciężarówkę, żeby „przewieźć kilka skrzynek”. Czy to klienci Sklepu? Czyżby Sklep sprzedawał broń Cieniom? Muszę przyznać, że nie jestem zaskoczony. Skoro Cienie są terrorystyczną grupą na topie, należało się spodziewać, że Sklep, największy handlarz bronią na świecie, będzie ich chciał mieć na liście swoich klientów.

Słyszę na zewnątrz trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Kurwa. Kiedy w tylnych drzwiach zaczyna zgrzytać klucz, przyciskam się do ściany w biurze komendanta mając nadzieję, że przybysze tu nie wejdą.

Dwa głosy. Jeden śmieje się i mówi coś bardzo szybko - po arabsku. Wychwytyję słowa „policja”, „zająć się” i „przenieść skrzynki”. Mijają biuro i idą do głównej sali. Słyszę zdziwione okrzyki - pewnie znaleźli na podłodze swojego przyjaciela. Potem jęk, odgłos uderzenia dłonią w twarz i znów jęk. Strażnik przychodzi do siebie. Jeden z przybyszów nakazuje drugiemu sprawdzić co z bronią, a ten prosi o klucze. Wymiana zdań nasila się, słychać dźwięk przesuwanych po blacie biurka przedmiotów i wreszcie pełen wściekłości okrzyk. No tak, klucze zniknęły. Tkwią u mnie w kieszeni.

Głos wściekającego się faceta wydaje mi się nagle znajomy. Uznaję, że należy mu się przyjrzeć, we własnym interesie. Sięgam do plecaka i wyciągam bardzo przydatny przyrząd, który nazywam „peryskopem”. Wygląda trochę, jak narzędzie dentystyczne - cienki kawałek metalu z niewielkim okrągłym lusterkiem na końcu. Metal można dowolnie wyginać, stąd przyrząd sprawdza się w każdych warunkach i pozwala niepostrzeżenie sprawdzić, co się dzieje za rogiem.

Bezszelestnie wyślizguję się z biura i zakradam korytarzem, cały czas plecy przyciskając do ściany. Kiedy docieram do zakrętu, za którym znajduje się sala główna, wysuwam lustro i ustawiam tak, by coś widzieć.

Strażnik siedzi na krześle, masując obolałą potylicę. Ten, który się wścieka, siedzi przed nim na biurku, a drugi przybysz stoi za krzesłem z ponurym wyrazem twarzy. Nie znam go. Obaj ubrani są w policyjne mundury. Bardzo bym chciał, żeby ten nerwowy, siedzący na biurku, odwrócił się i pokazał twarz.

- I co powiesz Ahmedowi? - pyta facet stojący za krzesłem. Dość dobrze rozumiem ich rozmowę.

- Później się będę zastanawiał - odpowiada nerwowy. - Martw się raczej o to, co Ahmend powie Tarighianowi! - łapie strażnika pod brodę. - Na pewno nie widziałeś, kto ci to zrobił? - Strażnik kręci głową. - Allachu dopomóż. Tarighian będzie wściekły. Lepiej się zastanówmy, jak wyważyć te drzwi. Jeśli broń zniknęła...

- Tarighian? Kto to jest Tarighian?

Nerwowy odwraca się lekko i teraz widzę jego twarz. To mój stary znajomy, Szczerbaty, jedyny, który mi uciekł. Wiedziałem, że skądś znam jego głos.

Mógłbym bez trudu ich obezwładnić, ale nie takie mam rozkazy. Wycofuję się, najpierw na korytarz, a potem do tylnego wejścia. Obok drzwi stoi kosz na śmieci, gdzie cichutko wrzucam klucze. Nie ma potrzeby niczego im ułatwiać. Jestem pewien, że odpowiednie władze poradzą sobie z wyłamaniem drzwi, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Wyślizguję się na zewnątrz i kryjąc się w cieniu przebiegam na drugi koniec parkingu. Przykucam, a potem szybko wybiegam na ulicę, pewien, że nikt mnie nie śledzi. Biegnę w ciemnościach do Toyoty, wsiadam i kulę się na siedzeniu na wypadek, gdyby moim nowym przyjaciołom wpadło do głowy wyjść na zewnątrz i się porozglądać.

Za pomocą OPSAT-u przesyłam wiadomość dla podpułkownika Petlowa w Bagdadzie. Wyjaśniam, że policjanci w Arbil zostali wymordowani przez terrorystów z Cieni, którzy próbują teraz wywieźć z komendy ładunek nielegalnej broni. Kopię raportu przesyłam Lambertowi, do Waszyngtonu i czekam.

Mniej więcej trzydzieści pięć minut później słyszę syreny. Jestem zaskoczony tak szybką reakcją. Obawiałem się, że terroryści zdążą się ulotnić z ładunkiem, nim dotrą tu siły irackie lub amerykańskie. Widzę jak przed komendą zatrzymują się trzy radiowozy oraz amerykański Hummwie z czterema żołnierzami. Chciałbym im pomóc, ale muszę zachować incognito. Za to siadam wygodnie, zamierzając obejrzeć całe przedstawienie.

Ku memu przerażeniu terroryści wypadają nagle zza budynku strzelając z Kałasznikowów. Trzech irackich policjantów pada na ziemię, a reszta pospiesznie znika w ukryciu. Na czele terrorystów rozpoznaję Szczerbatego. Rzuca czymś w pojazdy, a kilka sekund później dochodzi do silnego wybuchu. Granat niszczy amerykańskiego Hummwie i najprawdopodobniej zabija, albo poważnie rani, czterech siedzących w nim żołnierzy. Teraz już na poważnie rozważam wzięcie udziału w walce, ale nim podejmuję ostateczną decyzję, zza budynku wyjeżdża furgonetka. Terroryści wskakują do środka, a pojazd odjeżdża z piskiem opon.

Klnę sam siebie, że nie zareagowałem wcześniej - no ale co bym niby zrobił? Nie wolno mi bez zezwolenia współpracować z tutejszym wymiarem sprawiedliwości. Zresztą, czy moja interwencja coś by zmieniła? Szczerze mówiąc - nie wiem. Sądzę jednak, że następnym razem raczej zaufam instynktowi i chrzanić rozkazy.

W oddali słyhać kolejne syreny, a kilka chwil później staję się świadkiem przybycia kolejnych radiowozów i karetki. Nie mam tu już nic do roboty; muszę pozwolić się tym zająć Irakijczykom.

Bardzo niezadowolony zapalam silnik Toyoty i odjeżdżam.

Andriej Zdrok był w fatalnym nastroju.

Kierowca wysadził go przed Szwajcarsko-Rosyjskim Międzynarodowym Bankiem Handlowym, wysłuchawszy wcześniej wskazówek, kiedy ma wrócić po swego pracodawcę. Potem Mercedes odjechał a Zdrok ruszył w kierunku ciężkich szklanych drzwi. Tuż przed wejściem do budynku rzucił okiem na swego Rolexa i stwierdził, że od umówionego spotkania dzieli go jeszcze kwadrans. Uznał, że może kawa z bajgłem poprawią mu nieco nastrój.

Zawrócił i przeszedł przez ulicę do piekarni. Nawet on musiał się zgodzić, że „Zabat” to najlepsza piekarnia w Zurychu. A fakt, że mieściła się w dzielnicy finansowej, niewątpliwie wpływał dodatnio na interesy jej właścicieli. Codziennie sprzedawali tu setki bajgli, babeczek, bułek i ciastek bankierom i księgowym, którzy pracowali w okolicy. Tak się złożyło, że sklep z bajglami znajdował się również na przeciwko filii Szwajcarsko-Rosyjskiego Banku, w Baku, w Azerbejdżanie. Również tam Zdrok zachodził często, choć bajgle nie były równie smaczne.

Wszedł do piekarni, kupił cebulowego bajgla z serem i czarną kawę, po czym zapłacił za wszystko banknotem pięciofrankowym i kazał sprzedawcy zatrzymać resztę. Często tak robił i miał w tej piekarni opinię „hojnego faceta w garniturze od Brioni”.

Wrócił do banku, wszedł do holu i pozdrowił skinieniem głowy strażnika stojącego tuż przy drzwiach. Przy okienku tkwił jeden klient; dwóch innych przebywało w prywatnych salkach depozytowych. Jak wiele innych oferujących anonimowe rachunki bankowe prywatnych instytucji finansowych w Zurychu, Szwajcarsko-Rosyjski, jak Zdrok nazywał bank w skrócie, zajmował się wyłącznie bogatymi, zagranicznymi klientami. W tym mieście, którego fundamentem były pieniądze, Szwajcarsko-Rosyjski znajdował się na najlepszej drodze do zostania jednym z głównych graczy w międzynarodowym świecie finansów. A najpiękniejszy był fakt, że na tak mały i niezbyt znany bank władze prawie nie zwracały uwagi. Zdrok dokładał starań, by jego legalne interesy pozostawały kryształowo czyste i uczciwe, i nie spodziewał się żadnych kłopotów z tej strony. Za wszelką cenę chciał uniknąć sytuacji, w której ktoś nadmiernie by się zainteresował, co tak naprawdę dzieje się za fasadą Szwajcarsko-Rosyjskiego Międzynarodowego Banku Handlowego.

Otworzył kratę prowadzącą do części przeznaczonej „tylko dla pracowników”, jeszcze raz spojrzął na salę operacyjną banku, upewnił się, że wszystko jest w najlepszym porządku, po czym wszedł do sali konferencyjnej, gdzie czekali na niego jego trzej wspólnicy.

Pierwszy z nich, Anton Antipow, miał pięćdziesiąt dwa lata. Niegdyś był pułkownikiem KGB, a współpracę ze Zdrokiem rozpoczął wkrótce po upadku Związku Sowieckiego. Antipow był wysoki, miał imponującą postawę i reputację sadysty. Zdrok nigdy nie widział niczego, co potwierdzałoby te plotki, ale słyszał wiele ciekawych historii. W latach osiemdziesiątych Antipow był komendantem jednego z gułagów w okolicach Moskwy. Nawiązał wówczas kontakty z całym światem przestępczym i czarnym rynkiem Rosji oraz Wschodniej Europy. Wystarczyło, by w pewnych kręgach

wymienił swe nazwisko, a budził natychmiastowy szacunek - a nawet strach.

Drugi ze współników, Oskar Herzog, miał pięćdziesiąt trzy lata i pochodził z byłej NRD. W chwili zjednoczenia Niemiec był jednym z najbardziej osławionych prokuratorów w Berlinie Wschodnim - w swoim czasie skazał na śmierć lub dożywocie setki rzekomych przestępców politycznych. Współpracownicy przezywali go za plecami „Topór”, aż do dnia, gdy przypadkowo usłyszał to przezwisko. Zamiast się wściec, zaczął zachęcać ludzi, by go używali. Uznał, że dzięki temu wzbudzi większy lęk w sercach wrogów.

Ostatni z obecnych, generał Stefan Prokofiew miał pięćdziesiąt pięć lat i twierdził, że jest spokrewniony ze sławnym rosyjskim kompozytorem o tym samym nazwisku. Jako wysoki oficer w rosyjskiej armii większość czasu spędzał w Moskwie, a do Zurychu przyjeżdżał jedynie na wezwania Zdroka, czyli niezbyt często. Jeszcze za czasów komunistycznych Prokofiew był jednym z czołowych doradców wojskowych do spraw uzbrojenia. W 1990 roku awansował na generała i został łącznikiem pomiędzy wojskiem a naukowcami pracującymi nad nowoczesnym uzbrojeniem Rosji. Miał reputację twardogłowego komunisty, co nie przeszkadzało mu zarabiać w organizacji Zdroka po czterdzieści milionów dolarów amerykańskich rocznie.

Andriej Zdrok, niekwestionowany przywódca tej grupy, miał pięćdziesiąt siedem lat i wyglądał jak gwiazdor popołudniówek na zasłużonej emeryturze. Ubierał się niczym najbogatszy człowiek na świecie, a jego iloraz inteligencji wynosił 174. Pochodził z Gruzji, z rodziny finansistów, która prowadziła bank na potrzeby Związku Sowieckiego. Przejął interes jeszcze jako dwudziestolatek i szybko nauczył się robić pieniądze, przestrzegając równocześnie zasad partyjnych. Kiedy Związek Sowiecki się rozpadł,

Zdrok był już w dziesiątce najbogatszych ludzi w Rosji. Wyemigrował wówczas do Szwajcarii, założył Bank Szwajcarsko-Rosyjski, wziął na współników ludzi, którzy czekali na niego dziś w sali konferencyjnej i rok w rok podwajał swój majątek. Miał nienasycony apetyt na pieniądze i zawsze znalazł jakiś sposób, by zarobić więcej - bez względu na to ile istnień ludzkich miały kosztować jego interesy.

Obecni tu czterej mężczyźni stanowili mózg Sklepu. W Zurychu spotkania w interesach zawsze rozpoczyna się punktualnie, a Zdrok stwierdził, że zostały jeszcze dwie minuty. Usiadł przy stole, wyjął bajgla z papierowej torby i położył przed sobą. Pozostali mężczyźni obserwowali go bez słowa. Zdążyli zjeść śniadanie wcześniej. Zdrok ugryzł kęs bajgla delektując się smakiem, po czym popił go łykiem kawy. Punktualnie o dziesiątej powiedział:

- Dzień dobry.

Pozostali wymruczeli powitania.

- Panowie - ciągnął. - Pierwszym punktem naszego spotkania jest transport, który zaginął w Iraku. Co tam się stało? – Spojrzał na Antipowa i uniósł pytająco brwi.

Antipow odchrząknął.

- Iracka policja zatrzymała transport i skonfiskowała cały ładunek, łącznie ze Stingerami - wyjaśnił. - Mieli niesamowite szczęście, w przeciwieństwie do nas.

- Gdzie to się stało?

- W mieście Arbil. Transport jechał do Mosulu, gdzie nasz klient zamierzał go, jak zwykle, rozdysponować.

- Klient odezwał się do nas?

Na to pytanie odpowiedział Herzog.

- Tak, i jest wściekły. Żąda zwrotu pieniędzy.

Zdrok przewrócił oczami.

- Oszalał? Przecież zna warunki umowy. Transport pozostaje pod naszą ochroną aż do granicy, ale gdy znajdzie się na terytorium klienta i w jego rękach, on przejmuje całą odpowiedzialność.

- To samo mu powiedziałem - odparł Herzog. - Ale nie był zadowolony.

Zdrok spojrzał na generała Prokofiewa.

- Co zamierza pan z tym zrobić? - zapytał.

- Zaproponowaliśmy nowy transport. Możemy zebrać broń w kilka dni, ale tylko dlatego, że organizacja klienta należy do na szczytach najlepszych klientów. Powiedziałem, że może zapłacić przy odbiorze. Cała sprawa będzie go kosztować dwa razy tyle, ale przynajmniej dostanie towar.

- Przyjął ofertę?

-Tak.

Zdrok spojrzał na Herzoga.

- Niech pan dopilnuje, żeby nam zapłacił, jak tylko dostanie przesyłkę.

Herzog kiwnął głową i zanotował coś w leżącym przed nim notesie.

- Klient powiedział, że będzie próbował odzyskać transport. Jego ludzie wiedzą, gdzie policja go trzyma.

- To ich sprawa - stwierdził Zdrok. - Jeśli chcą próbować, nie będziemy się wtrącać. Kolejny punkt. Operacja „Miotła”.

Antipow odchrząknął.

- Informacje o człowieku znanym jako Puck Benton okazały się, jak panowie wiecie, zgodne z prawdą - powiedział. - Dane jakie otrzymaliśmy mogą się okazać przydatne przy wykrywaniu innych amerykańskich agentów. Mamy kilka nazwisk, musimy je tylko dopasować do właściwych ludzi, co nie powinno zająć zbyt wiele czasu. Pracujemy nad tym.

Zdrok z aprobatą pokiwał głową.

- To dobra wiadomość. Amerykanie zdecydowanie za dużo odkryli. Musimy dalej wykrywać i eliminować ich agentów. Ten, który uderzył w Makau, wyrządził duże straty naszej organizacji na Dalekim Wschodzie. Odbudowywanie interesów na tym terenie zajmie nam wiele miesięcy, a może nawet lat. Dlatego przede wszystkim chcę głowy tego człowieka.

- Pracują nad tym Wład i Jurij - wyjaśnił Antipow. - Dorwiemy i jego i innych, ale proszę pamiętać, że to niełatwe zadanie. Tych agentów nazywają „Kolekcjonerami”. Pracują zawsze na własną rękę i są głęboko zakonspirowani. Ich własny rząd udaje, że nie istnieją. Jak na razie wykryliśmy dwóch, niemal zakończyliśmy identyfikację trzeciego, tym razem w Izraelu, i zbliżamy się do wykrycia czwartego, w Ameryce.

Zdrok zacisnął z trzaskiem knykcie i pokiwał głową.

- Wład i Jurij. Mam nadzieję, że uważają. Nie zostawili żadnych śladów?

- Nie. Zaczęli dla nas pracować już jako profesjonaliści. Byli moimi najbardziej zaufanymi wykonawcami w KGB - odparł Antipow.

- Czego dowiedzieli się w Belgii?

- Nie tylko wyeliminowali Bentona, ale również oficera belgijskiego wywiadu, z którym współpracował. Obaj wiedzieli stanowczo za dużo na temat naszych dostaw do głównego klienta. Mamy nadzieję, że materiały, które nasi ludzie zabrali z pokoju hotelowego Bentona nie miały kopii. Kazałem je natychmiast zniszczyć. Powinniśmy w ten sposób opóźnić pracę naszych wrogów. Dużo o Wydziale Trzecim dowiedzieliśmy się z laptopa Bentona, który również zniszczyliśmy.

Zdrok pomachał lekko ręką.

- Świetnie. Pozostawiam panu tę sprawę. Niech pan działa tak, jak pan uzna za stosowne, ale do końca tygodnia chcę mieć jakieś wyniki. Jeśli Amerykanie wykryją kim jesteśmy, albo gdzie się mieści nasza siedziba, przestanie być miło. Im szybciej się pozbędziemy tych psów, tym lepiej.

Sięgnął po napoczętego bajgla, co dla jego współpracowników oznaczało koniec spotkania.

12.

Seks okazał się równie dobry jak niegdyś w Illinois. Kiedy leżeli spleceni na wąskim jednoosobowym łóżku w niewielkim mieszkaniu Eliego, Sara była przekonana, że znalazła „tego jedyne”.

Wiedziała, że powinna wstać i zadzwonić do Rywki. Miała wrócić najpóźniej o dziesiątej, a było już prawie południe. Przespali większość czasu, budząc się tylko po to, by się kochać. Ile razy to zrobili, odkąd dotarli tu wczoraj wieczorem? Cztery? Pięć? Uśmiechnęła się w myślach do siebie i westchnęła.

- W porządku? - spytał Eli.

- Oczywiście - odparła, przytulając się do niego mocniej.

- Słyszałem chyba westchnienie?

- To z zadowolenia.

- Och, rozumiem - pocałował ją. - Cieszę się, że jesteś zadowolona.

- A ty?

- Wątpisz?

Ziewnęła i przyłgnęła mocniej do jego szczupłego ciała.

- Mogłabym tak leżeć całą wieczność.

- Ja też, ale zaczynam być głodny - odparł. - A ty?

- Kto by wolał jedzenie od seksu? - spytała kładąc rękę na jego kroczu.

- Hej, czyżbyś była uzależniona? - roześmiał się, ale nie usunął jej ręki.

- Od ciebie? Tak.

Eli usiadł.

- No dobra, ale czas chyba na trochę abstynencji. Naprawdę jestem głodny. Nie żartuję.

Sara uwielbiała jego izraelski akcent. Coś ją w nim wyraźnie podniecało.

- Zrobić ci śniadanie? - spytała.

- Nie, to ja zrobię śniadanie tobie. A raczej chyba lunch. Dobry Boże, spójrz tylko, która godzina!

- O rany, Rywka się na mnie wścieknie. I wolę sobie nie wyobrażać, co pomyślą jej rodzice.

EU pomachał uspokajająco ręką

- Niepotrzebnie się martwisz - stwierdził. - Rywka spędziła tę noc z Noelem i założę się, że też spali do późna.

- Zachowuję się jednak skandalicznie, nie sądzisz?

- Jesteś już przecież duża. A nawet dorosła, prawda?

- Mam dwadzieścia lat. W Ameryce nie mogę jeszcze oficjalnie pić alkoholu.

- No tak, ale jesteś dorosła według prawa. A to się właśnie liczy. - Wstał z łóżka i ruszył w kierunku łazienki. Przez chwilę podziwiała widok jego pośladków.

- Mówił ci ktoś, że masz słodki tyłeczek? - zawołała za nim, gdy zamykał drzwi, ale nie odpowiedział. Znowu westchnęła. W końcu wyciągnęła nogi spod koca i usiadła prosto, po czym nago przeszła do wnęki kuchennej i zajrzała kontrolnie do szafki. Typowe kawalerskie mieszkanie, doszła do wniosku. Sama niezdrowa żywność i przesłodzone płatki śniadaniowe.

- Masz tu gdzieś kawę? - zawołała, ale Eh właśnie uruchomił prysznic i nie usłyszał.

Otworzyła drugą szafkę i znalazła nieco kawy rozpuszczalnej.

- Faj - mruknęła. Potem wzruszyła ramionami i wzięła ją z półki, znalazła garnek i odkręciła kran. Woda okazała się ciemnożółta. Skrzywiła się z obrzydzeniem, zakręciła kurek i wstawiła słoik z kawą na powrót do szafki. Rozejrzała się wkoło i doszła do wniosku, że mieszkanie Eliego to chlew. Wczoraj wieczorem, w ciemności, nic nie zauważyła. Pamiętała tylko, że sąsiedztwo budynku wyglądało biednie, prawie jak slumsy. W pokoju zalatywało stęchlizną. Wcześniej nie zwróciła uwagi na ten zapach, prawdopodobnie ze względu na wypity alkohol. Ale teraz, za dnia, mieszkanie wydało jej się co najmniej odpychające.

- Hej, mogę też wziąć prysznic? - zawołała.

- Pewnie. Wskakuj śmiało.

Z uśmiechem otworzyła drzwi łazienki. Mała kabina prysznicowa ginęła w tumanach pary. Przynajmniej jest ciepła woda.

Najpierw rzeczy ważne. Opuściła deskę klozetową, usiadła i wysikała się. Bezmyślnie nacisnęła spłuczkę wywołując okrzyk zaskoczenia Eliego.

- Przepraszam! - powiedziała otwierając drzwi kabiny i wchodząc do środka.

Na zmianę mydlili sobie ciała i całowali się. Znow dostał wzdrodu, a ona mocno ujęła jego członek namydloną dłonią.

- Proszę, już nie - powiedział. - Jest starty do krwi. Zachichotała.

- Nie sądzę, żeby twój członek się z tobą zgadzał.

- Mój członek nigdy się ze mną nie zgadza - stwierdził zamykając oczy.

- To chyba u facetów typowe, prawda? - wyszeptała nie przestając się nim bawić.

Po wszystkim wyszli spod prysznic i wytarli się tym samym ręcznikiem.

- Nie masz drugiego? - spytała.

- Przepraszam. Jestem biedny i pozbawiony środków do życia.

Ta odzywka skłoniła ją do zadania pytania, które rozważała już od jakiegoś czasu.

- Eli, czy ty masz jakąś pracę?

- Pracę? Pewnie, że mam. - Spojrzał w lustro, wziął brzytwę i zaczął się golić na sucho.

- A co robisz?

- Pracuję w firmie dostawczej. W tym tygodniu mam wolne, żeby się z tobą widywać.

- W jakiej firmie dostawczej?

- No w zwykłej. Dostarczam przesyłki i takie tam.

Przypomniała sobie jego samochód i przeszedł ją dreszcz. To był grat z wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Kiedy pierwszy raz do niego wsiadła odniosła wrażenie, że znalazła się w samochodziku z kreskówki.

- Twoja praca nie ma nic wspólnego z muzyką?

- Nie, tego się nie daje pogodzić.

Nagle uświadomiła sobie, że nigdy nie słyszała, jak Eli gra, a w jego mieszkaniu nie było śladu jego muzycznych zainteresowań. Żadnych nut, płyt z muzyką poważną, popiersi Beethovena -nic zupełnie.

Spojrzał na nią w lustrze.

- Co jest?

- Nic - odparła. - Kiedy się dowiesz co ze studiami w Juillard? Wzruszył ramionami.

- To zawsze trwa wieczność. - Zaciął się brzytwą. - No i zobacz, co mi zrobiłaś.

- Ja? W jaki sposób?

- Zadając kłopotliwe pytania.

- Powinieneś używać kremu do golenia.

- Zawsze się tak golę. Wyjdź, denerwujesz mnie! - wypchnął ją z łazienki i zamknął drzwi.

Sara znowu westchnęła, poszła po swoje rzeczy rzucone niedbale na krzesło i zaczęła się ubierać.

Ostatecznie Eli sam przygotował tę rozpuszczalną kawę. Kiedy Sara zadzwoniła na komórkę Rywki, siedzieli przy namiastce stołu kuchennego. Przyjaciółka była lekko obrażona, a jej rodzice niezbyt uszczęśliwieni wyskokiem Sary. Przeprosiła ich i powiedziała, że wróci w ciągu godziny.

- A może po prostu zamieszkaj na resztę pobytu w Izraelu u mnie? - zaproponował Eli.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł - odparła.

- Dlaczego? Nie lubisz mnie już? - mrugnął do niej.

Uszczypnęła go żartobliwie.

- Oczywiście, że lubię. Ale mieszkam u rodziców Rywki. Jakby to wyglądało?

Wzruszył ramionami.

- Że jesteśmy razem?

Pokręciła głową.

- Nie czułabym się z tym dobrze. Przepraszam. - Wzięła go za rękę.

- W porządku. Twój tatuś też by pewnie nie był zadowolony.

Zaskoczyły ją jego słowa.

- Wątpię, żeby się kiedykolwiek dowiedział. Nie szpieguje mnie, jeśli o to ci chodzi. Pamiętaj, że

mieszkamy w różnych miastach.

- No tak. Ale to szpieg z CIA.
- Nieprawda.
- Mówiłaś, że jak on się nazywa?
- Sam Fisher.
- A czemu nie „Sam Burns”?
- Mama zmieniła nam nazwisko po rozwodzie.
- Racja. Sam Fisher. Sam Fisher - agent rządowy. Znów go uszczypnęła.
- Przestań. Nie jest agentem.

Ale Eh się uparł. Zanucił pod nosem temat z Jamesa Bonda i wycelował w nią z palca, jakby to był rewolwer. Sara musiała się roześmiać.

- Przestań!
- Dobra. Ale i tak uważam, że to tajny agent, a nie jakiś tam sprzedawca.
- Dlaczego tak sądzisz? I co cię to w ogóle obchodzi?
- Nie wiem. Chyba chcę wiedzieć jaki jest mój przyszły teść. Sara zamrugwała szybko powiekami.
- Twoje co?
- Słyszałaś. -Eli!

Złapał ją za rękę.

- Wiem, że za wcześnie, żeby o tym mówić. Ale posłuchaj, jeśli zdecydujesz się zamieszkać ze mną w Nowym Jorku, może się tym skończyć. Zależy mi na tobie. Naprawdę.

Spuściła wzrok.

- Wiem. Mnie na tobie też.
- Opowiedz mi o swojej matce. Jak miała na imię?
- Regan.

- I też pracowała dla rządu?

- Tak. Mówiłam ci. Była w ABN.

- Doradztwie Bezpieczeństwa Narodowego?

- Agencji.

- Nieważne.

- Przydzielili ją do Gruzji. No wiesz, tej byłej republiki sowieckiej.

-Aha.

- I tam poznała ojca. A on wtedy faktycznie pracował w CIA.

- Jak raz się zostanie szpiegiem, to jest się nim do końca życia, zawsze to powtarzam.

Rzuciła mu wymowne spojrzenie.

- Przepraszam. Mów dalej.

- Przeżyli gorący romans, a potem się pobrali. W Niemczech. Tam się urodziłam. W bazie wojskowej.

- Dziecko pułku. Kiwnęła głową.

- Można to i tak nazwać.

- Ale się rozstali?

- Tak. Właściwie nie pamiętam okresu, kiedy tata z nami mieszkał. Miałam trzy lata kiedy odszedł. Mama zawsze mówiła, że oboje chcieli rozstania - a właściwie, że to ona chciała, żeby się wyniósł - ale zawsze czułam się tak, jakby mnie porzucił. Chyba wszystkie dzieci, których ojcowie odeszli, myślą w ten sposób.

- I co było dalej?

- Mama zabrała mnie do Stanów. Dalej pracowała w Waszyngtonie i wychowywała mnie sama. Właściwie ojca poznałam dopiero jako nastolatka. Widywałam go czasami, ale zawsze wydawało mi się, że to ktoś obcy, kto tylko twierdzi, że jest moim tatą. Przywoził mi prezenty i takie tam, ale zawsze to było jakieś bezosobowe. Potem przez pewien czas w ogóle go nie widywałam. Kilka lat. Gdzieś między dziewiątym a piętnastym rokiem życia... tak mi się przynajmniej wydaje.

- Gdzie wtedy był?

- Nie mam pojęcia. Mama nic mi nie mówiła na jego temat. Niewykluczone, że sama kazała mu się trzymać od nas z dala. Naprawdę nie wiem. W każdym razie znowu się pokazał jak u mamy zdiagnozowali raka jajnika. Poszedł do niej do szpitala i nawet próbował się z nią pogodzić, ale nie wyszło. A po jej śmierci został moim opiekunem.

- I wtedy z nim zamieszkałaś?

- Tak. To było dziwaczne. Chodziłam do szkoły średniej i zupełnie nagle musiałam zamieszkać z obcym facetem, który podobno był moim ojcem. Z początku nie było łatwo, ale chyba się w końcu ułożyło. Zaprzyjaźniliśmy się nawet, szczególnie jak zdałam maturę i poszłam na studia. - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - Teraz uważam, że to wspaniały człowiek.

- Mimo, że taki tajemniczy - Eli ostatnie słowo wymówił scenicznym szeptem.

- Och, przestań.

- Wiesz co? Zejdę na dół po kanapki. Co ty na to?

- Dobry pomysł.

- Poczekaj tutaj, wrócę za kilka minut. Chcesz pewnie z mięsem?

Roześmiała się.

- Z czymkolwiek. Nieważne z czym.

- Zaraz wracam.

Wstał od stołu i wyszedł, a Sara siedziała dalej i zastanawiała się, jak to się stało, że związała się z tak interesującym człowiekiem.

Na dole Eli zatrzymał się przy sklepiku, znajdującym się w tym samym budynku co jego mieszkanie, wyciągnął komórkę i zadzwonił.

- Wszystko się zgadza - powiedział. - Sam Fisher był w CIA w latach osiemdziesiątych i ożenił się z kobietą o nazwisku Regan Burns. Umarła na raka. Mieli jedną córkę. Mieszka w Baltimore, w stanie Maryland i podobno pracuje jako „handlowiec”. Przez chwilę słuchał rozmówcy, po czym powiedział:

- Tak. Na pewno. Tak jak pan podejrzewał. To on - na pewno on.

13.

Do Iranu muszę się dostać nielegalnie. W Iraku nie ma takich kłopotów ze względu na obecność wojsk amerykańskich, natomiast Iran to całkiem inna historia. Oczywiście każdy normalny turysta, a tym bardziej przedstawiciel rządu, może po prostu wystąpić o wizę i wjechać tam legalnie. Pomimo rozpowszechnionej w Stanach Zjednoczonych opinii, że Iran to wrogi i niebezpieczny kraj, tak naprawdę jest on dość przyjazny. Odwiedzałem go wielokrotnie, przede wszystkim Teheran, i ludzie zawsze byli do mnie bardzo dobrze nastawieni. Zresztą atmosfera daleka jest już od napięcia, jakie panowało u szczytu islamskiej rewolucji. Oczywiście były takie czasy, kiedy komite, policję religijną, porównywano z Gestapo, ale dzisiaj prawie się jej nie widuje na ulicach. Mimo to trzeba uważać, podporządkować się prawom, szczególnie tym religijnym, trzymać się z dala od wieców i demonstracji, i unikać rozmów o polityce.

Ja nie mogę jednak tak po prostu wystąpić o wizę, ponieważ jestem na misji Wydziału Trzeciego. W Iranie nawet papiery Interpolu niewiele zwojują, żeby już nie wspomnieć o przynależności do ABN. Tak więc tutaj, jeszcze bardziej niż w Iraku, muszę pozostawać w ukryciu.

Najgorsze jest to, że będę musiał porzucić Toyotę i przejść przez granicę pieszo, a w Iranie znaleźć sobie inny środek transportu do Tabriz. Na piechotę raczej się tam nie dostanę.

Jeszcze przed świtem ruszam na wschód, na Rawanduz. Kiedy zaledwie kilometr dzieli mnie od punktu granicznego, skręcam z autostrady w pierwszą lepszą boczną drogę, jadę nią kawałek, po czym zatrzymuję samochód. Sprawdzam, czy mam przy sobie wszystkie potrzebne rzeczy. Kluczyki zostawiam w stacyjce - jakiś szczęśliwiec dostanie za frajer terenówkę. Wsiadam i ruszam na przełaj po nierównym terenie, unikając nadmiernego zbliżenia się do autostrady, aż w oddali dostrzegam punkt graniczny. Znajduję się na wzgórzu, nad autostradą. Wygląda na to, że samochody jadące w obie strony kontroluje trzech uzbrojonych żołnierzy. Po drugiej stronie granicy widać Irański posterunek. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale do świtu została tylko godzina. Kiedy zrobi się widno, nie będę mógł przeprowadzić się przez granicę.

Zdejmuję ubranie i chowam je do plecaka. Ubrany jedynie w kombinezon ruszam w dół zbocza. Przebiegam ostrożnie od jednego krzaka, drzewa czy głązu do drugiego, zatrzymując się za każdym razem, żeby sprawdzić, czy mnie nie zauważono. To mało prawdopodobne. Kombinezon jest czarny, a na wzgórzu nie palą się żadne światła. Uwaga żołnierzy koncentruje się na samochodach wjeżdżających i wyjeżdżających z kraju.

W piętnaście minut docieram na równinę i wskakuję do rowu. Kładę się na jego zboczu tak, że głowa ledwie mi wystaje ponad powierzchnię gruntu. Stąd mogę bezpiecznie obserwować punkt kontrolny. Nie spodziewają się raczej, że ktoś będzie usiłował nielegalnie przekroczyć granicę pieszo. Jeśli pozostanę w ukryciu i będę się posuwał na wschód, powinno mi się udać. Czekam, aż do punktu kontrolnego podjedzie samochód i jeden z żołnierzy zajmie się rozmową z kierowcą.

Na czworakach, trochę jak krab, przechodzę na drugą stronę rowu. Jestem już na poziomie punktu

kontrolnego, kiedy jeden ze strażników wychodzi na papierosa. Idzie niespiesznie wzdłuż ściany budynku od mojej strony i patrzy w niebo. Nie mogę ryzykować, że mnie zobaczy, więc leżę całkiem nieruchomo.

Kurwa, teraz skręca w kierunku rowu. Jest zamyślony i zaciąga się papierosem. Pewnie się zastanawia, co też zje na śniadanie, jak już zejdzie ze zmiany. Jest teraz tak blisko mnie, że jeśli chociaż drgnę, z pewnością mnie zauważy.

Nagle woła go któryś z kolegów. Strażnik odpowiada na wezwanie, zaciąga się po raz ostatni papierosem, a potem ciska niedopałek w moją stronę. Zapalony fragment papierosa ląduje jakieś pół metra od mojej twarzy. Na szczęście strażnik nie sprawdza, gdzie spadł jego niedopałek, tylko wraca do budynku. Wykorzystuję tę chwilę, by podnieść tłącego się papierosa i zgasić go w piasku.

Ponownie ruszam w drogę, nadal na czworakach. Przesuwam się dalej na wschód. Teraz muszę już obserwować dwa punkty kontrolne. O tej porze, tuż nad ranem, ruch jest niewielki. To prawdziwy cud, że przejazd dwóch samochodów zamaskował moje dotychczasowe poczynania. Jednak teraz na granicy nic się nie dzieje, a droga jest w obie strony pusta. Iracki strażnik wraca do budynku, ale przed irańskim punktem kontrolnym widać samotną sylwetkę mężczyzny. Stoi tam i patrzy na zachód, jakby obserwował zbliżającą się kolumnę samochodów. Co on tam robi, do diabła?

Irański strażnik woła coś w stronę irackiej granicy. Czeka kilka sekund, po czym woła jeszcze raz. Czyjeś imię. Za chwilę z budynku wychodzi mój iracki palacz i odpowiada okrzykiem. Nie rozumiem, co woła Irańczyk, ponieważ mówi w farsi, a tego języka prawie nie znam. Lepiej idzie mi czytanie w farsi, ponieważ w piśmie jest bardzo podobny do arabskiego. Irakijczyk kiwa głową, po czym obaj ruszają sobie na przeciw. Cholera jasna, co się dzieje? Spotykają się w połowie drogi, pomiędzy punktami kontrolnymi, a wtedy dociera do mnie, że nie ma się czym martwić. Irakijczyk wyciąga paczkę papierosów i częstuje Irańczyka. Opowiadają sobie chyba jakiś dowcip, bo nagle zaczynają się śmiać, a po pięciu minutach rozstają się i wracają na swoje stanowiska pracy.

Czysto. Dosłownie wczługuję się do Iranu.

Idę dalej w ciemnościach, nadal trzymając się w bezpiecznej odległości od autostrady. Niebo zaczyna nabierać głębokiego, pomarańczowo-czerwonego koloru. Słońce wzejdzie za kilka minut. Muszę znaleźć jakieś miejsce, gdzie spędzę dzień. Dochodzę do wniosku, że dzielą mnie od odpowiedniej kryjówki jakieś dwa kilometry - autostrada poprowadzona jest tam mostem.

Dziesięć minut później jestem już na estakadzie, a słońce zaczyna się wyłaniać zza wzgórz dokładnie przede mną. Most przerzucono nad wąwozem, głębokim na dobre sześćdziesiąt metrów. Iran to bardzo górzysty kraj - te wzgórza przechodzą dalej w wulkaniczne masywy Sabalan i Taleh.

Mosty to hotele, w których sypiam najczęściej. Warunki nie zawsze odpowiadają placówkom cztero- czy pięciogwiazdkowym, ale zwykle zapewniają mi to, czego potrzebuję najbardziej - spokój i schronienie. Schodzę ze wzgórz na brzeg autostrady, a następnie ostrożnie zsuwam się stromym zboczem obok mostu. Chwytam stalową podporę i wchodzę pod most. Stąd łatwo już dostać się pod

jezdnię, gdzie w konstrukcji znajduje się płytka wgłębienie. Ma mniej więcej metr szerokości, biegnie pod całą długością mostu i idealnie nadaje się na sypialnię, pod warunkiem jednakże, że nie obróć się we śnie, gdyż może się to skończyć upadkiem. Ale jak dotąd miałem szczęście.

Nim zapadam w sen, wysyłam z OPSAT-u wiadomość do Lamberta, że jestem w Iranie, w drodze do Tabriz. Potem zjadam rację polową. Nie jest to może zbyt wyszukane danie, ale przynajmniej likwiduje skurcze głodowe żołądka i wprowadza mnie w nastrój odpowiedni na drzemkę.

Przesypiam tu większość dnia - ukryty pod mostem - a droga prowadząca w głąb Iranu przebiega dokładnie nad moim spoczywającym na brzuchu ciałem.

OPSAT budzi mnie o dziewiątej wieczorem, już po zachodzie słońca. Warkot pojazdów przejeżdżających bez przerwy przez most nie zakłócał mojego snu - wręcz przeciwnie, jest w tym dźwięku coś, co wprawia w trans, jak w białym szumie. Spałem jak zabity.

Ostrożnie wycofuję się z mojej sypialni, łapię przyporę i opuszczam się na ziemię. Oddalam się od autostrady i znikam w zaroślach, gdzie nikt nie zauważy mojej obecności. Siadam ukryty pod drzewem i sprawdzam pocztę OPSAT-u. Lambert zostawił mi wiadomość.

KONTAKT REZA HAMADAN NA BAZARZE W TABRIZ, „PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCJI DYWANÓW, TABRIZ” JEST NA UŚCIE PŁAC CIA OCZEKUJE CIĘ

W porządku. Teraz chodzi o to, żeby się dostać do Tabriz. Autostop nie wchodzi w grę, więc ruszam pieszo do najbliższego miasta, czyli Mahabad - jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd. Oceniam, że dotrę tam w siedem-osiem godzin. To górzysty teren, który na pewno zdrowo odczuję w nogach. W myślach dziękuję Katii Loenstern za wszystkie ćwiczenia na zajęciach Krav Magi poświęcone tej części ciała. Droga będzie ciężka i bez wątplenia będę się musiał kilka razy zatrzymać na odpoczynek. Czyli, że zajmie mi więcej czasu, niż początkowo obliczyłem. W sumie mało ważne, w tej robocie nie raz już się porządnie zmachałem, a ta wyprawa i tak jest na razie dość spokojna w porównaniu z innymi misjami.

Po drodze mijam kilka najwyraźniej opuszczonych wiosek. Choć Iran jest, jak na tę część świata, nowoczesnym krajem, wieś nadal pozostaje tu enklawą przeszłości. Ciągłe jeszcze można zobaczyć pasterzy ubranych dokładnie tak samo, jak setki lat temu i nie wszyscy potrafią prowadzić samochód. Jeśli zostanę ranny lub zachoruję, będę zdany tylko na siebie, bo po drodze nie ma żadnych szpitali, ani pogotowia. Ta myśl przemyka mi przez głowę, gdy słyszę wycie wilków w głębi lasu, po mojej lewej stronie.

Jest prawie rano, kiedy docieram wreszcie do Mahabadu. Nie jest to duże miasto, ale większe niż wioska, właściwie takie wiejskie społeczeństwo, które właśnie budzi się ze snu. Słyszę melodyjny zaśpiew wzywający wiernych na poranną modlitwę - ten dźwięk przynajmniej na mnie działa szalenie kojąco. Oprócz dominującej w Iranie ludności perskiej region, do którego zmierzam, zamieszkiwany jest również licznie przez Kurdów i Azerów. Persowie są bezpośrednimi potomkami Aryjczyków, którzy osiedlili się tu jako pierwsi, jakieś cztery tysiące lat temu, i stanowią ponad

połowę populacji kraju. Niemal wszyscy w Iranie są szyitami - ten nurt islamu narzuca kulturę, religię i kierunek polityczny całemu państwu. Sunnici stanowią tu zaledwie dziesięć procent populacji. Co ciekawe, reszta świata islamskiego składa się prawie wyłącznie z sunnitów - tylko Iran i część Iraku jest szyicka.

Wchodzę do miasta ukrywając pod niedbałym strojem kombinezon. Tu, w górach, nie jest już tak gorąco, więc jest mi w tym stroju znośnie. Większość Persów ma jasną karnację i od biedy może uchodzić za Europejczyków, dlatego nie wyróżniam się w tłumie, nawet ze swą ciemniejszą cerą. Zapewne wyglądam jak ktoś, kto właśnie wysiadł z autobusu z Teheranu. Nikt mi się nie przygląda. Póki nie będę się musiał odezwać, nie powinno być kłopotów.

Większość mężczyzn nosi tradycyjne jeballa, czyli długie suknie, wielu ma na głowach turbany. W większych miastach widuje się ludzi ubranych na modłę zachodnią - garnitury, sportowe spodnie, koszule. Jednak kobiety prawie zawsze ubierają się w hejab, skromne suknie. Zwykle jest to czador, płaszcz przypominający namiot, udrapowany wokół głowy, nóg i ramion. Nie wolno im nosić strojów, które uwypuklałyby ich kształty. Przykryte musi być całe ciało, prócz dłoni, stóp i twarzy od podbródka do linii włosów. W miastach kobietom wolno czasami pod długim, czarnym płaszczem nazywanym roupush nosić długie spódnice, a nawet spodnie. Włosy ukrywa się zazwyczaj pod chustą. Ale tu, w tym małym miasteczku, wszystko jest bardziej tradycyjne, bardziej surowe.

To, czego szukam, znajduję na skraju miasta. Niewielki parking dla ciężarówek jadących na północ. Idę na tyły budynku, gdzie nie będę widoczny z drogi, i czekam na odpowiedni transport. Przybywa pół godziny później.

To dziesięciokołowa ciężarówka - wprost idealna na moje potrzeby - na której boku wypisano w farsi słowa PRZEDSIĘBIORSTWO PRZEWOZOWE TABRIZ. Czekam aż kierowca zniknie w toalecie i biegnę na tył naczepy, po czym kucam i wczołguję się pod platformę. Obracam pas tyłem na przód, tak że klamrę mam teraz na plecach, i wyciągam karabinek. Potem dźwigam się na rękach ponad osie, twarzą w dół i układam ciało tak, bym mógł oprzeć nogi na fragmentach karoserii. Na miejscu utrzymać mnie będzie przypięty do platformy karabinek. Nie jest to może najwygodniejszy sposób przebycia tych stu sześćdziesięciu kilometrów, jakie dzielą mnie od Tabriz, ale wypróbowałem go wielokrotnie i wiem, że nie jest taki zły, o ile ma się dość rozsądku, by nie zasnąć, ani się nie puścić.

Mija pięć minut. Kierowca wraca. Rozlega się pomruk zapalonego silnika i ruszamy w drogę. Przez następne trzy godziny podziwiam cudowny widok wprost na umykający pode mną asfalt autostrady, oddzielony od mojej twarzy zaledwie o jakiś metr.

Tabriz to największe miasto w północnym Iranie, zamieszkałe głównie przez Azerów. Składają się na nie głównie brzydkie, wielopiętrowe bloki mieszkalne, ale niektóre części starego miasta nadal reprezentują stare tradycje Iranu. Wyślizguję się spod ciężarówki i ruszam na bazar położony na południe od rzeki Mehran. Jest to najstarszy i największy bazar w całym Iranie, typowy dla przypominających labirynty starych miast, jakie spotkać można w większości krajów Bliskiego Wschodu. Przybywam na miejsce w samo południe, kiedy interesy kwitną w najlepsze. W herbaciarniach siedzi wielu klientów, palących wodne fajki lub rozprawiających z ożywieniem nad perską herbatą. Domokrądcy uwijają się wokoło nagabując przechodniów, by zaszli właśnie do tego sklepu i coś kupili. Atmosfera jest dużo swobodniejsza i miłsza niż w Iraku - co do pewnego stopnia jest zrozumiałe.

Krażę po bazarze jak turysta, póki nie odnajduję „Świata Dywanów”. Jest to niezwykle duży sklep, który specjalizuje się nie tylko w perskich dywanach, ale również w jedwabiu i przyprawach. Kiedy wchodzę do środka, wita mnie jakaś kobieta i kiwa z entuzjazmem głową kiedy pytam o Rezę Hamadana. Znika za zasłoną kryjącą zaplecze sklepu, a ja oglądam kunsztowne dywany. Zawsze zadziwiają mnie ludzie, którzy potrafią robić takie rzeczy. Dywanów nie tka się tylko po to, by przykryć nimi podłogę - w tej części świata są one symbolem bogactwa i niezbędnym elementem uroczystości religijnych czy kulturalnych. A z tego, co tu widzę, wynika, że Reza Hamadan jest mistrzem w ich produkcji.

Wychodzi właśnie z zaplecza ubrany w luźną białą koszulę o szerokich rękawach, ciemne spodnie i sandały. Ma około pięćdziesiątki i jest gładko wygolony, wyjąwszy małe chaplinowskie wąsiki. Jego ciemnoniebieskie oczy są ciepłe i błyszczące.

- Jestem Reza Hamadan - mówi wyciągając rękę. Potrząsam nią na powitanie.

- Sam Fisher.

- Oczekiwałem pana, panie Fisher. Witamy w Tabriz - mówi. Jego angielski jest doskonały.

- Dziękuję.

- Chodźmy w jakieś odpowiedniejsze miejsce. Moja żona zajmie się sklepem. - Odwraca się i woła kobietę, którą widziałem wcześniej. Ta wchodzi do sklepu, uśmiecha się, kiwa mi głową i wpuszcza nas do pokoju na tyłach sklepu. Hamadan prowadzi mnie dalej do, jak się wydaje, swojego biura. Ściany i podłoga pokryte są tu wspaniałymi dywanami, w kącie stoi mahoniowe biurko, które wygląda mi na angielską produkcję, a na środku pokoju leżą wielkie poduchy.

- Niech pan spocznie. Może herbaty? - pyta.

- Z przyjemnością.

- Proszę - powtarza, wskazując poduszki. Siadam po turecku, po czym stwierdzam, że wygodniej mi będzie siedzieć bokiem, na kolanach. Przynosi to wielką ulgę moim stopom. Hamadan wychodzi z pokoju i wraca kilka chwil później z tacą.

- To moja żona powinna nam podać herbatę, ale właśnie przyszedł klient - wyjaśnia.

Napój jest dokładnie taki, jakiego się spodziewałem - chay nieoficjalny narodowy napitek. Jest to bardzo mocna, czarna herbata serwowana w maleńkich filiżankach. Nie przepadam za nią, ale dziś smakuje niebiańsko. Kurz z autostrady dostał mi się do gardła, a napój cudownie je oczyszcza.

- Jak minęła podróż, panie Fisher? - pyta Hamadan.

- Dość dobra, dziękuję - odpowiadam taktownie.

- Cieszę się. Poproszono mnie, bym wypożyczył panu samochód, kiedy już pan tu dotrze. Należy on do mojego zięcia, który wyjechał w interesach, na długo. Proszę z niego korzystać ile pan uzna za stosowne. Może pan nim pojechać wszędzie - z wyjątkiem Iraku.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, dziękuję.

- Jak przypuszczam, ma pan jakieś pytania?

- Tak, ale nim przejdziemy do interesów, chciałbym zapytać o coś osobistego.

- Bardzo proszę.

- Jak pan został współpracownikiem CIA?

Hamadan uśmiecha się szeroko ukazując błyszczące białe zęby.

- W latach siedemdziesiątych, jeszcze przed upadkiem szacha, spędziłem młodość w Stanach Zjednoczonych. Uczęszczałem do niewielkiego koledżu w Teksasie, gdzie uczyli się też inni studenci z Iranu. Ta szkoła prowadziła wówczas program wymiany z naszym krajem. Studiowałem nauki polityczne i język angielski. Pewnego razu przyszli do mnie porozmawiać ludzie z waszego rządu. Oczywiście chcieli zwerbować młodych Irańczyków, aby szpiegowali dla Stanów w Iranie. Oferowali niezłe wynagrodzenie, a ja byłem młody i miałem duże potrzeby, więc przyjąłem ofertę. Od tamtej pory ciągnę z CIA dodatkowe dochody. I nie mam się na co skarżyć.

- To fascynujące - odpowiadam. - Jaki ten świat mały, prawda?

- I codziennie staję się mniejszy. Przejdźmy jednak do interesów. - Odstawia filiżankę i patrzy mi w oczy. - Panie Fisher, mam swoich ludzi w podziemiu przestępczym i w policji - nie tylko w mojej ojczyźnie, ale i w krajach sąsiednich. Nim jeszcze pański rząd skontaktował się ze mną i uprzedził o pańskiej spodziewanej wizycie, słyszałem jak wymieniano pańskie nazwisko w... pewnych kręgach.

-O?

- Panie Fisher, wystawiono kontrakt za pana głowę. Jest pan teraz celem.

- To dla mnie żadna nowość - mówię.

Hamadan mierzy mnie wzrokiem, jakby oceniając.

- Sądzę, że albo jest pan bardzo odważnym człowiekiem, panie Fisher, albo bardzo głupim.

- Proszę mi mówić po imieniu.

- Oczywiście, pod warunkiem, że pan będzie mi mówił Reza.

- Doskonale. Co dokładnie chcesz mi powiedzieć?

- Że nie traktujesz serio mojego ostrzeżenia.

- Oczywiście, że biorę je serio. Podobnie jak wszystkie inne pogróżki.

- Wybacz mi zatem. Być może wziąłem twą pewność siebie za obojętność.

- Reza, ja tkwię w tym od bardzo dawna. Dużo trzeba, żeby mną wstrząsnąć. Może mi po prostu powiesz o co chodzi tym razem?

Kiwa głową i uśmiecha się.

- Już cię zdążyłem polubić, Sam. Masz... jak to się mówi? Klasę.

- Pociąga łyk herbaty i ciągnie: - Zapewne znałeś pana Bentona?

- Nie osobiście. Rick Benton pracował dla tej samej firmy co ja.

- Prowadziłem interesy z Bentonem. Byłem jednym z jego informatorów. Lubiłem go. Trudno mi było uwierzyć, że zginął. On również był bardzo pewny siebie.

- Mów dalej.

- Musisz wiedzieć, że Benton próbował wysledzić jakie powiązania ma Sklep. Chciał wiedzieć gdzie ma swoją siedzibę, jak pracuje i kto stoi na jego czele. Przez ostatnie dwa lata to była jego obsesja. Pomagałem mu jak mogłem. Wyszukiwałem informacje, wskazywałem pewne kierunki poszukiwań... Podejrzewam, że za bardzo się wychylił i Sklep się o nim dowiedział. Benton sam mi to powiedział, zaraz po śmierci waszego człowieka na Dalekim Wschodzie. To był Lee?

- Tak. Dan Lee. W Makau.

- Właśnie. Po tym zdarzeniu Benton powiedział mi, że jego zdaniem Sklep zdobył listę nazwisk. Nazwisk agentów ABN. I obawiał się, że właśnie rozpoczęto akcję eliminowania wszystkich ludzi z tej listy.

Rozważam jego słowa.

- Nie kwestionuję podejrzeń Pucka, ale sądzę, że obaj przeceniacie Sklep. Jeśli istotnie są w posiadaniu takiej listy, trudno sobie wyobrazić skąd mogłaby pochodzić.

- To samo powiedział Benton. Bardzo tajemnicze zdarzenie.

- Wiesz co, Reza? Nie zamierzam się teraz tym martwić - stwierdzam. I mówię prawdę. Mam poważniejsze zmartwienia, a podczas każdej misji rutynowo wiele czasu poświęcam na chronienie własnej osoby. - Możesz mi coś opowiedzieć o śledztwie Ricka?

- Benton próbował rozpracować trasy przerzutu broni do Iraku. Uważał, że pochodzi ona z Azerbejdżanu, ale nie był tego całkiem pewien. W zasadzie się z nim zgadzam. Jeśli istotnie w grę wchodzi Azerbejdżan, możliwe są dwa kanały przerzutowe - jeden przez Iran, a drugi przez Armenię i Turcję. Powiem ci co ja sądzę. Nie wierzę, że kanałem przerzutowym jest Iran, choć niewykluczone, że sam Sklep chce, byśmy tak myśleli. Do mojego kraju niewątpliwie wwożone jest uzbrojenie, ale stąd nie wyjeżdża. Wiem, że nasz rząd bardzo mocno skupia się na likwidacji nielegalnego handlu bronią. Nie chce, żeby Iran był postrzegany jako kraj współpracujący z międzynarodowym terroryzmem, jak o nas teraz mówią na świecie. Nasz rząd jest szczególnie zaniepokojony pojawieniem się radykalnych grup terrorystycznych, które mogą mieć powiązania z Iranem.

- Jak na przykład Cienie? Hamadan uśmiecha się ponownie.

- Jesteś bardzo przenikliwy.

- Ta grupa szybko staje się dla nas priorytetem - wyjaśniam.

- O tak, bardzo słusznie. W mediach i naszym rządzie żywi się pewne podejrzania, że baza Cieni znajduje się w Iranie. Mam nadzieję, że to nieprawda. Nie wierzę w to.

- Reza, będziemy wdzięczni za wszelkie informacje.

- Nie wiem zbyt wiele. Tylko tyle, że Cienie przyznają się ostatnio do wielu ataków. Czy mamy chociaż pewność, że naprawdę istnieją? A może to al-Kaida czy inna znana grupa, która próbuje nas zmylić?

- Nie, nie sądzę. Ich metody są nieco inne, choć skutki podobne. Wydaje mi się nawet, że parę dni temu w Arbil spotkałem członków Cieni.

- Naprawdę?

- Tak. Coś mi to przypomniało. Co wiesz o WYTWÓRNI OPAKOWAŃ TABZIR?

Hamadan marszczy czoło.

- A o co chodzi?

- W Arbil skonfiskowano transport broni. Była w skrzynkach oznaczonych taką pieczęcią.

Wzrusza ramionami.

- To duża firma, która produkuje pudła, skrzynki, kontenery... Ich magazyn znajduje się pod miastem.

- Zamierzam się tam przejść.

- To nie zaszkodzi, ale wątpię, czy sama firma jest zamieszana w coś nielegalnego. Sprzedają swoje produkty wielu klientom. Sklep może je kupować przez pośrednika, albo podstawioną firmę.

- To możliwe. Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie. Czy słyszałeś kiedyś nazwisko Tarighian?

- Tarighian? - Hamadan wydaje się zaskoczony. - Nasir Tarighian?

- Nie znam imienia.

- Nasir Tarighian to irański bohater wojenny z czasów wojny irańsko-irackiej.

- Opowiedz mi o nim.

- Był bardzo bogaty, miał kilka firm i brał aktywny udział w polityce. Wpadł w drobne kłopoty w latach osiemdziesiątych, ponieważ wypowiadał się przeciw rewolucji islamskiej. Po wybuchu wojny przeżył tragedię - iracka bomba zniszczyła jego dom i zabiła część jego krewnych. Wtedy poprzysiągł zemstę na Iraku. Zorganizował antyiracką milicję - tak naprawdę to była zwykła grupa

terrorystyczna. Co i raz wyprawiali się na drugą stronę granicy. Byli bezlitośni - zabijali niewinnych cywilów i wysadzali w powietrze różne obiekty. Tu, w Iranie, Tarighian został kimś w rodzaju ludowego bohatera, ale rząd nie popierał jego akcji. Zamierzali położyć kres jego działalności, ale nim przyszło co do czego, iracka armia zastawiła pułapkę na jego grupę. Tarighian zginął, a jego milicję rozwiązano.

- Tarighian nie żyje?

- Takie jest powszechne mniemanie. Od tamtej pory nikt o nim nie słyszał. Chociaż po bitwie nie

odnaleziono ciała.

- Hmm. Słyszałem w Arbil, jak jeden z członków Cieni wymienił to nazwisko.

- Popytam - obiecuje Hamadan. - Natomiast ja słyszałem tylko jedno nazwisko powiązane z Cieniami. Ahmed Mohammed. Na pewno też o nim słyszałeś.

- Tak, między innymi w Arbil, a poza tym pojawia się w wielu raportach - odpowiadam. - Jestem pewien, że znajduje się na liście najbardziej poszukiwanych przez FBI terrorystów.

- Mohammed to Irańczyk, znany terrorysta, którego ściga i nasz rząd za różne zbrodnie. Wiem od swoich informatorów, że zajmuje wysoką pozycję w strukturze Cieni. Nie jest może głównym szefem, ale zapewne planuje operacje i potem je przeprowadza.

- W takim razie będę się za nim rozglądać.

Hamadan wstaje i podchodzi do biurka. Otwiera szufladę i wyjmuje cienką, kartonową teczkę. Przynosi mi ją.

- To należało do Bentona. Czasami nocował w pokoju nad sklepem i był u nas również tuż przed wyjazdem do Belgii. Zostawił tutaj swoje materiały, a ja je znalazłem. Może ci się przydadzą. Jeśli chcesz, możesz zamieszkać w tym samym pokoju.

- Dzięki.

Otwieram teczkę. W środku znajduje się plik papierów i kilka zdjęć. Wyciągam pierwsze. Są na nim dwaj mężczyźni, przy czym jeden wydaje mi się znajomy. To z pewnością mieszkaniec Bliskiego Wschodu, ma około pięćdziesiątki i coś dziwnego z twarzą. Drugiego nie znam.

- A tak, jest coś jeszcze - mówi Hamadan. - Benton kontaktował się z tym człowiekiem. - Wskazuje na faceta, który wydaje mi się znajomy. - Nazywa się Namik Basaran. To Turek. Benton uważał, że Basaran ma dostęp do jakichś przecieków z Cieni.

- Namik Basaran. Chyba o nim słyszałem.

- Pewnie widziałeś go w telewizji. To przedsiębiorca, jest właścicielem wielkiego koncernu w Van, w Turcji. Firma nazywa się Akdabar Enterprises. Słyszałeś o niej?

- Nie.

- Zajmują się głównie budownictwem, wydobywaniem ropy i produkcją stali. Oprócz tego Basaran prowadzi organizację charytatywną o nazwie Tirma, której misją jest pomoc ofiarom terroryzmu na całym świecie. Założył ją z własnych pieniędzy. Jest popularny w mediach, zawsze w wiadomościach wypowiada się przeciw terroryzmowi, jeśli nastąpi gdzieś atak. Wiadomo, że

pomagał policji tureckiej w śledztwach przeciw terrorystom. Ma chyba również powiązania w sąsiednich krajach.

- Nazwa organizacji charytatywnej coś mi mówi. Niewykluczone, że słyszałem o tym facecie.

- Poznałeś go osobiście? - pytam.

- Nigdy, ale robiliśmy razem interesy. Sprzedałem mu kilka dywanów do jego biur. Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze go poznam. To bardzo szczodry człowiek, chociaż podejrzewam, że najbardziej zależy mu na rozgłosie w mediach. Ale przynajmniej robi coś konkretnego.

- A kim jest ten drugi na zdjęciu? - To nie Arab ani Pers. Wygląda, jakby pochodził z Europy. Jeszcze jeden facet dobrze po pięćdziesiątce. Może nawet po sześćdziesiątce.

- Nie mam pojęcia. Benton też nie wiedział.

- Skąd Rick miał to zdjęcie?

- Nie wiem.

Wkładam fotografię do teczki i kiwam głową.

- Wygląda na to, że czeka mnie trochę pracy. Jeśli pozwolisz, skorzystam z twojej gościnności, odpocznę trochę, a w nocy obejrzę ten magazyn opakowań.

- Jasne. Pokażę ci pokój.

Wychodzę za Hamadanem z biura i wchodzę na piętro. Jest tu niewielka, ale bardzo przytulna sypialnia z materacem i całą masą poduszek. Ma nawet osobną łazienkę. Jak dla mnie, to prawdziwy luksus. Dziękuję Hamadanowi i mówię, że zobaczymy się przy kolacji. Potem kładę się, żeby odpocząć. Nim zasypiam, sprawdzam, czy OPSAT nie przyjął żadnej nowej wiadomości. Jest jedna, od Lamberta. Bardzo prosta.

ODEZWIJ SIĘ DO MNIE

Naciskam implant nadajnika na szyi.

- Pułkowniku? Jest pan tam?

Po chwili słyszę w uchu głos Lamberta.

- Sam? Gdzie jesteś?

- W Tabriz. U Rezy Hamadana.

- Świetnie, udało ci się. Słuchaj, mam złe wieści. Zamordowano wczoraj kolejnego Kolekcjonera. Marcusa Blaine'a.

Blaine. Nie znałem go osobiście, ale wiedziałem, kim był. Rezydentem Wydziału Trzeciego w Izraelu.

- Jak to się stało? - pytam.

- Jeszcze nie wiemy. Szczegółów jeszcze nie znamy, ale ze wstępnego raportu wynika, że w grę może wchodzić ten sam zabójca, czy zabójcy, co w przypadku Ricka Bentona i Dana Lee.

I w tym momencie zaczynam brać nieco poważniej rewelacje Hamadana na temat posiadania przez Sklep listy nazwisk Kolekcjonerów.

15.

Andriej Zdrok siedział w swym biurze w Szwajcarsko-Rosyjskim Międzynarodowym Banku Handlowym, wyglądając przez okno na ulicę w finansowej dzielnicy Zurychu. Od kilku lat to miasto stanowiło jego dom i był do niego szczerze przywiązany. Życie w Zurychu nie jest tanie, ale Zdrok miał dość pieniędzy, by korzystać ze wszystkiego, co jest tu najlepsze. Posiadał własny pałacyk nad brzegiem jeziora - swą dumę i radość - a opuszczał go tylko po to, by jechać do banku. Kiedy nie pracował, poświęcał czas kosztownym hobby. Miał na przykład sześć samochodów, uznawanych za prawdziwe okazy kolekcjonerskie, w tym Rolls-Royce z 1933 roku, który należał niegdyś do Paula Hindenberga. Jednakże jego najcenniejszym nabytkiem był kupiony całkiem niedawno jacht, „Swan 46”. Lubił nim wypływać na jezioro, a czasami nawet na nim sypiał. Uważał, że trafił mu się spory fragment nieba na ziemi.

Sklep dobrze sobie radził. Przedsięwzięcie zaczęło się skromnie i początkowo działało z terytorium Gruzji. Pierwszej sprzedaży broni Zdrok dokonał wspólnie z Antipowem, po czym dokooptowali do zespołu Prokofiewa i Herzoga. Sklep rósł szybko, podobnie jak jego wpływy, i dostarczał broń wszystkim, którzy mieli czym zapłacić. Zdrok nie miał ani politycznych poglądów, ani aspiracji. Jego jedynym motywem działania był wszechmocny dolar.

Interes rozkwitł tak naprawdę dopiero podczas konfliktu w Bośni. Wówczas Zdrok, ze względów bezpieczeństwa, przeniósł bazę operacji do Baku w Azerbejdżanie i założył Pierwszy Oddział Szwajcarsko-Rosyjskiego Banku w Zurychu. Dwa lata później powstał Drugi Oddział, w Baku. Pod przykrywką obu banków działała dyskretna maszyna Sklepu, zajmująca się marketingiem, pozyskiwaniem klientów, dostawami i praniem pieniędzy z zysków. Znalezienie odpowiedniego personelu do takich zadań zajmowało wiele czasu - Zdrok musiał mieć pewność, że jego ludzie pozostaną lojalni. Płacił im dobrze, a to jest zawsze dobrą drogą do zapewnienia sobie lojalności. Szeregowi członkowie organizacji niewiele wiedzieli o jej działaniu. Dzięki Bogu, jak dotąd nie został złapany żaden z członków Sklepu posiadający prawdziwą wiedzę.

Andriej Zdrok uważał, że zasłużył sobie na życie, jakie prowadził w Zurychu.

Największy problem, jaki teraz stał przed Sklepem, to odbudowa siatki na Dalekim Wschodzie. Interesy zostały tam wprawdzie poważnie nadszarpnięte, ale nie permanentnie. Sklep miał własny wywiad, dzięki któremu Zdrok wiedział, że za zniszczenia odpowiada amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Operację „Miotła”, czyli akcję wykrywania i eliminowania zachodnich szpiegów, rozpoczął jeszcze przed wydarzeniami w Makau, ale obecnie uzyskała ona status priorytetowy.

Zdrok zastanawiał się jak naprawić sytuację na Dalekim Wschodzie w sposób szybki i nie wymagający wielkich nakładów. Można było zacząć współpracę z nowym partnerem, czyli przywódcą chińskiej triady o nazwie Szczęśliwy Smok, z którym Sklep już wielokrotnie robił interesy. Chińczyk nazywał się Jon Ming i niewykluczone, że był obecnie najbardziej wpływowym gangsterem w Chinach. Mieszkał w Hongkongu, gdzie jego triada działała od wielu dziesięcioleci.

Nawet po przekazaniu wyspy Chinom, kiedy inne triady wyniosły się z tej byłej brytyjskiej kolonii, Ming i jego Szczęśliwe Smoki pozostały na miejscu. Łączyły go specjalne stosunki z chińskim rządem - to on pociągał za sznurki i trzymał prawodawców w szachu. Tak, Ming mógł być odpowiedzią na kłopoty Sklepu, ale Zdrok nie był pewien, jak inni zareagują na wprowadzenie go do spółki.

Był też pewien Amerykanin, którego poznał kiedyś na Dalekim Wschodzie i który mógł się okazać pomocny. Pozostali udziałowcy Sklepu na pewno wzbraniałoby się przed współpracą z tym człowiekiem, ale Zdrok uważał, że może im ona przynieść wymierne korzyści. W końcu człowiek, o którym mowa, był znany i cieszył się zaufaniem amerykańskich agencji. Zdrok postanowił na razie odłożyć na bok tę myśl i wrócić do niej nieco później. Miał czas.

Zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i powiedział: - Zdrok. Następnie wysłuchał wiadomości i zakończył rozmowę krótkim: - Dziękuję.

Odłożył słuchawkę, obrócił się na krześle w stronę komputera i zalogował się.

Dyrektor techniczny zapewnił go, że poufne dane Sklepu zostały zaszyfrowane w taki sposób, że nie można się do nich włamać. Nawet gdyby w banku pojawiła się kontrola i skonfiskowała twarde dyski komputerów, nikt nie zdołałby się dostać do tych informacji. Dlatego Zdrok trzymał wszystkie dane Sklepu, plany i operacje w swoim biurowym komputerze.

Otworzył plik dotyczący operacji „Miotła”, czyli akcji eliminowania ludzi, którzy chcieli zamknąć Sklep. Ci agenci wywiadu, naślani przez zagraniczne mocarstwa, by zniszczyć stworzoną przez Zdroka maszynkę do robienia pieniędzy, byli jego wrogami.

Czyż nie miał prawa iść za swym powołaniem? Kim byli, by mu mówić, co wolno, a czego nie wolno sprzedawać? Producenci i handlarze bronią nie zabijają ludzi. A to, co robią z nią ich klienci nie leży w sferze ich zainteresowań.

Na ekranie monitora pojawiła się lista nazwisk. Część zapisano na czarno, inne na czerwono. Zdrok wybrał zapisane na czarno - Marcus Blaine - i zmienił kolor na czerwony. Marcus Blaine został „skasowany”, podobnie jak dwaj inni agenci, których nazwiska zaznaczono czerwonym kolorem: Dan Lee i Rick Benton.

Pozostały jeszcze dwa nazwiska. Zdrok kliknął pierwsze z nich, to, które nosił zapewne niejaki Sam Fisher. Szybko przeczytał zebrane na temat tego człowieka informacje - że przypuszczalnie był w latach osiemdziesiątych agentem CIA, ożenił się z agentką ABN o imieniu Regan, pracował w rejonie Waszyngtonu i Baltimore, oraz że był pierwszym Kolekcjonerem Wydziału Trzeciego. A co najważniejsze, najprawdopodobniej miał dwudziestoparoletnią córkę. Nikt nie wiedział, jak Fisher wygląda, ale te dane powinny wystarczyć do jego wyśledzenia. Człowiek Sklepu w Izraelu spisał się doskonale.

Zdrok podniósł słuchawkę i wystukał numer na klawiaturze telefonu. Kiedy uzyskał połączenie

powiedział:

- W porządku. Przekonaliście mnie. Czas zacząć działać w sprawie Fishera. Ustalcie gdzie teraz jest. I nie używajcie na razie siły - to będzie ostateczność. Zapewne wystarczy presja psychiczna. W końcu to tylko młoda dziewczyna.

16.

Po solidnej dawce snu na prawdziwym materacu budzę się wypoczęty i siadam do studiowania materiałów z teczki Ricka Bentona. Nie ma ich tam wiele. Większość danych musiał trzymać w laptopie, który, jak rozumiem, nie został odnaleziony. Albo w domu, na pewno starannie przeczczanym przez ABN. Niemniej jest tu parę rzeczy wartych odszyfrowania.

Pierwszą jest pokryta gryzmołami kartka. Benton zapisał na niej kilka słów, po czym narysował strzałki pomiędzy poszczególnymi nazwiskami, najwyraźniej próbując je połączyć, albo wykazać ich powiązania. Te słowa to: Sklep, Cienie, Tarighian, A. Mohammed, Zdrok i Mertens. Dwa pierwsze są mi, oczywiście, znane, a nazwisku Tarighian zamierzam się przyjrzeć w najbliższej przyszłości. O człowieku określanym jako „A. Mohammed” usłyszałem od Hamadana. Dwa ostatnie są dla mnie tajemnicą. Wyraźnie kluczowym słowem jest tu Sklep. Od niego strzałka prowadzi do Cieni. Kolejna strzałka prowadzi od Cieni do A. Mohammeda, a jeszcze jedna, tym razem narysowana przerywaną linią, do Tarighiana. Przy tym nazwisku widnieje również duży, podkreślony znak zapytania. Znak zapytania stoi też przy nazwisku Mertens, które ze słowem Cienie łączą dwie strzałki, wskazujące wyraźnie oba kierunki. Jedyne niepołączone z niczym słowo to Zdrok. Obwiedzione jest kółkiem.

Nie mam pojęcia, co to znaczy, więc wystukuję wiadomość na panelu OPSAT-u, robię zdjęcie kartki i przesyłam całość Lambertowi. Może on i jego zespół coś z tego zrozumieją. Dlaczego Benton nie przekazał wiadomości do Waszyngtonu, jak tylko coś odkrył? Lambert ma chyba rację - był lekkomyślny. Może zrobił się zbyt pewny siebie. Czasami zdarza się to w naszej pracy.

Fotografuję również zdjęcie Namika Basarana i wysyłam je do Waszyngtonu z prośbą o identyfikację drugiej znajdującej się na nim osoby.

Cokolwiek odkrył Benton w sprawie Sklepu i Cieni, było na tyle ważne, że kosztowało go życie. Czuję się tak, jakbym zstępował w mroczne wody, jakbym nurzał się w jego krwi. Mam nadzieję, że zdołam rozwiązać zagadkę nim siły, które stanęły na jego drodze, przetną również moją ścieżkę.

Po zapadnięciu zmroku ruszam z Tabriz do magazynu firmy produkującej opakowania dwudrzwiowym Pazhanem Rezy, czyli miejscową wersją Jeepa. Magazyn mieści się na zachodnich przedmieściach miasta, w dzielnicy przemysłowej. Pazhan jest stary i kopci niemiłosiernie - ma już chyba ze dwanaście lat. Rząd irański nie zezwala na import większej ilości zachodnich samochodów - częściej można tu spotkać marki japońskie. Samochody irańskiej produkcji słyną z zanieczyszczania środowiska, ale w zasadzie mają na tym rynku monopol.

Magazyn WYTWÓRNI OPAKOWAŃ TABRIZ to duży budynek liczący jakieś trzydzieści lub czterdzieści lat. O tej porze teren wokół nie jest zbyt rześkie oświetlony, może dlatego, że nie bardzo jest tu co kraść.

Zjeżdżam z głównej drogi i parkuję Pazhana jakieś czterysta metrów od magazynu. Mam na sobie kombinezon i hełm. Wsiadam z samochodu i ruszam w kierunku budynku, mijając po drodze pusty

parking. Zatrzymuję się na chwilę w pobliżu służbowego wejścia, przyciskając plecy do ściany budynku. Nad drzwiami świeci pojedyncza żarówka. Ładuję karabinek SC-20K pociskiem ogluszającym i strzelam do niej. Trafiam - front magazynu tonie teraz w ciemnościach. Mam nadzieję, że brzęk rozbijanego szkła nie przyciągnął uwagi strażników.

Staję przed drzwiami i zaglądam przez umieszczone w nich kwadratowe okienko. W środku palą się światła, ale trudno zorientować się w rozkładzie pomieszczeń. Wytrychem otwieram zamek i wchodzę do środka.

Znajduję się w pustej recepcji. Do części magazynowej prowadzą drzwi z szyfrowym zamkiem. Opuszczam na twarz gogle i włączam termowizję. Mam szczęście - ktoś niedawno tędy wchodził. Ostatnio naciskane przyciski noszą ślady ciepła przez dłuższą chwilę po użyciu. Rzecz w tym, by nacisnąć je potem w odpowiedniej kolejności. Biorąc rzecz na logikę, przycisk emitujący najmniej ciepła będzie tym, który przyciśnięto jako pierwszy, a ten świecący najmocniej będzie ostatni. Rozróżnienie kolejności w jakiej naciśnięto trzy pozostałe jest już trudniejsze.

Na tym konkretnym panelu naciśnięto tylko cztery przyciski. Co oznacza albo że kod składa się tylko z czterech cyfr, albo, że któraś z nich się powtarza. Potrzebuję tu nieco pomocy, więc celuję panelem OPSAT-u w klawiaturę i robię zdjęcie. Następnie, za pomocą dostępnych opcji podbijam kontrast obrazu. Otrzymuję cyfrowy odczyt jasności poszczególnych przycisków. Ten z dwójką świeci najjaśniej, więc albo naciśnięto go dwukrotnie, albo taka jest ostatnia cyfra kodu. Druga pod względem jasności jest czwórka, potem ósemka i trójka.

Wystukuję na panelu 3, 8, 4 i 2. Nic się nie dzieje.

Wystukuję 2, 3, 8, 4 i 2. Nic się nie dzieje.

Wystukuję 3, 2, 8, 4 i 2. Nic się nie dzieje.

Wystukuję 3, 8, 2, 4 i 2. Zapala się zielona dioda. Drzwi otwierają się. Mam szczęście, że system nie włącza alarmu po trzech nieudanych próbach, jak to się często zdarza.

Wchodzę do magazynu. Jedyne źródło światła znajduje się tutaj, na samym jego początku. Koło drzwi stoi biurko, zapewne używane przez brygadzystę, albo magazyniera. Leży na nim otwarta książka, okładką do góry. Wiem, że nie jestem tu sam. Ślady ciepła na klawiaturze zamka nie wzięły się znikąd.

Reszta magazynu jest pełna najróżniejszych skrzynek, pudełek, puszek, beczek, stosów płaskich kawałków tektury, które można złożyć w pudła, a nawet plastikowych pojemników kuchennych w rodzaju tych, jakie produkuje firma Tupperware. Zadziwiające.

Idę dalej, do części, gdzie znajdują się skrzynki. Wszystkie oznaczone są tym samym stemplem, WYTWÓRNIA OPAKOWAŃ TABRIZ, jaki widziałem już w Arbil. Klepię dłonią w bok jednej skrzynki i słyszę pogłos - jest pusta. Jednak, na wszelki wypadek, sięgam do plecaka i wyciągam

wykrywacz metali. Wyglądem zbliżony jest do ręcznych wykrywaczy, jakich używa się na lotniskach, jeśli przy przejściu przez bramkę podróżny uruchomi alarm.

Idąc przejściem między skrzynkami przesuвам po nich wykrywaczem metalu. Jak dotąd wszystkie są puste. Kiedy mijam skrzyżowanie z alejką prowadzącą do innej sekcji, wykrywacz metalu nagle zaczyna brzęczeć, trochę za głośno, jak na moje potrzeby.

Podważam nożem wieko skrzyni i zaglądam do środka. Części silnika - też mi coś.

- Salaam?

Zamieram w bezruchu. Oto mój nieznany towarzysz, ten który zostawił ślady termiczne na klawiaturze zamka. Głos dobiega z drugiej strony magazynu. Cholera jasna. Musiał usłyszeć brzęczenie wykrywacza.

- Salaam?

Jest teraz bliżej. Idzie tu. Szybko cofam się alejką, którą przyszedłem, cicho stąpając na palcach, mając nadzieję, że mój towarzysz nie zorientował się dokładnie, skąd dobiegł dźwięk. Cofam się tak, póki nie natrafiam na przejście, w którym panuje zupełny mrok. Szybko wspinam się na półki magazynowego regału i kładę na najwyższej. Muszą używać wózków widłowych, żeby zdjąć stąd skrzynki. Leżę na brzuchu i czekam.

Zgodnie z oczekiwaniem, wkrótce dostrzegam samotnego starszego nocnego stróża, idącego powoli alejką. Nie jest pewien, co słyszał i czy w ogóle coś słyszał. Mimo to, jak mi się wydaje, jest przestraszony. Oto i dowód, że w magazynie nie znajduje się nic, co by mnie mogło zainteresować. Gdyby tu była ukryta nielegalna broń, Sklep nie powierzyłby jej ochrony samotnemu dziadkowi, który dawno przekroczył sześćdziesiątkę.

W końcu strażnik rezygnuje z poszukiwań i wraca za biurko przy frontowym wejściu do magazynu. Widzę go wyraźnie z mojego ukrycia. Siada, otwiera książkę i zaczyna czytać. Od czasu do czasu podnosi głowę i patrzy badawczo na alejki w zasięgu wzroku, po czym wraca do lektury. Cholera. Jak długo będę musiał tu zostać?

Naprawdę nie chcę tego robić, ale nie mam wyboru. Nie zamierzam spędzić reszty nocy w tym zaplутym magazynie. Powoli zdejmuję z ramienia karabinek i sięgam po kolejny pocisk ogłuszający. Ładuję strzelbę i celuję w głowę biedaka. Z tej odległości pocisk nie powinien mu wyrządzić większej krzywdy. Ogłuszy go na chwilę, a kiedy się ocknie, będzie miał fatalny ból głowy, to wszystko.

Celuję w jego potylicę i naciskam spust. Doskonały strzał. Strażnik pada do przodu. Wygląda teraz jakby zasnął przy czytaniu.

Schodzę na dół i idę na tył magazynu. Wszystko wygląda tu całkiem niewinnie i już mam dać sobie

spokój, kiedy dostrzegam biuro. Znajduje się w rogu - pokój z oknem do którego prowadzą drzwi. Otwarte drzwi.

Włączam naktowizor i przerzucam papiery na biurku. Większość nic mi nie mówi, trafiam jednak na czysty blankiet manifestu transportowego wydrukowany w dwóch językach: w farsy i po angielsku. Skoro jest jeden, musi być ich więcej. Porzucam biurko i kieruję uwagę na szafki na akta. Otwieram je, jedną po drugiej, aż znajduję tę, w której trzymają formularze manifestów - również te wypełnione. Przeglądam daty i odnajduję teczkę z wysyłkami z ostatniego miesiąca. Wiele z tego nie rozumiem, ale udaje mi się odczytać kilka nazw miast i krajów.

Wytwórnia Opakowań Tabriz najwyraźniej dostarcza swe towary na cały Bliski Wschód. Mają klientów w Iraku, Turcji, Libanie, Syrii, Jordanii, Egipcie, Afganistanie, Arabii Saudyjskiej, Kuwejcie i nawet w Izraelu. Są też klienci z Rosji, Azerbejdżanu, Armenii, Gruzji, Czech i z Polski.

Zatem skrzynki, które widziałem w Arbil mogły się wziąć skądkolwiek. Czyli jest to fałszywy trop.

Nagle zauważam coś interesującego. Manifesty wysyłek do Akdabar Enterprises w Van w Turcji. Reza wspominał o tej firmie. Jej właścicielem jest ten filantrop, Basaran. Są też manifesty wysyłek do jego fundacji, Tirmy. Zbieg okoliczności?

Odkładam wszystko na miejsce i wychodzę z biura. Kiedy docieram na front magazynu strażnik nadal jest nieprzytomny. Podchodzę do niego cicho i upewniam się, że oddycha regularnie. Nic mu nie będzie. Wychodzę z magazynu, wracam do samochodu i jadę do miasta.

O świcie ruszam w kierunku Turcji. Dochodzę do wniosku, że czas, bym osobiście poznał pana Namika Basarana i ustalił, czym się naprawdę zajmuje. Wysyłam raport do Lamberta, żegnam się z Rezą i klasyfikuję swą wizytę w Iranie jako pouczającą, ale niezbyt owocną.

Jak dotąd Sara upiła się dwa razy w życiu, a żadne z tych doświadczeń nie było specjalnie przyjemne. Za pierwszym razem była jeszcze w liceum - wraz z przyjaciółkami poszła na prywatkę, na którą chłopcy przynieśli beczkę piwa. Zabawa odbywała się bez nadzoru dorosłych i wszyscy wypili za dużo. Część rodziców zauważyła, co się stało i następnego dnia w szkole wybuchło piekło. Ojciec Sary był rozczarowany jej zachowaniem, ale nie ukarał jej zbyt surowo. Po prostu upewnił się, że na następnej prywatce, na którą pójdzie, będą obecni rodzice.

Drugi raz miał miejsce jakiś miesiąc po wyjeździe z domu na studia do Evanston. Właśnie zaczynała chodzić z pewnym chłopakiem, a on pewnego wieczora przyniósł butelkę Jacka Danielsa i mieszał burbona z colą. Wypiła wtedy trzy szklanki, po czym dostała strasznych torsji, ku wielkiemu rozczarowaniu chłopaka.

Ktoś powiedział, że dopiero za trzecim razem jest przyjemnie. Ta myśl przemknęła przez głowę Sary, kiedy sączyła powoli czerwone wino. Rywka zdążyła już oświadczyć, że dziś zamierza się „wstawić”, a chłopcy zadeklarowali, że nie pozostaną w tyle. Sara postanowiła, że wypije tyle, by zaszumiło jej porządnie w głowie, ale nie zamierzała znowu rzygać.

Siedzieli w barze, w Nowym Mieście. Noel był tu już kilka razy i wiedział, że nikt nie będzie pytać dziewczyn, czy są pełnoletnie. Na początek kupili dwie butelki wina, po czym zasiedli w gabinecie na końcu zadymionej sali, ukrytym przed wzrokiem nielicznych stałych bywalców, którzy i tak zbyt zajęci byli własnymi drinkami, by zwracać uwagę na roześmianą i szczęśliwą młodzież.

Początkowo Sara uznała bar za przygnębiający, ale Eli zapewnił ją, że zaraz ożywią atmosferę. I rzeczywiście, po opróżnieniu pierwszej butelki wina zaczęli się świetnie bawić. Eli i Noel potrafili być bardzo zabawni, szczególnie kiedy opowiadali nieprzyzwoite dowcipy, a Sara i Rywka właśnie tego oczekiwały. W przerwach między dowcipami obie pary całowały się namiętnie.

- Wiecie co? Mam pomysł - powiedział Eli. Spojrzał na Noela. - A może tak po „Irlandzkim Samochodzie-Pułapce”?

Noel najpierw zrobił oczy, a potem roześmiał się.

- Jasne!

- A co to jest? - spytała Sara.

- „Irlandzki Samochód-Pułapka”? Spodoba ci się - zapewnił Noel.

- „Irlandzki Samochód-Pułapka”? O czym wy mówicie? - zachichotała Rywka.

- To drink, głuptasie - wyjaśnił Eli. - Zaraz wracam. Wstał i poszedł do barmana.

- Nie wiedziałyście, że to irlandzki pub? - spytał Noel.

- Irlandzki pub? W Jerozolimie? - zdziwiła się Sara.

- Wcale nie wygląda jak irlandzki pub - stwierdziła Rywka.

Kilka minut później Eli wrócił z tacą, na której stały cztery kufle z piwem i cztery literatki pełne kremowego, brązowego płynu.

Usiadł i wskazał na kufel, a potem na literatkę.

- Tu jest ćwierć litra Guinnessa, a tu irlandzka whiskey zmieszana z Bailey's Irish Cream - wyjaśnił. Następnie wziął literatkę i wrzucił ją wraz z zawartością do kufła, a whiskey i irlandzki krem zmieszały się z Guinnessem. Następnie przygotował drinki pozostałym i postawił przed nimi kufle z gotowym „Samochodem--Pułapką”. Na koniec uniósł swój kufel, na jednym oddechu wypił jego zawartość do dna, stuknął pustym naczyniem w stół - pusta literatka zagrzechotała w środku - i głośno beknął.

- Rany! - stwierdziła Sara.

- Wypijcie, nim krem opadnie na dno - polecił Noel. Wziął swój kufel i opróżnił go jeszcze szybciej niż Eli.

- No dalej, moje panie - zachęcał Eh. - Wasza kolej. Rywka wzięła swój kufel.

- Mam to wypić na jeden raz? - zapytała.

- Właśnie - powiedział Noel. - Jednym haustem.

- Tego się nie da sączyć po trochu - dodał Eh.

- No dobra, spróbujemy - przechyliła kufel i zaczęła pić. Literatka wypłynęła na wierzch i uderzyła ją w nos. Rywka omal się nie roześmiała, ale nie przerwała picia, a chłopcy zagrzewali ją do wysiłku okrzykami. Kiedy skończyła, opuściła ze stuknięciem kufel w stół, tak jak oni.

- Uch, wspaniałe! - stwierdziła.

- Sara, twoja kolej - powiedział Eli.

- Sama nie wiem - Sara z powątpiewaniem popatrzyła na swój kufel. - Nigdy jeszcze tak nie piłam. Pewnie się zakrztuszę.

- Nie, wcale nie. Pozwól, żeby samo ci się wlało do gardła i nie próbuj oddychać, to wszystko. Po prostu zrób to szybko.

Wzięła kufel i powąchała zawartość.

- Nie wachaj, tylko pij - nakazał jej Noel, przyjacielsko trącając ją w ramię.

- Sara, to jest dobre, naprawdę - zapewniła Rywka z uśmiechem.

Sara wzruszyła ramionami i przechyliła kufel. Zaczęła pić. I pić. I pić. Wśród okrzyków zachęty. Kiedy skończyła, walnęła kuflem w stół.

- Bravo! - wrzasnęli jej towarzysze.

Poczuła się nagle dumna z siebie.

- Pycha - stwierdziła i wytarła usta. Eli uśmiechnął się do niej, a potem pochylił się nad stołem i zaczął ją całować. Był to głęboki, namiętny pocałunek.

- Rany, Sara! - wykrzyknęła Rywka. Potem się roześmiała, a za nią Noel. Eli i Sara skończyli się całować i też wybuchnęli śmiechem.

Nagle Sara zauważyła, że sala zaczęła niepokojąco wirować jej przed oczami, zdecydowanie mocniej niż jeszcze pięć minut temu. Czowała się oszołomiona i zamroczona.

- Upiłam się - oznajmiła, ale słowa zabrzmiały jakoś inaczej.

Znów się roześmiała, a za nią wybuchnęła śmiechem Rywka, po czym padła jej w objęcia. Oparły się o siebie głowami i chichotały tak strasznie, że z oczy zaczęły im płynąć łzy. Eli siedział z założonymi na piersiach rękami, obserwując je i rzucając od czasu do czasu spojrzenia na zegarek.

Dziesięć minut powinno wystarczyć, pomyślał. Nalał po kieliszku wina dziewczętom, ale swój i Noela zostawił pusty.

- Opowiedz nam o swoim wuju Martinie - poprosił przyjaciela.

Noel uniósł brwi.

- Dobra, to niezła historia - powiedział. Dziewczęta spojrzały na niego pytająco, gotowe znów się roześmiać. - Mam wuja o imieniu Martin, który mieszka w suterenie starej kamienicy. Nie uwierzycie, ale jego hobby to zbieranie mysich bobków. Nie żartuję. A wiecie co z nimi robi?

- Co? - spytał Eli.

Dziewczęta powoli odpływały. Szczęki im opadły a oczy zaczęły uciekać, ale słuchały uważnie słów Noela.

- Używa ich do twórczości artystycznej. Miesza je z wodą, a potem maluje nimi jak farbami. A wiecie, co maluje?

- Co? - spytał Eli.

- Myszy!

Ciągnął tę nonsensowną historię jeszcze przez kilka minut. Sara próbowała się skoncentrować na jego słowach, ale co chwila gubiła wątek. Zupełnie jakby śniła na jawie.

Potem słowa zaczęły dziwnie brzęczeć, a w końcu w ogóle przestała je rozumieć. Musiała zamknąć oczy, chociaż na chwilę.

Noel umilkł.

Rywka już padła, a jej głowa spoczywała na ramieniu Sary. Powieki Sary zatrzepotały, po czym wreszcie opadły. Zaczęła przechylać się na ławce, ale Eli ją złapał i posadził prosto.

- Szybko poszło - stwierdził Noel.

- Zawsze tak jest - odparł Eli.

- Dobrze, że dałeś im właściwe kufle.

- Zabieramy je stąd. - Eli wyciągnął Sarę zza stolika i pozwolił jej się oprzeć o siebie.

- Co się dzieje? - wymamrotała.

- Odprawdzę cię teraz do domu. Upiłeś się - powiedział uspokajająco.

-Tak?

Noel pomógł wstać Rywce. Ta chlipnęła.

- Chodź, musimy iść do domu - zachęcał, ale Rywka rozplakała się na całego.

- Boli mnie brzuch - wyjęczała.

- Idziemy - zarządził Noel.

Kiedy przechodzili koło baru, Eli położył na ladzie pieniądze. Mrugnął do barmana.

- Te Samochody-Pułapki okazały się trochę za mocne - wyjaśnił.

Kiedy Sara poczuła na twarzy chłodne powietrze nocy, zdała sobie sprawę, że jest na dworze.

- Co się dzieje? - spytała znowu, ale własny głos dobiegał ją jakby z bardzo daleka.

- Zabieram cię do mojego mieszkania.

Zarejestrowała, że to głos Eliego. Pomagał jej iść. Jak to się stało, że wypła aż tyle? Przecież wiedziała, że źle reaguje na alkohol. Czuła się okropnie. Marzyła, żeby znaleźć się w łóżku.

Ostatnia rzecz, jaką zapamiętała, nim ostatecznie straciła przytomność, to zatraskujące się za nią drzwiczki samochodu.

Z Nowego Miasta EU ruszył rozklekotanym Chevroletem Cavalier z 1995 roku na północ, w kierunku lotniska Atarot. Sara pochrapywała lekko na siedzeniu obok. Nim odjechał spod baru zaczekał, aż Noel wsadzi Rywkę do samochodu. Cieszył się, że nie musi zrobić tego, co czeka Noela. Rohypnol spisał się znakomicie. Wrzucił po jednej tabletkę do literatek dziewczyn, poczekał aż się rozpuszczą i dopiero wtedy zaniósł drinki do stolika. Sara i Rywka nigdy się nie dowiedzą, co zważyło je z nóg. Prawdziwe Samochody-Pułapki, nie ma co.

Zbliżała się północ, kiedy zjechał z głównej drogi i ruszył rzadko używanym traktem w kierunku dzielnicy przemysłowej miasta. Gdzieś przed sobą słyszał samoloty podchodzące do lądowania na niewielkim lotnisku. Kiedy po raz pierwszy przyjechał do magazynu, by przygotować go na przybycie Sary, nie spodobało mu się jego położenie. Wolałby, żeby znajdował się dalej od Jerozolimy i nie tak blisko lotniska. Ale rozkaz to rozkaz. Najwyraźniej budynek należał do ludzi Jurija i Włada. Dla Eliego nie miało to znaczenia. Dopóki mu odpowiednio płacili.

Budynek znajdował się na końcu krętej drogi prowadzącej wśród opuszczonych magazynów i zapuszczonych biur - jak stwierdził Wład, tam, gdzie „Jezus zgubił buty”. Określenie nie było dalekie od prawdy. Pomijając sąsiedztwo lotniska, magazyn stał w samym środku pustkowia. Sam budynek był ciemny i wydawałby się całkiem opuszczony, gdyby nie zaparkowane przed nim dwa sportowe samochody. Ferrari i Jaguar. Zdaniem Eliego wozy zbyt rzucały się w oczy, ale co miał niby powiedzieć? Zabierajcie stąd te gruchoty?

Zatrzymał Chevroleta obok Jaguara i wyłączył silnik. Spojrzał na swą śpiącą pasażerkę i wyszeptał:

- Przepraszam, Saro.

Następnie wysiadł z samochodu i podszedł do drzwi budynku. Zapukał i poczekał, aż otworzy się niewielkie okienko. Wyjrzała przez nie para ciemnych oczu.

- Pomożecie mi? - spytał.

Drzwi stanęły otworem i na dwór wyszło dwóch Rosjan.

- Nic jej nie jest? - spytał ten, którego nazywali Jurijem.

- Nic. Ale jest nieprzytomna - odparł Eli.

- No to zabieramy ją do środka - zarządził ten, którego nazywali Wład.

Podeszli razem do samochodu i otworzyli drzwiczki od strony pasażera.

- No proszę, jaka ślicznotka - zauważył Wład. - Ta misja będzie bardziej interesująca niż przypuszczałem.

- Zamknij się, ty jurny kretynie i pomóż mi - uciszył go Jurij.

We dwóch wyciągnęli dziewczynę z samochodu i wnieśli do budynku.

- Nie upuśćcie jej tylko. Uważajcie - zawołał za nimi Eli.

- Spokojnie, dziecińo - odparł Jurij. - Ta mała jest warta fortunę. Eli wszedł za nimi do środka i zamknął za sobą drzwi. Na środku magazynu było pusto, ale pod ścianami stało pełno starych kuchenek gazowych i wanien. Antresola, wspierająca się na dwóch betonowych słupach, górowała nad częścią pomieszczenia, jak połówka drugiej kondygnacji. Na niej również pełno było żelastwa. Mężczyźni przenieśli Sarę przez magazyn, a następnie przez drzwi w zachodniej ścianie prowadzące do śmierdzącego pleśnią korytarza. Stąd można było wejść do trzech biur. Skierowali się do ostatniego, w którym stało jedynie łóżko polowe, niewielki stolik i krzesło. Na posłaniu leżały koce i poduszka. Do pomieszczenia przylegała łazienka, wyposażona w sedes, umywalkę i kabinę z prysznicem.

Nie było tu natomiast okien.

Jurij i Wład ułożyli nieprzytomną dziewczynę na połowce i przykryli kocem, po czym wszyscy wyszli z pokoju. Wład zamknął drzwi i gestem nakazał Eliemu wejść do pokoju obok.

- Dobrze się spisałeś - powiedział. - Mam twoje pieniądze.

Środkowe pomieszczenie służyło równocześnie za biuro i sypialnię, ponieważ stało tu kolejne łóżko polowe oraz biurko z aparatem telefonicznym. Jurij stanął w progu i obserwował, jak Wład otwiera szufladę i wyjmuje z niej dużą, białą kopertę. Rzucił ją Eliemu, a ten otworzył ją i zajrzał do środka.

- Kwota się zgadza - zapewnił Wład. - Ale możesz przeliczyć,

jeśli sprawia ci to przyjemność.

Eli właśnie to zamierzał zrobić, ale doszedł do wniosku, że w ten sposób okaże słabość.

- Na pewno się zgadza - stwierdził. - A jak poszła... jak poszła ta druga sprawa?

- Jaka druga sprawa?

- No z tym Blaine'em.

- Ach, z Blaine'em? - powtórzył Jurij. - Poszła... bardzo dobrze. Eli pokiwał głową.

- No to sądzę, że wasi szefowie będą zadowoleni. Przypuszczam, że to, co z niej wyciągnąłem - tu wskazał gestem głowy zamknięte biuro - okaże się prawdą. Jej ojciec na pewno jest tym, kogo szukacie.

Znów odezwał się Wład.

- Jak już mówiłem, dobrze się spisałeś. Przygotowaliśmy ci przytulne miejsce do spania na antresoli. Sam rozumiesz, tu nie ma gdzie. Ja śpię w tym pokoju, Wład w drugim, a nasz gość w swojej celi.

- Rozumiem - zapewnił Eli. - Antresola mi wystarczy.

- A co z jej przyjaciółką? - spytał Jurij.

Eli wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie rozmawiałem jeszcze z Noelem. Wsadził ją do samochodu i odjechał. Przypuszczam, że wszystko poszło dobrze. A przy okazji, czy nie powinniście się przeparkować?

- Nie omieszkamy - zapewnił Jurij. - Zaparkujemy na tyłach i przykryjemy wozy brezentem. Powinieneś zrobić to samo.

Wszyscy trzej wyszli z budynku, przestawili samochody i wrócili do biura.

- Świetnie - stwierdził Jurij. - A teraz chodźmy spać.

Wyciągnął rękę do Eliego, a ten uścisnął ją, a potem rękę Włada.

Następnie pozdrowił Rosjan lekkim skinieniem głowy, wyszedł z pokoju i wrócił korytarzem do magazynu. Wszedł po drewnianej drabinie na antresolę. W kącie leżał śpiwór. Kiedy się rozbierał i układał do snu, zastanawiał się, czy trafi do piekła.

18.

Południowo-wschodnia Turcja jest piękna, ale fatalnie się po niej podróżuje, ze względu na silne urozmaicenie terenu. Pazhan Rezy nie odnosi się do podróży górkimi drogami ze zbytnim entuzjazmem i zwalnia znacząco na podjazdach. Choć północno-wschodni Iran również jest górzysty, ani się umywa do tego regionu Turcji. Kaukaz jest ogromny, a tutejsze drogi w tragicznym stanie. Dobrze, że zima jest łagodna, bo inaczej byłoby naprawdę trudno. Między grudniem a kwietniem panują tu zwykle mrozy i leży śnieg, a mamy przecież dopiero koniec marca. W wyższych partiach gór nadal zalega mnóstwo śniegu i lodu. Muszę podnieść temperaturę wewnętrzną w kombinezonie, żeby nie marznąć bez potrzeby.

Ten region różni się od reszty Turcji również tym, że jest bardziej „azjatycki” niż „europejski”. Niegdyś była to górna Mezopotamia, a tutejsi ludzie i ziemia nadal mają w sobie coś z tej dawno zaginionej kultury, dlatego człowiek ma wrażenie większej egzotyki, niż w pozostałych częściach Turcji. Z tych samych powodów ludzie są tu bardziej konserwatywni, bardziej podejrzliwi i mniej przyjaźnie nastawieni do obcych niż w zeuropeizowanej części kraju. Tu również przeważają Kurdowie, stanowiący zapewne jedną piątą populacji.

W ostatnim dziesięcioleciu cały ten obszar nawiedziła plaga terroryzmu, wywołana przez Kurdyjską Partię Pracy, PKK, cieszącą się opinią jednej z najniebezpieczniejszych grup terrorystycznych w dzisiejszym świecie. Ostatnimi czasy PKK zmieniła nazwę na KADEK (Kurdyjski Kongres Wolności i Demokracji), a wkrótce potem jeszcze raz, na KONGRA-GEL (Kongres Ludowy Kurdystanu), próbując uciec od takiej opinii. Jeszcze nie wiadomo, czy naprawdę zerwała z terroryzmem. W każdym razie turecka policja i brygady antyterrorystyczne koncentrują się na tym regionie. Jestem przygotowany na to, że w każdej chwili mogę zostać zatrzymany do kontroli.

Reza załatwił mi potrzebne dokumenty i wizę. Znow jestem szwajcarskim detektywem z Interpolu. Przekroczenie granicy nie stanowi wielkiego problemu, choć zadają mi całą masę pytań. Mam wprawę w kłamaniu na przesłuchaniach prowadzonych przez policjantów. W końcu pozwalają mi jechać dalej, ostrzegając, bym nie podróżował nocą, nie spełniał próśb Kurdów, którzy poproszą, bym dostarczył w ich imieniu jakąś paczkę i zgłaszał wszelkie odbiegające od normy wydarzenia jakich stanę się świadkiem.

Jadę do Van, średniej wielkości miasta położonego na wschodnim brzegu jeziora o tej samej nazwie, największego zbiornika wodnego w Turcji, wyjąwszy leżące koło Istanbuhu morze Marmara. W pobliżu tego miejsca znajduje się góra Ararat, skąd rozciąga się wspaniały widok. Niestety mieści się tam turecka baza wojskowa, na teren której cywile nie mają wstępu. Nie wolno mi dać się złapać w tych okolicach.

Dzięki pomocy nawigacyjnej Wydziału Trzeciego odnajduję na skraju miasta Akdabar Enterprises, kompleks przemysłowy położony nad samym brzegiem wielkiego jeziora. To dość dziwna lokalizacja dla koncernu budowlano-stalowego. Dlaczego akurat Van? Może głównymi klientami firmy są okoliczni Kurdowie? Zresztą, kto to może wiedzieć? Stwierdzam, że nazwa firmy wzięła się od

wyspy Akdabar, najbardziej interesującej na tym jeziorze. Stoi na niej pochodzący z dziesiątego wieku Kościół Świętego Krzyża, jedna z niewielu atrakcji turystycznych Van.

Parkuję Pazhana na wzgórzu górującym nad wielkim kompleksem i oglądam teren przez lornetkę. Widzę wysokie ogrodzenie biegnące wokół zakładu. W samym środku kompleksu znajduje się otwarty dziedziniec; na obu jego końcach stoją maszty z powiewającymi flagami. Jedna jest turecka, a na drugiej widnieje logo firmy. Nad całym kompleksem góruje rafineria z dwoma wysokimi kominami; zapewne znajduje się tam również stalownia. Z kolei na brzegu jeziora stoją dwa wielkie zbiorniki na ropę, a kilka niewielkich budynków obok to zapewne pomieszczenia dla robotników i biura. Widzę kilku uzbrojonych strażników patrolujących teren - wzdłuż ogrodzenia i wokół budynków. Szczególnie silnie chronione są zbiorniki na paliwo, z pewnością doskonały cel dla terrorystów. Część strażników porusza się na trzykołowych pojazdach, przypominających wózki golfowe. Zapewne potrafią jechać niewiele szybciej niż człowiek idący marszowym krokiem.

Najbardziej imponujący jest fakt, że zakład posiada własny pas startowy i hangar lotniczy. Widzę jak samolot transportowy z wymalowanym na ogonie logo Akdabaru, przygotowuje się do startu. Basaran musi sobie naprawdę świetnie radzić.

Reza wręczył mi list polecający do Basarana. Choć nigdy nie spotkali się osobiście, ich wspólne interesy powinny otworzyć przede mną drogę. Liczę, że ten list i listy uwierzytelniające z Interpolu pozwolą mi się dostać do środka. Chcę się spotkać z Ba-saranem osobiście i wyrobić sobie zdanie o tym człowieku. A skoro znał Bentona, może udzieli mi jakichś informacji.

Zakładam na kombinezon cywilne ubranie, wiążę krawat, ukrywam plecak w samochodzie i zjeżdżam ze wzgórza na parking dla centów. Pokazuję polecający strażnikowi przy wjeździe papiery i list po czym proszę o spotkanie z panem Basaranem.

- Czy był pan umówiony? - pyta po angielsku, choć z bardzo silnym akcentem.

- Nie, niestety - odpowiadam. - Przykro mi, ale nie miałem czasu się umówić. Właśnie przyjechałem do Turcji. Jeśli pan Basaran jest bardzo zajęty, może przyjadę później?

- Proszę poczekać - strażnik idzie do wartowni i dzwoni. Widzę, jak Odczytuje komuś list Rezy, kiwa głową i patrzy na mnie w f0ficu wraca.

- Jeśli może pan chwilę poczekać, pan Basaran zobaczy się z panem po spotkaniu - mówi. Podaje mi mapę terenu zakładu, wskazuje na niej grupę niewielkich budynków nad jeziorem i mówi, bym tam pojechał i zaparkował na tamtejszym parkingu. Daje mi identyfikator gościa i przestrzega przed zbaczaniem z drogi.

Nad samym jeziorem widok jest przepiękny. Dzień jest bardzo DOg0dny a woda rozciąga się aż po horyzont, tak jak wody jeziora Mł*-311 na skraju Chicago. Budynki wyglądają nowocześnie. Mieści się w nich administracja, pomieszczenia dla pracowników, w tym zapewne ich szafki i przebieralnie, a także siłownia, kawiarka j sklepik, oraz siedziba organizacji charytatywnej Tirma. A tak przy

okazji, Carly z Wydziału Trzeciego ustaliła, że tirma znaczy w języku farski jedwab. Mam w związku z tym pytanie: dlaczego w farski? Dlaczego nie po turecku?

Poczekalnia w głównym budynku administracji jest nowoczesna i komfortowa, a meble są dokładnie takie, jakich należy oczekiwać w recepcji. Zauważam w kącie pomieszczenia kamerę nadzoru, która rejestruje wszystkich wchodzących i wychodzących. Śliczna turecka recepcjonistka siedzi za szklaną szybą i od czasu do czasu podnosi na mnie wzrok. To miło znaleźć się w kraju muzułmańskim, gdzie przepisy są na tyle liberalne, by kobiety mogły odkryć włosy i pokazać co nieco.

Czekam mniej więcej dwadzieścia minut i kolejna śliczna Turczynka - a może Kurdyjka - prowadzi mnie do drzwi po prawej stronie recepcji, wyposażonych w zamek szyfrowy. W Wydziale Trzecim zostałem przeszkolony w zapamiętywaniu kodów, wprowadzanych przez kogoś na moich oczach. Zależnie od szybkości wpisywania uzyskuję osiemdziesięcioośmioprocentową poprawność. Staję obok kobiety i kiedy zaczyna wprowadzać kod udaję, że kaszlę - dzięki temu odnosi wrażenie, że nie patrzę jej na ręce. Jej palce szybko poruszają się po klawiaturze szyfratora, ale udaje mi się zauważyć sekwencję - 8, 6, 0, 2, 5.

Drzwi otwierają się i teraz idziemy korytarzem ozdobionym dziełami sztuki z Bliskiego Wschodu. Zostaję nieco w tyle i szybko wprowadzam kod do OPSAT-u, żeby go nie zapomnieć. Skręcamy za róg - pod sufitem tkwi kolejna kamera nadzoru - po czym wchodzimy do wielkiego i urządzonego na zachodnią modłę biura szefa. Na ścianie wisi oryginał Picassa. W rogu stoi stół, a na nim makietka luksusowego, nowoczesnego budynku.

Kobieta gestem pokazuje mi, bym wszedł, a Namik Basaran wita mnie w progu, uśmiechając się szeroko i wyciągając rękę. Obok stoi bardzo duży facet, ubrany w garnitur i turban, i przygląda mi się uważnie.

- Panie Fisher, witamy w Turcji - mówi Basaran. Potrząsam jego dłonią. Zauważam, że w drugiej ręce ściska gumową piłeczkę. Na widok mojego spojrzenia chichocze i wyjaśnia: - Ćwiczę kontuzjowane ścięgno. No i wyrobiłem sobie tik nerwowy. - Podchodzi do biurka, wrzuca piłeczkę do szuflady, po czym zwraca się do wielkiego faceta: - Możesz nas zostawić, Farid, dziękuję.

Facet kiwa głową, jeszcze raz mierzy mnie wzrokiem i wychodzi.

- Mój ochroniarz - wyjaśnia Basaran. - I kierowca. I asystent.

Człowiek na moim stanowisku po prostu nie może być wystarczająco ostrożny. Biedny Farid, wziąłem go do firmy wprost z ulicy. To Irańczyk, ofiara reżimu Saddama Husseina. Nie mówi - ucieli mu język w więzieniu Abu Ghraib podczas wojny irańsko-irackiej.

- Napije się pan czegoś? Herbaty? Kawy? Czegoś mocniejszego?

Wzruszam ramionami i mówię, że napiję się tego co on.

- Cóż, ja o tej porze piję zwykle filiżankę cay. Odpowiada to panu?

Jęczę w duchu, ale uśmiecham się i odpowiadam: - Oczywiście.

Cay to turecka herbata pochodząca z rejonu Morza Czarnego, zwykle podawana ze straszliwą ilością cukru. Jest jak na mój gust zbyt mocna, ale potrafię znieść to z uśmiechem jeśli muszę. Basaran podchodzi do barku i nalewa herbatę do maleńkich filiżanek w kształcie kielicha tulipana. Siadamy na obitych czarną skórą krzesłach przy niskim stoliku pod obrazem Picassa. Po naszej lewej stronie znajduje się zajmujące całą ścianę okno z widokiem na jezioro.

Trudno określić w jakim wieku jest Basaran, ale sędzę, że niedawno przekroczył pięćdziesiątkę. Jest średniego wzrostu a, jak to było widać i na zdjęciu, skóra na jego twarzy i rękach jest dziwna. Nie jestem pewien z czego to wynika. Nie wygląda aż tak źle jak przeszczep, ale nie sprawia również wrażenia choroby skórnej.

- Pana firma jest naprawdę imponująca - mówię.

- Dziękuję. To miło osiągnąć sukces, o którym marzyło się w młodości i nadal być na tyle młodym, by móc się nim cieszyć.

- Szczególne wrażenie zrobił na mnie pas startowy. Jak go wykorzystujecie?

Wzrusza ramionami.

- Jesteśmy firmą transportowo-budowlaną. Budujemy obecnie nowoczesne centrum handlowe w Republice Cypru Północnego. Tam na stole stoi jego makietka. Ładnie się prezentuje, prawda? Codziennie wysyłamy na wyspę transport materiałów. Jak pan za pewne zgaduje, jestem zdecydowanym zwolennikiem tureckich praw do Cypru. Pomagam ich sprawie budując centrum w północnej części wyspy, żeby dostarczyć tym ludziom nowej atrakcji turystycznej. To będzie największe centrum tego typu na całym Bliskim Wschodzie. - Kręci głową i popija herbatę. - Te nieustanne konflikty z Grekami cypryjskimi są doprawdy tragiczne. Dlaczego nie mogą nas po prostu zaakceptować i dać sobie spokój? No, ale to całkiem osobny temat na rozmowę. Proszę mi lepiej powiedzieć, co sprowadza pana do Van, panie Fisher. Czytałem list polecający od pana Hamadana i jak rozumiem pracuje pan dla Interpolu. W czym mogę panu pomóc?

Wstawiam mu historyjkę o przygotowywaniu obszernego raportu na temat terroryzmu w tym regionie, który zostanie opublikowany przez Interpol i rozesłany do agencji zajmujących się ochroną bezpieczeństwa na całym świecie. A co najważniejsze, powinien pomóc również zwalczyć terroryzm tu, na Bliskim Wschodzie.

- Pan Hamadan sugerował, żebym z panem porozmawiał, gdyż z tego co się dowiedziałem, jest pan ekspertem od terroryzmu w rejonie wschodniej Turcji - kończę. Kilka pochlebstw zwykle znacznie ułatwia sprawy.

- Zbyt wysoko mnie pan ocenia - mówi Basaran, ale uśmiecha się i najwyraźniej cieszy z komplementu. - Nie nazwałbym siebie ekspertem. Niemniej wiem co nieco. Od lat śledzę poczynania różnych grup w tym rejonie i nawet poznałem osobiście kilku ich przywódców. Nie chcę przez to powiedzieć, że jesteśmy zaprzyjaźnieni. Zapewne nienawidzą mnie tak samo, jak nienawidzą w Turcji wszystkich, którzy sprzyjają zachodniemu stylowi życia.

Mógłbym godzinami rozprawiać o terroryzmie, panie Fisher, więc o ile nie ma pan jakichś szczegółowych pytań, będziemy musieli odłożyć nasze spotkanie na później, ponieważ dziś jestem akurat bardzo zajęty. Decyduję się rzucić mu jedno nazwisko.

- Rozumiem. Rick Benton również wspominał, że jest pan bardzo pomocny.

Zauważam lekkie drgnięcie jego powiek.

- Zna pan Bentona? - pyta.

- Tylko jego prace - odpowiadam. - Nigdy nie poznałem osobiście świętej pamięci pana Bentona.

Szczęka Basarana lekko opada.

- Świętej pamięci pana Bentona? Czy on...?

- Tak - odpowiadam. - Został zamordowany w Brukseli w zeszłym tygodniu.

- Ależ to tragiczna wiadomość. Jakże mi przykro. Wiadomo, kto to zrobił?

- Nie, to nadal zagadka.

Basaran znów bierze filiżankę i pije.

- Spotkałem go tylko raz. Pytał o pewne grupy terrorystyczne działające w tym regionie, podobnie jak pan. Jak pan zapewne wie, podnoszę problematykę terroryzmu w każdym publicznym wystąpieniu. Jest to ważne dla mnie i mojej rodziny.

Chciałbym dowiedzieć się czegoś bliżej o jego rodzinie, ale uznaję, że to nie jest najlepszy moment.

- Słyszał pan oczywiście o mojej organizacji charytatywnej? O Tirmie? - pyta.

- Tak, między innymi dlatego chciałem się z panem spotkać.

- Tirma jest moim prywatnym przedsięwzięciem. Poświęcam znaczną część swoich dochodów na zwalczanie terroryzmu, a Tirma pozwala mi przyczynić się do tej walki - chociaż troszeczkę.

- To organizacja typu non-profit, prawda?

- Oczywiście. Pracują w niej wyłącznie wolontariusze. Gdyby miał pan ochotę porzucić Interpol i pracować dla nas za darmo, byłibyśmy uszczęśliwieni! - wybucha głośnym śmiechem.

Również się śmieję, ale szybko sprowadzam rozmowę z powrotem na interesujący mnie temat.

- Skoro ma pan tak napięty plan dnia, to jeśli pan pozwoli, zadam tylko dwa pytania.

- Proszę strzelać.

- Co pan wie o Sklepu i co pan wie o Cieniach?

Basaran kiwa głową, jakby właśnie tego oczekiwał.

- Benton pytał mnie o to samo. Te dwie grupy szybko wędrują na szczyt wszelkich list. Jeśli chodzi o Cienie, nasz przyjaciel Ta-righian z pewnością nadał nowe znaczenie słowu tajemniczość.

- Tarighian? - udaję, że pierwszy raz słyszę to nazwisko. - Nasir Tarighian - wyjaśnia Basaran. - To on finansuje Cienie. Nie wiedział pan? - Myślałem, że Nasir Tarighian zginął w latach osiemdziesiątych. - Och, on tylko chce, by wszyscy tak myśleli. Ale żyje i ma się dobrze, a poza tym finansuje Cienie i kieruje twardą ręką ich operacjami. Choć obawiam się, że nikt nie wie, gdzie się ukrywa. Ani co robi. To bardzo tajemniczy człowiek, podobnie jak jego organizacja. Mówi się, że żyje na wzór nomadów, mniej więcej tak, jak Osama Bin-Laden. Wraz ze swą kompanią wesołych terrorystów przenosi się ciągle z miejsca na miejsce, by nie można ich było na mierzyć. Przypuszczam, że mieszkają gdzieś w górach, w jaskiniach.

- Jakieś domysły, w którym kraju przebywają najczęściej?

- Sądzę, że w Armenii, Gruzji lub w Azerbejdżanie. Tam jest dla nich najbezpieczniej. Gdyby zostali w Turcji, zapewne już by ich schwytano. Gdyby ukrywali się w Iranie, pewnie też. A gdyby zawędrowali do Iraku, złapano by ich z całą pewnością. Ale tak naprawdę nie wiem. Być może przenoszą się okresowo z kraju do kraju.

- Czy zna pan niejakiego Ahmeda Mohammeda? - pytam.

- Tak, oczywiście. To taki oficjalny przywódca Cieni. Może przywódca to nie najodpowiedniejsze słowo. Dostaje instrukcje i pieniądze od Tarighiana, po czym pilnuje, żeby wszystko poszło zgodnie z planem. To bardzo poszukiwany terrorysta i z całą pewnością on też przez cały czas pozostaje w ruchu. Ten człowiek to wąż.

- Żadnych sugestii co do miejsca jego pobytu?

- Żadnych. Może być wszędzie i nigdzie. Jak Tarighian. Pukanie do drzwi.

- Przepraszam na chwilę - mówi Basaran. - Proszę wejść! Wchodzi chudy mężczyzna o jasnych, potarganych włosach. Ma europejskie rysy twarzy i zapewne zbliża się do pięćdziesiątki, a może nawet ją przekroczył.

- Mogę poprosić na słówko? - pyta Basarana. Nie potrafię rozpoznać jego akcentu, ale z pewnością jest europejski.

Basaran wstaje.

- Profesorze, ile razy dziennie będzie mi pan przeszkadzał? - pyta i mruga do mnie. - Profesor to pedant jeśli chodzi o szczegóły. Proszę mi wybaczyć. Za chwilę wrócę.

Kiedy wychodzą wstaję, sięgam do kieszeni w marynarce i wyciągam trzy miniaturowe pluskwy. Przypominają nieco kamery przylepne, ale przekazują jedynie dźwięk. Podchodzę do biurka Basarana i szybko przyklejam jedną do nogi mebla pod blatem, na tyle wysoko, by była niewidoczna. Następnie podchodzę do makiety i umieszczam drugą pluskwę pod stołem. Trzecią przyklepam pod stolikiem, przy którym pijemy herbatę. Wracam na swoje miejsce, biorę filiżankę, a gdy Basaran wraca, popijam herbatę.

- Przepraszam. Proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny za to zamieszanie - mówi. - Obawiam się jednak, że muszę przerwać naszą rozmowę. Zdarzyło się coś, co wymaga mojej osobistej interwencji. Jednakże, jeśli nie jest pan zajęty dziś wieczorem, zapraszam na kolację. To będzie dla mnie wielką przyjemnością kontynuować naszą rozmowę.

Wstaję.

- Będę zaszczycony - mówię. - Proszę tylko powiedzieć gdzie i kiedy.

Podaje mi adres restauracji w dzielnicy portowej. Umawiamy się tam na ósmą wieczorem, zegnamy uściskiem dłoni, po czym strażnik odprowadza mnie do samochodu. Wyjeżdżam z kompleksu Akdabar i parkuję na wzgórzu, skąd wcześniej obserwowałem zakład. Włączam OPSAT i dostrajam do częstotliwości pluskiew, które zostawiłem w biurze Basarana. Odbiór jest bardzo dobry, ale wiem, że im dalej odjadę, tym będzie gorszy. Rozpoznaję głos Basarana, który rozmawia z kimś po angielsku, ale nie jest to profesor, którego widziałem przelotnie.

BASARAN: - I jak brzmi odpowiedź?

TEN DRUGI: - Dostawcy nie chcą nam zwrócić pieniędzy za pierwszy transport. Towar skonfiskowano w Iraku, kiedy był już w naszych rękach. Dostawcy mówią, że to nasza sprawa.

BASARAN: - Niech ich szlag trafi. To, co się stało z transportem to nie nasza wina i oni doskonale o tym wiedzą. Dranie.

TEN DRUGI: - To nie wszystko. Za dostawę awaryjną trzeba zapłacić w ciągu dwóch dni.

BASARAN: - To rozbój w biały dzień. Cholerny Zdrok! Dobra, zrób to co musisz. Zapłać im. I powiedz profesorowi Mertensowi, żeby spotkał się ze mną w laboratorium za dwadzieścia minut.

Mertens? Przypominam sobie to nazwisko z bazgrołów Ricka Bentona. Czy to ten „profesor”, którego widziałem w biurze Basarana?

Słyszę, jak drzwi otwierają się i zamykają. Przez chwilę panuje cisza, a potem Basaran mruczy do siebie „cholerny Zdrok”. Potem drzwi otwierają się i zamykają ponownie i w pokoju zalega cisza.

Tarighian. Mertens, Zdrok. Wszystko dziwnie się tu zbiega.

Podpułkownik Petlow wiedział, że skonfiskowana broń będzie doskonałą przynętą dla Cieni.

Armia amerykańska przejęła inicjatywę po otrzymaniu raportu Sama Fishera z Arbil. Postanowiono zabezpieczyć transport broni trzymany na posterunku policji i przenieść go w inne miejsce. A ponieważ Cienie pokazały, jak bardzo chcą go odzyskać, opracowano plan, który miał ich zwabić w pułapkę. Policja iracka również czuła się w obowiązku schwytać ludzi, którzy zamordowali ich kolegów, chcąc przy okazji odzyskać dobrą opinię nadszarpniętą po zajściu przed posterunkiem w Arbil. Ta klęska była dużo bardziej dotkliwa dla niej niż dla amerykańskiej armii. Pentagon oskarżył nawet rząd iracki, że braki w wyszkoleniu ich sił porządkowych doprowadziły do śmierci czterech amerykańskich żołnierzy, którzy oficjalnie brali udział w akcji jedynie jako obserwatorzy. Doszło zatem do bezprecedensowej współpracy amerykańskich sił wojskowych i irackich sił policyjnych. Opracowano wspólny plan, mający na celu zwabienie zbiegłych terrorystów w pułapkę.

Jednym z bardziej pozytywnych aspektów ustanowienia w Iraku latem 2004 narodowego rządu było to, że informatorzy chętniej współpracowali teraz z iracką policją, wywiadem i wojskiem. Ci ludzie, najczęściej cywile, ale czasami członkowie rozmaitych irackich milicji, zainteresowani byli nie tylko natychmiastowym zyskiem, ale również nawiązaniem dobrych stosunków z nową władzą. Czasami godnego zaufania informatora nagradzano etatem, albo konkretną korzyścią majątkową, na przykład własnym domem. A w kraju takim, jak Irak, walczącym o odbudowę gospodarki do przedwojennego poziomu, wielu ludzi pragnęło skorzystać z podobnej szansy.

Stąd z łatwością skłoniono informatorów, by rozgłosili w okolicach Arbil, że broń skonfiskowana Cieniom trzymana jest w pewnej jaskini, której strzeże pluton kurdyjskich sił zbrojnych. Chodziły również słuchy, że Kurdowie w tym oddziale są zupełnie zieloni i niezdiscyplinowani.

Oczywiście broni wcale nie przechowywano w takim miejscu, natomiast armia amerykańska oddelegowała do pilnowania pułapki dwa plutony. Ustalono, że jeśli Cienie nie podejmą próby odzyskania swoich zabawek w ciągu najbliższych dwóch tygodni, wojsko otrzyma inny przydział. Petlow był zdania, że sprawa jest warta poświęconego jej czasu i kosztów oddelegowania jednostek.

Wyczekiwaną wiadomość dostarczył godny zaufania informator, niejaki Ali Bazan. Niegdyś był adiutantem wojowniczego szyckiego duchownego, który prowadził wojnę partyzancką z Amerykanami wiosną 2004 roku, a obecnie pracował dla młodego irackiego rządu i sił policyjnych. Nawiązał kontakt z domniemanymi terrorystami, którzy gorączkowo próbowali ustalić, gdzie jest ich broń i zdołał ich przekonać, że jest po ich stronie. A oni nierozsądnie zwierzyli mu się kiedy dokładnie mają zamiar zaatakować jaskinię strzeżoną przez Kurdów.

Wczesnym rankiem tego samego dnia, kiedy Sam Fisher przejechał z Iranu do Turcji, grupa dwudziestu terrorystów otoczyła jaskinię. Uzbrojeni byli w Kałasznikowy i pistolety najrozmaitszych producentów. Natomiast uzbrojenie żołnierzy amerykańskich stanowiły standardowe M16A2, M4A1,

granatniki M203, granaty odłamkowe M67 oraz granaty ogłuszające M84. Trudno było z nimi rywalizować.

Terrorystyci zaatakowali sześciuosobową grupką, która otworzyła ogień skierowany na wejście do jaskini. Kiedy wywiązała się strzelanina, napastnicy szybko zorientowali się, że nie walczą z Kurdami - atakujący zostali przygniecieni ogniem amerykańskim i cała szóstka poległa. Kiedy zaatakowała reszta terrorystów, na ich obu flankach nagle pojawili się amerykańscy żołnierze, dotąd ukryci w wykopanych w ziemi jamach zamaskowanych deskami, na które narzucono piasek, kawałki skał i krzaki. Wymiana ognia trwała dwadzieścia dwie minuty. Trzynastu terrorystów poległo, reszta dostała się do niewoli. Amerykanie stracili dwóch ludzi. Siedmiu więźniów przewieziono do tymczasowej bazy pod Arbil i ustawiono w szeregu przed kwaterą Petlowa.

Sam Fisher przesłał Petlowowi kopie fotografii znalezionych w Arbil. Podpułkownik, wraz z przedstawicielem sił irackiej policji, obejrzał zwłoki poległych terrorystów, ale żadnego z nich nie rozpoznał. Wówczas przyjrzał się uważnie siedmiu jeńcom. Wszyscy byli brudni i zaniedbani, gdyż od wielu miesięcy ukrywali się na pustyni.

Na pierwszy rzut oka żaden nie wyglądał znajomo. Przesłuchując tych ludzi krótko z pomocą tłumacza w osobie irackiego policjanta. Podpułkownik miał paskudne uczucie, że złapali nie tych, których szukali. Kiedy jednak rozmawiał z czwartym z kolei, coś mu się nagle przypomniało.

- Proszę otworzyć usta - polecił więźniowi. Kiedy mężczyzna wykonał polecenie, Petlow przekonał się, że brakuje mu kilku zębów. A więc był to człowiek, którego Fisher przezwał Szczerbatym i który odpowiadał za śmierć czterech amerykańskich żołnierzy.

Wówczas podpułkownik zwrócił się do towarzyszącego mu irackiego policjanta.

- Są oczywiście aresztowani, ale temu bez zębów postawimy dodatkowo zarzuty zamordowania irackich policjantów i naszych żołnierzy w Arbil. Dziś po południu zaczniemy prawdziwe przesłuchania. A tymczasem proszę im przekazać, że wpadli w gówno po uszy.

Sara spała niemal szesnaście godzin, a obudziła się zupełnie zdezorientowana. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Usiadła trochę zbyt gwałtownie, co spowodowało silny atak mdłości - nagle zrobiło jej się strasznie gorąco i złała się potem. Wiedziała, że zaraz zwymiotuje, więc w panice zaczęła się rozglądać po pokoju. Kątem oka zauważyła drzwi do łazienki i rzuciła się w tamtą stronę. Dotarła do sedesu dosłownie w ostatniej chwili.

Kiedy było już po wszystkim, posiedziała kilka minut na brudnej podłodze obok sedesu. Dopiero wtedy odważyła się wstać.

Gdzie jest, u licha ciężkiego? Co to za miejsce? I gdzie jest Eli i Rywka?

Wstała powoli, opierając się o sedes. Poplamione, popękane lustro nad umywalką ukazało bladą, przerażoną twarz dwudziestolatki. Wyglądała strasznie.

Na brzegu umywalki leżał ręcznik i myjka. Sara odkręciła zimną wodę i odczekała, aż spłynie. Przynajmniej nie była żółta, jak w mieszkaniu Eliego. Ochlapała sobie twarz i pozwoliła kroplom spłynąć na szyję. Zimna woda przyniosła jej ulgę. Uświadomiła sobie nagle, że strasznie chce jej się pić, ale bała się spróbować wody z kranu.

Ostrożnie wróciła do pokoju. Stało tam tylko polowe łóżko, a obok, na podłodze, leżała jej torebka. Podeszła do drzwi i przekręciła gałkę, ale okazały się zamknięte na klucz.

- Halo? - zawołała. - Eli? - po drugiej stronie drzwi panowała cisza. - Rywka? Jest tam kto? - Czuła jak rośnie w niej panika. Mocno zastukała w drzwi. Kiedy po drugiej stronie usłyszała kroki, cofnęła się, gotowa rzucić się na Eliego. Ale mężczyzna, który stanął w progu i zajrzał do środka nie był Elim. Sprawiał wrażenie zimnego i okrutnego, a na jego wargach igrał lubieżny uśmiech.

- Dzień dobry, księżniczko - powiedział. - Długo spałaś. Jak się czujesz?

- Kim pan jest? - spytała. - I gdzie ja jestem? - Nagła fala przerażenia sprawiła, że znów poczuła się zamroczone. Zachwiała się i ugięły się pod nią kolana. Mężczyzna wszedł szybko do pokoju, złapał ją i posadził na łóżku.

- Hola, panienko, lepiej usiądź. No już.

Opadła na poduszkę a potem spytała jeszcze raz, spokojniej:

- Kim pan jest?

- Nazywam się Wład. Chyba powinnaś jeszcze pospać.

- Gdzie jestem?

- Śpij - nakazał i odwrócił się, by odejść.

- Proszę poczekać!

Ale był już za drzwiami i usłyszała zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Co się do licha ciężkiego dzieje? Kto to był? I gdzie się wszyscy podziali?

Usłyszała nad głową dźwięk przelatującego samolotu. Czyżby w pobliżu było lotnisko? Właściwie to przez cały czas śniły jej się samoloty, a przynajmniej miała takie wrażenie. Długo trwała w tym nieprzyjemnym stanie świadomości, kiedy nie wiadomo, czy otacza cię jawa, czy sen. Doszła do wniosku, że została gdzieś zaniesiona przez ludzi, którzy zbyt mocno zwiążali jej ręce i nogi. Nawet teraz, kiedy dotykała ramion, miała wrażenie, że są posiniaczone. Pamiętała również, że gorączkowo rzucała się i obracała, być może na łóżku i że słyszała od czasu do czasu dźwięk przelatujących samolotów.

Na pewno niedługo zjawi się Eli i wyjaśni co się dzieje. Teraz jednak czuła się zbyt oszołomiona, by jasno myśleć. Może naprawdę powinna jeszcze pospać? Jeśli to był kac, nigdy w życiu nie wypije już ani kropli alkoholu.

Miała do siebie pretensje, że podczas tej podróży do Izraela zachowuje się jak rozkapryszona nastolatka. Uprawia seks, pije alkohol, zostaje na noc u chłopaka... Co sobie o niej pomyśli ojciec?

Ojciec. Przecież może do niego zadzwonić! Ma ten jego specjalny numer, na który można dzwonić z komórki i nagrać wiadomość. Nie miała pojęcia, gdzie on teraz jest, ale wiedziała, że przekażą mu wieści od niej. Sięgnęła po leżącą na ziemi torebkę i gwałtownie zaczęła szukać telefonu.

Oczywiście, komórka zniknęła. Nie było też notatnika z telefonami. Cholera - pomyślała. I co teraz?

W zamku ponownie zagrzecotał klucz. Tym razem w drzwiach stanął Eli.

- Eli! Dobry Boże, co się.... Gdzie my jesteśmy?

Zamknął za sobą drzwi, postawił na podłodze butelkę z wodą mineralną i podszedł bliżej. Wyraz jego twarzy nagle zaniepokoił Sarę.

- Eli, co się stało? Co to za miejsce?

- Słuchaj, póki będziesz współpracować, nie zrobią ci krzywdy - odparł.

Nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.

- Co? Gdzie ja jestem? I gdzie jest Rywka?

- Zamknij się - warknął. - Zamknij się i posłuchaj. Zostałaś zakładnikiem i jesteś tu zupełnie sama. Nie uda ci się uciec, więc nawet nie próbuj. I nie wrzesz po pomoc, bo i tak nikt cię nie usłyszy. Od ludzi dzieli cię wiele kilometrów.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom. -Eli!

- Przykro mi Saro, ale sprawy mają się właśnie tak.

- Czy ty... Kto to był ten człowiek, który tu przyszedł? Powiedział, że nazywa się Wład.

- Wcale mnie nie słuchasz - napomniął ją ze złością. - Jesteś tu kurwa zakładnikiem!

Zachłysnęła się. On mówił poważnie. Wcale nie żartował! Nigdy wcześniej nie widziała u niego takiego wyrazu twarzy. To nie był ten Eli, którego znała. To nie był zabawny, czuły Eli, który niedawno się z nią kochał. Ten, który tu przyszedł, budził w niej przerażenie.

- Eli, o co chodzi? Dlaczego to robisz? - spytała.

- Chcemy wiedzieć, gdzie jest twój ojciec.

Potworny sens jego słów omal nie pozbawił jej przytomności. Wciągnęła głęboko powietrze.

- Więc o to ci chodzi. O mojego ojca. - Pokręciła głową i odwróciła się do Eliego tyłem.

- Powiedz nam gdzie on jest, a nic ci się nie stanie. Jeśli nie powiesz, my... Nie odpowiadam za to co ci zrobią Wład i Jurij.

- Wład i Jurij? A to co ty mi zrobiłeś się nie liczy? Pierdol się!

Eli pozostał niewzruszony, a kiedy ktoś zapukał do drzwi powiedział krótko: - Wejdz.

W drzwiach stanął Noel.

- Noel! - zawołała Sara. - Co się dzieje, do diabła? Gdzie jest Rywka?

Noel spojrzał na Eliego, który pokręcił głową.

- Noel? Gdzie jest Rywka? - spytała ponownie Sara.

Noel wzruszył ramionami. Znów spojrzał na Eliego, a potem wyszedł z pokoju.

Boże! - pomyślała. Coś się stało Rywce. Wiedziała. Czowała to. Eli odwrócił się, by wyjść za Noelem.

- Twój ojciec pracuje dla rządu USA jako tak zwany Kolekcjoner, a ty nam pomożesz go znaleźć - powiedział na odchodnym.

- Mamy twoją komórkę i notes. Jak nie znajdziemy tam do niego kontaktu, wrócimy do ciebie. Jeśli wiesz, jak się z nim skontaktować, lepiej nam powiedz. Nie chciałbym, żeby.... coś ci się stało.

Popatrzyła z niedowierzaniem na młodego człowieka, którego jeszcze niedawno uważała za swojego przyszłego męża.

- Przemyśl to sobie - ciągnął. - Niedługo wrócę. Masz tu na razie wodę, a potem przyniosę ci coś do jedzenia. Ale to nie hotel, więc nie oczekuj, że ktoś ci tu będzie usługiwał na każde zawołanie.

Wyszedł. W małym pokoju rozległ się trzask zamykanych drzwi i chrzęst obracanego w zamku klucza. W drzwiach jej prywatnej celi.

Generał Prokofiew nie mógł uczestniczyć w spotkaniu - zatrzymały go w Moskwie ważne sprawy, a niedługo miał przywieźć pewne ważne urządzenie na wyłączne potrzeby Sklepu. Jako jeden z

najwyższych oficerów w rosyjskiej armii miał dostęp do naprawdę niebywałych rzeczy. Jeśli coś zginęło, albo zmieniło właściciela, wiadomość lądowała zwykle na jego biurku - a bynajmniej nie fatygował się informować o tym przełożonych. Właśnie w ten sposób Sklep uzyskiwał większość swych produktów.

Andriej Zdrok poświęcił dwadzieścia minut analizie sprzedaży z zeszłego miesiąca i rozpatrywaniu dochodów Sklepu. Wymienił również straty i wyjaśnił co one dla nich oznaczają.

- Jeśli nie odbudujemy naszej pozycji na Dalekim Wschodzie w ciągu najbliższych dwóch miesięcy, Sklep straci sześć i trzy dziesiąte miliona dolarów - stwierdził. - Panowie, nie mam ochoty sprzedawać mojego pałacyku nad jeziorem. Skoro musimy dokooptować nowego współnika, zrobmy to. Jon Ming wielokrotnie wyraził swoje zainteresowanie współpracą. Co panowie sądzicie o wprowadzeniu do firmy chińskiego współnika?

Herzog wzruszył ramionami.

- Skoro jest to konieczne dla ratowania firmy - zgoda. Ale najpierw spróbujmy sami naprawić szkody na Dalekim Wschodzie.

- Zawsze nienawidziłem Chińczyków - dodał Antipow. Zdrok niemal się uśmiechnął słysząc zajadłość w głosie współpracownika.

- Przynajmniej jest pan szczery - stwierdził. Potem poruszył kolejny ważny temat. - Z radością donoszę, że zidentyfikowaliśmy kolejnego Kolekcjonera z naszej listy. Nazywa się Sam Fisher, mieszka w Baltimore w Stanach i nie jest przydzielony do żadnego konkretnego terytorium. ABN wysyła go na misje specjalne – na trudne misje specjalne. Uważamy, że to on odpowiada za śmierć

Kim Wei Lo w Makau i za straty jakich doznały nasze interesy w tym rejonie. Ta identyfikacja daje nam szansę na jego usunięcie. W naszych rękach znajduje się obecnie pewna bardzo bliska mu osoba i mamy nadzieję, że doprowadzi nas prosto do pana Fishera... albo jego do nas, co jest nawet bardziej prawdopodobne.

Antipow i Herzog pokiwali głowami.

- Pan Fisher nie jest zwyczajnym wrogiem. To najlepiej wyszkolony i budzący największy respekt przeciwnik z jakim się dotąd zetknęliśmy. Inni Kolekcjonerzy w porównaniu z nim to płotki.

- Co mamy zrobić? - spytał Antipow.

- Nic - odparł Zdrok. - Powierzyłem już to zadanie naszym ludziom.

Antipow i Herzog znów pokiwali głowami. Mieli w tym wprawę.

- Anton, chciałbym, żeby zajął się pan sprawą, jaka wyniknęła z Cieniami. Robi się z tego

zamieszanie - zmienił temat Zdrok.

- W jaki sposób? - spytał Antipow. - Mam zrobić wszystko, by załagodzić sytuację, czy zmusić ich do posłuchu?

- Ujmę to w ten sposób - powiedział Zdrok. - Jeśli ich szefostwo się z nami nie zgadza, niech się idą pieprzyć sami. Nie potrzebujemy ich i gównu mnie obchodzi, kim są. Mam przeczucie, że kroczą ścieżką, która wpędzi ich w wielkie kłopoty, a ten nowy pomysł moim zdaniem w ogóle nie ma sensu. No ale ja nie jestem islamskim fundamentalistą.

- Więc co powinienem...? - spytał Antipow.

- Niech ich pan odetnie od dostaw - zdecydował Zdrok. - Jeśli znów będą zawracać głowę o pieniądze, albo o pokrycie strat, albo o kredyt albo o jakiegokolwiek inne bzdury, po prostu niech ich pan odetnie od dostaw.

Antipow pokiwał głową, ale widać było, że nie do końca zgadza się z szefem.

Zdrok zignorował go. Wiedział, że wykona polecenie i że będzie bezlitosny. Wziął głęboki oddech, a potem wpadł na jeszcze jeden pomysł.

- Z drugiej strony naszym rozwiązaniem może okazać się pan Mohammed - powiedział.

- Ahmed Mohammed? - zdziwił się Antipow.

- Tak. To w końcu on wykonuje całą robotę, nieprawdaż? Być może powinniśmy dać mu do zrozumienia, że gdyby przywództwo w Cieniach stało się nagle przedmiotem sporu, wówczas Sklep poprze właśnie jego.

- Uważam, że to świetny pomysł - stwierdził Antipow, a Herzog wyraził uznanie skinieniem głowy.

- Dobrze. Wybieram się do Baku - oznajmił Zdrok. - Jeśli będę potrzebny, wicie jak mnie znaleźć.

Po czym wstał i wyszedł. Antipow i Herzog spojrzeli na siebie, wzruszyli ramionami i wstali od stołu.

Sklep kierowany był przez zespół czterech ludzi. Każdy z nich miał własne zadania i obowiązki. Każdy dowodził dużą grupą podwładnych. Każdy dysponował wielką władzą i pieniędzmi.

Ale nigdy nie pojawiły się wątpliwości, kto tak naprawdę jest szefem.

Na umówioną kolację z Namikiem Basaranem przychodzę punktualnie. Restauracja to niewielka knajpka z widokiem na jezioro Van, położona przy nastawionym na turystów placu tuż koło przystani jachtów. Oprócz niej mieści się tu kilka firm wynajmujących łodzie, agencja turystyczna, sklepy z pamiątkami, dwa hotele i kilka restauracji. Niedaleko stąd do Akdabar Enterprises.

Basaran i jego ochroniarz czekają na mnie w środku. Wielki facet znów mierzy mnie wzrokiem, ale posłusznie wychodzi, gdy jego szef daje znak głową. Basaran ubrany jest w ten sam garnitur, co wcześniej. Ja do sportowej marynarki włożyłem inny krawat -mój plecak nie pomieści więcej cywilnych ubrań. Pod spodem mam kombinezon, nie tylko ze względów praktycznych, ale również dlatego, że noc w górach jest chłodna. Od jeziora wieje lekka, ale przenikliwa bryza.

Szef sali wita Basarana ciepło, zwracając się do niego po imieniu. Biznesmen prosi o stół przy oknie, po czym sam rusza przodem. Lubię turecką kuchnię. Jak w wielu krajach europejskich i azjatyckich, celebrytuje się tu posiłki i kolacja może potrwać ładnych kilka godzin. Mam jednak przecucie, że dziś tak nie będzie. Basaran to bardzo zajęty człowiek.

Mój towarzysz zamawia miejscowe wytrawne czerwone wino oraz raki, anyżową turecką wódkę, bardzo podobną do greckiego ouzo czy arabskiego araku - bardzo mocną. Zaczynamy od przystawek, czyli mezeler: drobno posiekana sałatka, smażone puree z bakłażana oraz pikle z pieprzu i rzepy. Dalej idzie miętowa zupa z soczewicy obficie przyprawiona papryką. Danie główne to casserole z jagnięciny: pokrojone w kostkę mięso, zielony groszek, pomidory, bakłażan, cukinia, pieprz i cała masa czosnku. Chyba najtrafniejsze określenie tureckiego posiłku to przymiotnik „obfity”.

- Właśnie usłyszałem w wiadomościach, że miał miejsce kolejny atak terrorystyczny przypisywany Cieniom - rozpoczyna rozmowę Basaran.

- Naprawdę? - Ja nic o tym jeszcze nie wiem.

- Znowu w Iraku. Celem był samochód wiozący dwóch członków irackiego rządu. Obaj zginęli na miejscu.

Kręcę głową.

- I właśnie dlatego wszystkie narody świata powinny zjednoczyć się w walce z terroryzmem.

Patrzy na mnie sceptycznie.

- Pan przecież pochodzi ze Szwajcarii, prawda panie Fisher? A czy to nie Szwajcarom właściwa jest sławna neutralność wobec problemów świata?

- Owszem, ale to nie do końca prawda - odpowiadam. - Fakt, że nie bierzemy udziału w wojnach nie oznacza automatycznie, że świat nic nas nie obchodzi.

- A co pan sądzi o amerykańskiej polityce na Bliskim Wschodzie?

Oho, muszę być ostrożny. Jeszcze chwila a zacznę podejrzewać, że nie pochodzę ze Szwajcarii.

- Nie muszę chyba mówić, że przynosi pewne... rozczarowanie - odpowiadam. Nie lubię się do tego przyznawać, ale naprawdę tak uważam.

- Ha! - wykrzykuje głośno Basaran. - Rozczarowanie! Wybacz pan, ale to grube niedopowiedzenie. Ja nigdy nie sympatyzowałem z Saddamem Husseinem, a podczas wojny iracko-irańskiej brałem stronę Iranu, ale postępowanie Stanów Zjednoczonych w tym kraju woła o pomstę do nieba. Niby jakim cudem sytuacja ma się tam unormować? Przecież zawsze znajdują się jacyś buntownicy, którzy zechcą zdestabilizować kraj po prostu po to, żeby udowodnić światu jak wielki błąd popełniła Ameryka. Czasami mentalność mieszkańców kraju wymaga, aby ludziom mówić, co mają robić. Demokracja nie wszędzie się sprawdza.

- Ameryka chyba zdążyła się tego nauczyć w Wietnamie, nie sądzi pan? - pytam.

- Ba! Moim zdaniem niczego się nie nauczyli, a nawet jeśli, dawno o tym zapomnieli. Chyba zgodzi się pan ze mną, że polityka amerykańska na Bliskim Wschodzie zmieniła wielu ich dotychczasowych sojuszników we wrogów? Arabowie ich nienawidzą. Turcy... cóż, wiem, że wielu nienawidzi Ameryki. Nie wszyscy. Ale muzułmanie generalnie są zdania, że Stany Zjednoczone chcą zniszczyć ich religię.

- Obaj wiemy, że to nieprawda - protestuję. Zaczynam się wewnętrznie jeżyć.

- Tak? Och, rozumiem, zatem chodzi tylko o ropę, mam rację?

Muszę być bardzo ostrożny.

- Ropa to cenny surowiec, nie tylko dla Stanów, ale dla całego świata. Dlatego utrzymanie spokoju na Bliskim Wschodzie powinno być ważne dla wszystkich, nie tylko dla Amerykanów z tymi ich krążownikami szos.

Basaran wzrusza ramionami.

- Zapewne ma pan rację. Jednak obawiam się, że opinia Arabów o Ameryce stała się tak fatalna, że raczej nie da się jej naprawić.

Zgadzam się z tym twierdzeniem, ale uznaję, że lepiej zmienić temat.

- Co pana skłoniło do zajęcia się walką z terroryzmem? A raczej niesieniem pomocy jego ofiarom?

- Każdy ma jakąś pasję, prawda? Moją jest pomaganie ofiarom. Widziałem na własne oczy, co to

znaczy dla rodziny, gdy ktoś bliski ginie w zamachu terrorysty-samobójcy, albo rozerwany przez minę lądową, albo w porwanym samolocie, który uderza w wieżowiec.

- Proszę mi wybaczyć zbytnią otwartość, ale wyczuwam, że terroryzm dotknął pana osobiście.

Oczy Basarana na moment ciemnieją. Wiem, że trafiłem.

- A czy terroryzm nie dotyka osobiście nas wszystkich? - pyta, unikając odpowiedzi.

- Moim zdaniem terroryzm jest środkiem, który niekoniecznie prowadzi do celu, jaki chcą osiągnąć terroryści - odpowiadam.

- To znaczy?

- Rządy nie zmieniają polityki z jego powodu.

- Nie jest to prawda tak do końca - stwierdza Basaran. - Proszę spojrzeć, co stało się w Hiszpanii po ataku na pociągi. Ludzie przegłosowali tam zmianę rządu. Niedocenianie wpływu zamachów to błąd - terroryzm osiąga swój cel na wiele różnych sposobów. Ludzie są nim przerażeni. Niech pan zobaczy, co się dzieje w Iraku. Taka sytuacja nie może trwać bez końca. Niedługo dojdzie do przełomu i terroryści wygrają.

- Naprawdę pan w to wierzy? - pytam.

Basaran nagle wali pięścią w stół, zaskakując innych gości restauracji, w tym również i mnie.

- Irak upadnie! Ja to wiem! Upadnie, a amerykańskie interesy w tym rejonie świata zostaną poważnie zagrożone. Zobacz pan!

- Szybko odzyskuje panowanie nad sobą i mówi: - Proszę mi wybaczyć. Czasami mnie ponosi.

Ten wybuch wydaje się niczym niesprovokowany. Czyżby Na-mik Basaran miał coś przeciwko Irakowi? To oczywiste, że nie jest miłośnikiem amerykańskiej polityki zagranicznej, ale tkwi w tym coś jeszcze. Postanawiam skierować rozmowę na inny temat.

- Panie Basaran, rozmawialiśmy wcześniej o Cieniach, ale nie udało nam się wymienić opinii na temat Sklepu. Czy może mi pan o nim coś opowiedzieć?

Basaran wydaje się zażenowany swoim wybuchem. Przez kilka sekund siedzi w milczeniu popijając raki, jakby rozważał co powinien mi wyjawiać.

- Sklep to nikczemna organizacja - zaczyna, ważąc starannie słowa. - Z tego, co mi wiadomo, są zainteresowani wyłącznie zyskiem. Nie obchodzi ich kogo po drodze skrzywdzą. Nie obchodzą ich ani zagadnienia polityczne, ani religijne, ani socjologiczne. Dostarczają pewnych usług i są w tym

bardzo dobrzy. Na świecie działa wielu nielegalnych handlarzy bronią, ale nikt nie jest równie dobrze zorganizowany jak Sklep.

- Kim oni są? Jaki jest ich łańcuch dowodzenia? - pytam.

- Tego nikt nie wie. Działają chyba na zasadach rodziny mafijnej. Jest jakiś szef i jego zaufani zastępcy, a każdy zastępca ma pod sobą swoich żołnierzy, cała struktura przypomina drzewo genealogiczne. Ich macki sięgają wszędzie, nie tylko na Bliski Wschód. Mam wrażenie, że mają oddział również w pańskiej Szwajcarii, przyjacielu.

- Nie wątpię.

- A jeśli chodzi o dowodzenie - chodzą słuchy, że Sklepem kieruje niewielka grupa bogatych bankierów, byłych wojskowych, albo szefów przedsiębiorstw państwowych w Rosji i byłych krajach satelickich.

- Rosja. Też mi się zawsze tak wydawało. Ma pan jakieś podejrzenia kim może być ten wielki szef?

Basaran rozgląda się wokoło sprawdzając, czy nikt nie przysłuchuje się naszej rozmowie. Potem pochyła się w moją stronę.

- Słyszałem pewne nazwisko, chociaż nie wiem ile w tym prawdy - szeptem. - Czy kiedykolwiek słyszał pan o kimś, kto nazywa się Zdrok?

Interesujące. Właśnie to nazwisko Rick Benton umieścił w swoich notatkach. A niedawno słyszałem, jak Basaran przeklina właśnie tego człowieka.

- Niewykluczone - odpowiadam. - A kto to jest?

- Andriej Zdrok. Pochodzi z Gruzji, jak sądzę. Bardzo bogaty finansista. Jeśli nawet nie jest szefem Sklepu, na pewno stoi wysoko w jego strukturach.

- Spotkał się pan z nim kiedyś?

Basaran kręci przecząco głową.

- Oczywiście, że nie. Jak już powiedziałem, nie wiem nawet czy ktoś taki istnieje naprawdę. Po prostu od czasu do czasu wypływa to nazwisko. Ale to może nic nie znaczyć.

Mam co do tego wątpliwości. Odchylam się na oparcie krzesła i zastanawiam nad tym, co usłyszałem. Basaran przed chwilą mnie okłamał. Nie przeklinałby przecież kogoś, kto nie istnieje. Wiem już teraz, że mogę mu ufać w takim samym stopniu, jak terroryście, którego przezwiałem Szczerbatym. Kiedy zajdzie słońce będę musiał się przyjrzeć uważniej Akdabar Enterprises.

Podają nam mocną kawę - kahve - i baklawę na deser. Potem Basaran częstuje mnie tureckim cygarem i przez kilka minut siedzimy w milczeniu wyglądając przez okno na ciemne jezioro. Turecki tytoń jest mocny i strasznie kopci. Udaję, że palę, ale staram się nie zaciągać.

- Kocham to miejsce - mówi wreszcie Basaran. - Szczególnie zachody słońca nad jeziorem.

- Pochodzi pan stąd? - pytam.

- Nie. Urodziłem się w małej wiosce u podnóża góry Ararat. Nazywa się Dogubajazyt. Słyszał pan o niej?

- Obawiam się, że raczej nie.

- Beznadziejna dziura. Byłem szczęśliwy, kiedy stamtąd wyjeżdżałem na zawsze.

- Zdołał pan odnieść w życiu wspaniałą sukces.

Basaran macha lekceważąco cygarem.

- Szczęście. Trochę szczęścia i mądre inwestycje. To wszystko. Nie mam jakichś konkretnych kwalifikacji, po prostu jestem dobry w zarządzaniu firmą. Przypuszczam, że dużą rolę odgrywa wizja. Bo trzeba było wizji, żeby sobie wyobrazić centrum handlowe na północnym Cyprze. Ten projekt pochodzi prosto z serca.

- Kiedy przewiduje pan wielkie otwarcie?

- Lada chwila. Buduję to centrum już od trzech lat. Powinniśmy je otworzyć w ciągu najbliższych tygodni. Dokładną datę poznam za kilka dni.

- Gratuluję.

- Dziękuję panu.

- A co na to Republika Cypru?

Znów macha cygarem.

- Ci cholerni Grecy cypryjscy mogą się powiesić. Na pewno z początku będą się burzyć, ale potem wszystko wróci do normy. Zawsze tak jest na Cyprze: sytuacja nagle się zaostrza, a potem równie nagle uspokaja. Dlatego wszyscy zachowują tam tak wielką czujność. Ale najważniejsze jest to, że otwarcie centrum handlowego tego kalibru pokaże światu, że Turcy zamierzają zostać na Cyprze na zawsze.

Zastanawiam się, czy Grecy cypryjscy rzeczywiście tak łatwo się z tym pogodzą. Ale Basaran, jak

każdy, kto poświęca wiele czasu, pieniędzy i energii na zwalczanie terroryzmu, jest bardzo zadufany w sobie, jeśli chodzi o politykę. Przynajmniej tak mnie ostrzegał Reza.

Kiedy kelner przynosi rachunek, Basaran zabiera go szybko i znów kiwa cygarem.

- Proszę nie protestować. To była dla mnie przyjemność. - Patrzy na zegarek i dodaje. - Niestety muszę już zakończyć nasz miły wspólny wieczór. Życzę panu powodzenia przy opracowywaniu raportu. Mam nadzieję, że dostanę egzemplarz, jak już zostanie opublikowany.

- Oczywiście. Bardzo dziękuję za kolację.

- Nie ma za co.

Kładzie na stole kilka banknotów i obaj wstajemy. Żegnamy się z kierownikiem sali i wychodzimy w orzeźwiający chłód nocy. Wielki ochroniarz wynurza się z cienia i staje obok swego szefa. Basaran wyciąga do mnie rękę. Wymieniamy uścisk dłoni.

- Dobranoc, panie Fisher. Miłych podróży.

- Dziękuję, na wzajem.

Muszę przejść na drugą stronę zaskakująco ruchliwej, przecinającej plac ulicy. Czekać, aż minie mnie pięć kolejnych samochodów, od niechcienia odwracam się i patrzę w stronę restauracji. Basaran i jego ochroniarz nadal stoją w wejściu i patrzą na mnie. Macham do nich, a Basaran mi odmachuje. Z powrotem odwracam się do ulicy i widzę zbliżające się światła szóstego wozu. Wyliczam, że swobodnie zdążę przejść na drugą stronę, ale kiedy schodzę na jezdnię, nagle słyszę pisk opon. Samochód rusza pełnym gazem prosto na mnie.

Po raz pierwszy w życiu zamieram w bezruchu. Widzę co się dzieje, ale nie jestem w stanie nawet drgnąć. Nie mam pojęcia dlaczego. Zwykle zareagowałbym przecież instynktownie i odskoczył na bok, ale dziś, z jakiegoś nieznanego powodu, nie wiem co robić. Czuję się jak jeleń na szosie złapany w światła reflektorów.

Coś zmusza mnie do spojrzenia na Basarana. On również zamarł, wpatrzony we mnie. Czemu nic nie robi? Czemu nie krzyczy: „Niech pan uważa, panie Fisher!” - albo coś w tym rodzaju?

I dopiero ten widok pobudza moje zmysły. Reakcja Basarana na to co się dzieje nagle wrywa mnie z bezruchu. Reflektory znajdują się już tylko o parę długości samochodu ode mnie, zbliżając się z prędkością jakichś 150 kilometrów na godzinę. Odskakuję, upadam amortyzując upadek rękami i odtaczam na bok dokładnie w chwili, gdy samochód mnie mija. Stary Citroen. Obracam głowę i patrzę za nim. Zatrzymuje się z piskiem opon kawałek dalej. W środku widać sylwetki trzech ludzi. Namik Basaran i jego ochroniarz nadal tkwią nieruchomo za moimi plecami, przed restauracją.

Kierowca Citroena zawraca i rusza z powrotem, nabierając prędkości. Facet na siedzeniu pasażera

wysuwa górną połowę ciała przez boczne okno i opiera się o maskę - w rękach trzyma Kałasznikowa. Podrywam się na równe nogi i próbuję ukryć, ale za plecami mam wyłącznie witryny sklepów. Strzelec naciska spust i nagle ulica zmienia się w pole bitwy. Rzucam się do przodu i padam na ziemię, a kula przelatuje tuż nad moją głową. Szyby w oknach agencji turystycznej rozbijają się z hukiem, a w środku ktoś krzyczy. Citroen znów zatrzymuje się z piskiem, gotów do kolejnej szarży. Widzę jak zaalarmowani hałasem ludzie wyglądają z restauracji i sklepów.

Kiedy ostrzał znów się zaczyna, gapie krzyczą i uciekają w panice. Uświadamiam sobie, że muszę odciągnąć napastników od przechodniów, więc robię coś, co można by uznać za niepotrzebne ryzyko. Podnoszę się i wybiegam na środek jezdni, stając za Citroenem, który właśnie rusza ulicą. Najwyraźniej mnie zgubili. Czy powinienem pobiec do samochodu? Stoi jakieś pięćdziesiąt metrów stąd, na małym parkingu, po drugiej stronie placu. Nie, to zbyt ryzykowne. Nim tam dotrę, będą mi już siedzieć na karku. A Pazhan raczej nie przetrzyma ostrzału z Kałasznikowa.

Strzelec wskazuje coś ręką, pochylając się w stronę kierowcy. Zauważyli mnie. Citroen zawraca niemal w miejscu i rusza pełnym gazem w moim kierunku. Biegnę na drugą stronę placu, tę sąsiadującą z jeziorem. Niski ceglany murek oddziela drogę od przystani i małego parkingu, gdzie stoi zaparkowanych siedem czy osiem samochodów. Przeskakuję przez niego, gdy kule zaczynają przecinać powietrze. Odpryski cegieł działają zupełnie jak szrapnel, więc padam na ziemię. Słyszę, jak samochód mnie mija, hamuje z piskiem opon i cofa się, zjeżdżając na pobocze.

Tym razem instynkt mnie nie zawodzi. Toczę się jak kłoda drewna w kierunku zaparkowanych samochodów, a potem wciskam między furgonetkę Chevroleta a Volkswagena. Strzelec zasypuje tę stronę ulicy gradem kul, dziurawiąc oba pojazdy. Szyby i reflektory rozbijają się z hukiem, opony eksplodują. Wpełzam pod furgonetkę kiedy kule zaczynają odbijać się rykoszetem zaledwie kilka centymetrów od mojego ciała. Hałas jest wprost ogłuszający. Z pewnością zaalarmuje miejscową policję. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Czołgam się na brzuchu w kierunku przodu furgonetki, aby od napastników oddzielał mnie cały samochód. Potem pełznę, trzymając się przy samej ziemi, w kierunku pomostu do którego zacumowano kilkadziesiąt łodzi. Ogień cichnie, ale słyszę jak otwierają się i zamykają drzwiczki Citroena. Teraz będą mnie ścigać pieszo. Biegnę na skraj pomostu i rozważam wyjścia z sytuacji. Mogę wskoczyć do wody i odpłynąć. Albo wskoczyć do jednej z łodek, ale nim ją odcumuję i odepchnę od brzegu, na pewno zdążą się do mnie przyłączyć. Ostatnia możliwość to wyciągnąć z kabury na plecach moje Five-seven i odpowiedzieć ogniem, ale to mogłoby na mnie spowodować kłopoty z miejscowymi władzami. Moja misja jest zbyt delikatna, żeby narażać ją na podobne problemy. A poza tym nie uśmiecha mi się spędzenie reszty życia w tureckim więzieniu. Strzelec pojawia się na przeciwległym końcu nadbrzeża. Unosi karabin i strzela. Kule wrywają u moich stóp drzazgi z pomostu. Odwracam się i skaczę do zimnej, ciemnej wody.

To prawdziwy szok. Dzięki Bogu, że mam na sobie kombinezon, inaczej chyba bym dostał szoku hipotermicznego. Jest ciemno jak w piekle, ale nie zamierzam ryzykować i zapalać podświetlenia OPSAT-u. Mogliby mnie zobaczyć z brzegu.

Kiedy odpływam w głąb jeziora, kule przecinają wodę z tym dziwnym, jakby nie z tego świata, efektem zwolnionego ruchu. Nawet w ciemnościach widzę tory pocisków po obu stronach mego ciała. Jeden niebezpiecznie blisko mija moje ucho, aż czuję wywołane przez jego pęd ciepło. Szybko zmieniam kierunek i płynę z powrotem do brzegu, mając nadzieję, że mnie nie zauważą. Jestem niezły we wstrzymywaniu oddechu. Tego też uczy Krav Maga - wytrzymałości i odporności na ból. Moje płuca są silne - kiedy ostatni raz mierzyłem sobie czas, wstrzymałem oddech na prawie cztery minuty. To Katia Loenstern zachęciła mnie, bym spróbował przekroczyć granicę trzech minut. Muszę spróbować być dla niej miłszy, kiedy wrócę do Baltimore.

Docieram do łodzi zacumowanych przy pomoście. Wyciągam rękę i trafiam na kadłub pierwszej z nich. Płynę dalej mijając drugą i trzecią. Oceniam, że od momentu zanurkowania minęły co najmniej dwie minuty, ponieważ w płucach czuję ogień. Kiedy nie mogę już wytrzymać, ostrożnie wynurzam się pomiędzy łodziami, by zaczerpnąć powietrza. Przytrzymuję się rozkołysanej burty i słyszę rozmowę ludzi stojących na pomoście nade mną. Znajdują się na samym jego brzegu, jakieś dziesięć metrów dalej. Wygląda na to, że się kłócą. Nie znam języka, w którym rozmawiają, ale jestem w stanie stwierdzić, że nie jest to turecki. Brzmi raczej jak farsi, ale nie jestem pewien na sto procent.

Człowiek z karabinem nagle wypuszcza w wodę kolejną serię, a drugi krzyczy na niego, żeby przestał. Dalej się kłócą. Potem słyszę, jak odchodzą, a ich buty tupią po drewnianym pomoście nade mną. Zanurzam głowę, nurkuję pod kadłub łodzi i czekam. Kolejne kule przeszywają wodę pomiędzy jachtami, ale tu jestem bezpieczny.

Gdzie, do Ucha ciężkiego, jest policja? Ten jeden jedyny raz nie miałbym nic przeciwko interwencji stróżów porządku.

Mija kolejna minuta. W piersi czuję nieznośny ciężar. Ostrzał milknie, a ja czuję, że muszę się wynurzyć i zaczerpnąć powietrza, ale tkwię dalej w miejscu. Przeczekuję jeszcze co najmniej trzydzieści sekund - wtedy już wiem na pewno, że więcej nie zdołam wytrzymać - po czym znowu się wynurzam. Łapię oddech jak najciszej potrafię. Nasłuchuję, ale wszędzie panuje cisza. Odeszli. Pewnie myślą, że leżę na dnie jeziora.

Czekam jeszcze trzy minuty, a potem wychodzę z wody na pomost. Wracam na plac, a wtedy słyszę w oddali policyjne syreny. Citroen zniknął, ulica jest zupełnie pusta. Biegnę do Pazhana i wsiadam, choć cały ociekam wodą. Zapalam silnik, wycofuję się z parkingu i wyjeżdżam z miasta, nim na miejsce zdarzenia docierają gliny.

Rejestruję przy okazji, że Namik Basaran i jego ochroniarz zniknęli sprzed frontu restauracji.

Po północy parkuję Pazhana na wzgórzu górującym nad Akdabar Enterprises i obserwuję teren firmy. Oświetlają go liczne reflektory, widać też kilku strażników. Dziś nie będzie łatwo.

Najpierw dostrajam OPSAT do częstotliwości pluskiew, które umieściłem w biurze Basarana. Cisza świadczy, że w pokoju jest pusto. Szybko zdejmuję cywilne ubranie i kładę je na siedzeniu obok, zarzucam na ramię karabinek, poprawiam hełm i ustawiam gogle. Jeszcze tylko wyreguluję temperaturę wewnątrz kombinezonu i jestem gotów do drogi.

Kiedy docieram w pobliże ogrodzenia z drutu kolczastego, przykucam pod osłoną wielkiego krzewu i oceniam sytuację. Dokładnie na przeciwko mnie, po drugiej stronie płotu, stoją dwa baraki - dobre miejsce na rozpoczęcie akcji. Czekam, aż minie mnie strażnik - idzie ścieżką pomiędzy ogrodzeniem a barakami, kierując się w stronę głównej bramy. Zapewne jego rejon obejmuje całą tę część zakładu - oceniam, że wróci tu za niecałe dziesięć minut.

Uzbrojony w ciężkie nożyce do cięcia drutu rozcinam siatkę na tyle, by móc się prześlizgnąć pod odchylonym fragmentem. Zamykam za sobą tę „klapę” i starannie dopasowuję do siebie przecięte druty. Póki się ktoś nie przyjrzy uważnie, płot będzie wyglądał jak nietknięty.

Szybko przemykam przez przejście między barakami, po czym zatrzymuję się, by zaplanować dalsze działania. Chcę się dostać do budynku administracji, przede wszystkim do biura Basarana. Chcę również zbadać siedzibę Tirmy i zobaczyć, co tam znajdę. A na koniec chętnie poznam sekrety wielkiego magazynu i stalowni. To będzie pracowita noc.

Postanawiam rozpocząć od najdalej położonych budynków - Tirmy i biura Basarana - a resztę obejrzeć w drodze powrotnej. Podstawowa rzecz, to trzymać się w cieniu. Mój kombinezon wyposażony jest w fotosensory, które rejestrują natężenie padającego na mnie światła i przekazują dane na OPSAT. Kiedy przełączę urządzenie na odpowiedni tryb pracy, wiem dokładnie, do jakiego stopnia jestem widoczny. Obecnie jest to trzydzieści dwa procent. Ale na terenie zakładu jest bardzo widno, a moją jedyną kryjówkę stanowią będą cienie rzucane przez budynki. Przejścia między budynkami oświetlone są tak silnie, że wszystko widać jak w dzień.

Znowu przydaje mi się „peryskop”. Zaglądam z jego pomocą za róg baraku i sprawdzam, czy przejście jest puste. Oglądam uważnie słup, na którym zawieszony jest reflektor, ale nie dostrzegam kamer. Ruszam.

Przebiegam przez przejście i zatrzymuję się przy następnym budynku, plecami do ściany. Znowu wyglądam za róg i powtarzam cały proces. Od celu dzieli mnie sześć budynków. Idzie nieźle, póki nie docieram do piątego z nich. Przez peryskop widzę dwóch strażników idących przejściem. Pałają papierosy i rozmawiają. Muszę jakoś odwrócić ich uwagę, więc zdejmuję z ramienia karabinek i ładuję go kamerą dywersyjną. Mógłbym ją ustawić na emisję gazu CS, ale, jeśli nie muszę, nie lubię pozostawiać po sobie takich śladów. A moje obecne zadanie polega wyłącznie na odwróceniu uwagi

strażników.

Ładuję karabinek i celuję w budynek stojący dokładnie na przeciwko mnie, jakieś 150 metrów dalej. Sprawdzam, czy tłumik jest dokręcony, po czym celuję i naciskam spust. Miękkie puff niknie w szumie nocnego wiatru, niesłyszalne dla obu strażników. Przez celownik widzę, że kamera przywarła do ściany - trochę za nisko, jak na mój gust, ale musi wystarczyć. Przewieszam karabinek przez ramię i aktywuję ją z OPSAT-u. Menu oferuje do wyboru najrozmaitsze dźwięki, od głosów zwierząt po nagrania „Alexander's Ragtime Band”. Decyduję się na szum, dość głośny, by usłyszeli go strażnicy. Zapewne dojdą do wniosku, że to jakiś uszkodzony megafon i pójdą sprawdzić. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Zgodnie z przewidywaniami wartownicy wykazują zainteresowanie szumem. Przez chwilę jeszcze wymieniają uwagi, a potem ruszają w tamtym kierunku. Doskonale. Teraz mam szansę. Przesuwam się powolutku za róg, a licznik światła OPSAT-u zbliża się do niebezpiecznej granicy. Widać mnie teraz jak na dłoni. Przebiegam do szóstego budynku na mojej trasie, doskonale widoczny przez jakieś osiem sekund. Strażnicy zapewne znaleźli już przyklepniętą kamerę i teraz się pewnie zastanawiają, co to u licha może być.

Droga wolna. Niepostrzeżenie przemykam przez podjazd i niewielki parking do budynku Tirmy. Bardzo różni się on od reszty zabudowań na terenie zakładu. Jest piętrowy i został zaprojektowany w amerykańskim stylu kolonialnym - ulubionym przez klasę średnią w Nowej Anglii. Jest zbudowany z drewna, pomalowany na biało, a po obu stronach wejścia tkwią grube kolumny. Zamiast numeru, na tabliczce informacyjnej nad drzwiami wypisano słowo TIRMA. Bardzo dziwne.

Przemykam na tyły budynku, zmniejszając w ten sposób szansę, że ktoś mnie zobaczy. Na szczęście tutaj panują ciemności. Widzę stąd jezioro. Plac i przystań dla jachtów znajdują się jakieś półtora kilometra dalej, gdyby iść brzegiem. Wiatr wiejący od wody jest lodowato zimny.

Na tyłach budynku znajduje się wyjście, zapewne ewakuacyjne, oraz dwa okna. Sprawdzam je najpierw, ale oba okazują się zamknięte. No to zostają mi drzwi. Sięgam po komplet wytrychów i w sześć sekund otwieram prosty zamek.

Wchodzę do budynku. Drzwi prowadzą wprost do pomieszczenia, które służy chyba za podręczny magazyn. Są tu sterty składanych krzeseł, przydatnych podczas konferencji, półki pełne materiałów biurowych, kilka dużych pudeł i automat do zimnych napojów.

Drugie drzwi prowadzą na korytarz, którym można dotrzeć do frontowego wejścia po przeciwnej stronie budynku. Przez chwilę nasłuchuję w skupieniu, ale wszędzie panuje cisza. Nikogo tu nie ma. Ruszam. W połowie korytarza mijam dużą salę konferencyjną, wyposażoną w wielki ekran i sprzęt audiowizualny oraz jeszcze jedno pomieszczenie, przypominające salon. Zapewne organizują tu wieczory zbierania funduszy. W największym pomieszczeniu na tej kondygnacji prezentowane są próbki rozmaitych darów, które Tirma wysyła ofiarom terrorystów. Zapewne ich zapasy przechowywane są gdzieś na terenie zakładu, w którymś z baraków, albo w magazynie. Widzę lekarstwa, żywność w proszku, butelki wody mineralnej, zboże i ubrania. Poza tym na parterze

znajdują się jeszcze tylko dwie nowoczesne łazienki. Cicho wchodzę na piętro. Wszystkie podłogi wyłożono grubą wykładziną, nawet schody, dlatego moje kroki są niemal bezszelestne, wyjąwszy skrzywienie drewnianej podłogi pod dywanem, no ale na to nie mam żadnego wpływu.

Na górze znajdują się cztery biura. Jedno pełni z pewnością funkcję sekretariatu - stoją tu trzy biurka, komputery, szafki na dokumenty i kopiarka, a więc wyposażenie, jakiego normalnie człowiek spodziewa się w biurze. Pozostałe trzy pomieszczenia należą zapewne do członków zarządu organizacji. W pierwszym odkrywam całą masę ulotek w kilku językach - są to broszurki objaśniające cele Tirmy. Zabieram spory plik; część wydrukowano po angielsku, część w farsi, a resztę po turecku i arabsku. Wkładam ulotki do plecaka i idę dalej.

Dwa pozostałe pokoje należą do zarządu. Włączam stojące tam komputery i przez dłuższą chwilę badam ich zawartość. Dostęp nie jest chroniony hasłem, dlatego mogę bez trudu przeglądać pliki. Nie znajduję nic podejrzanego, nawet kiedy próbuję wyszukać takie słowa, jak Tarighian, Mohammed, Mertens i Zdrok.

Wygląda na to, że Tirma rzeczywiście jest organizacją charytatywną i niczym więcej.

Wychodzę z budynku tą samą drogą, którą wszedłem. Następny przystanek to biuro Basarana, kilka budynków dalej. Siedziba administracji jest rzęsiście oświetlona i na pewno strzeżona dużo staranniej. W środku mogą być ludzie. Trzymam się teraz na tyłach budynków - pierwszy to stołówka pracownicza - aż wreszcie docieram do celu. To tutaj spotkałem się wcześniej z Basaranem. Na tyłach nie ma ochrony, ale nie wątpię, że przynajmniej jeden strażnik pilnuje frontu.

Tylne wejście zabezpieczone jest zamkiem szyfrowym, ale mogę się założyć, że w całym budynku używa się tego samego kodu. Wyszukuję sekwencję, którą wpisałem wcześniej w OPSAT i wciskam na klawiaturze przyciski 8, 6, 0, 2, 5. Drzwi stają otworem. Wiem, że pełno tu kamer nadzoru, więc uchylam je tylko lekko i za pomocą peryskopu zaglądam do środka. No pewnie, oto i kamera, wycelowana prosto w drzwi.

Mógłbym, gdybym chciał, rozwalić ją z pistoletu, ale to tylko zwróciłoby uwagę strażników. Wolę obejść ją inaczej. Wygląda mi na standardowy model, taki, który rejestruje wszystko, pod warunkiem, że w pomieszczeniu jest dostatecznie widno. Gdzieś przy drzwiach musi być wyłącznik światła - manewruję peryskopem, żeby go znaleźć, a potem szybko sięgam ręką i wyłączam światło. Potem wchodzę do pokoju i zamykam za sobą drzwi. W goglach ustawionych na nocny tryb pracy widzę doskonale, natomiast kamera nagrywa teraz tylko ciemność.

Wychodzę z pomieszczenia i patrzę na rzęsiście oświetlony hol. Przez okna widzę odwróconego do mnie tyłem strażnika na froncie budynku. Patrzy na parking, kuli się z zimna i pali papierosa, zapewne przeklinając swój los i obowiązki. Rozglądam się po suficie, ścianach i kątach pomieszczenia w poszukiwaniu kolejnych kamer. Znajduję jedną, wycelowaną prosto we frontowe wejście. Mogę ją łatwo ominąć, zważywszy, że jestem już w środku. Upewniam się, że strażnik nie patrzy i przemykam przez hol, a potem przez dwuskrzydłowe drewniane drzwi do recepcji. Bogu dzięki, tu światła są zgaszone.

Podchodzę do panelu zamka, wystukuję ten sam kod i droga do biura Basarana staje przede mną otworem. Tu znów palą się światła, a ja nie mam pojęcia gdzie się je wyłącza. Wiem natomiast, że za rogiem znajduje się kolejna kamera, dlatego ostrożnie wysuwam peryskop. Tym razem jest to kamera obrotowa z wykrywaczem ruchu, a drzwi do gabinetu Basarana znajdują się dokładnie w samym środku jej pola widzenia. Nie widać przy nich klawiatury zamka - wyraźnie panuje tu przekonanie, że jeśli ktoś minął recepcję, wolno mu wchodzić wszędzie.

Muszę czymś zająć kamerę. Wyciągam z plecaka zakłócacz i włączam go. Urządzenie zaczyna lekko wibrować, co świadczy, że działa - emitowane przez nie impulsy mikrofalowe są oczywiście niewidzialne - a największe zakłócenia generuje wówczas, gdy znajduje się w ruchu. Wyciągam je przed siebie, wychodzę zza rogu i biegnę szybko korytarzem. Słyszę, jak obiektyw kamery bezskutecznie próbuje dostroić ostrość. Otwieram drzwi biura Basarana i wślizguję się do środka, a wówczas kamera odzyskuje „wzrok”.

W gabinecie palą się tylko boczne światła - przy barku, na biurku i przy samych drzwiach. Na szczęście zasłony wielkiego okna, wychodzącego na jezioro, zostały zaciągnięte.

Najpierw przeglądam zawartość biurka. W szufladach nie ma nic ciekawego - kilka rzeczy osobistych, parę potwierdzeń transakcji kartą kredytową, numery telefonów do pracowników i inne papiery związane z firmą. Jest tu również gumowa piłeczka do ćwiczenia dłoni, którą widziałem u Basarana. Włączam komputer, ale dostęp chroniony jest hasłem. Cholera. Szkoda, że Carly St. John nie jest jeszcze gotowa. Uprzedziłem Lamberta, że będę tu dziś w nocy, ale Carly nie miała dość czasu na włamanie się do serwera Akdabaru. Dlatego niewiele tu zdziałam.

Wyłączam komputer i wtedy po raz pierwszy zauważam stojącą na biurku fotografię. Widnieje na niej kobieta z zasłoniętą twarzą i dwie dziewczynki w wieku sześciu czy ośmiu lat. Rodzina Basarana? Nie wyglądają na Turczynki. Większość Turczynek, nawet tych bardzo religijnych, nie nosi na twarzy zasłon, jak kobiety w Iraku czy Iranie. Szybko robię OPSAT-em zdjęcie tej fotografii, a potem idę do szafek na dokumenty.

Z łatwością otwieram wytrychem pierwszą. Są tu kolejne dokumenty dotyczące Akdabar Enterprises - teczki pracowników, księgi rachunkowe i inne równie nudne zapiski. Jedna z szuflad jest jednak oznaczona CYPR. Wyciągam ją i przeglądam zawartość. Dokumenty dotyczą budowy centrum handlowego - zestawienia wydatków, harmonogramy, informacje dla prasy i notatki służbowe. Kompleks powstaje niedaleko portu Framagusta, najważniejszego punktu strategicznego północnego Cypru zaraz po stolicy, Lefkozji.

Na samym dnie szuflady leży obwiązana sznurkiem teczka. Wyciągam ją, rozwiązuję sznurek i zaglądam do środka. Są tu plany, w pomniejszemu. Przedstawiają części jakiejś maszyny - podstawa pokazana jest na dwóch odbitkach, dalej kilka rzutów silnika, i wreszcie coś, co wygląda jak zestaw dopasowanych do siebie cylindrów. Niech mnie diabli, jeśli to nie są plany jakiejś broni!

Projekty są podpisane „Albert Mertens” - to nazwisko widnieje na każdej stronie. Z pewnością to ten sam profesor Mertens, którego poznałem wczoraj. Robię kilka zdjęć schematów, odkładam

wszystko na miejsce i ruszam do drzwi. Ten cholerny zakłócaacz kamer zużywa tyle prądu, że w zasadzie wystarcza na jedno użycie. Nie zaryzykuję ponownego uruchomienia. Jak się mam w takim razie stąd wydostać niezauważony przez kamerę? Zastanawiam się chwilę i wpadam na pewien pomysł. Wracam do biurka Basarana, otwieram szufladę i wyciągam gumową piłeczkę. Podchodzę do drzwi, uchylam je i puszczam piłeczkę po podłodze korytarza, w kierunku przeciwnym niż ten, w którym zamierzam się udać. Kamera obraca się za piłką, a wtedy wyslizguję się z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. No to będą mieli jutro nie lada zagadkę jak piłeczka dostała się na korytarz.

Powrót do głównego holu nie przedstawia większych trudności. Kiedy tam docieram, okazuje się, że strażnik zniknął. Szybko skręcam w korytarz prowadzący do tylnego wyjścia. Światło jest nadal zgaszzone, więc widać nic się nie dzieje. Ostrożnie otwieram drzwi, wyglądam na zewnątrz, po czym opuszczam budynek.

Nie było aż tak trudno, jak się spodziewałem.

Teraz muszę wrócić tam skąd przyszedłem, po drodze zahaczając o stalownię i magazyn. Idę po własnych śladach, przeskakując od budynku do budynku. Staram się unikać światła reflektorów. W końcu docieram do szopy po przeciwległej stronie placu w samym sercu kompleksu. Teren jest tu jasno oświetlony, koło masztów z flagami widzę dwóch strażników, a na słupach tkwią liczne kamery. Wielki budynek znajduje się dokładnie po przeciwległej stronie placu. Mogę oczywiście ruszyć dłuższą drogą, dookoła, przeskakując od budynku do budynku, ale wtedy niepokojąco wzrasta ryzyko, że ktoś mnie zauważy.

Kiedy zastanawiam się nad tym problemem, słyszę dźwięk nadjeżdżającego samochodu. Ukryty w cieniu kładę się na trawie obok szopy i obserwuję, jak wóz staje, a kierowca wychyla się, by porozmawiać ze strażnikami.

To ten sam Citroen, który ścigał mnie wcześniej! W środku siedzą trzej ludzie, tak jak poprzednio. Niech to cholera! Kolejny dowód na to, że Basaran ma coś wspólnego z incydentem na placu. Nic dziwnego, że tak tam stał beczynnienie. Przejrzał moją przykrywkę? Wie kim jestem? No i podstawowe pytanie - dlaczego? Przecież Basaran podobno jest po naszej stronie?

Ale może wyciągam wnioski zbyt pochopnie? Ci faceci w Citroenie mogą działać na własną rękę, niezależnie od Basarana. Może ma wrogów we własnej firmie? To przecież możliwe.

Wtedy zdarza się coś dziwnego. Obaj strażnicy wsiadają do Citroena, który odjeżdża w kierunku pasa startowego po drugiej stronie zakładu. Plac jest pusty. Ale to nadal nie rozwiązuje mojego problemu. Jak mam się dostać na drugą stronę w taki sposób, żeby nie zarejestrowały mnie kamery? Mam je rozwalić z karabinka?

Rozwiązanie znajduję, kiedy oglądam się w lewo i widzę szopę, w której stoją trzykołowe pojazdy, te wózki golfowe, którymi jeżdżą strażnicy. Biegnę tam i wsiadam do pierwszego z brzegu. Zapłon nie wymaga kluczyka - pojazd ma napęd elektryczny. Nad siedzeniem kierowcy znajduje się

płócienny daszek - jeśli się zgarbię i będę trzymał głowę nisko, kamery pewnie mnie nie zarejestrują. Jestem pewien, że na monitorach będę wyglądał jak jeden ze strażników. Postanawiam zaryzykować.

Uruchamiam pojazd i wyjeżdżam na plac. Słyszę, jak kamery obracają się na słupach, ale nie martwię się tym przesadnie. Jadę niespiesznie, udając leniwego strażnika podczas obchodu. Dla zachowania większej autentyczności zatrzymuję się nawet na chwilę i udaję, że szukam czegoś na podłodze wózka. Potem ruszam dalej.

Docieram na drugą stronę placu, wysiadam i zaczynam badać ściany wielkiej budowli. Główne wejście dla pracowników i drzwi towarowe są zamknięte i dokładnie oświetlone reflektorami, jednak po drugiej stronie budynku znajduję kontener na śmieci ustawiony dokładnie pod otwartym oknem. Wspinam się na niego i zaglądam do środka.

W prawie całym pomieszczeniu panuje ciemność. Gdzieś palą się światła, ale budynek jest tak wielki, że ich obecność niewiele zmienia. Wchodzę ostrożnie przez okno i zeskakuję na podłogę na czworaka, jak kot. Lambert stwierdził kiedyś, że byłby ze mnie całkiem niezły włamywacz, a ja pozwoliłem mu nabrać podejrzeń, że kiedyś nim faktycznie byłem.

Jest to typowa stalownia - widzę ogromny piec, taśmy produkcyjne, stoły robocze, suwnicę, wózki widłowe i inne urządzenia, jakie spotkać można w takim zakładzie. Badam pomieszczenie, choć podejrzewam, że tracę czas. Nie ma tu nic ciekawego. Mam się już poddać i wynosić w diabły, kiedy skręcam za róg i nagle dostrzegam samotnego strażnika siedzącego na krześle przed wielkimi stalowymi drzwiami, przesuwanymi na rolkach. Trzyma na kolanach Kałasznikowa i patrzy prosto przed siebie, zapewne licząc minuty do końca zmiany. Ciekawe czego tak pilnuje.

Tym razem postanawiam działać agresywnie. Ładuję karabinek pociskiem ogłuszającym, celuję w głowę strażnika i strzelam. Zap - strażnik spada z krzesła, nieprzytomny. Podbiegam do niego, podnoszę pocisk i chowam do plecaka. Nie będzie wiedział, co mu się stało, ale kiedy się ocknie będzie miał na potylicy ogromnego guza.

Odryglowuję drzwi i odsuwam na bok. Moim oczom ukazuje się magazyn, a w nim setki skrzyń i pudeł. Wchodzę do środka i - bingo! Rozpoznaję na skrzynkach ten sam stempel, Wytwórnia Opakowań Tabriz. Podważam nożem wieko jednej z nich. Karabiny-A dokładniej Kałasznikowy. Otwieram kolejną - Hakimy. Materiały wybuchowe. Materiały do produkcji bomb. Pistolety. Znowu karabiny. Amunicja.

I co niby Akdabar Enterprises zamierza zrobić z takim ładunkiem broni?

Oglądam zawartość kolejnych skrzyń, zamykając je starannie po oględzinach, aż w końcu znajduję manifest transportu, przyczepiony do boku jednej z nich. Miejscem nadania przesyłki jest Baku w Azerbejdżanie. Wpisuję adres w OPSAT i uznaję, że dość już zobaczyłem. Robię kilka zdjęć magazynu i wychodzę. Zamykam i rygluję wielkie wrota. Strażnik nadal wędruje po krainie snu.

Kiedy ruszam w stronę okna, którym tu wszedłem, dobiega mnie nagle skrzypienie otwieranych

drzwi. Ktoś wchodzi wejściem dla pracowników. Puszczam się biegiem, ale to nie jest najlepszy pomysł. Ten kto tu wejdzie, z pewnością mnie zauważy, jeśli nadal będę biegł tą drogą. Słyszę zbliżające się powoli ciężkie kroki. Jest sam. Mam dość czasu, by ukryć się za filarem. Zamieram w bezruchu.

Przybysz znajduje nieprzytomnego strażnika i wydaje z siebie nieartykułowany dźwięk, który wydaje mi się znajomy, więc ryzykuję i wyglądam zza kolumny. Tak, to nikt inny, tylko Farid, wielki ochroniarz Basarana. Muszę się stąd szybko wydostać, nim drań podniesie alarm. Rozglądam się w poszukiwaniu drogi ucieczki i znajduję tylko jedną: muszę się wspiać na wielki dźwigar taśmy produkcyjnej i dosięgnąć rury, która biegnie pod sufitem przez całą długość budynku, jakieś 13 czy 15 metrów nad podłogą. Farid nadal pochyla się nad strażnikiem i próbuje go ocucić. Przemykam w stronę dźwigara i wspinam się po nim wykorzystując korby jak podpórki. Czuję się trochę jak małpa.

Maszyna przypomina wielką starą szafę grającą, a pas transmisyjny wylazi prosto z jej „ust”. Niełatwo się na nią wspiać, szczególnie na samej górze, która jest zaokrąglona. Po dwóch nieudanych próbach udaje mi się chwycić czegoś i wejść na sam szczyt. Jeśli się ześlizgnę, będzie nieszczęście, więc pozwalam sobie na chwilę odpoczynku i próbuję się skoncentrować.

Patrzę w dół i widzę, że Farid stoi obok strażnika, który siedzi na krześle i masuje sobie głowę. Nie mam chwili do stracenia. Z tego miejsca bez problemu mogę dosięgnąć rury, więc chwytam ją i zaczynam się posuwać wzdłuż niej, ręka za ręką. Moje ciało zwisa niebezpiecznie wysoko nad podłogą.

Bum! Z dołu dobiega mnie odgłos strzału. Cholera, Farid mnie zauważył! Nadal posuwam się po rurze, a on próbuje mnie trafić. Nie strzela zbyt dobrze, Bogu niech będą dzięki. Kiedy zbliżam się do końca rury, gdzie mogę zeskoczyć na podłogę, strzały milkną. Pewnie wreszcie go olśniło, że tu mnie znajdzie. I rzeczywiście, gdy docieram do celu, Farid już na mnie czeka.

Mam nadzieję, że mnie nie rozpozna w tym hełmie i goglach, tym bardziej, że ogląda mnie ze znacznej odległości. Słyszę jak znowu chrząka i gestem wskazuje, żebym zszedł. Widać sądzi, że posłucham i przyjmę klęskę z honorem. Cóż robić? Puszczam rurę i spadam te dwanaście czy piętnaście metrów prosto na niego. Obaj walimy się na podłogę. Czuję ostry ból w barku, którym uderzyłem o ziemię. Łaska boska, że Farid jest taki wielki, inaczej upadek byłby dla mnie dużo bardziej bolesny. Całkiem wygodna z niego poduszka. Szybko podrywam się na nogi, gotowy do walki - on jednak leży nieruchomo rozciągnięty, twarzą do góry. Rękę ma wykręconą za plecami pod dziwnym kątem, najwyraźniej złamaną.

Świetnie. To mi zaoszczędzi kłopotów z pozbawianiem go życia. Nim strażnik ma szansę dotrzeć na miejsce i stwierdzić, co się stało, podbiegam do otwartego okna, wspinam na jakieś skrzynki i przeciskam na zewnątrz.

Wsiadam do wózka, objeżdżam budynek, znów przecinam plac i kieruję się w miejsce, w którym

dostałem się do środka. Nie widzę po drodze żywego ducha. Osiem minut później parkuję wózek koło płotu i kryjąc się w cieniu szukam dziury, którą wyciąłem na początku akcji. Podnoszę luźny fragment siatki i wychodzę poza teren zakładu.

Cholera, ależ mnie boli to ramię. Musiałem sobie coś naderwać, ale chyba niezbyt poważnie. Swego czasu parę razy solidnie oberwałem i wiem, że to nie może być nic groźnego.

Kiedy docieram do samochodu, wysyłam wiadomość do Lamberta:

PILNE - ZNALEŹĆ WSZYSTKO NA TEMAT NAMIKA BASARANA, ALBERTA MERTENSA I ANDRIEJA ZDROKA

Podpułkownik Petlow był zmęczony, ponieważ przez prawie dobę nadzorował przesłuchanie więźniów. Zaledwie kilka miesięcy temu światem wstrząsnął skandal ze „znęcaniem się nad irackimi więźniami”, a rząd amerykański stał się od tamtej pory bardzo ostrożny w kwestii dopuszczalnego zachowania podczas przesłuchań. W rezultacie wszystko stało się kwestią czasu. I to bardzo dużej ilości czasu.

Rzecz jasna Petlow był najbardziej zainteresowany więźniem przezwanym Szczerbatym, który naprawdę nazywał się Ali Al-Szejab. Podpułkownik wołał jednak przydomek.

Choć w pierwszej chwili nikt tego nie zauważył, Szczerbaty został ranny w czasie akcji. Otrzymał postrzał w bok, ale kula nie uszkodziła żadnych ważnych organów. Pocisk przeleciał na wylot pozostawiając niewielką ranę, którą przeoczono w trakcie zarejestrowania więźnia i doprowadzenia go do więziennej części bazy. Tam Szczerbaty zemdlął i trafił do punktu medycznego, gdzie go pozszywano. Lekarze stwierdzili przy okazji, że więzień ma gorączkę i zdiagnozowali poważne zapalenie płuc. Cóż. Taki jest los nomadów w tym niespokojnym kraju.

Petlow uznał, że stan zdrowia Szczerbatego z pewnością się poprawi. Więzień został naszpikowany lekami, a trzymano go w warunkach o nieco lepszych niż te w jakich żył od wielu miesięcy. Podpułkownik otrzymał właśnie nowe rozkazy od centralnego dowództwa - miał ustalić tożsamość pewnych osób - dlatego postanowił odwiedzić Szczerbatego jeszcze przed udaniem się na spoczynek.

Punkt medyczny mieścił się w klimatyzowanym baraku i miał nawet bieżącą wodę. Warunki znacznie się poprawiły od czasów Wietnamu, kiedy szpitale pod względem higieny niewiele się różniły od otaczającej je dżungli. Dziś, jeśli odniesione rany nie były poważne, żołnierz czy więzień mógł uznać pobyt w szpitalu za odpoczynek.

Petlow miał tego pełną świadomość. Wszedł do sali w towarzystwie tłumacza, wypełnił konieczne formularze i poprosił pełniącego tu służbę sierżanta, by zapewnił im nieco prywatności przy przesłuchaniu. Po konsultacji z lekarzem wokół łóżka Szczerbatego rozstawiono parawan, a Petlow i tłumacz usiedli na krzesłach obok.

- Panie Al-Szejab, czy pan mnie poznaje? - zapytał Petlow. Tłumacz sprawnie przekładał jego pytania na arabski.

Szczerbaty uśmiechnął się szeroko i pokiwał głową. Nie bez powodu nadano mu jego przydomek.

- Chcę, żeby mi pan odpowiedział na kilka pytań. Zgoda? Więzień uśmiechnął się jeszcze szerzej i pokręcił głową.

- Dlaczego?

Chory przeklął w języku, którego Petlow nie rozumiał. Nie był to arabski. Może farsi? Tłumacz pozostawił odpowiedź więźnia domysłom Petlowa.

- Panie Al-Szejab, właśnie uratowaliśmy panu życie. Wkrótce by pan umarł. Ma pan zapalenie płuc. Jest pan ranny. Nie jest tu panu wygodnie?

Szczerbaty wzruszył ramionami.

- Sądzę, że skoro czuje się pan już lepiej, powinniśmy pana przenieść z powrotem do obozu - stwierdził Petlow.

Oczy Szczerbatego otworzyły się szeroko. Pokręcił energicznie głową.

- Dlaczego? Najwyraźniej się panu polepsza. Lekarz na pewno pana wypisze, a wtedy rozpoczniemy prawdziwe przesłuchania.

- Nie - zaprotestował więzień. - Czego pan ode mnie chce? Czuję się okropnie i bardzo cierpię. Nie przenoście mnie.

Petlow omal się nie uśmiechnął.

- W porządku. Chcę, żeby obejrzał pan kilka zdjęć i wskazał mi

na nich pewne osoby. Zgoda?

Więzień spojrzał na Petlowa tak, jakby miał warknąć. Ale nie odezwał się.

Podpułkownik przystąpił zatem do pracy. Otworzył teczkę i wyciągnął czarno-białe zdjęcia rozmaitych Arabów.

- Czy mówi coś panu nazwisko Ahmed Mohammed?

Szczerbaty znowu uśmiechnął się szeroko.

- Jak rozumiem, Ahmend Mohammed jest jednym z przywódców pańskiej organizacji, zgadza się?

Więzień wzruszył lekko ramionami. Petlow postanowił uznać to za potwierdzenie.

- A Nasir Tarighian? - spytał. - Czy zna go pan?

Tym razem Szczerbaty wytrzeszczył oczy, a uśmiech zniknął z jego twarzy. Pokręcił głową.- Czy Nasir Tarighian finansuje Cienie?

Chory odmówił odpowiedzi.

- Ale pan go zna, prawda? A my wiemy, że to on finansuje grupę znaną jako Cienie. Jak słyszałem, przyznał się pan do członkostwa w tej organizacji, kiedy pana zatrzymano?

Szczerbaty odezwał się monotonnym głosem:

- Jestem dumny z przynależności do Cieni. Oswobodzimy Bliski Wschód z rąk zachodnich oprawców i przywrócimy go islamskim korzeniom.

Zabrzmiało to niemal jak mantra.

- Panie Al-Szejab, nie wierzę, że jest pan jednym z Cieni - oświadczył Petlow.

Oczy Szczerbatego zapłonęły. Nie lubił, gdy zarzucano mu kłamstwo.

- Dlaczego? - zapytał.

- Ponieważ nie wie pan, czy Tarighian jest waszym przywódcą, czy nie. Dlatego nie może być pan jednym z Cieni.

- Jestem Cieniem! Jestem dumny z przynależności do Cieni! Oswobodzimy Bliski Wschód z rąk zachodnich oprawców i przywrócimy go islamskim korzeniom!

Petlow pokazał więźniowi pierwsze zdjęcie.

- Zapewne nie potrafi pan stwierdzić, czy to Nasir Tarighian? Szczerbaty zmarszczył brwi.

- To nie on! Nie macie o niczym pojęcia! Petlow pokazał mu kolejne zdjęcie.

- Uważamy, że to jest Nasir Tarighian. A pan?

- Nie! Wy głupi Amerykanie, wy nic nie wiecie. To jest Achmed Mohammed!

To Petlow wiedział już wcześniej. Od pewnego czasu twarz Mohammeda była dobrze znana władzom. Następne zdjęcie.

- Zatem to pewnie również nie jest Tarighian?

- To nie on.

Przejrzeli jeszcze siedem zdjęć, ciągle bez powodzenia. Petlow pokazał więźniowi ósme.

- Wiemy na pewno, że to nie on.

Szczerbaty uniósł rękę. W jego wyrazie twarzy zaszła widoczna zmiana, zupełnie jakby nagle spojrzął w twarz swego Pana i Zbawcy.

- Nasir Tarighian - wyszeptał z szacunkiem.

Petlow pokiwał głową i oznaczył zdjęcie na odwrocie.

- Dziękuję, panie Al-Szejab. Może pan teraz odpocząć - powiedział.

Szczerbaty popatrzył na niego zmieszany. Wiedział, że skłoniono go, by coś wyjawiał a on nie potrafił uniknąć zasadzki. Przeklął ponownie Petlowa i tłumacza, kiedy wstali, by odejść.

- Jestem Cieniem! - wykrzykiwał za nimi. - Jestem dumny z przynależności do Cieni! Oswobodzimy Bliski Wschód z rąk zachodnich oprawców i przywrócimy go islamskim korzeniom!

Petlow pośpiesznie opuścił szpital i pobiegł do swej kwatery. Musiał jak najszybciej przekazać wieści do Waszyngtonu.

W żołądku zaburczało jej po raz szósty, odkąd zaczęła liczyć, choć ten fakt i tak był pozbawiony znaczenia. Postanowiła ogłosić strajk głodowy. Bez względu na to jak słaba się stanie, nie zamierza tknąć niczego, co jej przynosili. Trzeba przyznać, że byli szalenie konsekwentni. Zawsze podawali jej osobno śniadanie, obiad i kolację. Ale póki jej nie wypuszczą, nie zamierza nic jeść. Do diabła z nimi. Skoro jest dla nich tak cennym więźniem, po śmierci straci na wartości.

Zwykle zjawiał się jeden z tych paskudnych Rosjan. Mówili, że nazywają się Wład i Jurij. Zapewne to fałszywe imiona - bo inaczej po co by jej je podawali? Chyba że zamierzają ją zabić, kiedy już dostaną, czego chcą. I właśnie to rozumowanie skłoniło Sarę do podjęcia decyzji o strajku głodowym.

Tkwiała tu już dwie doby, właśnie zaczynała trzecią. Raz poprosiła, żeby pozwolili jej wyjść na zewnątrz, zaczerpnąć świeżego powietrza, ale odmówili. W pokoju unosił się zapach jej potu. Z łazienki śmierdziała kanalizacja. Codziennie brała prysznic, żeby poczuć się lepiej, ale i tak ostatnie pół doby nie było łatwe. Zaczynała odczuwać skutki braku pożywienia. Miała ochotę tylko leżeć na połówce i spać.

Drzemała, wspominając azjatycką restaurację w Evanston, gdzie lubiły chodzić z Rywką i poczuła jak w ustach zbiera jej się ślina. Ponownie zaburczało jej w brzuchu. Z całych sił zmusiła się, żeby pomyśleć o czymś innym, ale nie było to łatwe. Tęskniła za domem. Nade wszystko w świecie pragnęła wyjechać z Izraela.

Przestraszył ją zgrzyt klucza w zamku. Zawsze ją straszył. Zwykle panowała tu grobowa cisza, póki nie zazgrzytał ten cholerny klucz.

Drzwi otworzyły się i do środka zajrzał Wład.

- Idź sobie - powiedziała.

- Przyniosłem śniadanie - odparł. Wszedł do pokoju niosąc tacę. Talerz był przykryty, więc nie widziała, co to jest, ale zapachniało czymś gorącym. Ten zapach poważnie osłabił jej determinację.

Wład postawił tacę na podłodze koło połówki, po czym usiadł na krześle obok.

- Lepiej coś zjedz, księżniczko. Zaczyna nas męczyć twoje zachowanie.

- Idź do diabła - wymruczała.

Zachichotał.

- Nadal pełna woli walki, co? Nawet po tylu godzinach postu. Ile to już, dwa dni? To jeszcze nic. Wiesz, jak się będziesz czuła po tygodniu? Założyliśmy się z Jurijem jak długo wytrzymasz. On uważa, że złamiesz się jutro, natomiast ja sądzę, że masz dość silnej woli, żeby wytrzymać jeszcze dwa dni. Jak sądzisz, kto wygra? Jurij czy ja?

- Zabieraj tę tacę i zjeżdżaj. Nie zamierzam niczego jeść - odparła.

- Wiesz co, księżniczko? Sądzę, że potrzebna ci zachęta - stwierdził Wład. Przysunął krzesło bliżej połówki. Spojrzała na niego zaniepokojona i cofnęła się.

- Spokojnie - powiedział. - Nie masz się czego obawiać ze strony starego dobrego Włada. Nie skrzywdzę cię, sprawię tylko, że poczujesz się wspaniale. Mam sposób na kobiety. Wszyscy tak mówią. - Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po włosach.

- Zabieraj łapy! - wrzasnęła odskakując. To go rozzłościło.

- Ty mała suko!

Złapał ją za ramiona i pchnął na połówkę. Wrywała się, ale przycisnął ją całym ciężarem wielkiego ciała. Poczwała na policzku jego kujący zarost, kiedy zaczął całować jej szyję. Spróbowała go z siebie zrzucić, ale nie miała szans. Ale kiedy poczuła w uchu jego wilgotny język, straciła nad sobą panowanie.

- Nie! - wrzasnęła. - Ratunku! Wład zatkał jej usta ręką.

- Milcz! - rozkazał. - Czas, żebyś się nauczyła słuchać poleceń. Poczwała w kroczu jego rękę i bezskutecznie próbowała się jej pozbyć kopiąc.

O Boże, pomyślała. Więc tak to będzie. Zawsze wszystko sprowadza się właśnie do tego. Zaciśnęła z całych sił oczy i próbowała przygotować się psychicznie na to, co nastąpi.

- Co ty kurwa robisz?! - Jakiś wściekły głos przy drzwiach.

Nagle straszliwy ciężar zniknął i znów mogła oddychać. W pokoju toczyła się walka.

To Eli. Wpadł tu i odciągnął od niej Włada. Rosjanin wdepnął w tacę ze śniadaniem, rozlewając po podłogę jej zawartość. Zamierzył się na Eliego, ale ten okazał się szybszy i zwinniejszy. Uchylił się przed ciosem i prawym prostym trafił Włada w nos.

- Ty kurewski gnoju! - wrzasnął Wład. Otarł twarz rozmazując sobie po wargach krew. - Teraz cię zabiję!

Drzwi znów się otworzyły i do pokoju wszedł Jurij.

- Dość! - krzyknął. - Natychmiast przestańcie! - Wyciągnął pistolet i wycelował w Rosjanina. - Cofnij się Wład! Już!

Eli i Wład zamarli i opuścili pięści. Obaj mieli ubrania pochlapane owsianką. Na podłodze rozlała się jej kałuża.

Rosjanin spojrzał na partnera takim wzrokiem, jakby Jurij go zdradził.

- Chciałem się tylko zabawić. Wariuję tu z nudów. Zwykle to nie my pilnujemy zakładników, wiesz o tym doskonale.

Jurij nadal trzymał go na muszce.

- Robimy, co nam każą, bo za to nam płacą. Nie zapominaj o tym. - Spojrzał na Eliego. - A ty nie waż się więcej podnosić na niego ręki. Jak znów zaczniesz rozrabiać, przyjdź z tym do mnie.

Eli dyszał ciężko.

- To go trzymaj z dala od niej - powiedział.

Jurij wymierzył teraz broń w Eliego. Heckler & Koch wydawał się ogromny w jego dłoni.

- Nie próbuj wydawać mi poleceń. Nigdy, rozumiesz?

- Tak - odparł Eli.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, a potem Jurij powiedział:

- Zostań tu i posprzątaj ten bałagan. Dalej Wład, wychodzimy.

Wład mruknął coś i wyszedł z pokoju, a za nim Jurij, do końca nie odrywając wzroku od Eliego. Drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem.

Eli odwrócił się do Sary, podszedł do połówki i usiadł obok niej.

- Przepraszam cię za to - powiedział. Sara wymierzyła mu policzek.

- Wynoś się stąd i zabieraj tę tacę - zażądała. Eli wstał pocierając twarz.

- Chyba zasłużyłem. Muszę posprzątać.

- Zostaw to, guzik mnie obchodzi ten chlew. Był tu jeszcze zanim wdepnęliście w śniadanie - odparła.

- Słuchaj, sama tylko pogarszasz sprawę. Wcale nie muszę być dla ciebie miły.

- Och, doprawdy? Nie musisz być dla mnie miły? Nie musiałeś mnie też porywać!

- Do diabła, Saro, my tylko chcemy się dowiedzieć, jak się skontaktować z twoim ojcem! Wiesz jak to zrobić. Jeśli nam tego nie zdradzisz, będziesz cierpieć, a ja nic na to nie poradzę. Wład to z ciebie wycisnie i ręczę ci, że nie zdołam mu przeszkodzić. A jeśli zabierze się za ciebie Jurij, nigdy nie zapomnisz tego bólu. Saro, zrozum, to są zawodowcy. Nie dostali jeszcze rozkazu, żeby się za ciebie porządnie zabrać, ale jak dostaną, nie zawahają się ani sekundy. Powiedz mi, czy twój ojciec jest teraz gdzieś na Bliskim Wschodzie?

Sara splotła ramiona na piersiach, nadal roztrzęsiona po ostatnich wydarzeniach. Słowa Eliego ją przestraszyły. Nie miała pojęcia co robić.

- Porozmawiaj ze mną, Saro. Czy on jest na Bliskim Wschodzie?

Mamy powody przypuszczać, że jest teraz w Turcji.

Podciągnęła kolana i oparła na nich czoło, ukrywając twarz. Łzy tylko na to czekały.

- Rozumiem - stwierdził Eli. - Uparta do końca. Świetnie. Przemyśl to sobie jeszcze. A przy okazji, przyniosłem ci coś do poczytania. Może to ci pomoże podjąć decyzję. - Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął zwiniętą gazetę. Rzucił ją na łóżko, wziął tacę, zebrał na nią naczynia, i wyszedł z pokoju zostawiając na podłodze rozlaną owsiankę.

Kiedy Sara usłyszała dźwięk przekręcanego w zamku klucza, spojrzała na gazetę. Wydrukowana była po angielsku, a na pierwszej stronie widniało zdjęcie Rywki. Sięgnęła po nią szybko i spojrzała na nagłówek na pierwszej stronie, a serce waliło jej ze strachu jak młotem.

CIAŁO MŁODEJ ŻYDÓWKI ODNALEZIONE WE WSCHODNIEJ JEROZOLIMIE

W artykule napisano, że w śmietniku odnaleziono ciało uduszonej młodej kobiety. Policja podejrzewa o zbrodnię palestyńskich bojowników, ale śledztwo jest jeszcze w toku.

Na dole strony umieszczono zdjęcie Rywki i Sary. Poznała je. Zrobili je rodzice Rywki, zaledwie

kilka dni temu. Podpis głosił:

ZAGINIONĄ AMERYKANKĘ PO RAZ OSTATNI WIDZIANO W TOWARZYSTWIE
ZAMORDOWANEJ ŻYDÓWKI.

Góry Kaukaz. Uwierzycie, że sowiecka elita uważała tutejsze niewielkie republiki - Gruzję, Armenię i Azerbejdżan - za urlopowy raj? Było tu wszystko: słoneczne plaże, ośnieżone góry, cieniste sady i całkiem niezłe wino. Ten region stanowi pomost między kontynentami i ich prawdziwą mieszkankę kulturową. Teraz, kiedy Związek Sowiecki już nie istnieje, a były republiki są w mniejszym lub większym stopniu niepodległe, docierają do nas wyłącznie wiadomości o wybuchających tu konfliktach etnicznych. Ale ja nigdy nie miałem tutaj żadnych kłopotów. Właściwie to lubię te okolice.

Wyjeżdżam z Turcji Pazhanem, który zaczyna mnie poważnie niepokoić. Silnik co jakiś czas wydaje paskudne pokastywania. Mam nadzieję, że dowiezie mnie do Baku. Górskie drogi są zabójcze nawet dla dużo solidniejszych pojazdów.

Kieruję się na północ i wjeżdżam do Armenii na zachód od Ere-wania. Na granicy nie mam żadnych kłopotów. Moje listy uwierzytelniające z Interpolu zapewniają swobodny przejazd, pomaga również fakt, że tutejsi ludzie są dużo mniej podejrzliwi, niż w państwach, które dotąd odwiedziłem w trakcie misji. Muszę przejechać przez góry na północ od jeziora Sevan, żeby dotrzeć do prostszej i bardziej płaskiej drogi prowadzącej prosto na wschód, do Azerbejdżanu. Odległość w kilometrach nie jest zbyt imponująca, ale trudny teren bardzo wydłuża podróż. Próbuję się odprężyć i cieszyć cudownym krajobrazem.

Docieram do celu po zapadnięciu zmroku. Baku, albo Baki -w zależności od tego z kim się rozmawia - to największe miasto na Kaukazie. W Ameryce mówi się o Chicago „wietrzne miasto”, ale Chicago to pestka w porównaniu z Baku. Sama nazwa tego miasta pochodzi od perskich słów „miasto wiatrów”, a przycupnięte nad Morzem Kaspijskim Baku niemal bez przerwy targane jest wichrami i sztormami. Inną jego charakterystyczną cechą są ciągnące się wokół bogate w gaz ziemny i wyjątkowo łatwopalne pola naftowe. Ponieważ ropa jest głównym bogactwem Azerbejdżanu, Baku to przede wszystkim miasto przemysłowe, gdzie przetwarza się jej wielkie ilości. Co zaskakujące, są tu miejsca, które dosłownie stają w płomieniach, ponieważ z ziemi ulatnia się gaz, dlatego Baku nazywa się też czasem „polami ognia”. Wiele mitów starożytnej Grecji zrodziło się właśnie w tym rejonie, ze względu na jego niezwykle właściwości.

Nie jest to zbyt atrakcyjne miasto. Powietrze jest bardzo zanieczyszczone, szczególnie na przedmieściach, ale podejrzewam, że to pozostałość sowieckich rządów. Centrum i rejon portu zostały ostatnio przebudowane z myślą o turystach. Baku próbuje stać się kosmopolityczne, aczkolwiek bardziej konserwatywne niż, powiedzmy, Istambuł.

Gdybym chciał, mógłbym się zatrzymać w czterogwiazdkowym hotelu, ale to nie w moim stylu. Wolę tańsze noclegi, tam gdzie nikt nie zwraca na gości większej uwagi. Znajduję coś takiego na pokładzie niekursującego już kaspijskiego promu, przycumowanego koło kapitanatu portu, w części miasta uważanej za nowobogacką. Pokój jest wilgotny, ale w kabinach jest ciepła woda, a poza tym zapewnia prywatność. I tak nie zamierzam zostać tu długo.

Po całonocnym wypoczynku witam poranek świeży i gotów do pracy. Jem śniadanie w herbaciarni obok promu - chleb z miodem i jogurt - po czym ruszam odszukać adres, który znalazłem na manifestacie transportu broni w magazynach Akdabar. Z całą pewnością broń wysłano z Azerbejdżanu, a cokolwiek mieści się pod tym adresem, na pewno ma z nią coś wspólnego.

Okazuje się, że jest to bank, położony tuż obok placu z fontannami, obowiązkowego przystanku podczas zwiedzania Baku. Akurat dziś fontanny działają, więc wszystkie kawiarenki są pełne klientów. Ponieważ ubrany jestem w sportową marynarkę i cywilne spodnie, łatwo mogę się wmieszać w tłum. Nikt nie zwraca uwagi na wyglądającego na biznesmena mężczyznę, który wchodzi do Szwajcarsko-Rosyjskiego Międzynarodowego Banku Handlowego, wyjąwszy strażnika przy wejściu. Stoi on na zewnątrz, niczym hotelowy portier, który wzywa dla gości taksówkę. Zauważam przy drzwiach skaner siatkówki oka - cholernie utrudni mi to zwiedzanie banku po godzinach pracy. Muszę dokładnie przemyśleć tę kwestię.

Kiedy otwieram drzwi, strażnik kiwa na mnie ręką i pyta o coś po azersku. Uśmiecham się po prostu, wskazuję na okienko informacji i wchodzę. Sala operacyjna banku jest niewielka - są tu tylko dwa okienka kasowe i dwa stanowiska dysponenckie. Zakratowane przejście prowadzi do, jak sądzę, biur na zapleczu, skarbcza i może skrzynek depozytowych. Podchodzę do stolika, na którym leżą ulotki banku, biorę jedną i udaję, że czytam, równocześnie badając wnętrze. W rogach pomieszczenia, pod samym sufitem, umieszczono dwie kamery, które razem obejmują chyba całą salę. Zaglądam do okienek kasowych - tylko jedno jest czynne - i widzę śliczną Azerkę koło trzydziestki, przeliczającej manaty, czyli oficjalną walutę kraju. Nie ma tu zbyt wiele miejsca, więc dochodzę do wniosku, że większość banku kryje się za zakratowanym przejściem.

Kiedy rozglądam się po sali, do banku wchodzi z ulicy jakiś mężczyzna. Zatrzymuje się przy strażniku i mówi coś do niego cicho, po czym podchodzi do okienka kasy. Rozpoznaję w nim człowieka, którego widziałem na zdjęciu z Namikiem Basaranem, tym z teczki Ricka Bentona. Jest nienagannie ubrany w bardzo drogi garnitur i wygląda jak król - albo dyrektor banku.

Przez chwilę rozmawia z kasjerką, po czym podchodzi do kraty. Otwiera ją własnym kluczem, wchodzi i zamyka ją za sobą i znika w głębi. Nie spojrzał na mnie ani razu.

Zabawne, jak maleńkie kawałki układanki nagle zaczynają do siebie pasować. Kimkolwiek jest ten człowiek, na pewno przyjaźni się z Basaranem. Na zdjęciu wyglądali jak starzy kumple, tacy, którzy współpracują ze sobą od dawna. Oczywiście równie dobrze facet może być bankierem Basarana. Wiele jeszcze muszę się dowiedzieć.

Zabieram dwa foldery i wychodzę. Kiedy mijam strażnika, nie patrzę na niego - przeglądam folder, jakbym próbował podjąć decyzję, czy skorzystać z usług banku. Strażnik mówi coś do mnie, zapewne „życzeń miłego dnia”, albo coś w tym rodzaju, a ja w odpowiedzi wydaję twierdzące chrząknięcie, nie podnosząc wzroku znad ulotki.

Ruszam na południe, w stronę starego miasta. Labirynt wąskich uliczek nie robi zbyt imponującego wrażenia. Jest tu wprawdzie kilka interesujących średniowiecznych budowli, ale reszta zabudowy

składa się z dziewiętnastowiecznych kamieniczek okresu boomu naftowego i sowieckich bloków. Znajduję sobie restorán na nadbrzeżu, taką, która specjalizuje się w daniach z grilla, i siadam przy stoliku na zewnątrz. Kelner przynosi mi popularne azerskie dania - pieczonego na grillu kurczaka i szaszłyk z jagnięciny. Uważam, że tutejsze „fast-foody” są dużo lepsze niż restauracje.

Kiedy kończę posiłek, ruszam nadbrzeżem i wywołuję Lamberta za pomocą implantu.

- Pułkowniku, czy pan śpi? - pytam. - Pułkowniku? Odpowiada po jakichś dwudziestu sekundach. - Sam?

- Tak to ja. Czy pana obudziłem?

- Cóż, tak, ale nie ma sprawy. Dawno nie rozmawialiśmy. Jesteś w bezpiecznym miejscu?

- Spaceruję po nadbrzeżu w Baku. Nikogo tu nie ma. Pomyślałem, że sprawdzę czy ma pan dla mnie coś nowego, bo ja zdobyłem sporo informacji.

- Mam - odpowiada Lambert. - Ale ty mów pierwszy.

- Pamięta pan ten adres, który znalazłem w manifeście przewozowym w Akdabar Enterprises?

- Owszem.

- Mieści się pod nim bank. Szwajcarsko-Rosyjski Międzynarodowy Bank Handlowy. Zaraz koło placu z fontannami w Baku.

Słyszę, jak Lambert chichocze.

- Co pana tak śmieszy?

- Zbieg okoliczności. Skupiliśmy się ostatnio na zbieraniu informacji o tych ludziach, o których prosiłeś. Zaczekaj chwilę, tylko podejść do nadajnika... - Czekam kilka sekund. Zapewne wstaje z łóżka i idzie do gabinetu. Po chwili słyszę go znowu, prosto w uchu. - Wysyłam ci zdjęcie, obejrzyj.

Za moment OPSAT wyświetla podobiznę faceta, którego przed chwilą widziałem w banku. To ten sam, który był na zdjęciu z Namikiem Basaranem.

- Tak, widzę - mówię.

- To jest Andriej Zdrok.

- Żartuje pan?

- Nie. To on.

- O rany. Nie do wiary, ale on tu jest. Przed chwilą widziałem go w banku. Wszedł tam, jakby był właścicielem i poszedł do biur na zapleczu.

- No cóż, on jest właścicielem - wyjaśnia Lambert. - Niestety, niewiele zdołaliśmy się o nim dowiedzieć, ale to, co znaleźliśmy, jest całkiem interesujące. To rosyjski bankier - chociaż pochodzi z Gruzji - i prezes Szwajcarsko-Rosyjskiego Międzynarodowego Banku Handlowego. Mieszka w Zurychu, w Szwajcarii, i tam znajduje się główna siedziba banku. Jedyna filia mieści się właśnie w Baku.

- No tak.

- Nasz wywiad przypuszcza, że Zdrok ma powiązania z przestępczością zorganizowaną, ale niczego nie można mu udowodnić. Nigdy go o nic nie oskarżono, nigdy nie miał żadnych kłopotów z prawem, ale jest na liście osób obserwowanych. Rosyjski rząd podejrzewa, że może być jednym z rekinów czarnego rynku.

- Pułkowniku, mam powody przypuszczać, że Zdrok jest jednym z głównych szefów Sklepu - mówię. - Tak sądził Rick Benton.

Widział pan ten schemat, który panu przesłałem?

- Doszedłem do tego samego wniosku. Moim zdaniem jest członkiem rosyjskiej mafii.

- Zamierzam rozejrzeć się dziś po tym banku. Nigdy nie wiadomo, co wpadnie w ręce przy takich okazjach.

- A my w międzyczasie sprawdzimy, czego jeszcze uda nam się dowiedzieć.

- Proszę nie zapominać, że on ma powiązania z Namikiem Basaranem. Z całą pewnością się znają, a Basaran skłamał mi na ten temat. On też jest podejrzany, pułkowniku. Bez względu na to, jak wspaniałą organizację charytatywną prowadzi, to tylko przykrywka.

Jak dotąd jest czysty - odpowiada Lambert. - Turecki rząd uważa go za świętego.

- A co z jego przeszłością? Wiemy coś o nim? Na pewno ma coś do ukrycia, co do tego nie mam wątpliwości. Widziałem w jego biurze zdjęcie kobiety i dwóch dziewczynek - założę się, że to jego rodzina. Gdzie są teraz?

- Nadal szukamy. Obawiam się, że niewiele wiadomo o tym człowieku przed rokiem dziewięćdziesiątym.

- To wystarczy, żeby nabrać podejrzeń. Facet po czterdziestce nie zjawia się nagle znikąd, zupełnie bez przeszłości. Proszę ją zbadać, pułkowniku.

- Robimy, co możemy. Aha, mam właśnie przed sobą raport... hm, właściwie notatkę od tureckiego oficera wywiadu, zdaniem jego zwierzchników dyskusyjną. Facet upiera się, że Basaran nie jest Turkiem.

- Chciałbym porozmawiać z tym oficerem. Kto to jest?

- Niestety już nie żyje. Nie informują kiedy umarł i jak... po prostu Piszą, że nie żyje.

- Cholera.

- A jeśli chodzi o tego trzeciego gościa, o którego prosiłeś....

- Mertensa?

- Mertensa. Doktor Albert Mertens był prawą ręką Gerarda Bulla kiedy ten projektował i sprzedawał broń, a poza tym jednym z głównych fizyków pracujących przy legendarnym dziale Babilon. Pamiętasz je?

- Jasne. Przypomniałem sobie o nim, kiedy rozmawialiśmy o Gerardzie Bullu w Waszyngtonie. Podobno mogło strzelać na odległość tysiąca kilometrów. Saddam Hussein zatrudnił Bulla, żeby je zbudował, bo chciał mieć możliwość atakowania sąsiednich krajów bez konieczności zakupu drogich pocisków manewrujących. Czy nie mogło przypadkiem strzelać nie tylko standardowymi pociskami, ale również głowicami z bronią biologiczną lub chemiczną, a może nawet pociskami atomowymi?

- Tak jest. Na szczęście nigdy go nie ukończono.

- Dobra, zatem co ten profesor Mertens robi u Basarana?

- Nie wiem, ale zaczynamy się martwić. Widzisz, Mertens odsiedział siedem lat w belgijskim więzieniu za nielegalny handel bronią. Według informacji, jakie otrzymaliśmy, w ostatnim roku odsiadki został przeniesiony do zakładu psychiatrycznego, gdzie go zatrzymano na dłużej. Gość jest kompletnie szurnięty. Pięć lat temu zniknął z zakładu. Albo uciekł na własną rękę, albo ktoś go stamtąd wyciągnął, nie wiemy. Od tamtej pory poszukuje go belgijska policja.

- Co w takim razie zamierza Basaran? - pytam. - Czyżby zatrudnił Mertensa, żeby mu zbudował superdziało? A jeśli tak, to dlaczego? Basaran podobno jest po naszej stronie, ale coraz bardziej zaczyna mi się wydawać, że nie do końca.

- Po prostu szukaj dalej, Sam. Wspaniale ci idzie.

- A co z Nasirem Tarighianem?

- Jeszcze nic. Zespół, który nad nim pracuje dostał właśnie ślad w postaci jego zdjęcia. Gdy tylko je dostanę, wyślę ci kopię.

- Świetnie. Przekażę panu dziś raport, jak już zwiedzę bank.

- Tylko bądź bardzo ostrożny - mówi Lambert. - Jeśli ten Zdrok naprawdę stoi na czele Sklepu, pokroi cię żywcem na kawałki i zje na obiad.

- Niech się pan nie martwi, postaram się trzymać z dala od jego talerza.

Jest kilka minut po północy, kiedy ruszam do franku pustymi ulicami kryjąc się w cieniu i zatrzymując od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie śledzi. Ważne jest nie tylko to, żeby nikt mnie nie zobaczył, ale również to, żeby mieć oczy z tyłu głowy.

Na placu z fontannami siedzi kilku nocnych marków. Nie rozumiem dlaczego, ponieważ jest przeraźliwie zimno i wieje wiatr od morza. Omijam plac bokiem i zbliżam się do banku ulicami biegnącymi na tyłach placu. Zgodnie z oczekiwaniami przed wejściem stoi dobrze oświetlony, samotny strażnik. Kuli się i pociera ramiona, żeby się rozgrzać. Widzę jak jego oddech zamienia się w parę. Niestety, taki ziąb niesie ze sobą ryzyko również dla mnie. Niewiele mogę zrobić, żeby ukryć parę wydobywającą się z moich ust. Mogę tylko trzymać się w cieniu i unikać światła.

Muszę działać błyskawicznie - strażnik nie może zobaczyć jak nadchodzę. Wybieram sobie ciemne miejsce na ulicy, a potem skaczę szybko na drugą stronę - teraz jestem po tej samej stronie, co strażnik. Przykucam i wyciągam pistolet Five-seven - jestem od faceta jakieś dziesięć metrów, ale on nadal mnie nie widzi. Jak kot biegnę lekko i bezszelestnie w jego kierunku, po czym zatrzymuję się i przystawiam mu lufę pistoletu do skroni.

Kilka sekund zabiera mu zrozumienie, co się właściwie stało. Nie porusza głową, zezuje tylko na mnie samymi oczami. Wolną ręką wyjmuję z jego kabury Glocka i odrzucam na bok - strażnik pyta mnie o coś, zapewne czego chcę. Nie odpowiadam. Obracam go natomiast w stronę skanera siatkówki. Wskazuję gestem, a strażnik w lot pojmuję, o co mi chodzi. Początkowo kręci odmownie głową, ale klepię go lufą pistoletu w policzek, wtedy powoli pochyła się i patrzy w skaner.

Słyszę, jak zwalnia się zamek w drzwiach.

Strażnik nadal tkwi pochylony, a ja uderzam go mocno w podstawę czaszki. Upada na ziemię niczym worek azerskich buraków.

Biorę go pod ramiona i wciągam w cień. Na wszelki wypadek wkopuję jego Glocka do studzienki kanalizacyjnej.

Opuszczam na oczy gogle, przełączam na nocny tryb pracy, po czym otwieram drzwi banku. Dokładnie dwie sekundy zajmuje mi pozbycie się strzałami górnego oświetlenia - raz, dwa. Zamykam za sobą drzwi i teraz w sali operacyjnej jest zupełnie ciemno. Kamery nadzoru mnie nie widzą.

Mijam okienka kasowe i podchodzę prosto do zakratowanego przejścia. Otwieram kratę wytrychem. Za nią, po lewej stronie znajduje się pomieszczenie z niewielką ilością skrzynek depozytowych. Naprzeciwko niego jest biuro, zapewne Zdroka. Na końcu korytarza widać drzwi do skarbcza. Skręcam w prawo, do biura.

Komputer jest włączony, Zdrok wyłączył tylko monitor. Zapalam go i przeglądam zawartość twardego dysku. Łatwo ustalić adres e-mail Zdroka, więc wpisuję go do OPSAT-u. Dzięki tej informacji Carly St. John włamie się do jego serwera pocztowego i ściągnie wszystko co wysłał, albo otrzymał, o ile nie zostało usunięte. Większość plików to dokumenty napisane w Wordzie albo Excelu, dotyczące legalnych interesów banku, znajduję jednak zaszyfrowany folder, a choć próbuję wszystkich podstawowych sztuczek hakerskich, żeby się dostać do środka, nic nie osiągam. Nie mogę go nawet skopiować na OPSAT. Cokolwiek Zdrok tam trzyma, dużo zainwestował, żeby zapewnić sobie jednoosobowy dostęp do tych danych. Robię więc tylko kopię właściwości folderu. Zamierzam wysłać je Carly.

Szybko przeszukuję biurko i szafkę na dokumenty, ale nie ma tu nic interesującego. Zaczynam czuć, że przyszedłem na próżno. Może Zdrok trzyma wszystko w Zurychu? Na chwilę siadam w jego fotelu i rozglądam się po biurze. Czasami takie postępowanie pomaga mi wpaść na jakiś pomysł. Ściany gabinetu pokrywają panele z wypolerowanego mahoni, układające się w geometryczny wzór. Lekko odstają od ściany, dając efekt płaskorzeźby. Wstaję i podchodzę bliżej, żeby się przyjrzeć. Pod wpływem impulsu przełączam gogle na tryb fluorescencyjny. Teraz widzę, że górne brzegi paneli są bardzo zakurzone.

Podchodzę do drugiej ściany i oglądam z bliska panele. Warstewka kurzu jest tu mocno naruszona, jakby ktoś chwycił panel w górnej części. Ostrożnie łapię panel w tym miejscu i ciągnę do siebie. No i co na to powiecie? Całość odskakuje i obraca się na zawiasach, odsłaniając niewielki sejf. Z kieszeni na udzie wyciągam jednorazowy wytrych i ustawiam potrzebną siłę mikrowybuchu. Żeby otworzyć sejf potrzebna jest pełna moc. Będzie trochę hałasu, żeby nie wspomnieć o bałaganie.

Chrzanić to, i tak się zorientują, że tu byłem.

Uzbrajam wytrych i umieszczam obok gałki sejfu. Upewniam się, że jest we właściwej pozycji, cofam się o krok, zapieram o coś i odpalam ładunek przełącznikiem umieszczonym z boku.

Siła wybuchu jest mniej więcej taka, jak trzech petard, jakie odpalałem jako dziecko na święto czwartego lipca. Ale spowodowane zniszczenia są dużo większe - na środku sejfu widnieje teraz dziura. Mogę łatwo sięgnąć przez nią do środka, odsunąć zapadkę i otworzyć drzwiczki. Zawsze zaskakuje mnie, że pomimo wybuchu zawartość sejfu pozostaje nietknięta.

W środku znajduje się stos papierów, ułożonych drukiem do dołu. Niektóre są spięte lub zszyte razem, inne leżą luzem, albo w teczkach. Przeglądam je i stwierdzam, że są to dowody przelewów dokonanych na numeryczne konta bankowe w Szwajcarii -co oznacza, że pieniądze trafiły na rachunki prywatne i dobrze zabezpieczone. Kwoty na przelewach idą w miliony dolarów. Pochodzą od różnych organizacji i osób prywatnych, ale brak miejsc dokonania przelewu. W niektórych

przypadkach jest tylko numer - a więc pieniądze powędrowały z jednego konta numerycznego na drugie. Wyśledzenie do kogo należą te rachunki nie będzie łatwe, o ile w ogóle możliwe. Niemniej robię zdjęcia kilku dokumentów. Zobaczymy do czego dojdzie Wydział Trzeci.

Ostatni dokument - czyli ten, który został umieszczony w sejfie najpóźniej - ujawnia nazwę klienta. Pieniądze pochodzą z Tir-my a kwota to osiem milionów dolarów. Przelew nosi jutrzejszą datę i ma adnotację „wymiana”. Cholera. Na co niby to charytatywna organizacja wydała osiem milionów dolarów? Niewątpliwie kupili właśnie całą kupę darów dla nieszczęśników. Kolejny dowód, że Namik Basaran nie jest tym za kogo się podaje.

Wiele dokumentów wskazuje jako odbiorcę przelewu pewien adres w Azerbejdżanie. Nie znam tego miejsca, ale mam wrażenie, że znajduje się na przedmieściach Baku. Notuję adres, robię zdjęcie dokumentu, wkładam wszystko starannie na powrót do sejfu - chociaż nad drzwiczkami zieje wielka dziura - i staję na środku pokoju. Otwieram plecak i wyciągam dwie kamery przyklepne. Wchodzę na biurko, skąd mogę dosięgnąć szybu wentylacyjnego, zdejmuję zasłaniającą go kratkę i przyczepiam kamerę wycelowując ją w biurko. Drugą umieszczam na półce na książki, po lewej stronie, nad wielkim tomem. Nie widać jej, póki nie wyciągnie się książki, albo nie stanie dokładnie naprzeciw półki. Na koniec wciskam pluskwę podsłuchową pod blat biurka Zdroka.

Zbieram się do wyjścia, ale kiedy wychodzę z biura na korytarz, nagle włącza się alarm. Niemal podskakuję do góry ze strachu - jest tak głośny i przenikliwy. Ostrożnie przesuwam się korytarzem w pobliże kraty i słyszę dobiegające z zewnątrz krzyki. Takie już widać moje szczęście - ktoś pewnie zauważył nieprzytomnego strażnika, albo on sam doszedł do siebie wcześniej, niż zakładałem.

W tej sytuacji nie mogę skorzystać z drogi, którą tu przyszedłem. Drzwi wejściowe otwierają się z trzaskiem, a ja odwracam się i ruszam na poszukiwania wyjścia ewakuacyjnego. Nie czekam, żeby sprawdzić, kto wszedł do środka. Za to ciskam za siebie granat dymny i zaczynam biec. Granat wybucha, napełniając wejście do korytarza gęstym dymem. Jacyś ludzie krzyczą do mnie z sali operacyjnej banku, jestem jednak pewien, że nie mają szans mnie zobaczyć.

Na tyłach budynku, w pobliżu toalet, znajduję wyjście ewakuacyjne. Drzwi pełne są ostrzegawczych napisów, z których wynika, że jeśli je otworzę, włączy się kolejny alarm. Raczej za późno, żeby się tym martwić, nie sądzicie?

Naciskam pręt biegnący w poprzek drzwi i służący za klamkę, otwieram jedno skrzydło, a nade mną wybucha natychmiast alarmem kolejna syrena. Skaczę w zaułek, ląduję na czworakach, podnoszę głowę i widzę dwóch policjantów stojących jakieś piętnaście metrów ode mnie, z bronią w rękach. Jeden krzyczy coś, unosi pistolet i strzela! A gdzie tradycyjne: „Stać, policja!”? Do diabła, na szczęście i tak pudłuje. Podrywam się i biegnę w kierunku drugiego końca zaułka - ale szybko okazuje się, że nie było to mądre posunięcie. Przejście kończy się wysokim na pięć metrów murem. Cholerna ślepa uliczka.

Nigdy nie należałem do ludzi, których powstrzyma równie trywialna przeszkoda jak mur. Najpierw muszę się jednak pozbyć tych pijawek, które zasypują mnie gradem pocisków. Są albo pijani, albo

ślepi, ponieważ strzelają tragicznie. Wyciągam Five-seveN, przyklekam, pochylam tułów, celuję i oddaję po jednym strzale do każdego z napastników. Efekt jest zupełnie taki, jakbym uderzył ich w pierś niewidzialnym młotem pneumatycznym. Zakładam, że mieli na sobie kamizelki kuloodporne, niemniej sama siła uderzenia wystarczy, żeby zbić człowieka z nóg.

Daje mi to czas na wyciągnięcie z kieszeni na lewej łydce „cygarniczki”. Nazywam tak ten przedmiot, ponieważ wygląda jak długa rurka - ale zapewniam, że ma wiele innych, ciekawszych zastosowań. Sięgam do plecaka, wyciągam linę, którą trzymam tam na wszelki wypadek - na przykład taki jak ten - i przywiązuję jej koniec do cygarniczki. Naciskam umieszczony na rurce przycisk i z jej końca wyskakują cztery stalowe zęby, tworząc kieszonkową kotwiczkę.

Przez chwilę kołyszę liną, po czym rzucam kotwiczkę ponad mur. Zęby zahaczają ze zgrzytem o cegły. Sprawdzam, czy lina utrzyma mój ciężar, a potem jest to już tylko kwestia wspięcia się na mur, odczepienia kotwiczki i zeskoczenia po drugiej stronie.

Jestem teraz na ulicy, a bank znajduje się tuż za rogiem. Syreny nadal wyją, więc raczej nie mogę zostać i popatrzeć, co będzie dalej. Przebiegam na drugą stronę ulicy i przyciskam się do ściany ukryty w cieniu. Muszę mieć chwilę na zorientowanie się w terenie. Ze swej kryjówki widzę front banku. Przed wejściem stoją trzy radiowozy z zapalonymi kogutami. Strażnik siedzi oparty o ścianę, pocierając tył głowy. Nie wiem ilu policjantów jest w środku, ale nie wątpię, że jak się zorientują, co zrobiłem z ich kolegami, będą mnie ścigać niczym rój rozwścieczonych os.

Nie mam czasu, by rozplątać się w ciemnościach, bo na końcu ulicy pojawia się policjant. Niestety zauważa mnie, krzyczy coś i wyciąga broń. Bez wahania odwracam się i biegnę w przeciwnym kierunku. Słyszę wystrzały. Cóż, to znaczy, że więcej glin dowiedziało się właśnie o mojej obecności. Skręcam za róg i nagle wybiegam prosto na plac z fontannami, gdzie niewielka, zwarta grupka ludzi - właściwie młodzieży - ubranych w grube płaszcze, pali papierosy i popija wódkę. Naprawdę trzeba samozaparcia, żeby tkwić tu po północy na takim wicherze. Nie mam jednak czasu zatrzymać się na pogaduszki - przecinam plac w poprzek akurat w chwili, gdy pojawia się dwóch policjantów. Kolejny wystrzał dowodzi, że gliny z Baku zupełnie nie przejmują się kwestią bezpieczeństwa przypadkowych świadków zajścia. Grupa młodych ludzi zaczyna krzyczeć. Rozbiegają się we wszystkich kierunkach, nieświadomie pomagając mi w ucieczce. Nagle policjanci mają na placu kilka poruszających się celów. Mam nadzieję, że ich to zmyli.

Nie przestają do mnie strzelać, ale docieram bezpiecznie na drugą stronę placu i niknę w ciemnym zaułku. Linę z kotwiczką nadal mam przerzuconą przez ramię. Jeśli zdobędę choć minutę przewagi, wejść na dach. Ale najpierw muszę się zająć Bolkiem i Lolkiem, którzy depczą mi po piętach.

Zauważam wnękę w ścianie budynku, wystarczająco głęboką, by ukryć mnie w cieniu. Przestaję biec, wciskam się tam i czekam, aż usłyszę gliniarzy wbiegających do zaułka. Zwalniają, nie wiedząc gdzie się podziałem. Wymieniają cichym głosem uwagi - jeden najwyraźniej upiera się, że tu wbiegłem, a drugi nie jest tego taki pewien. Z bronią gotową do strzału idą powoli w moim kierunku. Kluczowym elementem jest tu zaskoczenie, więc czekam cierpliwie na właściwy moment. Kiedy widzę plecy obu gliniarzy, wyskakuję z wnęki i staję między nimi. Łapię obu za kołnierze koszul i

zderzam głowami. Jeden z pistoletów strzela, a właściciel upuszcza go na ziemię. Obaj są oszołomieni, ale nie na tyle, by się poddać. Odwracają się i stają do mnie frontem. Korzystając z techniki Krav Magi, nazywanej atakiem w obronie, ustawiam się w martwym polu jednego z przeciwników i unikam w ten sposób postrzelenia przez policjanta, który jest nadal uzbrojony. Martwe pole znajduje się „na zewnątrz” strefy walki przeciwnika. Jeśli stoisz naprzeciw wroga, który wysuwa do przodu lewą stopę, musisz przesunąć się do przodu i w prawo. Ruch w tę stronę prowadzi cię na pozycję, gdzie przeciwnik nie zdoła cię uderzyć, natomiast ty nadal będziesz mógł atakować, ponieważ on stoi „wewnątrz” twojej strefy walki. I to właśnie robię. Szybkie uderzenie w ramię wytrąca policjantowi broń. Obracam się w prawo unosząc nogę do uderzenia i kopię go z całej siły obcasem buta w klatkę piersiową. Upada. Drugi gliniarz jest zbyt oszołomiony, by chociaż drgnąć. Podchodzę, uderzam go mocno w żołądek, a potem, kiedy pochyla się z bolesnym grymasem na twarzy, poprawiam ciosem w tył głowy.

W zaułku zapada cisza.

Zdejmuję linę z ramienia, kręcę nią nad głową jak lassem i rzucam kotwiczkę na dach najbliższego budynku. Słyszę krzyki i tupot butów na placu, więc nie mam czasu do stracenia. Wspinaczka na dach jest prosta, a z góry rozciąga się wspaniały widok na całe stare miasto. Widzę, jak do zaułka wbiega jeszcze trzech policjantów. Podnoszą nieprzytomnych kolegów. Przechodzę na drugą stronę dachu i widzę plac z fontannami, a dalej bank. Liczba radiowozów znacznie wzrosła, a wokół budynku panuje gorączkowa krzątanina.

Odwracam się i, wędrując po dachach, kieruję się na północny-wschód.

Biura Wydziału Trzeciego znajdują się w znacznej odległości od siedziby Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, mieszczącej się przy Savage Road w Fort Meade w stanie Maryland. ABN rezyduje w połowie drogi między Baltimore a Waszyngtonem, ale Wydział Trzeci woli niewielki, nijaki budynek w samym sercu stolicy, niedaleko Białego Domu. Powód takiego rozdzielania jest prosty: oficjalnie Wydział Trzeci nie istnieje. Nawet większość pracowników ABN nigdy o nim nie słyszała. Jest to jedna z najbardziej tajnych agencji rządowych, dlatego wiedzą o niej tylko ci, którzy „muszą wiedzieć”.

Misją Wydziału Trzeciego jest uaktywnianie w punktach zapalnych globu samodzielnych agentów - Kolekcjonerów - których zadaniem jest pozyskiwanie i ocena informacji niezbędnych dla bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych. Wydział Trzeci nie jest inną wersją CIA ani FBI. Choć tacy agenci, jak Sam Fisher, mają licencję na zabijanie, fizyczne wyeliminowanie przeciwnika nigdy nie jest celem ich misji. Dlatego tak ważne jest, by zespół wsparcia pracujący w Waszyngtonie dostarczał Kolekcjonerom najbardziej ścisłych i aktualnych informacji, gdyż to one stanowią różnicę pomiędzy udaną misją, a udaną misją skąpaną we krwi.

Pułkownik Irving Lambert i jego zespół przez całą noc przeglądali dostarczone przez ABN zdjęcia satelitarne Bliskiego Wschodu i oceniali raporty powiązane z misją Fishera. Kiedy pułkownik zapoznał się z nowinami o Namiku Basaranie, polecił zespołowi przyjrzeć się bliżej budowie centrum handlowego, prowadzonej przez Akdabar Enterprises w północnej części Cypru.

Carl Bruford, szef biura analiz Wydziału Trzeciego, siedział obok Lamberta przy jasno oświetlonym stole i oglądał fotografie przez lupę. Miał trzydzieści jeden lat, pochodził z Illinois i był uważany za eksperta w dziedzinie analiz raportów wywiadu i deszyfracji.

- Niech mnie diabli, jeśli widzę tu coś niezwykłego - powiedział. - Ta budowa wygląda dokładnie na to, co mówi Basaran. Centrum handlowe. Ze zdjęć wynika, że już skończone, chociaż najprawdopodobniej jeszcze nie otwarte. Nadal widać w okolicy wiele maszyn budowlanych, natomiast parking dla klientów jest pusty.

Lambert potarł dłonią czubek głowy i skrzywił się.

- Nie podoba mi się to - stwierdził. - Szukaj dalej. Ale wyślij też wiadomość Samowi.

- Oczywiście. A, szefie, mam takie dziwne przeczucie. Chce pan posłuchać?

- O co chodzi, Carl?

- Czy Fisher ma córkę?

- Tak, ma. Studiuję na uniwersytecie w Illinois.

- Northwestern?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Nie wiem. Mówiłem, to tylko przeczucie. Może powinniśmy sprawdzić, co się z nią dzieje? No wie pan, bo Fisher jest poza krajem, a trzech Kolekcjonerów Danych nie żyje.

Lambert skrzywił się jeszcze bardziej i znów potarł czubek głowy.

- Sądziś, że tracimy Kolekcjonerów, ponieważ ktoś dorwał ich listę?

-Tak.

- I sądzisz, że Sam też na niej jest?

- A pan ma wątpliwości?

Lambert odwrócił wzrok. Bruford niemalże widział trybiki obracające się w głowie szefa. W końcu pułkownik znów na niego spojrzał.

- Dobra, sprawdź. Ale dyskretnie. Nie chcemy jej niepokoić.

- Będę uważał.

Pułkownik wszedł do drugiego pomieszczenia, gdzie Carly St. John właśnie próbowała włamać się do serwera Basarana. St. John była zapewne najcenniejszym pracownikiem Wydziału Trzeciego, naprawdę niesamowitym informatykiem. Potrafiła rozebrać na czynniki pierwsze nawet najbardziej złożony kod, a następnie poskładać go do kupy tak, jak chciała. Miała dwadzieścia osiem lat i była najmłodszym członkiem zespołu, ale zajmowała wysokie stanowisko - była dyrektorem technicznym. A choć sama nie uważała się za atrakcyjną, mężczyźni zakochiwali się w niej na ogół od pierwszego wejrzenia. Była niewielka - miała zaledwie metr pięćdziesiąt pięć wzrostu - miała ciemne, ścięte na pazia włosy i migotliwe błękitne oczy. I stanowczo za często słyszała określenie „maleńka”.

- Jak idzie? - spytał Lambert.

- Jestem coraz bliżej - odparła. - To skomplikowane zabezpieczenia, ale sądzę, że sobie poradzę. Włamałam się już do rachunku bankowego Basarana, teraz muszę się jeszcze włamać do jego konta w Szwajcarii.

- Sam mówi, że Basaran ma jutro przelać pieniądze. Chciałbym przejąć ten przelew.

- Wiem, szefie. Niech mi pan da czas do końca dnia, zgoda?

Lambert poklepał ją po ramieniu i zostawił samą. Wrócił do pokoju operacyjnego.

- W mieszkaniu Sary w Evanston nikt się nie zgłasza - zameldował Bruford, odkładając słuchawkę.

- Myślałem, że mieszka w akademiku.

- To było w zeszłym roku. Teraz jest na trzecim roku i wolno jej mieszkać poza kampusem.

Lambert przewrócił oczami.

- Jezu, jak ten czas leci. Próbuje dalej, albo lepiej skontaktuj się z naszym człowiekiem w Chicago, niech sprawdzi. Pewnie nie ma co robić.

Bruford zachichotał i znów podniósł słuchawkę.

- Świetny pomysł.

Pułkownik ruszył do swego biura, niewielkiego pomieszczenia, gdzie chociaż na kilka minut mógł się odciąć od całego tego gwaru i zamieszania. Usiadł w obrotowym fotelu, przejrzał skrzynkę pocztową w komputerze i upił łyk dawno wystygłej kawy. Skrzywił się i pomyślał, że powinien przynieść sobie świeżej, ale uznał, że lepiej będzie zdrzemnąć się moment. Był śmiertelnie zmęczony. Całonocne nasiadówki są dobre dla dzieciaków z koledżu.

Ale gdy tylko zamknął oczy, zamruczał faks. Lambert spojrzął na pierwszą stronę odbieranego dokumentu - to od podpułkownika Petlowa z Bagdadu. Lepiej będzie jak pójdzie jednak po nową kawę - nim ją przyniesie faks zdąży się wydrukować do końca. Cztery minuty później wrócił do biura z kubkiem kawy, gotów zapoznać się z raportem Petlowa.

DO: pułkownik Irving Lambert OD: podpułkownik Dan Petlow DOTYCZY: Nasir Tarighian

Drogi pułkowniku,

Zgodnie z pana instrukcją nakazałem ludziom z wywiadu popracować nad sprawą 24/7 dotyczącą Tarighiana i obecnie mogę przedstawić raport.

Nasir Tarighian był lub jest nadal bogatym obywatelem Iranu, aktywnym politycznie podczas wojny iracko-irańskiej. W 1983 roku jego dom w Teheranie został zniszczony podczas bombardowania - zginęła jego żona i dwie córki. Zorganizował wówczas radykalną antyiracką grupę terrorystyczną, która wielokrotnie przedzierała się przez granicę do Iraku i dokonywała brutalnych napaści na niewinną ludność cywilną. W Iranie i niektórych częściach Iraku banda Tarighiana już wtedy znana była jako Cienie. Rząd irański nie popierał jego metod działania i wygnał go z kraju, ale społeczeństwo uważało go za bohatera narodowego, swego rodzaju mściciela Irańczyków. W

listopadzie 1984 roku irackie wojsko zastawiło zasadzkę na Cienie. Siły terrorystów zostały rozbite, przyjęto też, że sam Tarighian zginął w wielkiej eksplozji. Jego szczątków nie odnaleziono. Cienie przetrwały ten kryzys. W ciągu ostatnich pięciu czy dziesięciu lat przegrupowali się i stali lepiej dowodzeni i finansowani. Terrorysta Ahmed Mohammed wiązany jest z tą grupą i być może dowodzi jej operacjami. Cztery lata temu pojawiły się plotki, że Nasir Tarighian żyje i ma się dobrze oraz że dowodzi Cieniami spoza Iranu. Ponieważ nikt go tak naprawdę nie widział, pozostaje postacią mityczną - na wpół bojownikiem o sprawiedliwość a na wpół zjawą.

Jeden z naszych więźniów, najprawdopodobniej wyższy oficer Cieni, zna Mohammeda osobiście. Uważamy, że w latach osiemdziesiątych znał też Tarighiana. W trakcie przesłuchania zidentyfikował go na zdjęciu, które załączam do raportu. Dan Lambert sięgnął po fotografię i serce zabiło mu szybciej. Okazuje się, że instynkt nie zawiódł ani jego, ani Sama Fishera.

Człowiekiem na zdjęciu był Namik Basaran. Nie było co do tego żadnych wątpliwości, choć miał na sobie strój arabski i turban. Zdjęcie zrobiono na otwartym terenie, około roku 1984.

Lambert otworzył akta i obejrzał dokładnie ostatnie zdjęcie Basarana, to z Andriejem Zdrokiem. Tak, to był ten sam człowiek. Chyba przeszedł przeszczep skóry i kilka operacji plastycznych, dzięki którym jego twarz wygląda nie jak poparzona, ale jakby cierpiał na jakąś wysypkę.

Wszystko stało się teraz jasne. Nasir Tarighian zmartwychwstał jako Namik Basaran, uzyskał tureckie obywatelstwo i wykorzystał swój majątek do zbudowania Akdabar Enterprises. Nic dziwnego, że trudno się czegoś dowiedzieć o przeszłości Basarana przed rokiem 1990. Pod przykrywką Akdabaru, a jeszcze bardziej organizacji „charytatywnej” Tirma, Basaran/Tarighian od lat finansował Cienie i kierował ich strategią. Być może nie dowodził nimi osobiście, ale na pewno dostarczał im tego, co liczy się najbardziej - pieniędzy.

Lambert nagle poczuł się całkowicie rozbudzony.

Z dwóch głównych portów Tureckiej Republiki Północnego Cypru, Kyrenii i Framagusty, ten drugi miał dużo barwniejszą historię. Położony jest na wschodnim wybrzeżu wyspy i otoczony murami obronnymi, które przez całe wieki chroniły kolejnych władców Cypru. Framagusta zawsze była bazą strategiczną pozwalającą kontrolować Morze Śródziemne. Dziś port specjalizuje się w przewozach towarowych, natomiast przewozy pasażerskie koncentrują się w Kyrenii. Właśnie dlatego Rząd Republiki Tureckiej Cypru Północnego wyraził zdumienie, że Namik Basaran zamierza zbudować centrum handlowe akurat koło Framagusty. Czy Kyrenia nie byłaby lepszą lokalizacją? W Kyrenii mieszka przecież więcej ludzi i ruch pasażerski jest znacznie większy. Ale Basaran się uparł. Dowodził, że Framagusta jest najważniejszym historycznie miastem północnego Cypru - to tu mieścił się przecież zamek Otella, który zainspirował sławną sztukę Szekspira. Miasto potrzebuje zastrzyku energii, twierdził. Potrzebuje odnowy. Niegdyś było znanym kurortem, ale popadło w zapomnienie. Basaran zamierzał to zmienić.

Republika Cypru Północnego, nie chcąc zniechęcać tak ważnego inwestora, udzieliła zgody na budowę.

Trzy lata później Centrum Framagusta zostało praktycznie ukończone i Basaran mógł przystąpić do wynajmu powierzchni sklepowej. Jeszcze tylko kilka ostatnich poprawek i kompleks otworzy swoje podwoje przed światem.

Oczywiście Namik Basaran, znany też jako Nasir Tarighian, nie miał najmniejszego zamiaru otwierać tu żadnego centrum handlowego. Wschodnie wybrzeże Cypru w okolicach Framagusty wybrał na inwestycję jedynie ze względów strategicznych, a jego celem bynajmniej nie było pomaganie w rozwoju młodej tureckiej republice. Zajmował się za to finalizowaniem planowanej od ponad dziesięciu lat akcji.

Tarighian i jego główny spec od projektowania broni, Albert Mertens, przeprowadzali właśnie inspekcję wielkiej budowli zajmującej obszar mniej więcej boiska futbolowego. Zwieńczony odbijającą światło kopułą budynek łatwo byłoby pomylić z planetarium albo obserwatorium astronomicznym, gdyby nie flagi, turecka i Tureckiej Republiki Cypru Północnego, powiewające na ustawionych przed wejściem masztach oraz powszechnie znane amerykańskie znaki firmowe, na przykład McDonalda czy Virgin Megastore, umieszczone na wielkich podświetlanych tablicach.

- Czyż to nie piękne, profesorze? - westchnął Tarighian. - Architekt bardzo się postarał, nie sądzi pan?

- Rzeczywiście - przytaknął Mertens, ale się nie uśmiechnął.

- Jest pan pewien, że Feniks będzie gotowy za dwa dni?

- O ile nie wystąpią żadne nieprzewidziane trudności - tak.

- Co za szkoda, że nigdy nie otworzymy tego centrum. Moglibyśmy nieźle zarobić sprzedając Big Maki.

Mertens zachował niewzruszoną powagę.

- O co chodzi, profesorze? - spytał Tarighian. - Nie wygląda pan ostatnio na specjalnie szczęśliwego.

- Mówiłem już panu, że nie zgadzam się z pańskim... projektem - odparł uczoney.

Tarighian zatrzymał się i wyciągnął dłonie w obronnym geście.

- Czy musimy znowu do tego wracać?

Mertens odwrócił się i wycelował w swego szefa palec.

- Wie pan doskonale, że możemy oddać tylko jeden strzał. Czemu chce go pan zmarnować na Irak? Dlaczego nie chce pan uczynić z niego prawdziwego oświadczenia?

- Profesorze, wystarczy! - stanowczość dźwięcząca w głosie Tarighiana kazała naukowcowi zamilknąć. - Już postanowiłem, więc nie będziemy dalej ciągnąć tej dyskusji. Wejźmy do środka, czekają na nas.

Mertens z rezygnacją pokiwał głową.

- Jest pan naprawdę wspaniałym fizykiem i bez pana nigdy bym nie osiągnął swego celu - stwierdził Tarighian. - Niech mi pan jednak wyświadczy tę uprzejmość i ograniczy się do spraw, na których zna się pan najlepiej, a strategię i decyzje operacyjne pozostawi mnie.

- Zgoda.

Tarighian poklepał Mertensa po plecach.

- No to świetnie - powiedział. - Chodźmy.

W centrum handlowym zebrało się pięciu mężczyzn, najbliższych współpracowników Nasira Tarighiana. Każdy z nich odpowiadał za inny pion działania Cieni. Ahmed Mohammed, Irańczyk, stał na czele Komitetu Politycznego, który wydawał fatwy, czyli edykty rzekomo oparte na islamskim prawie, w tym również rozkazy śmiertelnych ataków. Mohammed był również niepisanym przywódcą organizacji, tym, który bezpośrednio nadzorował przeprowadzanie ataków. Nadir Omar, z pochodzenia Saudyjczyk, przewodniczył Komitetowi Wojskowemu. Ten Komitet wyznaczał cele akcji, wspierał operacje i prowadził bazy szkoleniowe. Hani Yusufowi, kolejnemu Irańczykowi, podlegał Komitet Finansowy, zajmujący się, w porozumieniu z Tarighianem, zbieraniem funduszy i wsparciem finansowym operacji. Ali Babarah, Marokańczyk, nadzorował Komitet Informacji,

odpowiedzialny za propagandę i rekrutowanie nowych bojowników. I wreszcie Ziad Adhari, trzeci Irańczyk w tym gronie, przewodził Komitetowi Zakupów, który zdobywał broń, materiały wybuchowe i inny sprzęt. Ze względów bezpieczeństwa tych pięciu ludzi rzadko spotykało się osobiście.

Tarighian i Albert Mertens przyłączyli się do nich w niewielkiej sali konferencyjnej na parterze budynku. Farid, ze złamaną ręką unieruchomioną w gipsie i na temblaku, stanął na straży przy drzwiach. Zgodnie z oczekiwaniami Tarighian zajął miejsce u szczytu stołu, natomiast Mertens usiadł obok swego zastępcy, niemieckiego fizyka Heinricha Eislera. Cieszył się, że ma w Eislerze sprzymierzeńca. Pomimo różnicy wieku - Niemiec był od niego o dziesięć lat młodszy - i pochodzenia, obaj wyznawali te same ideały, dzielili też niegdyś pokój w zakładzie psychiatrycznym w Brukseli. Eisler miał zwyczaj rzeźbienia małych kawałków drewna za pomocą noża bojowego Swamp Monster o trzydziestocentymetrowym ostrzu wykonanym z nierdzewnej stali, a Mertens wiedział, że jest nie tylko świetnym fizykiem, ale również ekspertem we władaniu tą bronią. Eislera pozbawiono noża w zakładzie, ale od kiedy ich „zwolniono” nikt go bez niego nie widział.

Tarighian, człowiek, którego świat znał jako Namika Basarana, wstał i zwrócił się do obecnych.

- Panowie, dziękuję za wasze przybycie na Cypr. Allahowi niech będą dzięki za waszą bezpieczną podróż i niech czuwa nad waszym powrotem na stanowiska. Uznałem, że powinniście przybyć tu osobiście, gdyż zamierzam przedstawić wam plan, który stanowi realizację moich marzeń. Tych marzeń, które noszę w sercu od dwudziestu lat. Nareszcie wydadzą one owoce.

Zamilkł na chwilę, i sprawdził, czy wszyscy słuchają go uważnie.

- Feniks został ukończony. Dzięki geniuszowi profesora Mertensa jest gotów do działania. - Tarighian wyciągnął rękę w stronę fizyka, a zebrani mężczyźni zwrócili na niego spojrzenia i lekko się uklonili, ale powstrzymali się od oklasków. Byli stanowczo zbyt poważni na takie bzdury. Sam Mertens zachował kamienny wyraz twarzy.

- Wiem, że zastanawialiście się do czego chcę wykorzystać Feniksa. Dziś wreszcie zamierzam wam to wyjawić - Tarighian zajrzał obecnym w oczy. - Czas, aby Irak zapłacił za krzywdy, jakie wyrządził Iranowi w latach osiemdziesiątych - oznajmił.

Przywódcy Komitetów wyprostowali się na krzesłach. Trzech z nich pochyliło się do przodu, wyraźnie zaintrygowanych.

- Zamierzam zniszczyć Bagdad - powiedział Tarighian po prostu. - I tym razem to miasto nigdy się już nie podniesie z upadku.

Zemsta Iranu będzie błyskawiczna i totalna.

Nadir Omar odchrząknął.

- Proszę pana, z całym szacunkiem...

- Tak, Nadir? - Tarighian zwrócił się w jego stronę.

- Co dzięki temu osiągniemy?

- Nie rozumiesz? - Tarighian wyciągnął przed siebie ręce. -W wyniku naszej akcji w Iraku i na całym Bliskim Wschodzie wrzenie osiągnie szczyt. Cały region zwróci się przeciw Zachodowi -a szczególnie przeciw Ameryce - za to, że nie „ochronili” Iraku przed terroryzmem. Wszyscy doskonale wiemy, że rząd iracki to amerykańskie marionetki. Wie to cały świat. Ameryka kontroluje ten kraj i wpływa na decyzje podejmowane przez tamtejsze władze. Taka sytuacja musi się skończyć raz na zawsze. Jeśli do tak wielkiej tragedii dojdzie w kraju strzeżonym przez Stany, reakcja obejmie cały świat islamski. Amerykanie zostaną wygnani z Iraku, a być może nawet z całego Bliskiego Wschodu. A wtedy... Iran przejmie rolę Ameryki.

Dwaj z szefów Komitetów spojrzeli na siebie.

- A rząd Iranu o tym wie? - spytał Ahmed Mohammed.

- Jeszcze nie, ale kiedy czyn się spełni, ujawnię się przed światem. Możecie sobie wyobrazić te nagłówki w teherańskich gazetach? „Nasir Tarighian nadal żyje!” Moi zwolennicy w Iranie na pewno udzielą nam wsparcia. Będą naciskać na rząd, by zrobił wreszcie to, co należało zrobić już dawno, a na co przez ostatnie dwadzieścia lat brakowało mu odwagi. Iran podbija Irak, ponieważ Irak jest słaby i pozostaje pod władzą Zachodu! Ameryka próbowała zrobić z tego kraju demokrację na swoje podobieństwo, ale to się nigdy nie uda. Muzułmanie powinni sami rządzić światem islamskim. Moje lojalne armie, w Iranie i w krajach sąsiednich, czekają tylko na taką okazję, a Cienie poprowadzą ich do Iraku. Zwyciężymy!

Mertens trącił pod stołem nogę Eislera. Ahmed Mohammed odchrząknął.

- Czy mogę się ośmielić wyrazić swoją opinię?

- Tak, Ahmedzie?

- Nie wierzę, że członkowie Cieni, którzy przysięgli służyć islamowi, zgodzą się na zniszczenie islamskiego miasta. Tym samym nie wyrażam aprobaty dla tego planu.

Tarighian założył ręce na piersiach. Przez jedną pełną napięcia chwilę patrzył na Farida, który wydawał się gotów do akcji przeciw buntownikowi. W końcu jednak uśmiechnął się.

- Doceniam twoją szczerą, Ahmedzie. Twój sprzeciw zostanie odnotowany. A teraz chciałbym porozmawiać z tobą i Nadirem na temat najbliższych posunięć. Resztę z was proszę, byście pozostali na miejscu i skorzystali w pełni z mojej gościnności. Jestem pewien, że profesor Mertens chętnie pokaże wam ukończonego Feniksa.

Na te słowa Farid otworzył drzwi i uczynił ręką gest wskazujący, że spotkanie dobiegło końca.

Tarighian nie zauważył, że Mertens i Ahmed Mohammed wymienili spojrzenia. Tylko oni znali ich znaczenie.

Trzy godziny później Nasir Tarighian zamknął się w swoim gabinecie i spojrzał w wiszące na ścianie lustro. Nienawidził luster, ale odkąd rozpoczął realizację wielkiego planu powalenia Iraku na kolana, chciał by codziennie coś mu przypominało dlaczego to robi.

Nigdy nie zapomniał tego straszego dnia, kiedy bomby spadły na Teheran. Ryk syren przeciwlotniczych zawsze straszył jego córeczki. Tego ranka zajęcia w szkole odwołano i dzieci zostały w domu, z matką. Tarighian uczestniczył w wiecu politycznym przeciw wojnie i surowym przepisom religijnym obecnego rządu. Kiedy rozpoczęło się bombardowanie, opuścił wiec i biegł całe dzielące go od domu dziesięć kilometrów, żeby znów znaleźć się z rodziną. Widział w myślach twarz żony i jej radość, kiedy stanie w drzwiach ich pięknego, piętrowego domu. Ciężko pracował, żeby zapewnić rodzinie takie życie. Należał do szczęśliwców, którzy doradzali byłemu szachowi w różnych sprawach i dzięki temu zebrał wielkie bogactwa, dlatego nie dziwi, że nie był zwolennikiem rewolucji islamskiej i gorliwości religijnej. Mimo to pozostał lojalny i nienawidził Irakijczyków za nieszczęścia, jakie sprowadzali na jego kraj.

Biegając przypominał sobie ostatni wieczór, kiedy przytulił żonę i córeczki i prosił, by się o nic nie martwiły. Allah czuwa nad nimi. Bomby nie spadną na ich dom. Będą bezpieczne.

Mylił się jednak.

Bomba uderzyła w dom tuż przed jego przybyciem. Pamiętał falę gorącego powietrza i ogłuszający huk, który nawiedzał go potem często w snach. Pamiętał dym i płomień, latające w powietrzu szczątki i krzyki.

Pamiętał, jak odnalazł w gruzach zwęglone zwłoki żony i córeczek.

Spojrzał w lustro na swą pokrytą bliznami twarz i wzniósł modlitwę do Allacha. Wyznał Bogu, że nie jest dobrym muzułmaninem. Nie modli się pięć razy dziennie. Nigdy nie odbył pielgrzymki do Mekki. Musiał zrezygnować z pewnych ortodoksyjnych obrządków, aby podtrzymać złudzenie, że jest Turkiem i żył w kłamstwie od dwudziestu lat. Obiecał, że padnie na twarz i wyzna swe grzechy przed Allahem i odbierze zasłużoną karę - kiedy już dopełni się jego zemsta.

Zauważył oczywiście podczas przemowy wyraz twarzy swoich najbliższych współpracowników. Uważali, że oszalał. Że wyrusza w podróż, która przyniesie im katastrofę. Wyczuwał bunt w szeregach. Ale czy to samo nie czeka wszystkich przywódców na pewnym etapie walki?

Niedobrze się stało, że ktoś obcy przeniknął na teren Akdabar Enterprises w Van. Farid twierdził, że był to tylko jeden człowiek, ale nikt nie widział jego twarzy. Nie było też jasne, do jakich części zakładu zakradł się intruz. Kamery nadzoru nie zarejestrowały nic niezwykłego, choć pileczka

Tarighiana z niewiadomych przyczyn leżała na podłodze w holu, przed jego biurkiem. Czy to był jakiś żart intruza? Czy to był ten Amerykanin udający Szwajcara z Interpolu? Ale przecież człowiek, który twierdził, że nazywa się Sam Fisher, z pewnością nie żyje. Ludzie Tarighiana przysięgali, że Amerykanin nie wypłynął na powierzchnię jeziora Van.

Dosyć, nakazał sobie. Myśl o tym, co ma nastąpić. Czy trzeba jakoś zaradzić nastrojom w organizacji? Niby jak przed realizacją planu? Nie, nie powinien się martwić swoimi ludźmi. Wiedział, że wciąż będą go słuchać. Pozostaną lojalni, ponieważ wpoił im ten rodzaj oddania. W końcu to on finansował Cienie; to dzięki niemu działali. Nazywa się Nasir Tarighian, a oni uważają go za proroka. Wyprowadzi muzułmanów z głębin nieszczęścia na szczyty chwały.

Takie jest jego przeznaczenie.

Martens i Eisler skończyli oprowadzać wycieczkę i patrzyli w milczeniu, jak szefowie Komitetów wyciągają komórki i dzwonią gorączkowo do swoich ludzi. Po chwili Mertens odciągnął Eislera na bok.

- Mówiłem ci, on oszalał - syknął.

- Do tej pory ci nie wierzyłem - odparł Eisler. - I co teraz zrobimy?

Mertens pokręcił głową.

- Nie mam nic przeciwko temu, by Tarighian zemścił się na Iraku, ale to przecież prywatna wendetta. Chce wziąć odwet za śmierć żony i dzieci. Jego plan nie ma nic wspólnego z Iranem. Łudzi się, że rząd go poprze, ale przecież już dawno temu wygnano go z kraju. Na jakiej podstawie sądzi, że teraz zdobędzie poparcie? Dlatego, że jest bohaterem ludowym, mitycznym wojownikiem? Naprawdę oszalał.

- Masz jakiś plan?

Mertens położył rękę na ramieniu Eislera.

- Tak. Podobnie jak Ahmed Mohammed.

Uzbrojony w rewelacje Wydziału Trzeciego na temat Namika Basarana ruszam Pazhanem na poszukiwanie adresu, który znalazłem w sejfie Zdroka. Wbudowany w OPSAT GPS prowadzi mnie przez przemysłowe tereny na południe od Baku, położone na półwyspie Abseron. Jest to zapewne najbardziej skażony obszar Azerbejdżanu, zważywszy zgrupowane tu licznie rafinerie i petrochemie. Krajobraz jest na wpół pustynny, ziemia przesiąknięta ropą, a opuszczone żurawie wyglądają zupełnie jak zapomniani wartownicy na gruzach miasta. Widok przywodzi na myśl piekło, jakie nastanie na ziemi po apokalipsie.

Słońce zachodzi, kiedy docieram do celu. Z zaskoczeniem odkrywam, że mieści się tu fabryka i magazyn pieluch. Kogo oni chcą nabrać? Broń masowej zagłady bronią masowej zagłady, ale coś takiego to gruba przesada!

Czekam, aż zrobi się zupełnie ciemno, choć niestety nocne niebo rozświetlają ognie pobliskich rafinerii. Niewiele mogę na to poradzić, więc tylko uzbrajam się w nadzieję i, ubrany w kombinezon, wysiadam z Pazhana. Kieruję się na tyły budynku, gdzie odkrywam długą rampę przeładunkową, podnoszone stalowe drzwi towarowe i wejście dla pracowników. Za budynkiem rozciąga się wielkie i płaskie pole, długie na jakiejś sto metrów, może więcej. Niepokoi mnie brak wszelkiej zabudowy, ale nie mam teraz czasu zastanawiać się nad tym.

Bez problemu otwieram wytrychem wejście służbowe. Nie ma tu nawet alarmu. Wydaje mi się to zdecydowanie za proste, więc wyciągam z plecaka peryskop i wsadzam go do środka przez uchylone drzwi. Zgodnie z przewidywaniami widzę magazyn, pełen skrzyń i pudeł oznaczonych logo firmy. Pomieszczenie jest zbyt jasno oświetlone, jak na moje potrzeby. Rozglądam się po kątach i suficie, dostrzegam w lusterku pojedynczą kamerę, wycelowaną prosto w drzwi. Cholera. Nie mam szans wejść tędy i nie zostać zarejestrowanym, nawet jeśli rozwalę ją zaraz z Five-seveN. Muszę wymyślić coś innego.

Idę na drugą stronę budynku i tu szczęście mi sprzyja. Znajduję dwa uchylone okna, umieszczone jakieś pięć metrów nad ziemią. Rozglądam się w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłbym stanąć i przypominam sobie pustą beczkę po ropie stojącą koło rampy. Wracam po nią i toczę pod okna. Wspinam się na górę, wchodzę przez okno i zeskakuję w środku na podłogę.

Nadal jestem w części magazynowej budynku. Koło drzwi towarowych widzę kilka zaplombowanych beczek - zapewne z ropą do ciężarówki, która stoi zaparkowana koło wrót. Nigdy w życiu nie widziałem naraz tylu pieluch, jeśli rzeczywiście w tych skrzynkach są pieluchy. Na środku pomieszczenia znajduje się wielka wolna przestrzeń - zapewne zabrano stąd skrzynki z towarem. Jest naprawdę wielka, jakieś trzydzieści metrów na trzydzieści.

Nim ruszam dalej, rozglądam się za kamerami, ale żadnej nie znajduję. Najwyraźniej w magazynie jest tylko jedna, ta wycelowana w wejście dla pracowników. I dobrze. Podchodzę do najbliższej skrzynki i podważam jej wieko nożem. W środku znajduję... pieluchy. Wybieram kolejną skrzynkę i

otwieram. Znowu pieluchy.

Patrzę na wielką ciężarówkę - taka na pewno zmieści masę pieluch. Otwieram wytrychem kłódkę zamykającą jej skrzynię. W środku jest zupełnie pusto.

Podnoszone drzwi oddzielają magazyn od części produkcyjnej. Domyślam się, że tędy przewożą na wózkach widłowych gotowe pieluchy. Zaglądam do części produkcyjnej i widzę maszyny tkackie. Postanawiam rozejrzeć się najpierw po reszcie budynku, a dopiero potem zbadać ją dokładnie.

Idę na front magazynu i otwieram ostrożnie drzwi prowadzące do dalszej części budynku. Korytarz za nimi jest ciemny i pusty. Zakładam gogle, ustawiam na tryb noktowizji i ruszam. Zgodnie z oczekiwaniami znajduję tu kilka biur, pokój socjalny z automatami do kawy, schowek na szczotki i rozdzielnię. Zaglądam do tej ostatniej i oglądam panel. Bez trudu identyfikuję przełączniki obsługujące magazyn i część produkcyjną, ale na tablicy jest masę innych, w ogóle nie oznaczonych. Do czego służą?

Wracam do magazynu i staję na środku wolnej przestrzeni, zastanawiając się, co też mi tu umyka. Coś przecież musi tu być, a na pewno nie są to pieluchy. Dokładnie na przeciw mnie znajdują się wielkie podnoszone drzwi prowadzące na rampę przeładunkową. Nagle dociera do mnie, że otaczające mnie z trzech stron skrzynki ustawione zostały niezwykle starannie i w prostych liniach. Zupełnie tak, jakby na podłodze magazynu wyrysowano kwadrat i surowo zabroniono umieszczać na nim pieluchy. Czyżby tę wolną przestrzeń pozostawiono z jakiegoś powodu?

Przełączam gogle na tryb fluorescencji, przyglądam się uważnie podłodze i w końcu dostrzegam leciutkie zarysy tego kwadratu. Następnie zauważam ślady opon, prowadzące od drzwi do brzegu zarysu. Czyżby to było...?

Podskakuję i ląduję całym ciężarem na stopach. Echo wskazuje, że pod podłogą jest pusto. Niech mnie diabli, to drzwi w podłodze! Pod magazynem znajduje się jeszcze jedna kondygnacja! A więc to po to jest im potrzebny osobny obwód zasilający.

Starając się nie wejść w zasięg kamery, udaję się do małego biura brygadzysty, znajdującego się w pobliżu służbowego wejścia. Oglądam biurko oraz ściany i szybko znajduję zamkniętą szafkę, która wygląda na rozdzielnię telefoniczną. Próbuję otworzyć ją wytrychem, ale zamek okazuje się zbyt skomplikowany. Za dużo czasu zajęłoby mi otwieranie go w konwencjonalny sposób, więc wyciągam jednorazowy wytrych, ustawiam odpowiednią siłę wybuchu i robię w skrzynce dziurę. Teraz mogę ją bez trudu otworzyć. W środku znajduje się duży i ciężki przełącznik. Porzucam wszelką ostrożność i przesuwam go w górę.

Wielka otwarta przestrzeń na podłodze magazynu zaczyna się powoli opuszczać w dół, jak winda.

Wychodzę z biura i podchodzę do zapadającej się podłogi. Na dole świecą się światła i słyszę ruch. Zdejmuję z ramienia karabinek, sprawdzam, czy jest naładowany i czekam.

Gdy tylko platforma dociera na niższy poziom, wchodzą na nią dwaj mężczyźni ubrani w jeballe i turbany. Przez ramiona mają przewieszony Kałasznikowy, ale nie wydają się przejęci. Widać uważają, że gość jest przyjacielem.

Jeden z nich woła coś do mnie po arabsku. Nagle dociera do niego, że nie jestem tym, za kogo mnie bierze. Drugi facet krzyczy coś ostrzegawczo i obaj zdejmują karabiny z ramion. Strzelam dwa razy, trafiając obu prosto w klatkę piersiową. Upuszczają broń i padają na platformę, a na ich jeballach pojawiają się plamy krwi.

Nasłuchuję uważnie innych oznak aktywności. Cisza wskazuje, że jest bezpiecznie. Niższy poziom dzieli od podłogi magazynu dobre piętnaście metrów, więc przygotowuję sobie zjazd za pomocą liny ze składaną kotwiczką. Opuszczam się po niej na dół.

Czuć tu paliwem - i to lotniczym. Ruchoma platforma obwiedziona jest światełkami. Widzę blokady, takie, jakie wkłada się na lotniskach pod koła samolotu, żeby się nie odtoczył, jest tu też zbiornik paliwa z bardzo długim węzłem, taki jakich używa się do tankowania samolotów. A obok stoi gaśnica.

Znajduję się w dobrze wyposażonym, choć pustym, hangarze lotniczym. A więc płaskie pole za budynkiem służy jako pas startowy. Samolot wtaczany jest na rampę, potem na platformę i opuszczany do podziemnego hangaru. Założę się, że ta platforma jest obrotowa, żeby mogli obrócić samolot przed kolejnym wyładunkiem.

Tylko Sklep stać na umieszczenie ukrytego hangaru lotniczego pod fabryką pieluch. Ale gdzie jest ten samolot?

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, pada strzał. Czuję powiew gorącego powietrza, gdy pocisk mija o włos moją twarz. Instynktownie padam na platformę i przetaczam się w kierunku jednego z ciał. Manewr wywołuje gwałtowny atak bólu w nadwierzonym barku, ale zaciskam zęby i staram się nie zwracać na to uwagi. Strzał padł z tej części niższego poziomu, która znajduje się dokładnie pod fabryką. Wykorzystując zwłoki jako tarczę wyglądam ostrożnie. Widzę skrzynki i pudła - wiele z nich oznaczono znajomą pieczęcią Wytwórni Opakowań, Tabriz. Potem zauważam jakiś ruch za jedną ze skrzynek. Ilu ich tam jest?

Kolejne strzały. Trafiają martwego Araba, ale zaczynam się obawiać, że w którymś momencie kule przejdą przez ciało na wylot i poważnie mnie zranią. Postanawiam zaryzykować i zdjąć z ramienia karabinek, choć na kilka sekund umieszcza mnie to na linii ognia. Potem padam płasko na ziemię, opuszczam na oczy gogle i celuję w kierunku snajpera. W tym samym momencie jeden z jego pocisków uderza w platformę dokładnie przed moją twarzą. Odłamki betonu ranią mnie w policzki i usta. Piecze jak cholera. Dzięki Bogu za gogle, wykonane z tak twardego pleksiglasu, że ich przebicie jest prawie niemożliwe. Bez nich z całą pewnością zostałbym oślepiiony.

Tracę chwilę na otarcie twarzy o prawy rękaw kombinezonu. Dużo krwi, ale dochodzę do wniosku, że ranki są niewielkie. Mam nadzieję, że zachowają się tak, jak zadraśnięcia przy goleniu -

przez chwilę będą mocno krwawić, a potem zaschną. Pokonuję ból i koncentruję się na wykryciu mojej zwierzyny. I wtedy go widzę. Kolejny Arab, tylko jeden. Zapewne widział śmierć swoich kolegów i postanowił poczekać, aż zejść na dół. Celuję i naciskam spust. Pudłuję - facet jest dobrze osłonięty, ale widzę, że przesuwa się w bok, by lepiej się ukryć za skrzynką.

Mam go. Moja kula powinna przejść przez skrzynkę, oczywiście jeśli w środku nie ma czegoś specjalnego.

Strzelam i - niech to szlag! - coś wybucha i to solidnie. Nie wiem w co trafiłem, ale na pewno w coś niebezpiecznego. Pomieszczenie wypełnia się gęstym czarnym dymem. Nie jest mi to na rękę. Jeszcze nie skończyłem swych zajęć tu, na dole.

Skaczę na równe nogi, łapię gaśnicę, którą zauważyłem wcześniej i biegnę w kierunku ognia, który na szczęście szaleje tylko na niewielkiej przestrzeni. Celuję gaśnicą w płomienie i uruchamiam ją.

Ugaszenie pożaru zajmuje mi mniej więcej minutę. Kiedy dym się rozwiewa, widzę zwęglone zwłoki mojego snajpera. Facet jest w kilku częściach. Paskudny widok. Skrzynka, za którą się chował praktycznie nie istnieje, ale reszta pomieszczenia na szczęście nie ucierpiała.

Ciąg powietrza z otworu w suficie dość szybko usuwa cały dym. Podchodzę do skrzynek. Wiem, co tu znajdę, ale i tak otwieram jedną z nich, chyba po to, żeby móc sobie powiedzieć „A nie mówiłem?”

Broń. Materiały wybuchowe. Sprzęt wojskowy. Stingery. Mundury. Sprzęt do prowadzenia inwigilacji. Niech to diabli, prawdziwa Ikea dla terrorystów. Właśnie znalazłem jeden z głównych magazynów Sklepu. Kiedy ze Szwajcarsko-Rosyjskiego Międzynarodowego Banku Handlowego nadchodzi polecenie wysyłki, towary ekspediuje się właśnie stąd. Czyżby realizowali dostawy samolotem? Może właśnie teraz dostarczają komuś towar?

Robię kilka zdjęć magazynu OPSAT-em i zaczynam się zastanawiać, co powinienem teraz zrobić. Mogę zostawić wojsku zadanie zrzucenia kilku bomb, albo podjąć samodzielną akcję. Rzucam okiem na dwóch martwych Arabów na platformie i wpadam na pewien pomysł. Wracam do magazynu i zaglądam do skrzynek, gdzie znalazłem mundury. Są tu kombinezony lotnicze, moro i tradycyjne stroje arabskie: jeballe i turbany. Biorę jeballę, ale niech mnie diabli, jeśli wiem, jak zawiązać turban. Wracam więc do moich martwych przyjaciół i jednemu zabieram nakrycie głowy. Wkładam turban nie próbując rozwijać. Na szczęście pasuje jak ulał.

Wyciągam z plecaka granat odłamkowy i programuję na stan czuwania - co pozwoli mi go odpalić z pewnej odległości, naciśnięciem przycisku na OPSAT - i umieszczam pod zbiornikiem paliwa w hangarze. Dla pewności drugi granat kładę na panelu kontrolnym obsługującym platformę. Zrzucam ciała strażników na podłogę i wspinam się po linie na wyższy poziom. Następnie chowam linę do plecaka i wracam do biura brygadzysty. Opuszczam przełącznik i czekam, aż platforma wróci na swoje miejsce.

Wychodzę z budynku tak samo, jak do niego wszedłem. Staranie rozglądam się wokół i upewniam, że jestem tu sam. Biegiem wracam do Pazhana i przebieram się - wkładam jeballę i turban, a potem wolnym krokiem ruszam do budynku.

Tym razem otwieram wejście dla pracowników wytrychem i wchodzę do środka prosto w pole widzenia kamery nadzoru.

Wiem, że zarejestruje tylko obraz jakiegoś Araba wchodzącego do magazynu. Wyjmuję z kieszeni jedną z broszurek Tirmy, które zabrałem z zakładu Basarana w Turcji - przepraszam, z zakładu Tarighiana - i rzucam na podłogę. Następnie w całym pomieszczeniu rozmieszczam granaty, ze szczególnym uwzględnieniem beczek na paliwo lotnicze. I wszędzie rozrzucam ulotki Tirmy.

Potem opuszczam budynek, a resztę broszurek rozrzucam po rampie i pasie startowym. Ci, którzy będą badać to miejsce po wybuchu z pewnością znajdą jakieś niezweglone szczątki.

Wracam do Pazhana, pozbywam się przebrania, wsiadam do samochodu i aktywuję granaty z OPSAT-u. Straszliwa eksplozja unicestwia fabrykę pieluch. Wybuch rysuje się malowniczo na tle pomarańczowo-żółtego nieba. Jestem pewien, że było go słychać z odległości wielu kilometrów.

Odjeżdżam z miejsca katastrofy nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Strasznie chciałbym zobaczyć, jak Andriej Zdrok przyjmie wiadomość, że centrum handlowe dla terrorystów właśnie przestało istnieć. „Dowody”, jakie pozostawiłem na miejscu powinny go przekonać, że winę należy przypisać Cieniom. Życie potrafi być piękne.

Kiedy zbliżam się do Baku, mój OPSAT przyjmuje wiadomość od Carly St. John. Kiedy ją odczytuję, wybucham głośnym śmiechem - doskonale współgra z moim małym planem:

CZEŚĆ SAM. CHCĘ CI TYLKO PRZEKAZAĆ, ŻE UDAŁO MI SIĘ PRZEKIEROWAĆ PRZELEW TARIGHIANA NA NASZE UKRYTE KONTO ZAGRANICZNE. TEGO PRZELEWU SKLEP NA PEWNO NIE DOSTANIE

-CARLY

Armia rosyjska dała się mocno wyprzedzić Amerykanom w technologii niewidzialnych samolotów i dopiero niedawno zaczęła pośpiesznie nadrabiać te zaległości. Badania znacznie przyspieszył zakup w 1999 roku, w trakcie wojny w Serbii, zestrzelonego niewidzialnego amerykańskiego myśliwca F-117A. Serbowie chętnie sprzedawali Rosjanom szczątki rozbitych amerykańskich maszyn. Rosyjskie biuro projektowe samolotów Suchoja wykorzystało amerykańską koncepcję jako podstawę konstrukcji myśliwca S-37 Berkut, który ostatecznie wszedł do uzbrojenia Su-47.

Natowski wywiad podejrzewa, że Su-47 to niewidzialny myśliwiec, ale jak do tej pory ani Stany ani Wielka Brytania nie znają prawdy. Znają ją natomiast rosyjscy wojskowi. Niewidzialny myśliwiec istnieje, choć tylko jako prototyp. W założeniach ma to być konkurencja dla F-117A.

Su-47 wywiera spore wrażenie. Powierzchnie nośne zostały przesunięte ku przodowi, co nawiązuje do płatowca Su-27. Taka konstrukcja jest niezwykle aerodynamiczna przy naddźwiękowej szybkości i wysokich kątach natarcia. Stateczniki o kształcie trójkąta umieszczono w pobliżu skrzydeł, a dziwaczny garb za kabiną pilota kryje komputer pokładowy. Samolot wyposażony jest w dwa turbowentylatorowe silniki D-30F6 i termolokacyjnie naprowadzane działko, umieszczone tuż przed kabiną pilota. Rozpiętość skrzydeł maszyny wynosi prawie siedemnaście metrów, a całkowita długość - dwadzieścia dwa i pół metra. Su-47 ma akurat odpowiednią wielkość, by pełnić funkcję niewidzialnego myśliwca.

To generał Stefan Prokofiew udostępnił jeden z prototypów Su-47 Sklepowi. Kierował zespołem projektantów stanowiącym łącznik między biurem Suchoja a armią rosyjską. Kiedy kilka prototypów opuściło fabrykę, Prokofiew sprawił, że jeden z nich „zniknął” podczas lotu próbnego - w rzeczywistości został po prostu skradziony i przekazany do jednego z tajnych hangarów Sklepu w południowej Rosji.

Jedyną pociechą dla Andrieja Zdroka po unicestwieniu fabryki pieluch w Azerbejdżanie, stanowił fakt, że Su-47 stał właśnie bezpiecznie w innym hangarze na terenie Rosji. Zastąpienie tego samolotu mogłoby się okazać wyjątkowo trudne - o ile w ogóle możliwe - a Zdrok nie mógł sobie pozwolić na taką stratę. Dostatecznie ciężka była utrata dwudziestu trzech milionów dolarów w broni i sprzęcie oraz placówki w Baku.

Zdrok był wściekły.

W ciągu ostatnich dwóch dni zdarzyło się zbyt wiele dziwnych rzeczy, żeby wierzyć w przypadki. Najpierw jakiś intruz włamał się do banku i wysadził dziurę w drzwiach jego prywatnego sejfu. Nic nie zginęło - choć Zdrok był pewien, że dokumenty zostały sfotografowane - ale wyrządzono w ten sposób wielką szkodę.

A teraz zniszczono magazyn. Kto mógł to zrobić? Wstępne raporty jego własnych ludzi wskazywały, że zapewne miały z tym coś wspólnego Cienie. Na miejscu pełno było broszur Tirmy. Przypadek, czy zrobiono to specjalnie? Czy był to protest przeciw od-

nowie zwrotu pieniędzy za utracony przez Tarighiana transport broni?

Pukanie do drzwi oderwało Zdroka od ponurych rozważań.

- Wejść! - powiedział.

W drzwiach pojawił się Antipow. Wszedł do pokoju, przekroczył nadal piętzącą się na podłodze kupę śmieci i zamknął za sobą drzwi.

- Tym dwóm policjantom nic się nie stało - poinformował. -

Ochroniły ich kamizelki kuloodporne. Nocny stróż upiera się, że człowiek, który zmusił go do otworzenia drzwi banku był na pewno Amerykaninem. - Podał Zdrokowi płytę CD i dodał: - To nagranie z kamery w magazynie. A właściwie to, co z niego zostało. Sądzę, że pana zainteresuje.

Zdrok wziął płytę i włożył do napędu komputera. Razem obejrzelik nagranie.

Przez tylne wejście wszedł człowiek ubrany w turban i jeballę... podłożył ładunki... rozrzucił ulotki.... i wyszedł.

- Kto to? - zapytał Zdrok. - Chyba nie Amerykanin?

- A kto to może wiedzieć? Zapewne jakiś arabski bojownik. Specjalnie porzrzucał te broszury Tirmy. To wiadomość. Tarighian przesłał nam wiadomość.

- Do diabła, czy on chce wojny? - warknął Zdrok. Wyjął dysk z napędu i oddał go Antipowowi. - Zadzwoń do drania.

Podniósł słuchawkę telefonu, sprawdził numer w książce telefonicznej w komputerze i połączył się z Cyprem.

- Tak? - odezwał się głos Tarighiana, znanego też jako Basaran.

- To ja - powiedział Zdrok.

- Dzwonisz na bezpiecznej linii?

- Oczywiście.

- Co słychać? - spytał Tarighian po czym westchnął. Jego głos wskazywał, że jest zmęczony i

zdenerwowany.

- Bywało lepiej.

- A co się stało?

- Nie wiesz?

- O czym?

- Nasz magazyn w Baku wyleciał dziś w nocy w powietrze. A zrobił to jeden z twoich ludzi.

-Co?!

- Mamy go na taśmie. Po całym terenie porzrzucał ulotki Tirmy, żebyśmy wiedzieli, że to ty za tym stoisz.

- Bzdura! Nie wierz w to! Kogo chcesz oskarżyć, mnie? - W głosie Tarighiana dźwięczała zdecydowanie zbyt wielka uraza i Zdrok wyczuł podstęp. Ten człowiek to aktor - w końcu od dwudziestu lat gra rolę kogoś innego.

- O tym hangarze wiedziało tylko kilka osób - stwierdził. - A za każdą z nich ręczę własną głową. Oprócz ciebie.

- Co ty mówisz? Że to ja jestem za to odpowiedzialny?

- Mój drogi, jeśli sądzisz, że ujdzie ci to na sucho - grubo się mylisz.

- Andriej, to mi wygląda na czyjąś zaplanowaną akcję. Nie zrobiłem tego, przysięgam.

- Och, a zatem to ten amerykański agent, o którym mówiłeś? Czy to on przeniknął również do mojego banku w Baku?

- Twojego banku w Baku? Nic o tym nie wiem!

- Uważamy, że wczoraj w nocy włamał się tu jakiś Amerykanin.

- Nie sądzę, żeby to był ten sam człowiek. Moi ludzie twierdzą, że go zabili. Utonął w jeziorze Van. Chociaż z drugiej strony ktoś się niedawno włamał do zakładu w Van i mój ochroniarz został ranny. W stalowni widziano jakiegoś człowieka, ale uciekł.

Zdrok poczuł jak ogarnia go przerażenie.

- Tarighian, jeśli to był agent z CIA albo ABN i zdobył u ciebie jakieś informacje na mój temat, nie wyobrażasz sobie nawet jak drogo mi za to zapłacisz. I ty i twoja organizacja.

- Allachu dopomóż, Andriej, przecież my jesteśmy po twojej stronie!

- My natomiast nie jesteśmy po żadnej stronie, tylko po swojej. Wiesz o tym doskonale. Nie obchodzi mnie ta twoja cholerna dżihad. To, co zamierzasz zrobić z bronią, którą sprzedaliśmy ci przez ostatnie trzy lata to czysty idiotyzm. Nie będę zaskoczony jeśli twoi ludzie zwrócą się przeciw tobie. Mnie jednak obchodzą wyłącznie własne interesy. A skoro już o nich mowa, to dlaczego nie dostaliśmy jeszcze pieniędzy za dodatkowy transport broni, który ci wysłaliśmy? Miały być na koncie dziś rano, o ile dobrze pamiętam.

- Co? - teraz w głosie Tarighiana pojawił się niepokój. - Przecież przelałem pieniądze. Osobiście zleciłem przelew.

- Nie doszły.

- To dziwne. Muszę...

- To więcej niż dziwne, Tarighian. Proponuję, żebyś rzucił wszystko inne i zajął się tą sprawą natychmiast.

- Słuchaj, Andriej, kończymy właśnie nasz projekt. Mówiłem ci, że mam niesamowite plany odnośnie tej budowy.

- Tak, wiem. I nie wątpię, że masz teraz kłopoty z płynnością finansową. Ale nic mnie to nie obchodzi. Udowodnij mi, że nie stoisz za tym wybuchem i zapłać, co jesteś mi winien.

Zdrok rozłączył się, nie dając Tarighianowi szansy na udzielenie odpowiedzi. Spojrzał na Antipowa.

- On myśli, że Amerykanin nie żyje. Czas nakłonić tę dziewczynę w Izraelu do współpracy. Jeśli facet naprawdę zginął, wkrótce zdobędziemy pewność.

Ponownie podniósł słuchawkę i połączył się z Jerozolimą.

- Cholerny Zdrok - powiedział Tarighian do Mertensa, kiedy skończył rozmowę.

Siedzieli w jego prywatnym biurze, w centrum handlowym na Cyprze.

- A o co chodzi? - spytał Mertens.

- Chcą nas wykiwać - odparł Tarighian. Wystukał numer na klawiaturze telefonu. - Halo. Hani?

Na linii był szef finansowy Cieni. -Tak?

- Czy zapłaciliśmy Sklepowi?

- Wczoraj, proszę pana.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, że tak. Sam wykonałem przelew.

- Mówią, że nie dostali pieniędzy.

- To niemożliwe.

- Sprawdź, dobrze? Mam teraz dość innych problemów.

- Tak jest.

Tarighian odłożył słuchawkę i spojrzał na Mertensa.

- Zapewne chce mi pan znowu powiedzieć, jak szalony jest mój plan?

Mertens wzruszył ramionami.

- W zasadzie...

- W porządku profesorze. Jeśli Bagdad nie jest odpowiednim celem, to w takim razie co nim jest? Znowu chce pan wskazać Izrael?

- Oczywiście! Nie rozumiem, jak może być pan tak ślepy. Celem powinien być albo Tel-Aviv albo Jerozolima, ponieważ Izrael jest naszym głównym wrogiem na Bliskim Wschodzie. Jeśli zniszczymy Jerozolimę, cały region pograży się chaosie. I dokonamy odwetu za śmierć Gerarda Bulla.

- Ach, więc o to panu chodzi? O dawnego szefa?

- Był dla mnie kimś więcej niż szefem. Był moim mentorem. Był dla mnie jak ojciec.

- Nie ma dowodów na to, że to Izrael stał za jego zabójstwem.

- Ale są poszlaki wskazujące na Mossad. Byłem tam. Pracowałem z Gerardem, kiedy to się stało. Przysiągłem, że go pomszczę i zmiierzam dotrzymać słowa.

- Nie za moje pieniądze - uciął Tarighian. - To, że był pan prawą ręką Gerarda Bulla nie daje panu prawa do kwestionowania moich motywów. Profesorze, wykonał pan przy Feniksie wspaniałą robotę, ale klnę się na Allacha, że nie będę tolerować nieposłuszeństwa. Teraz, kiedy Feniks jest gotowy, nie jest pan już niezastąpiony. Proszę o tym nie zapominać.

Ciemne, lodowate oczy Tarighiana przewiercały Mertensa na wylot. Belgijski uczoney zrozumiał - zresztą nie po raz pierwszy -dlaczego ludzie szanują i boją się tego człowieka. Tarighian posiadał rzadką cechę nazywaną charyzmą. Z pomocą charyzmy wielcy przywódcy od wieków wywierali na ludzi dobry albo zły wpływ, a Tarighian nie był wyjątkiem. Omamił Mertensa dawno temu i przekonał, by poświęcił życie zaprojektowaniu i zbudowaniu broni dla Cieni. Oczywiście swoją rolę odegrało też wynagrodzenie oraz oferowana ochrona przed władzami Belgii, które poszukiwały go od czasu ucieczki z zakładu dla psychicznie chorych.

Ale Mertens nie przystał na ten plan tylko dla pieniędzy. Pracując nad projektem Tarighiana wypełniał własny cel, czyli spełnienie marzeń Gerarda Bulla, człowieka, który nauczył go wszystkiego. Mertens nie był muzułmaninem. Nic go nie obchodziły cele Cieni i ich pragnienie by wypędzić zachodnie mocarstwa z Bliskiego Wschodu i przejąć Irak. Nie czuł lojalności wobec Żydów, muzułmanów czy chrześcijan. Był wierny jedynie Bullowi i jego geniuszowi. Był mu winien spełnienie jego wizji.

- W porządku - powiedział teraz. - Przepraszam. Ale powinien pan wiedzieć, że wielu z pana ludzi nie jest zachwyconych tym planem. Nie popierają pańskiej decyzji zaatakowania muzułmańskiego miasta.

- Ma pan może na myśli Ahmeda Mohammeda? - warknął Tarighian. - Załatwię to z nim we właściwym czasie. Ahmed jest moim przyjacielem i sprzymierzeńcem od ponad dwudziestu lat. Jeśli jest niezadowolony, wkrótce mu przejdzie. A teraz proszę wracać do pracy. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej na ten temat. Oczekuję, że Feniks będzie gotów do odpalenia jutro - po południu zaczniemy testy. Czy to jasne?

- Całkowicie - Martens skłonił lekko głowę, po czym wstał i wyszedł z gabinetu.

Ruszył ciemnym, pustym korytarzem do własnego biura, gdzie czekał na niego Eisler, rzeźbiąc w kawałku drewna.

- I? - zapytał na widok Mertensa.

- Mam dość Tarighiana i jego Cieni - odparł Belg. - Czas wziąć sprawę w swoje ręce. Stawiam na Mohammeda.

Sara otarła z policzków łzy, wstała powoli z połówki i chwiejnie ruszyła do łazienki. Brudne lustro ukazało przerażoną i umęczoną twarz, nabiegłe krwią oczy, włosy w strąkach i odległe wspomnienia po makijażu. Nie brała prysznicza od dwóch dni - no bo jaki miało to sens? Głód już jej nie dokuczał, ale czuła się bardzo osłabiona. Obecnie problem sprowadzał się do tego, jak długo jeszcze będzie w stanie wykonywać normalne czynności.

Od lat słyszała o porwaniach na Bliskim Wschodzie. Takie historie pokazywali w CNN, albo opisywali w gazetach. Uprawdano zwykle pracujących tu Amerykanów, albo amerykańskich żołnierzy. Czasami zakładników uwalniano... ale częściej nie.

Co ci dranie zamierzają jej zrobić? Jak dotąd nie wyrządzili jej fizycznej krzywdy, choć ten cały Wład był tego bliski. Nienawidziła z całego serca Eliego, ale był on tutaj jej obrońcą. Nie wiadomo, co zrobiliby Rosjanie, gdyby została z nimi sama.

Kilka razy kusiło ją, żeby im powiedzieć, jak skontaktować się z ojcem. Nie chciała go w to wciągać, ale podejrzewała, że sama nie da sobie rady. Jeśli Eli miał rację i ojciec naprawdę jest jakimś rządowym szpiegiem, będzie dysponował odpowiednimi środkami, żeby ją uwolnić. Może sprowadzi tu wojsko i pośle jej poryw czy prosto do piekła?

Ale z drugiej strony porywacze mieli widać swoje powody, by go dopaść, i to na pewno nie przyjazne. Kiedy o nim mówili, działa nienawiść w ich oczach i słyszała w ich głosie jad. Doskonale rozumiała, że jest przynętą, która ma go zwabić w ich sidła. Była pewna, że chcą go zabić, dlatego postanowiła, że do tego nie dopuści.

Ile dni już tu jest? Straciła rachubę. Teraz żałowała, że wzorem innych więźniów nie zaczęła wydrapywać na ścianie kresek oznaczających upływający czas. Wiedziała, że jest tu krócej niż tydzień, ale na pewno ponad cztery dni. Gdyby nie została porwana, już wróciłaby do domu. Pożegnałaby się z Rywką i jej rodziną i -

Och, Rywka.

Los, jaki spotkał jej przyjaciółkę dręczył Sarę i sprawiał jej wieki bóle. To była jej wina. Gdyby nie zaprzyjaźniła się z Rywką, nadal by żyła. Podczas jednej z częstych wizyt Eliego zapytała, co się stało z jej przyjaciółką. Jak umarła? Ale Eli nie chciał jej powiedzieć. Twierdził, że nie wie dokładnie - że wie tylko, że nie żyje. Zapytała wtedy, czy zrobił to Noel, a Eli tylko wzruszył ramionami. Jak mógł być taki zimny? Jak obaj mogli zrobić coś takiego? Przecież oddały im siebie, swoją miłość, zaufanie. Przecież rozmawiali z Elim o wspólnym mieszkaniu w Nowym Jorku i o tym, że może się kiedyś pobiorą. Czy Rywka i Noel też prowadzili takie rozmowy? Czy skłonił ją, by mu zaufała i by planowała swą przyszłość u jego boku?

Dranie.

Skończyła, co miała zrobić w łazience i wróciła powoli na polówkę. Położyła się, a po chwili usłyszała znajome pukanie u drzwi. Znowu Eli. Klucz przekręcił się w zamku i wejście stanęło otworem. Nie spojrzała na niego, ale czuła, że nad nią stanął.

- Chcesz coś wreszcie zjeść? - zapytał.

Nie odpowiedziała.

- Sara, daj spokój. Lepiej coś zjedz. Będiesz... będziesz potrzebowała siły.

Nie zareagowała.

- Słuchaj, dostaliśmy nowe rozkazy. Wład i Jurij... oni dostali zgodę na, hmm, bardziej agresywne działania. To twoja ostatnia szansa. Musisz nam powiedzieć to, co chcemy wiedzieć. Gdzie jest twój ojciec? Jak możemy się z nim skontaktować?

Jej milczenie w końcu go zdenerwowało. Złapał ją za włosy i szarpnięciem uniósł jej głowę w górę. Wrzasnęła.

- Sara, do jasnej cholery! - wykrzyknął. - Powiedz coś! Nie chcę być odpowiedzialny za to, co ci zrobią!

Zamknęła oczy, ponieważ zaczęły się w nich zbierać łzy. W ten sposób nie musiała na niego patrzeć.

Puścił jej głowę. Ukryła twarz w poduszce i rozszlochała się.

- Słuchaj - powiedział nieco łagodniej - Wład i Jurij... oni tu przyjdą i zmuszą cię do mówienia. Możesz być pewna, że będziesz mówić. Więc proszę. Powiedz mi co wiesz.

Wymamrotała coś niewyraźnie.

- Co? - zapytał. Uniosła głowę.

- Idź do diabła - nakazała stanowczo. Eli westchnął i ruszył w stronę drzwi.

- Przykro mi Saro - powiedział na odchodnym. Teraz naprawdę zaczęła się bać. Co ci dwaj jej zrobią? Proszę,

Boże, tylko nie gwałt. Wszystko tylko nie gwałt!

Wyczuła w pokoju jakiś ruch i usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Uniosła głowę i zobaczyła ich obu - Włada i Jurija - stojących po obu stronach połówki. Wład trzymał w ręku zwiniętą linę. Jurij - skrzynkę z narzędziami.

- Witaj, księżniczko - powiedział Wład. - Gotowa do zabawy?

Gwałtowny zastrzyk adrenaliny przeszył ciało Sary, kiedy zeskakiwała z połówki i chciała uciec do łazienki. Wład złapał ją wpół i rzucił z powrotem na łóżko. Upadła ciężko, a połówka załamała się pod nią.

Wład zaczął rozwijać linę.

Po dwóch dobach spędzonych na włamywaniu się kont bankowych Tarighiana i Zdroka Carly St. John wreszcie się wyspała. Ale teraz otrzymała nowe, równie pilne zadanie. Lambert dał jej cyfrowy zapis rozmowy, którą Sam Fisher nagrał w Turcji i polecił go przemontować. Chciał, żeby pocięła nagranie na kawałki i poskładała w taki sposób, żeby rozmawiający mówili coś zupełnie innego niż w rzeczywistości.

Rozmówcami byli Nasir Tarighian, znany też jako Namik Basaran oraz jakiś jego podwładny, a rozmowa toczyła się w farsy, a nie po turecku. Kiedy tłumacz Wydziału Trzeciego przełożył tekst na angielski, Carly usłyszała mniej więcej coś takiego:

PODWŁADNY: Ale Sklep chyba rozumie, że to nie my?

TARIGHIAN: Nie, nie rozumie. Zdrok jest ślepy na wszystko, poza swoim ciasnym światkiem.

PODWŁADNY: Niech ja to dobrze zrozumiem. Ktoś zaatakował fabrykę pieluch...

TARIGHIAN: Jakiś Arab.

PODWŁADNY:... i wysadził wszystko w powietrze.

TARIGHIAN: I rozrzucił wszędzie ulotki Tirmy.

PODWŁADNY: Więc to ktoś, kto chce wywołać rozłam między nami a Sklepem.

TARIGHIAN: Do rozłamu doszło już wcześniej. Teraz się tylko poszerzył.

PODWŁADNY: W takim razie proponuję, żeby go pan przekonał, że to robota kogoś z zewnątrz. Ktoś pana wrabia.

TARIGHIAN: Mówiłem mu to, ale nie słucha. A teraz nie odbiera moich telefonów. Do cholery,

czy on nie rozumie, z kim ma do czynienia?

PODWŁADNY: Czy Hani ustalił, co się stało z przelewem?

TARIGHIAN: Nie. Wysłaliśmy pieniądze. Według danych Hanie-go przelew dotarł na szwajcarskie konto Zdroka. Ale Zdrok twierdzi, że nic nie dostał.

PODWŁADNY: Ale kazał pan zrobić przelew?

TARIGHIAN: Oczywiście!

PODWŁADNY: Więc dlaczego kłamie?

TARIGHIAN: Jest wściekły, że pierwszy transport broni został zatrzymany w Iraku. Iracka policja aresztowała ludzi na gorącym uczynku. Ahmed i jego zespół próbowali odbić broń, ale się nie udało. Musieliśmy to przełknąć i zapłacić za całkiem nowy transport. A Zdrok twierdzi, że nie zapłaciliśmy.

PODWŁADNY: Dostarczył nam broń nie żądając zapłaty z góry?

TARIGHIAN: Tak. Taki z niego dobry Samarytanin. A teraz żąda pieniędzy.

PODWŁADNY: Pewnie sądzi, że chcemy go wysiudać z interesu.

TARIGHIAN: Na pewno.

PODWŁADNY: Azerska policja na pewno kogoś aresztuje.

TARIGHIAN: Zwariowałeś? Media już dziś winią Ciebie za tę akcję. Ali wydał oświadczenie, że nie jesteśmy za to odpowiedzialni, ale sam wiesz, ile jest ono warte.

PODWŁADNY: No to co teraz?

TARIGHIAN: Lepiej, żeby Zdrok przeprosił za swoje zachowanie i oczyścił nas z winy. Nie powinien nam kazać płacić za nowy transport. To miliarder, stać go na to.

Tu w nagraniu rozległo się pukanie do drzwi.

TARIGHIAN: Wejść!

PRZYBYSZ: Jest pan potrzebny w kontroli.

TARIGHIAN: Zaraz przyjdę.

I to wszystko. Drugi plik zawierał następującą krótką wymianę zdań między Tarighianem a tym samym podwładnym:

TARIGHIAN: Filipińczycy zachowują się, jakby byli na Zachodzie. Bezbożna banda.

PODWŁADNY: Wpływy Cieni zmieniają tam wszystko.

TARIGHIAN: Władze nie mogą zaprzeczać, że islam staje się coraz silniejszy na Dalekim Wschodzie. Nasze komórki na Filipinach i w Indonezji wkrótce uderzą, ale wcześniej... [zniekształcenia].

PODWŁADNY: [zniekształcenia]... a Stany Zjednoczone wtedy ustąpią.

TARIGHIAN: Obchodzą ich wyłącznie pieniądze. Uderzę tam, gdzie zaboli najbardziej i na tym nie poprzestaną. Daj spokój, zaczniemy się martwić o Daleki Wschód, kiedy zakończymy projekt Feniks.

Na tym kończył się drugi plik.

Na biurku Carly odezwał się interkom. Nacisnęła przycisk, przyjmując połączenie.

- Tak? - spytała.

- Co o tym sądzisz? - głos Lamberta.

- Nie wygląda na zbyt trudne zadanie - odparła. - Mam z czego wybierać.

- Ale to musi brzmieć bardzo przekonująco. Mogę powiedzieć Samowi, że potrzebujemy więcej materiałów, jeśli nie uda ci się...

- Niech się pan nie martwi, szefie. Uda mi się. Pizza już dotarła?

Lambert roześmiał się.

- Jak na taką małą osóbkę jesz strasznie dużo.

- Mój mózg musi się dobrze odżywiać. To on karmi się tym wszystkim.

- Dostawa powinna przyjechać za jakieś pięć minut.

Carly puściła przycisk interkomu i wróciła do komputera. Czasami jej praca wyglądała właśnie tak. Nie miała kiedy wrócić do domu i sypiała w śpiworze, w biurze. Bywały chwile, kiedy czuła się jakby znów mieszkała w akademiku na Harvardzie. Często w czasie studiów sypiała w nocy tylko godzinę czy dwie, po czym wracała do nauki. A podczas sesji nigdy nie wychodziła z pokoju.

Jej matka wciąż narzekała, że nie wyszła za mąż, ani nie chodzi na randki. Może dałaby jej spokój, gdyby wiedziała, że Carly ratuje ojczyznę i dlatego nie ma czasu się z nikim spotykać? Ale znając

matkę, pewnie by stwierdziła, że „ustatkowanie się i założenie rodziny” jest ważniejsze. Nie, wielkie dzięki. Carly wolą już żyć w celibacie zakopana w pracy po uszy. A jeśli czasami do głosu dochodziło pożądane, podrywała kogoś na jedną noc. Dla niej słowo „związek” składało się z czterech liter. I zaczynało na „s”.

Kiedy dowieźli pizzę, wzięła kilka kawałków i wróciła do biura. Nigdy nie przesiadywała w pokoju socjalnym jak inni. Wiedziała, że ich zdaniem zadziera nosa, ale wcale jej to nie obchodziło. Grunt, że Lambert myślał inaczej. A tylko jego zdanie miało znaczenie.

Zacząła pracę od pocięcia plików na pojedyncze zdania. Jeśli jakieś słowo, czy zdanie potrzebne było więcej niż raz, robiła kopię takiego pliku. Już wkrótce miała gotowe wszystkie potrzebne kawałki układanki.

Cztery godziny później poprosiła Lamberta do swojego biura. Przyszedł, usiadł i potarł ręką czubek głowy.

- Proszę posłuchać - powiedziała, po czym kliknęła myszką ikonę na ekranie.

TARIGHIAN: Zdrok jest ślepy na wszystko, poza swoim ciasnym światkiem. Jest wściekły, że pierwszy transport broni został zatrzymany w Iraku. Iracka policja aresztowała ludzi. Ahmed i jego zespół próbowali odbić broń, ale się nie udało. Musieliśmy to przełknąć i zapłacić za całkiem nowy transport. A Zdrok twierdzi, że nie zapłaciliśmy.

PODWŁADNY: Pewnie sądzi, że chcemy go wysiudać z interesu.

TARIGHIAN: Na pewno.

PODWŁADNY: Ale kazał pan zrobić przelew?

TARIGHIAN: Zwariowałeś?

PODWŁADNY: Wpływy Cieni zmienią wszystko.

TARIGHIAN: Zachowują się, jakby byli na Zachodzie. Bezbożna banda. Zdroka obchodzą wyłącznie pieniądze. Uderzę tam, gdzie zaboli najbardziej i na tym nie poprzestaną.

PODWŁADNY: Niech ja to wszystko zrozumiem. Ktoś zaatakował fabrykę pieluch...

TARIGHIAN: Do rozłamu doszło już wcześniej. Teraz się tylko poszerzył.

PODWŁADNY: Jakiś Arab...

TARIGHIAN: Posłałem go... (zniekształcenia) i rozrzucił wszędzie ulotki Tirmy.

Tu nagranie się urwało. Carly spojrzała na Lamberta unosząc w górę brwi.

-No i?

Lambert uśmiechnął się.

- Myślę, że się uda. Wyślij ten plik Samowi.

Otrzymuję od Carly obrobiony plik z rozmową Tarighiana z jednym z jego towarzyszy. Naprawdę jest świetna. Carly wysłała mi również drugi plik, z angielskim przekładem. Ludzie w Wydziale Trzecim rzeczywiście znajdują się na swojej robocie. Okropnie trudno podrobić dialog rozmowę nie znając języka, ale Carly St. John jest genialna. No i podoba mi się. Jest niewysoka i ma bardzo cięty język. Ale jakoś nigdy nie próbowałem się do niej przystawiać. Znając moje doświadczenia z kobietami pewnie doszłicie do wniosku, że ktoś z tej samej agencji byłby dla mnie odpowiedni. Przynajmniej rozumiałaby na czym polega moja praca, a ja nie wystawiałbym jej na niebezpieczeństwo tylko dlatego, że mnie zna.

Muszę to jeszcze przemyśleć.

Na razie jednak powinienem wysłać Andriejowi Zdrokowi mój mały prezent. Z zaskoczeniem odkrywam w Baku sklep z bajglami, dokładnie na przeciwko wejścia do banku. Jest to równie dobre miejsce jak każde inne, by kontynuować obserwację. Siadam przy stoliku w kącie, zamawiam śniadanie i czytam gazetę, zasłaniając się nią, gdy wyglądam na ulicę. Właściciele nie mają nic przeciwko temu, że guzdrzę się przy kawie. W końcu, kilka minut po dziesiątej rano, widzę jak Zdrok wysiada z Mercedesa przed bankiem. Jest jak zwykle doskonale ubrany. Kiedy samochód odjeżdża, Zdrok zamiast wejść do banku obraca się, patrzy w moim kierunku i przechodzi na drugą stronę ulicy, prosto do sklepu z bajglami. Cholera. Niewykluczone, że wie, jak wyglądam. Kamery u Tarighiana na pewno mnie zarejestrowały, kiedy składałem mu oficjalną wizytę. Mógł przesłać Zdrokowi fotki.

Wstaję i idę do łazienki. Zdrok wchodzi do sklepu akurat w momencie, kiedy zamykam za sobą jej drzwi. Staję przy umywalce i myję ręce. Po chwili drzwi się otwierają i wchodzi Zdrok. Widzę, że w ręku trzyma ciastko, które szybko pochłania. Staje obok mnie, wyraźnie czekając aż skończę. Chce skorzystać z umywalki.

Nie patrzę mu w oczy, ale kiwam głową, uśmiecham się i odsuwam na bok. Kiedy zanurza ręce pod kranem, biorę papierowy ręcznik. Czuję, że patrzy na mnie w lustrze - wyraźnie mnie obserwuje. Muszę stąd zmykać i to szybko. Kończę wycierać ręce i ruszam do drzwi.

- Czy ja pana znam? - pyta po rosyjsku.

Zatrzymuję się. Mój rosyjski nie jest doskonały, ale ujdzie w tłoku.

- Słucham? - pytam.

- Czy był pan niedawno w moim banku? - pyta. O co mu może chodzić?

- Nie rozumiem?

- Czy nie widziałem pana ostatnio w banku? Tym po drugiej

stronie ulicy? Był pan tam kilka dni temu, przy informacji.

Uff. A więc o to chodzi.

- Tak, rzeczywiście. Byłem.

Zdrok uśmiecha się.

- Jestem Andriej Zdrok, dyrektor. Jeśli mogę panu w czymś pomóc, proszę dać znać.

Kiwam głową i mówię: - Dziękuję.

Wychodzę szybko, jakbym się poczuł skrępowany. Przechodzę przez sklep z bajglami i wychodzę na ulicę. Skręcam w lewo i ruszam przed siebie zdecydowanym krokiem, mając nadzieję, że Zdrok za mną nie idzie. To mało prawdopodobne, ale nie chcę ryzykować.

Zatrzymuję się przy kiosku z prasą i udaję, że przeglądam dzienniki, nie spuszczać wzroku ze sklepu z bajglami. Po chwili widzę, jak Zdrok wychodzi i przechodzi przez ulicę do banku. Nie patrzy w moją stronę. Zapewne całkiem już zapomniał o naszym spotkaniu. Przynajmniej na to Uczę.

Kiedy wchodzi do środka, porzucam kiosk i wchodzę do starej budki telefonicznej. Takie budki w Ameryce należą już do przeszłości, ale tutaj nadal się je spotyka.

Przytrzymuję słuchawkę ramieniem i uruchamiam OPSAT. Mogę z niego wysłać e-mail w każde miejsce na świecie, o ile mam dostęp do satelity. Przekaz działa najlepiej, kiedy znajduję się na otwartej przestrzeni, choć w niektórych budynkach również nie ma problemu. Tym razem nie zamierzam jednak ryzykować. Chcę, żeby Zdrok dostał tę wiadomość.

Adres mailowy przechowuję w pamięci OPSAT-u, więc bez problemu mogę wysłać mu plik Carly. W treści wiadomości piszę po rosyjsku: „Sądzę, że załączona rozmowa bardzo pana zainteresuje”. Podpisuję się „Przyjaciel” i wysyłam plik jako załącznik.

Wychodzę z budki i idę dwa domy dalej, gdzie zaparkowałem Pazhana. Wsiadam do samochodu, wkładam słuchawkę i nasłuchuję, co się dzieje w gabinecie Zdroka. Początkowo słychać tylko szumy, ale po kilku minutach ktoś wchodzi do biura. Skrzypienie krzesła - zapewne usiadł przy biurku.

Podnosi słuchawkę telefonu i wystukuje numer.

- Iwan, ustal, gdzie jest generał Prokofiew - mówi. - Chcę z nim porozmawiać.

To głos Zdroka. Odkłada słuchawkę. Słyszę, jak coś pisze na klawiaturze komputera. Dobrze. Może sprawdza pocztę. Kilka minut ciszy, po czym rozlega się rozmowa z pliku Carly. Dobiega mnie głośno i wyraźnie z głośników komputera.

TARIGHIAN: Zdrok jest ślepy na wszystko, poza swoim ciasnym światkiem. Jest wściekły, że pierwszy transport broni został zatrzymany w Iraku. Iracka policja aresztowała ludzi. Ahmed i jego zespół próbowali odbić broń, ale się nie udało. Musieliśmy to przełknąć i zapłacić za nowy transport. A Zdrok twierdzi, że nie zapłaciliśmy.

PODWŁADNY: Pewnie sądzi, że chcemy go wysiudać z interesu.

TARIGHIAN: Na pewno.

PODWŁADNY: Ale kazał pan zrobić przelew?

TARIGHIAN: Zwariowałeś?

PODWŁADNY: Wpływy Cieni zmieniają wszystko.

TARIGHIAN: Zachowują się, jakby byli na Zachodzie. Bezbożna banda. Zdroka obchodzą wyłącznie pieniądze. Uderzę tam, gdzie zaboli najbardziej i na tym nie poprzestaną.

PODWŁADNY: Niech ja to wszystko zrozumiem. Ktoś zaatakował fabrykę pieluch...

TARIGHIAN: Do rozłamu doszło już wcześniej. Teraz się tylko poszerzył.

PODWŁADNY: Jakiś Arab...

TARIGHIAN: Posłałem go... (zniekształcenia) i rozrzucił wszędzie ulotki Tirmy.

Chciałbym teraz zobaczyć wyraz twarzy Zdroka. Zapewne szczeka mu opadła. W pokoju znowu zapada cisza. Nie rusza się.

Mam nadzieję, że to nim wstrząsnęło. Po jakiejś minucie ponownie odtwarza plik. Znowu cisza. Odtwarza rozmowę po raz trzeci, a potem podnosi słuchawkę.

- Iwan, czy znalazłeś już generała Prokofiewa? No to się pośpiesz! - Rozłącza się. Słyszę, jak znowu coś pisze. Może wysyła plik do kumpli w Rosji, albo tam gdzie mieszkają.

Po jakiejś minucie dzwoni telefon.

- Tak? - mówi krótko.

Włączam funkcję nagrywania OPSAT-u i słucham uważnie.

- Generale, gdzie pan u Ucha jest? - pyta. - Rozumiem. A gdzie samolot? Tak, nasz samolot, a myślał pan, że czyj? Tak. Rozumiem. Proszę posłuchać, chcę, żeby zrobił pan co następuje. Proszę zarządzić nalot na Akdabar Enterprises w Van w Turcji. Tak, wiem co robię. Mam dowody na to, że

Cienie nas zdradziły. Nie wysłali nam pieniędzy i nie mają zamiaru tego zrobić. I wiem, że to oni odpowiadają za zniszczenie naszego hangaru w Baku. Tak. Wysłałem panu właśnie e-mail, dostał go pan? To proszę sprawdzić, do cholery! Zaczekam.

Kilka chwil ciszy, ale słyszę ciężki oddech Zdroka. Pewnie nieźle skoczyło mu ciśnienie.

- Tak, jestem - mówi. - Dostał pan? To proszę przesłuchać ten plik. Poczekam.

Znów oddech. Kasznięcie.

- Rozumie pan teraz? Nie, nie, chcę, żeby... Nie generale, to nie podlega dyskusji. To jest mój rozkaz. Proszę wysłać samolot do Turcji i niech zrówna to gówno z ziemią. Ma to się stać jeszcze dzisiaj. Tak. Proszę mnie informować. Dziękuję, generale.

Odkłada słuchawkę. Słyszę, jak wstaje i wychodzi z pokoju.

Przerywam nagranie i odtwarzam plik. Jego głos nagrał się czysto, a powiedział w zasadzie wszystkie właściwe rzeczy. Pięknie. Najwyraźniej ludzi Tarighiana czeka dziś piękny pokaz sztucznych ogni. Szkoda, że szefa z nimi nie będzie. Wiem, że jest teraz na Cyprze. Carly dość łatwo ustaliła jego adres mailowy, więc przygotowuję plik i wpisuję tę samą wiadomość po rosyjsku: „Sądzę, że załączona rozmowa bardzo pana zainteresuje”. Znów podpisuję się „Przyjaciel” i wysyłam plik do Tarighiana.

Kiedy odjeżdżam z placu z fontannami i kieruję się do hotelu, w moim uchu odzywa się głos Lamberta.

- Sam? Jesteś?

Naciskam implant na szyi i odpowiadam: - Tak, pułkowniku.

- Twoja misja w Azerbejdżanie dobiegła końca. Dowody jakie zebrałeś wystarczą nam do zajęcia się Sklepem. Dobierzemy się do Banku Szwajcarsko-Rosyjskiego w Baku i w Zurychu. Podejmiemy również kroki przeciw Tarighianowi. Dobra robota.

Opowiadam Lambertowi o rozmowie Zdroka, którą właśnie nagrałem.

- Zamierza zniszczyć zakład Tarighiana w Turcji i to bardzo niedługo - mówię. - Może zechce pan zaalarmować tureckie lotnictwo? Jeśli namierzą niewielki samolot zdolny przenosić bomby, może nam się uda upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Niech Sklep zniszczy zakład Tarighiana, a potem niech Turcy zestrzelą ich samolot.

- Świetny pomysł, pomyślimy nad nim. A teraz posłuchaj. Musisz pojechać na Cypr. Chcemy wiedzieć dokładnie co szykuje Tarighian. Wiemy tylko, że zbudował centrum handlowe na północy wyspy, ale jesteśmy pewni, że coś tam ukrywa.

- Zgadzą się z panem.

- Idź do naszej ambasady w Baku, mieści się przy ulicy Azadlik. Nasz człowiek nazywa się George Tootelian i załatwi ci transport. Polecisz najpierw do Tel-Awiv, a stamtąd złapiesz samolot na Cypr. Tootelian już na ciebie czeka. Odezwę się, jak będziesz w Tel-Awivie. Miłej podróży.

- Dziękuję, pułkowniku.

Wyłącza się, a ja docieram do hotelu. Powiniennem się wymeldować i ruszać zaraz do ambasady, ale jestem głodny i chcę najpierw coś zjeść. Znając operatywność naszych placówek za granicą, wsadzą mnie bez chwili zwłoki do samolotu, nie troszcząc się o potrzeby mojego żołądka.

OPSAT sygnalizuje przyjęcie wiadomości. Sprawdzam, co przyszło. Wiadomość jest zaszyfrowana, więc to na pewno... Chryste, to od Sary! Pierwszy raz użyła specjalnego numeru, żeby się ze mną skontaktować!

Ale kiedy na ekraniku pojawiają słowa przekazu, serce zamiera mi w piersi. Czuję jak rośnie we mnie przerażenie, które lada chwila zamieni się w panikę. Mam ochotę zerwać OPSAT z nadgarstka i utopić go w Morzu Kaspijskim. Mam ochotę krzyczeć i przeklinać Boga, że do tego dopuścił.

Wiadomość brzmi:

MAMY TWOJĄ CÓRKĘ. MASZ 72 GODZINY NA PRZYJAZD DO JEROZOLIMY.

Dalej wiadomość każe mi, kiedy już dotrę na miejsce, zadzwonić pod pewien numer i kończy się słowami:

ŻADNYCH SZTUCZEK JEŚLI CHCESZ ZOBACZYĆ JĄ ŻYWĄ.

Podstawową zaletą posiadania w strukturach administracyjnych jednego z ważniejszych rosyjskich generałów było dla Sklepu to, że mógł im nie tylko dostarczać sprzęt wojskowy, ale również zlecać jego modyfikację. Kiedy Andriej Zdrok otrzymał prototyp niewidzialnego myśliwca Su-47, samolot nadal znajdował się w tej fazie konstrukcyjnej, kiedy możliwe jest jeszcze dokonywanie poprawek w projekcie. Według założeń miał przenosić pociski powietrze-powietrze, na przykład R-73 (AA-11 Archer) czy R-77 (AA-12 Adder), Zdrok uznał jednak, że dla celów Sklepu bardziej użyteczne będą pociski powietrze-ziemia i poprosił generała Prokofiewa o dokonanie w Su-47 odpowiednich zmian, umożliwiających przewożenie i odpalanie pocisków taktycznych tego typu.

Sowieci pozostawali znacznie w tyle za Stanami Zjednoczonymi w dziedzinie technologii pocisków typu powietrze-ziemia. Pierwszy taki pocisk, naprowadzany radarem, opracowano pod koniec lat sześćdziesiątych. Nazywał się Kh-66 Grom, zasilalo go paliwo stałe, w wyglądzie podobny był do U. S. Bullpup-A. W latach osiemdziesiątych opracowano modułową serię Kh-25, która pozwalała na zamontowanie w warunkach polowych różnego typu głowic naprowadzających, w tym systemów radiowych i laserowych. Seria Kh-25 została później zastąpiona przez większe pociski Kh-29, znów na paliwo stałe. Opracowało je biuro projektowe Mołnia i noszą oznaczenie kodowe NATO AS-14 Kedge. Kh-29 przystosowano do przewożenia przez samoloty taktyczne średniego zasięgu, na przykład MiG-27, Su-17 czy MiG-29. Ich zadaniem jest niszczenie trudnych do penetracji celów: mają wzmocnioną część przednią, a głowica bojowa stanowi niemal połowę masy całego pocisku. Dziś produkuje się je w trzech rodzajach - Kh-29L naprowadzany laserem, Kh-29T sterowany telewizyjnie oraz Kd29D naprowadzany termicznie, pocisk typu „odpal i zapomnij”. Wszystkie trzy wersje eksportowane są za granicę w znacznych ilościach i można je spotkać praktycznie wszędzie na świecie.

Zdaniem generała Prokofiewa, niewidzialny samolot Sklepu najłatwiej było przystosować do przewożenia z półaktywną laserową głowicą naprowadzającą 24N1. Ten ważący mniej więcej 657 kilogramów pocisk ma zasięg minimalny rzędu 1000 metrów, zaś maksymalny - 8000 metrów. A ponieważ rozwija prędkość 3000 metrów na sekundę, jest szybki i zabójczy.

Sklep utrzymywał trzy ukryte hangary dla Su-47 - pierwszy, obecnie zniszczony, w Baku, drugi na południe od Moskwy w małej wiosce Wołowo, a trzeci na południe od Kijowa w równie niewielkiej osadzie o nazwie Obukłow. Kiedy nadeszły rozkazy ataku na Akdabar Enterprises niewidzialny myśliwiec znajdował się w tej ostatniej bazie. Pilot Sklepu, Dimitrij Mazur, praktycznie nie rozstawał się z samolotem - miał mieszkania w okolicach wszystkich trzech hangarów, dlatego zawsze był na miejscu, gdy samolot otrzymywał rozkaz wylotu. A po zakończeniu akcji czuwał przy maszynie aż do nadejścia nowych poleceń.

Trzy godziny po wydaniu przez Zdroka rozkazu ataku na Cienie, Mazur wystartował i wzniósł się na wysokość 3000 metrów, na której zamierzał pozostać póki nie oddali się dostatecznie od Kijowa. Po dziesięciu minutach samolot wspiął się na pułap 9000 metrów i skierował ku południowo-wschodniej Turcji. Podczas lotu Mazur utrzymywał wprawdzie łączność z kontrolą w Obukłowie,

ale w zasadzie działał zupełnie samodzielnie, według planu, który opracował przed startem. Sam pełnił również funkcję nawigatora. W przypadku kłopotów miał obowiązek zniszczyć samolot uruchamiając mechanizm samozniszczenia. Prokofiew nakazał rozmieścić w maszynie specjalne ładunki wybuchowe - nie mógł sobie pozwolić na ryzyko, że Su-47 zostanie przejęty przez siły zbrojne Rosji. Mazur wiedział doskonale, że w takim przypadku będzie się musiał katapultować, nie wiedział natomiast, że Prokofiew kazał zablokować system ratunkowy pilota i że spotka go ten sam los co samolot. Takie posunięcie miało chronić Sklep i nie dopuścić do powstania jakichkolwiek podejrzeń. Nawet jeśli szczątki samolotu zostaną odnalezione, uzna się je za jeszcze jeden skutek biurokratycznego bałaganu, jaki zapanował po rozpadzie Związku Sowieckiego.

Na szczęście jak dotąd Su-47 sprawował się wspaniale. Większość jego misji polegała na realizacji niewielkich dostaw broni i jak dotąd tylko raz użyto go do ataku. Zrównał wówczas z ziemią siedzibę i magazyny broni konkurencji Sklepu, która odmówiła współpracy.

Mazur był zdania, że dzienny lot nie jest rozsądnym posunięciem, ale nie miał powodów, by kwestionować rozkazy. Poza tym tęsknił za wykorzystaniem możliwości samolotu. Uwielbiał to szarpnięcie, jakie towarzyszy odpaleniu pocisków i znajdował przyjemność w odgłosach eksplozji. W głębi duszy marzył o odpaleniu broni jądrowej. Samolot potrafił nadlecieć nad cel, wystrzelić pociski i odlecieć niezauważony. Sklep nie zdobył jeszcze głowic nuklearnych, ale Kh-29 same w sobie były straszliwą bronią. Według założeń projektu Su-47 może przewozić czternaście pocisków powietrze-powietrze, jednak po modyfikacji jego pojemność skurczyła się do dziesięciu pocisków powietrze-ziemia. Tyle wystarczałoby zmieścić z powierzchni niewielkie miasto.

Kiedy samolot wleciał w przestrzeń powietrzną Turcji, Mazur skontaktował się z kontrolą w Obukłowie i poinformował, że za pół godziny cel znajdzie się w jego zasięgu. Turcy starannie patrolowali przestrzeń powietrzną wschodniej części kraju przede wszystkim ze względu na bliskość Iraku i zagrożenie ze strony PKK. Niewidzialny myśliwiec jest niewidoczny dla radaru, ale nie dla ludzkiego oka, dlatego Mazur musiał zachować niezwykłą czujność i schodzić z drogi innym samolotom. Istnieją dwa sposoby osiągnięcia takiej niewidzialności - maszyna może mieć taki kształt, że odbijane przez nią fale nie zostaną zarejestrowane przez odbiornik radaru, albo może zostać pokryta materiałem, który pochłania wiązkę radarową. Większość konwencjonalnych samolotów ma, ze względu na zalety aerodynamiczne, zaokrąglone kształty, które powodują bardzo znaczne odbicia fal radarowych - niezależnie od tego, gdzie padnie promień radaru, część sygnału zawsze zostanie odbita. Natomiast niewidzialny samolot składa się z całkowicie płaskich powierzchni i bardzo ostrych kątów. Kiedy promień radaru pada na taki kształt, odbija się pod kątem, a ponadto powłoka może dodatkowo absorbować fale. W efekcie niewidzialny myśliwiec wygląda na ekranie radaru jak niewielki ptak, a nie jak samolot. Jedynym wyjątkiem jest moment, kiedy maszyna kładzie się na skrzydło: często zdarza się wtedy taka chwila, gdy jedna z powierzchni samolotu odbija promień radarowy prosto do odbiornika.

Podchodząc do Van Mazur zszedł najpierw na 6000 metrów, a w końcu na 3000. Skierował samolot nad jezioro i obniżył pułap jeszcze o 1500 metrów. Był teraz doskonale widoczny z ziemi, ale zamierzał odpalić pociski i uciec nim ktoś będzie miał czas zareagować.

Su-47 przeleciał nisko nad Akdabar Enterprises. Mazur rozróżnił stalownię z wysokimi kominami, lotnisko oraz liczne mniejsze budynki, wyglądające z tej wysokości jak owady. Wycelował w wielki budynek i odpalił dwa pociski Kh-29, jeden za drugim. Odrzut w kabinie pilota był bardzo silny. Pociski trafiły w cel - jak mogłby spudłować? - a samolot poderwał się w górę nad miejscem eksplozji.

Położył maszynę na skrzydło i zatoczył krąg, podchodząc do kolejnego ataku. Tym razem wycelował w budynki administracji na brzegu jeziora, a komputer wyznaczył cel. Bezpośrednie trafienie zmieniło biuro Tarighiana w kupę palących się gruzów. Kolejny na liście był budynek Tirmy - Mazur otrzymał specjalny rozkaz, by zniszczyć właśnie ten biały domek zbudowany w stylu kolonialnym. Przeleciał ponownie nad jeziorem, zawrócił i nadleciał na cel od tyłu. Czwarty pocisk uderzył w sam środek siedziby Tirmy.

Widział teraz na ziemi kilkadziesiąt biegnących osób, które gromadziły się na placu w środku kompleksu. Nie miał pojęcia, czy byli to cywile czy żołnierze, ale nic go to nie obchodziło. Odpalił piąty pocisk prosto w dziedziniec, redukując fundusz płac Akdabaru o co najmniej czterdzieści procent.

Szósty pocisk trafił w tę część stalowni, która jeszcze nie stała w płomieniach. Cały zakład został praktycznie zrównany z ziemią i zmienił się w wielką kupę poczerńałego metalu. Mazur wystrzelił siódmy pocisk w rząd niewielkich szop, wznecając pożar, który objął również porośniętą trawą, puste obszary kompleksu. Ósmy pocisk trafił w bramę główną i punkt kontroli, gdzie kilku strażników próbowało żałośnie strzelać do samolotu z pistoletów.

Pilot uznał, że wykonał swoje zadanie. Zostały mu wprawdzie jeszcze dwa pociski, ale cały kompleks zasłaniał teraz czarny dym i nie mógł rozróżnić kolejnych celów. Skontaktował się z bazą i powiadomił o zakończeniu misji.

Nim zdołał zawrócić i skierować się na północ, czujnik promieniowania radarowego zaczął emitować sygnał ostrzegawczy - w powietrzu oprócz niego znajdował się ktoś jeszcze. Na ekranie zobaczył cztery samoloty, nadlatujące z zachodu.

Co jest, do cholery?

Znów zawrócił nad jeziorem, by sprawdzić, kogo ma się spodziewać.

Prosto na niego leciały myśliwce F-16C należące do tureckich sił zbrojnych - Taktik Hava Kuweti Komutabligi. Punkt dowodzenia w Dżarbakir otrzymał wiadomość, że obcy samolot o wrogich zamiarach naruszy turecką przestrzeń powietrzną w okolicach Van. Niestety baza wojskowa na górze Ararat miała do dyspozycji jedynie helikoptery, dlatego trzeba było wezwać myśliwce z dalej położonej bazy. Spóźniły się zaledwie o kilka minut - ale zdążyły na czas, by powstrzymać ucieczkę wroga.

Mazur wciągnął głęboko powietrze i poderwał maszynę, chcąc się wymknąć. Wzniósł się wysoko i

ruszył jak strzała na północ, ale myśliwce nadal siedziały mu na ogonie. Nie był przygotowany na taką sytuację. Po raz pierwszy w życiu poczuł strach.

Równocześnie zabręczały dwa alarmy. Myśliwce wystrzeliły parę pocisków AIM-9X Sidewinder.

Unik! Unik! Mazur z całych sił starał się zachować spokój i przypomnieć sobie odpowiednie procedury, ale dźwięk alarmów był zbyt donośny. Nie mógł się skupić i zaczęła go ogarniać panika. Rzucił samolot w lot nurkowy, żeby wymanewrować pociski i utopić je w jeziorze. Su-47 zszedł niebezpiecznie nisko, może na 300 metrów nad powierzchnię wody, nim pilot podciągnął i wyrównał. Sidewindery próbowały skorygować trajektorię, ale im się nie udało. Uderzyły w jezioro jak meteory, wybuchając równocześnie. W niebo wystrzeliły dwa wielkie gejzery wody, ale nie uczyniły krzywdy myśliwcom wroga.

Mazur jeszcze raz obniżył pułap. Teraz musiał tylko prześcignąć tamte samoloty. Jednak nim zdołał zwiększyć moc i wystrzelić do przodu, ponownie rozległy się alarmy - powietrze pruły dwa kolejne AIM-9X. Wykonał gwałtowny skręt i zdołał uniknąć jednego pocisku, ale znalazł się w ten sposób dokładnie na kursie drugiego.

Na nieszczęście dla Mazura Su-47 był prototypem, w którym nie dopracowano jeszcze technologii ograniczania emisji ciepła - niewidzialny samolot wyposażony w taką funkcję mógłby oszukać pocisk naprowadzany na podczerwień. Ale nowe AIM-9X, będące rozwinięciem możliwości swego poprzednika, AIM-9, posiadają nowoczesny układ naprowadzania podczerwienią i korpus o zmiennej geometrii, która pozwalała na niesłychanie ciasne skręty. Su-47 w zasadzie nie miał szans.

Uderzenie szarpnęło porządnie Mazurem, a odgłos eksplozji rozległ się głęboko w jego uchu wewnętrznym. Poczuł, że samolot zaczyna spadać, a niebo za szybą nabrało dziwnie zamglonego wyglądu. Odezwały się liczne alarmy, a wszędzie wokół pilota rozbłysły kontrolki informujące, że samolot w zasadzie przestał istnieć.

Katapultować się! Musi się katapultować! Mazur na oślep sięgnął do panelu, odblokował przełącznik układu i wcisnął przycisk katapulty.

Nie się nie stało.

Walczył z mechanizmem, klnąc i płacząc. Czyżby usterka? No bo chyba nie... sabotaż?

Mazur nie wiedział, że do spadającego bezwładnie prosto w jezioro Van samolotu odpalono jeszcze jeden pocisk Sidewinder. W gigantycznej eksplozji Su-47 i jego pilot zmienili się w setki tysięcy płonących szczątków, które opadły powoli na powierzchnię wody.

Tarighiana nie było w biurze przez ostatnie trzy godziny, gdyż nadzorował ostatnie poprawki w Feniksie. Albert Mertens przetestował tego ranka system celowniczy i stwierdził, że odchylenie od celu wynosi pięćstopni. Tak wielkiej wartości nie można było zaakceptować, ale uczone zarzekał

się, że zdoła skorygować usterkę w ciągu kilku godzin. Kiedy Tarighian wrócił do biura, gdzie mógł się martwić i kląć w samotności, postanowił spróbować się odprężyć. Cały ten tydzień przyniósł mu wiele stresów. Miał złe przeczucia w sprawie Mertensa, choć wcale nie uśmiechało mu się rychłe spełnienie swej groźby. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie wyeliminować fizyka dopiero wówczas, kiedy Feniks wykona swoje zadanie.

Usiadł przy biurku i spojrzął na ekran komputera. Ikonka na pasku wskazywała, że ma od wczoraj wiele nieprzeczytanych e-maili. Sprawdził skrzynkę i stwierdził, że pochodzą głównie od szefów Komitetów Cieni. Poza nimi niewiele osób znało jego adres mailowy.

Jednakże jedna wiadomość wyróżniała się z tej grupy - jej adresatem był „Przyjaciel”. Tarighian otworzył e-mail, spodziewając się reklamowego spamu na temat powiększenia penisa, albo oferty prochów normalnie dostępnych tylko na receptę, ale treść wiadomości natychmiast oderwała jego myśli od Feniksa. Rozmowa, która może go „zainteresować”? O co tu chodzi? Otworzył załączony plik i przesłuchał nagranie. Natychmiast rozpoznał głos Z dr oka.

„Generale, gdzie pan u licha jest? Rozumiem. A gdzie samolot? Tak, nasz samolot, a myślał pan, że czyj? Tak. Rozumiem. Proszę posłuchać, chcę, żeby zrobił pan co następuje. Proszę zarządzić atak powietrzny na Akdabar Enterprises w Van w Turcji. Tak, wiem co robię. Mam dowody na to, że Cienie nas zdradziły. Nie wysłali nam pieniędzy i nie mają zamiaru tego zrobić. I wiem, że to oni odpowiadają za zniszczenie naszego hangaru w Baku. Tak. Wysłałem panu właśnie e-mail, dostał go pan? To proszę sprawdzić, do cholery! Zaczekam”.

Tu następowała pauza, po której głos ciągnął dalej: „Tak, jestem. Dostał pan? To proszę przesłuchać ten plik. Poczekam”. Kolejna pauza i kasznięcie. „Rozumie pan teraz? Nie, nie, chcę, żeby... Nie generale, to nie podlega dyskusji. To jest mój rozkaz. Proszę wysłać samolot do Turcji i niech zrówna to gówno z ziemią. Ma to się stać jeszcze dzisiaj. Tak. Proszę mnie informować. Dziękuję, generale”.

Tarighian poczuł jak krew się w nim gotuje. Żeby upewnić się, że nie śni, przesłuchał plik jeszcze raz.

Jakby na dany znak, zadzwonił telefon. Odebrał. Nie był w stanie zapanować nad drzeniem głosu.

- Słucham.

- To ja - mówił Nadir Omar, szef Komitetu Wojskowego.

- Cieszę się że dzwonisz. Właśnie usłyszałem najdziwniejszą...

- Czy pan siedzi? - zwykle Omar nie przerywał Tarighianowi.

- Tak.

- Akdabar Enterprises zostało zniszczone.

Słowa Omara były jeszcze gorsze niż nagrana rozmowa. Tarighian poczuł jak krew ucieka mu z głowy.

- Jest pan tam? - spytał Omar. Tarighian odchrząknął. -Tak.

- Czy pan słyszał, co powiedziałem?

- Tak, ja... Wiem o tym. Właśnie o tym usłyszałem.

- Nie wiemy kto to zrobił. Ani dlaczego. Ale tureckie lotnictwo...

- To był Sklep, Nadir. Mam dowód. -Co?

- Sklep. To oni to zrobili.

- Nie. Nie wierzę.

Tarighian utworzył nowy e-mail, zaadresował go do Omara, załączył plik z nagraniem i kliknął „Wyślij”.

- Posłałem panu e-mail. Proszę przesłuchać załącznik. Potem proszę go przesłać do reszty komitetów. Ja... muszę się teraz rozłączyć. Muszę na chwilę zostać sam.

- Co teraz zrobimy?

- Porozmawiamy później. - Tarighian odłożył słuchawkę, po czym zastygł nieruchomo w fotelu.

Dwadzieścia lat jego życia zniknęło właśnie w kłębach dymu. Życie jego pracowników - ilu zginęło? Za wcześnie na takie informacje. Miliony milionów dolarów w sprzęcie i produkcji - wszystko szlag trafił w jednej chwili.

Zacisnął pięści i zaklął cicho.

To Sklep mu to zrobił. Zdrok zrealizował swoje groźby. Ten brudny Rosjanin zaczął wojnę ze swym najbardziej niebezpiecznym klientem. Cienie każą mu za to zapłacić. Na Allacha i przyszłość islamu, Cienie mu za to odpłacą.

Przez chwilę był gotów wykorzystać Feniksa do tej zemsty, problem polegał jednak na tym, że nie miał pojęcia, gdzie uderzyć. Sklep miał wiele baz - wiedział oczywiście o tej w Baku i o tym, że Zdrok ma bank w Zurychu. Ale w jaki sposób zniszczyć Sklep tak wielką bronią? Zupełnie jakby do zgniecenia mrówki chciał użyć pneumatycznego młota. Musi wymyślić coś innego.

Weź się w garść! Myśl racjonalnie!

Tarighian wiedział, że ma przed sobą zadanie. Musi się na nim skupić. Zostać na kursie. Wypełnić wcześniej zaplanowaną misję, a potem odpłacić Sklepowi. Bez względu na rozmiary zdrady kontrahenta, głównym wrogiem Cieni pozostawał Zachód. Marionetkowy Irak i stojące za nim Stany muszą upaść. Sklep może poczekać. To tylko płatki. Nie poświęci na nich Feniksa.

Był jednak jeden problem. Rząd turecki będzie się dziwił, czemu zniszczono Akdabar Enterprises. Zacznie badać motywy tego ataku i przyglądać się bardziej wnikliwie przeszłości Namika Basarana. Może odkryć jego prawdziwą tożsamość, a wtedy agencje wywiadowcze na całym świecie ruszą tropem Basarana alias Tari-ghiana i w końcu wyśledzą go tutaj, na Północnym Cyprze.

Na Allacha, musi się więc pospieszyć, bo agenci Narodów Zjednoczonych mogą się tu zjawić lada chwila.

Połączył się przez interkom z Mertensem.

- Feniks musi się odrodzić z popiołów najpóźniej za dwanaście godzin, a jeśli to możliwe - szybciej - powiedział, kiedy fizyk odebrał połączenie. - W przeciwnym razie stanie pan przed plutonem egzekucyjnym.

31.

Podpułkownik Lambert otarł pot z czoła i ruszył z centrali operacyjnej do sali posiedzeń, gdzie zebrał się jego zespół. Podobnie jak wszyscy inni pracownicy biur Wydziału Trzeciego w Waszyngtonie, był na nogach całą noc. W ciągu ostatnich dwóch dni nikt nie spał. Czasami tak się składało.

Przez godzinę rozmawiał przez telefon z sekretarzem obrony, który koordynował atak na niewidzialny samolot w Turcji. To, że myśliwce tureckie spóźniły się o kilka minut i nie zapobiegły zniszczeniu Akdabar Enterprises spowodowało polityczne zadrażnienie, które usunie dopiero potwierdzenie rewelacji o Nami-ku Basaranie. Na razie rząd turecki wykazywał zrozumiałą sceptycyzm wobec informacji ABN, a ponadto zażądał, by Stany zaangażowały się we wszystkie przyszłe akcje przeciw Basaranowi, jeśli naprawdę jest on Nasirem Tarighianem, sponsorem terrorystów. Rozwiązanie tego sporu będzie wymagać czasu.

Lambert był jednak przekonany, że Tarighian przygotowuje na Cyprze jakąś niezwykłą broń. Nie wiedział, co to jest, ale sama obecność Alberta Mertensa, fizyka, który był niegdyś prawą ręką Gerarda Bulla, kazała podejrzewać, że jest to broń masowej zagłady.

Chwilowo Wydział Trzeci musiał działać sam.

Kiedy wchodził do sali posiedzeń, spojrzął na zegarek. Skoro w Waszyngtonie był wczesny ranek, dla Fishera jest teraz późne popołudnie. Powinien dotrzeć do bazy Dhekelia w Republice Cypru - na południu wyspy - mniej więcej o tej porze. Lambert wiedział, że nie powinien dopuścić, by jego uczucia wpływały na decyzje służbowe, ale po prostu nie był w stanie przestać się martwić o swego najlepszego Kolekcjonera. Ponieważ zespół w Waszyngtonie monitorował wszystkie przychodzące i wychodzące wiadomości Fishera, dowiedzieli się o położeniu Sary Burns równocześnie z Samem. Lambert rozważał nawet możliwość wycofania Fishera z akcji. Rozmawiał z nim i zapewnił, że dołożą wszelkich starań, by zlokalizować Sarę, zaznaczył jednak, że Sam ma do wykonania ważne zadanie. Jednak Fisher zachowywał się zupełnie irracjonalnie, upierał się, że musi zostać w Izraelu i szukać córki, aż Lambert musiał mu wydać rozkaz wykonania misji. Tari-ghian znajduje się w rozpaczliwym położeniu i może w każdej chwili użyć znajdującej się w jego posiadaniu broni. Fisher niechętnie posłuchał, ale być może stało się to kosztem łączącej go z Lambertem przyjaźni.

- Dzień dobry, szefie - powiedział Carl Bruford.

- Witam wszystkich - odparł Lambert. Oprócz Bruforda zespół składał się z Carly St. John, analityka Mike'a Chana i Chipa Drig-gersa, który piastował wszechstronne stanowisko koordynatora logistyki. Mikę Chan był mniej więcej w tym samym wieku co Bruford i specjalizował się w kryptografii. Driggers przekroczył już czterdziestkę, a kiedyś służył z Lambertem, który zwerbował go ze względu na jego niesamowite oko do szczegółów.

Pułkownik usiadł i spojrzął na Bruforda.

- Co mamy? - zapytał.

Bruford odchrząknął.

- Nasz człowiek w Chicago poszedł do mieszkania Sary Burns w Evanston - powiedział. - To na Forest Street, niedaleko uniwersytetu. Skłonił dozorcę, żeby go wpuścił i przede wszystkim

sprawdził jej komputer. Znalazł kilka e-maili do i od niejakiego Eli Horowitza, który mieszka w Jerozolimie. Na ich podstawie zakładamy, że to jej chłopak - były, albo aktualny. Nie wiemy na pewno. W każdym razie planowali spotkanie w Jerozolimie. Wiemy, że Sara wyjechała do Izraela razem z przyjaciółką, Rywką Cohen. Rodzice Rywki nie widzieli Sary od... od zeszłego czwartku.

Wszyscy zebrani doskonale wiedzieli jaki los spotkał przyjaciółkę Sary.

- Proszę mówić dalej - poprosił Lambert.

- No więc zaczęliśmy szukać tego Horowitza. Ma dwadzieścia trzy lata i jest obywatelem Izraela. Uczył się na uniwersytecie Northwestern w zeszłym roku i zapewne wtedy poznał Sarę. Studiował muzykę, ale stopnie miał do kitu. Wydział imigracyjny zaczął się nim interesować wiosną zeszłego roku, ponieważ jego wiza studencka straciła ważność... no i proszę posłuchać, Horowitz znajduje się na liście osób podejrzanych o sprzyjanie ruchom fundamentalnym Departamentu Spraw Wewnętrznych.

- O w mordę - stwierdził Lambert.

- No więc, w obliczu tych dwóch faktów - wygaśnięcia wizen i ujęcia jego nazwiska na tej liście - został natychmiast wydany ze Stanów.

- Znamy jakieś jego powiązania? - spytał pułkownik.

- Dzielił pokój na uniwersytecie Northwestern z niejakim No-elem Brooksem. Brooks również jest obywatelem izraelskim i został deportowany razem z Horowitzem. Nie było go na liście potencjalnych terrorystów, ale jego wiza również wygasła. O innych znajomych nie mamy informacji.

- Czy w tych e-mailach jest jakaś wzmianka, gdzie ten facet mieszka?

- Nie. Wiemy tylko, że w Jerozolimie i że zamierza pokazywać Sarze widoki, jak już się spotkają. Sądzę, że była z nim blisko. Niektóre z tych e-maili... hm... pozwalają na snucie pewnych przypuszczeń.

Lambert westchnął.

- W porządku, przynajmniej mamy jakiś punkt zaczepienia. Zaczniemy badać ruchy Horowitza po deportacji ze Stanów. Musimy ustalić, gdzie mieszka obecnie i zwrócić się do izraelskiej policji z

prośbą, żeby wezwali go na przesłuchanie. Czy może powinniśmy się raczej zwrócić do ich sił bezpieczeństwa?

- Zajmę się tym.

- To nasz jedyny trop. - Lambert rzucił okiem na Chipa Drigger-sa i spytał: - Miałeś wieści od Fishera?

- Nie od czasu, jak opuścił Tel-Aviv. Oczekujemy go na Cyprze praktycznie w każdej chwili - odparł Driggers. - Załatwiłem z brytyjskim garnizonom, żeby dostarczyli mu sprzęt do nurkowania i w ogóle wszystko, czego będzie potrzebował. Nie powinno z tym być problemu.

- A co u naszych przyjaciół w Zurychu i Baku?

- Powiadomiliśmy władze Azerbejdżanu i Szwajcarii oraz Interpol i FBI. Właśnie teraz miejscowe siły bezpieczeństwa przygotowują swoje akcje. Będziemy wiedzieć coś więcej w porze lunchu. Obawiam się jednak, że zniszczenie niewidzialnego samolotu Sklepu przez tureckie lotnictwo ostrzegło ich, że jest już po sprawie i pewnie zdążyli się ulotnić.

- Tak, wiem, że istnieje takie ryzyko - zgodził się Lambert. - Mam nadzieję, że Azerowie i Szwajcarzy rozumieją powagę sytuacji i wiedzą z kim mają do czynienia.

- Tak mi się wydaje, pułkowniku.

Lambert pokiwał głową, a potem spojrzał na Carly.

- A pani co dla mnie ma? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Próbuję się czegoś dowiedzieć o tym centrum handlowym na Cyprze. Szukam najlepszej drogi z Framagusty i miejsca, w którym mógłby wylądować Sam, takie rzeczy. Chcę mieć wszystko gotowe nim wyruszy do akcji, czyli pewnie za jakąś godzinę lub dwie.

- Świetnie. A teraz wszystkich nas czeka robota, więc zabierajmy się do niej.

- Panie pułkowniku?

- Tak, Carly?

- A co z Turkami? Nasz rząd nie zdołał ich przekonać, że Na-mik Basaran to w istocie Nasir Tarighian?

- Nie. Właśnie dlatego nie możemy się zwrócić o pomoc do policji północnego Cypru. Gdyby się

dowiedzieli, że zamierzamy napaskudzić w ich nowym centrum handlowym, pewnie zaczęliby walczyć po stronie Basarana nawet znając prawdę o nim. Obawiam się, że sekretarz obrony - i prezydent - wykluczyli możliwość poinformowania Turków o naszych zamiarach. Nie są szczęśliwi z powodu tego, co zaszło w Akdabar Enterprises w Van. Teraz dochodzę do wniosku, że nie był to nasz najlepszy pomysł.

- Do diabła, dorwaliśmy przecież niewidzialny samolot Sklepu - stwierdził Bruford. - To już coś.

- Ma pan rację, ale Turcy uważają teraz Tarighiana - czy raczej Basarana - za ofiarę. Jeden z ich najbardziej szanowanych biznesmenów i filantropów został bez powodu zaatakowany przez rosyjską organizację terrorystyczną. Tak właśnie postrzegają całą sprawę.

- Spróbuję przygotować przekonującą prezentację, którą będziemy mogli im przekazać - obiecała Carly.

- Tak, to może pomóc. Dzięki Carly.

Na tym spotkanie dobiegło końca. Lambert wrócił do swego biura, spojrzął na wielką elektroniczną mapę na ścianie i przyjrzał się świecącym na czerwono punktom zapalnym - okolice Framagusty na Cyprze, Jerozolima, Baku i Zurych.

Miał nadzieję, że w ciągu najbliższej doby uda mu się obniżyć stopień zagrożenia w tych miejscach.

Andriej Zdrok już od lat tak ciężko nie pracował.

Zaniósł do samochodu pudło pełne dokumentów, załadował je do bagażnika Mercedesa i wrócił do środka. Wraz ze swym kierowcą, Erykiem, likwidowali biuro już od ponad dwóch godzin. Zdrok nie śmiał poinformować pracowników banku co się dzieje. Kiedy zjawi się tu policja, będą sobie musieli radzić sami. O ile zdoła usunąć ze swego gabinetu wszystkie obciążające dowody, dla pracowników cała sprawa powinna się zakończyć nocą spędzoną w pokoju przesłuchań. A jeśli zostaną aresztowani - cóż, zwykły pech.

Zdrok spojrzął na swego Rolexa i stwierdził, że robi się późno.

- Pospiesz się. Musimy jechać - powiedział, kiedy Eryk mijał go z kolejnym pudłem.

Kierowca kiwnął głową.

- Zostało jeszcze tylko jedno - zawiadomił.

- Zabiorę je - odparł Zdrok. Przeszedł przez salę operacyjną banku i nagle stanął oko w oko ze swym asystentem, Gustawem Gomelskim, który tak naprawdę prowadził ten oddział.

- Andriej, chcę wiedzieć co się dzieje - oznajmił Gomelski. -Dlaczego pan to robi?

- Nie mam czasu na wyjaśnienia. Wkrótce i tak się dowiecie -Zdrok spróbował go wyminąć, ale Gomelski złapał go za ramię.

- Czy mamy kłopoty?

Zdrok zatrzymał się i zmierzył go wzrokiem cicho, ale z wyraźną groźbą szepnął:

- Zabieraj łapy.

Gomelski przełknął ślinę i puścił ramię szefa. Zawsze trochę obawiał się Zdroka, ponieważ wiedział o nim trochę niewiele.

- Przepraszam, chciałem tylko...

- Opuzczam to biuro i zmieniam miejsce pracy - oświadczył Zdrok. - Tylko tyle musisz wiedzieć w tej chwili głę w kontakcie.

Mała na to szansa, dodał w myślach.

- A co ze śledztwem? - spytał Gomelski.

- Jakim śledztwem?

- No tym w związku z włamaniem! Wtedy w noc pański sejf został wysadzony w powietrze, nie pamięta pan?

- A, o to chodzi. - Zdrok praktycznie zapominał o tej kwestii.

- Policja będzie chciała wiedzieć dokąd pan wyjechał śledztwo przecież jeszcze trwa.

- Proszę im powiedzieć, że wyjechałem w interesach

- Nie sądzi pan, że zrobią się podejrzliwi, skoro opróżnił pan biuro? Andriej, stawia nas pan w bardzo niezręcznej sytuacji.

Zdrok stracił panowanie nad sobą. Złapał Gomelskiego za koszulę na piersiach i wykrzyknął mu prosto w twarz: - zamknij się! - Potem puścił go i odepchnął mówiąc: - Radź sobie sam, a ode mnie się odczep.

Minął okienko kasy, wszedł na zaplecze a potem do pomieszczenia, które jeszcze niedawno było jego biurem. Panował tu chaos. Obaj z Erykiem zabrali komputer, dokumenty opróżnili biurko i bezużyteczny sejf. Zabrali nawet telefon. A tak to samo w oddziale w Zurychu,

a Zdrok żałował, że go tam nie ma i nie może sam dopilnować akcji. Wiedzią że Antipow jest dokładny, ale i tak wolałby się sam upewnić, że o niczym nie zapomniano. Żałował, że nie może się rozdziwić.

Ile czasu minie nim zjawi się tu policja? Zdrok był przekonany, że będzie to najpóźniej jutro.

Ci przekłęci terroryści. Te tak zwane Cienie, Nasir Tarighian i jego banda religijnych fanatyków. Dlaczego to akurat oni musieli być najlepszym klientem Sklepu? Narazili na szwank przykrywkę organizacji, a teraz on, Zdrok, musi przez nich zreorganizować swoje struktury pod nieznanym jeszcze szyldem w jakimś innym kraju.

A jaki będzie koszt tej wpadki? Nie miał pojęcia, ale wiedział, że w grę wchodzi miliardy. Strata niewidzialnego myśliwca była wielkim ciosem, ale konieczność zlikwidowania obu oddziałów banku to już zupełna katastrofa. Najgorsza była jednak konieczność porzucenia pałacyku nad jeziorem w Zurychu. Nigdy nie będzie mógł wrócić do domu i zabrać stamtąd osobistych rzeczy. Będzie musiał porzucić rezydencję razem ze wszystkim, co się w niej znajduje. Utopił w tym pałacu pierdolone osiem milionów dolarów i nic nie może stamtąd odzyskać. Chryste, jego samochody! Zupełnie o nich zapomniał. Jego ukochana kolekcja! I jego jacht! Był jednak pewien, że nie zostawił w pałacyku niczego obciążającego. To był po prostu dom ekscentrycznego bankiera o ekskluzywnych upodobaniach.

Zacisnął pięści i potrząsnął nimi w kierunku sufitu. Ktoś mu zapłaci za to wszystko. Przysiągł sobie, tu i teraz, że kiedy odbuduje Sklep w nowym miejscu i przegrupuje siły, wyrze swoją zemstę na ludziach, którzy odpowiadają za tę katastrofę - a dokładniej na Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Nie jestem szczęśliwy.

Choć moja córka jest w niebezpieczeństwie i potrzebuje mnie, ja zajmuję się akcją przeciw szalonemu fanatykowi religijnemu, który finansuje terrorystów i zamierza użyć broni masowej zagłady przeciw nieznanemu celowi. Jestem w brytyjskiej bazie wojskowej na śródziemnomorskiej wyspie i mam przed sobą misję, która nieszczerólnie mi się podoba. Nie będę oszukiwać, jestem rozproszony. Dla mnie priorytetem jest Sara. Dla mojej ojczyzny - powstrzymanie tego szalonego fanatyka. Mam tylko nadzieję, że uda mi się zakończyć misję dla kraju w rekordowym tempie i będę mógł zająć się osobistymi sprawami.

Cypr. To piękny kraj, ale bardzo niespokojny. W 1963 roku, kiedy między Grekami a Turkami cypryjskimi wybuchły zamieszki, jakiś brytyjski oficer namalował na mapie wyspy zieloną linię - nazwa rzecz jasna się przyjęła - na której Narody Zjednoczone próbowały utrzymywać pokój. W 1974 roku grecki rząd dokonał próby przewrotu, na co Turcy odpowiedzieli inwazją i zajęciem terenów po północnej stronie Zielonej Linii. Dzisiaj Narody Zjednoczone uznają tylko grecką Republikę Cypru, a tak zwana Turecka Republika Cypru Północnego uznawana jest tylko przez jedno państwo na świecie - samą Turcję. Taka sytuacja rodzi wiele konfliktów i coraz większą nieufność po obu stronach.

Brytania utrzymuje bazy wojskowe na południu wyspy - Suwerenne Brytyjskie Terytoria Wojskowe zajmują mniej więcej trzy procent powierzchni Cypru. Lotnictwo stacjonuje na zachodzie, w garnizonie Episkopi oraz na lotnisku Akrotiri, ja natomiast znajduję się obecnie we wschodniej części Suwerennych Terytoriów, w bazie Dhekelia. Ponieważ Cypr był niegdyś kolonią korony brytyjskiej, kiedy w 1960 roku powstała Republika Cypru te tereny pozostały pod jurysdykcją Zjednoczonego Królestwa.

Na obecność wojskową w Dhekelii składa się 62. batalion saperów i 16. Dywizjon RAF (wyposażony w helikoptery Gazelle). Jest tu również wiele oddziałów pomocniczych, takich jak pułk logistyczny, batalion medyczny, kompania elektryków i mechaników, samodzielna jednostka żandarmerii oraz wiele innych. Stacjonują one w obu bazach. W Dhekelii, nazywanej czasami „kwaterą wojskową” mieszka łącznie 2000 Brytyjczyków.

Mam wrażenie, że dla Angoli służba tutaj to synekura. Dhekelia leży po północnej stronie wielkiej zatoki Larnaki, jakieś 15 kilometrów na wschód od ważnego ośrodka Larnaka i 20 kilometrów na zachód od Ayia Napy, najlepszego kurortu z muzyką klubową w rejonie Morza Śródziemnego. Kwatera Dhekelia ma pod dostatkiem urządzeń sportowych i rekreacyjnych. Oczywiście przeważają sporty wodne - kiedy przyjechałem tu z transportem wojskowym, widziałem jak na zatoce jacyś zatwardziali narciarze wodni próbowali wykorzystać ostatnie chwile przed zachodem słońca.

Kapitan Peter Martin, bardzo brytyjski oficer nieco po trzydziestce, prowadzi mnie do kantyny, gdzie zostaję nakarmiony pieczonym kurczakiem, tłuczonymi ziemniakami i szparagami. Porządny

zachodni posiłek, a ja umieram przecież z głodu. Siada

i krótko referuje mi swoje rozkazy oraz to, jak planuje je wykonać.

- Mam pana przetransportować łodzią, już po zapadnięciu ciemności - mówi. - Popłyniemy wokół przylądków Pyle i Greko, a potem skierujemy się na północ wzdłuż wybrzeża. Jakies pięć kilometrów dalej zatrzymam się - to będzie pański przystanek. Przepłynie pan pod wodą niecały kilometr do portu we Framaguście, wyjdzie na brzeg i uda się do tego centrum handlowego. Kiedy opuści pan łódź przestaniemy wiedzieć cokolwiek o pana obecności na Cyprze. Musi pan wrócić na własną rękę, najlepiej przekraczając granicę morzem. Podam panu numer mojej komórki. Kiedy dotrze pan na brzeg przyjadę i zabiorę pana. Jeśli nie skontaktuje się pan ze mną, uznam że albo znalazł pan inną drogę opuszczenia wyspy, albo że pan nie żyje. Czy to jasne?

- Jak słońce - odpowiadam.

- Znajdziemy panu jakiś akwalung. Nie możemy niestety użyczyć panu naszego najlepszego sprzętu - potrzebujemy go dla własnych ludzi. To będzie zestaw zapasowy, dość stary, ale zapewniam, że w pełni sprawny. Jeśli uda się panu przywieźć go z powrotem, będziemy bardzo wdzięczni. Jeśli nie, trudno.

- Wielkie dzięki - mówię, przełykając ostatni kęs kurczaka. - Mam tylko nadzieję, że butla będzie pełna.

- Ma pan moje słowo, że tlen będzie doskonałej jakości - odpowiada uśmiechając się.

- Co wiecie o tym centrum handlowym? Bo chyba przeprowadzaliście tam jakiś rekonesans? - pytam.

- Istotnie, i mogę całkiem szczerze powiedzieć, że całość wygląda zupełnie niewinnie. Pracują przy nim od trzech lat, a my ani razu nie zauważyliśmy niczego podejrzanego.

Przyjmuję jego słowa w milczeniu, ale trudno mi uwierzyć, że Tarighian naprawdę buduje centrum handlowe dla Turków cypryjskich, skoro resztę swej energii poświęca na finansowanie Cieni, organizacji, która zabija ludzi innych wyznań.

Po obiedzie kapitan Martin zabiera mnie do wojskowego klubu nurkowego, który jest położony nad przepiękną zatoką Larnaka. Pytam go czy Cypr to dobre miejsce na wakacje, a on zapewnia mnie, że jest pod tym względem bajeczny. Kiedy Grecy i Turcy cypryjscy zachowują się poprawnie, Cypr to prawdziwa rajska wyspa.

- Turecka część jest jeszcze piękniejsza - dodaje. - Ale tam jeżdżą głównie Turcy i ludzie z innych krajów muzułmańskich. Cała reszta jeździ na południe.

Podaje mi butlę, automat oddechowy MK2 Plus, piankę Glide 500, naręczny komputer Smart-Pro,

pletwy Twin Speed, pas obciążeniowy i maskę. Wszystko pasuje jak ulał na mój kombinezon, który pod wodą zapewni mi ciepło. Będę jednak musiał przełożyć plecak na piersi. Martin daje mi również mały napęd nurkowy -przenośne urządzenie, które ciągnie za sobą nurka pod wodą, tak zwane DPD. W ten sposób oszczędzę siły. Jestem gotów do drogi, ale najpierw muszę skontaktować się z Lambertem.

Uruchamiam implant.

- Pułkowniku, jest pan tam?

- Jestem. Dotarłeś już na Cypr?

- Tak jest. Wszystko idzie zgodnie z planem. Traktują mnie tu dobrze.

- Miło mi to słyszeć.

- Co ustaliliście w sprawie Sary?

- Robimy co możemy, żeby ją odszukać. Musisz pozwolić nam się tym zająć. Mamy jeszcze dobre czterdzieści osiem godzin do nawiązania kontaktu w Jerozolimie, a znaleźliśmy już jednego podejrzanego i teraz badamy jego powiązania.

- Kto to jest?

- Sam, jeszcze za wcześnie na...

- Do diabła, pułkowniku, mówimy o mojej córce. - Nie trzeba chyba dodawać, że jestem wkurzony. - Jeśli chce pan, żebym się skupił na akcji a nie myślał o Sarze, lepiej niech mi pan powie wszystko, co pan wie.

- Masz rację, Sam, przepraszam. Miała chłopaka. Co o nim wiesz?

Nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska.

- Gość z Izraela?

- Tak. Nazywa się Eli Horowitz.

- To on. Pamiętam, że Sara o nim wspominała. Co z nim? Czy to on jest podejrzany?

- Planowała się z nim spotkać w Jerozolimie. Sprawdziliśmy go i okazało się, że został deportowany ze Stanów w zeszłym roku, ponieważ wygasła mu wiza studencka. Jak również dlatego, że znajduje się na liście osób podejrzanych o terroryzm.

- Kurwa - przeklinam. I nic mnie nie obchodzi, czy ktoś słucha.

- Próbujemy ustalić, gdzie teraz przebywa. Cały czas nasi ludzie prowadzą poszukiwania w Jerozolimie.

- A co z przyjaciółką Sary? Tą z którą pojechała do Izraela... Jak ona się nazywa? Rywka?

Słyszę, jak Lambert wzdycha. Kiedy to robi wiem, że na pewno nie spodobają mi się jego nowiny.

- Rywka Cohen nie żyje. Znaleziono ją na ulicy we Wschodniej Jerozolimie. Ktoś ją udusił.

- Na litość boską, pułkowniku! - znów zaczynam odchodzić od zmysłów. Mam ochotę rozwalić coś, zacząć czymś rzucać. - Nie mogę tu tkwić! Muszę natychmiast jechać do Izraela!

- Sam, nie masz do dyspozycji takich środków, jak my. Uwierz, mamy większe szanse odnaleźć twoją córkę niż ty sam.

- Ale to mnie szukają! Moja córka to tylko przynęta!

- I właśnie dlatego nie mogę ci pozwolić tam jechać. Zrozum, masz tu do wykonania zadanie, ważne zadanie. Wiem, że to brzmi strasznie, ale musisz o niej chwilowo zapomnieć.

Odzyskuję oddech.

- W porządku pułkowniku. Wykonam dziś swoją robotę, ale jutro rano jadę do Izraela - bez względu na to gdzie będę, ani co się będzie działo. Zabiorę się z tej pierdolonej wyspy i odzyskam moją córkę. Czy wyrażam się jasno?

Nie mogę uwierzyć, że zwracam się w ten sposób do swojego przełożonego. Chociaż z drugiej strony nie jestem przecież wojskowym i pułkownik Lambert jest moim przełożonym nie dowódcą, a ja jego pracownikiem, nie żołnierzem. A to nie to samo.

- Rozumiem, Sam - odpowiada Lambert. - Nie mam o to do ciebie pretensji.

Jego słowa lekko mnie uspokajają.

- Dzięki, pułkowniku. Przepraszam, że mnie... hm... nieco poniosło.

- Nie przejmuj się. Zrób dziś co masz zrobić i przekaż nam czego się dowiedziałeś.

Rozłączamy się. Patrząc przez okno na zatokę. Zachodzące słońce rzuca krwawoczerwony odbłask na wzburzoną powierzchnię morza. Zastanawiam się, czy nie jest to przypadkiem jakiś znak.

O dziesiątej, dobrze po zapadnięciu nocy, wsiadamy do szybkiej łodzi patrolowej typu Rlgid Raider. Ma ona wzmocniony włóknem szklanym kadłub i silnik o mocy 140 koni mechanicznych.

Zwykle wykorzystuje się takie łodzie do patrolowania wód przybrzeżnych i śródlądowych. Mieści maksymalnie osiem czy dziewięć osób, ale kapitan Martin wyjaśnia, że jest również większa wersja, która może przewozić dwudziestu ludzi. W tej konkretnej misji załoga, prócz mnie i kapitana, składa się tylko ze sternika i jednego szeregowego. Na ile mogę stwierdzić, nic nie wiedzą o mojej misji i wykonują tylko rozkazy kapitana.

Pilot prowadzi łódź dość wolno, żeby nie zwracać na nas niepotrzebnie uwagi. Takie łodzie patrolowe widuje się tu w zasadzie o każdej porze dnia i nocy, podejrzewam jednak, że Angole uznali, iż lepiej się nie afiszować. Mijamy przylądek Pyle, a potem okrążamy wschodni czubek wyspy - przylądek Greko. Woda jest tutaj bardziej wzburzona, a kapitan wyjaśnia, że po tej stronie Cypru prądy są bardzo silne. Chce mnie dostarczyć jak najbliżej Zielonej Linii, ponieważ droga pod wodą będzie ode mnie wymagać znacznego wysiłku.

Widać już stąd światła Framagusty. Kapitan każe mi się szykować do drogi i sam pomaga mi włożyć piankę i butlę z tlenem. Pilot gasi wszystkie światła na łodzi i przełącza silnik na jałowy bieg.

- Pański przystanek - stwierdza kapitan. Podaje mi rękę, a ja nią potrząsam.
- Dzięki za wszystko - mówię.
- Podziękuj mi pan, jak pana stąd odbiorę rano. - Nie mówi „jeśli” pana odbiorę.

Wkładam płetwy, opuszczam na twarz maskę i poprawiam na plecach karabinek. Jestem gotów do drogi. Przechodzę za burtę łodzi przytrzymując się drabinki, wkładam do ust przewód powietrza, chwytam DPD i skaczę do tyłu w zimną, ciemną wodę.

Kapitan miał rację w kwestii prądów morskich, ale DPD sprawia, że płynę właściwie bez wysiłku. Pozwalam, by napęd holował mnie z szybkością mniej więcej pięciu kilometrów na godzinę. Postanawiam wyjść z wody w pobliżu portu, wykorzystując jako osłonę zacumowane tam łodzie. Szczerze wątpię, czy o tej porze doby w porcie panować będzie wielki ruch.

Reflektor napędu rzuca upiorne światło na dno morza. Widzę barwne koralowce i całe masy ryb. Nie jestem wielbicielem nurkowania, więc nie potrafię rozpoznać do jakich gatunków należą, ale wiem, że nie są niebezpieczne. W Morzu Śródziemnym nie ma groźnych dla ludzi rekinów, ale kilku nurków zostało pogryzionych przez barrakudy. Nieprzyjemnie potrafią być również węgorze elektryczne, dlatego lepiej ich unikać. Tutejsze ryby ładnie prezentowałyby się w akwarium w jakiejś knajpie.

Komputer informuje, że przepłynąłem nieco ponad kilometr. Widzę drewniane pale podtrzymujące pomost we Framaguście. Woda nie jest tu już tak czysta, ze względu na obecność dziesiątek przycumowanych łodzi. Ostrożnie wynurzam głowę i oceniam sytuację.

Są tu łodzie wszelkich możliwych rodzajów - katamarany, motorówki, żaglówki, kilka małych jachtów - oraz jasno oświetlona nadmorska promenada. Widzę samotnego strażnika w budce. Na wysokim maszcie obok powiewa Flaga Tureckiej Republiki Północnego Cypru.

Zero trudności. Podpływam do pomostu i posuwam się wzdłuż niego do brzegu. Kiedy mogę już stanąć na dnie zdejmuję płetwy i wychodzę z wody prosto w cień. Chcę ominąć oświetloną promenadę, dlatego wspinam się na brzeg po betonowym pochyłym nadbrzeżu. Tu jestem najbardziej narażony na wykrycie, więc szybko biegnę w pobliskie zarośla. Mam szczęście, znajduję wpuszczoną w ziemię rurę kanalizacyjną, w której mogę ukryć sprzęt do nurkowania. Nie przewiduję deszczu - niebo jest bezchmurne - dlatego moje rzeczy będą tu bezpieczne. Zdejmuję z pleców butlę, a potem uprząż i resztę sprzętu. Wkładam hełm i gogle wyjęte z plecaka. Jestem gotów do drogi.

Od centrum handlowego dzieli mnie pięć kilometrów. Ponieważ trzymam się w cieniu i unikam latarni, dotarcie na miejsce zajmuje mi prawie godzinę. Jest niemal trzecia nad ranem. Do świtu mam dwie, może trzy godziny.

Teren centrum handlowego znajduje się tuż obok głównej autostrady. Jest otoczony drutem kolczastym, a napisy po turecku i angielsku głoszą: WSTĘP WZBRONIONY - TEREN BUDOWY. Na innych napisano natomiast: CENTRUM FRAMAGUSTA, WKRÓTCE OTWARCIE! POWIERZCHNIE SKLEPOWE DO WYNAJĘCIA! Teren jest dobrze oświetlony. Co jakich czas wywożące gruz ciężarówki opuszczają obszar załadunku na tyłach kompleksu, a wszędzie wokół kręcą się mężczyźni w kaskach. To wyraźna wskazówka, że coś się tu święci - robotnicy budowlani zwykle nie pracują w środku nocy, natomiast ci ludzie sprawiają wrażenie, jakby gorączkowo starali się dotrzymać jakiegoś terminu. Lambert ma pewnie rację - Tarighian zamierza użyć swej broni w najbliższym czasie.

Nie widzę nigdzie takiego fragmentu terenu, który nie byłby oświetlony. Zaczynam się zastanawiać, jak u diabła mam się dostać do środka, kiedy opatrność przychodzi mi z pomocą. Na drodze, w pobliżu miejsca gdzie przykucnąłem, pojawiają się światła samochodu. Kiedy podjeżdża bliżej stwierdzam, że to furgonetka elektryka, a w środku siedzi tylko kierowca. Samochód mnie mija. Nie jedzie zbyt szybko, więc podrywam się i rzucam w niego kamieniem. Kiedy zwalnia podbiegam i uderzam kilka razy pięścią w tylne drzwi furgonetki, wystarczająco głośno, by kierowca mnie usłyszał. Pojazd zwalnia jeszcze bardziej, aż wreszcie się zatrzymuje. Kiedy kierowca opuszcza szybę celuję mu w twarz z pistoletu.

- Jedzie pan w moją stronę - mówię. - Mogę się z panem zabrać?

Nie rozumie moich słów, ale łapie ich sens. Trzymając broń wycelowaną w jego głowę, obchodzę furgonetkę od przodu i wsiadam na siedzenie pasażera. Każę mu jechać dalej i kucam na podłodze, luźną pistoletu przyciskając do jego brzucha. Jest wyraźnie przestraszony. Każę mu się uspokoić, a on kiwa głową i rusza.

Docieramy do bramy, gdzie kierowca zatrzymuje furgonetkę i opuszcza szybę. Strażnik pyta o coś po turecku, a mój nowy przyjaciel odpowiada, sięgając po plik dokumentów leżący na przednim siedzeniu. Pokazuje je strażnikowi i możemy jechać dalej. Wykorzystuję okazję i wyglądam przez przednią szybę. Widzę parking, gdzie stoją samochody i maszyny budowlane. Wskazuję go kierowcy. Gdy tylko kończy parkować i wyłącza silnik, siadam na siedzeniu obok niego, każę mu się przysunąć bliżej i zadaję cios w tył głowy.

- Przepraszam - mówię, ale i tak mnie nie słyszy. Kładę go na podłodze, sprawdzam, czy nikt nas nie obserwuje, zabieram kluczyki i wysiadam z furgonetki.

Do budynku prowadzi kilka przeszklonych wejść dla klientów, zapewne zamkniętych o tej porze doby. Robotnicy i strażnicy korzystają z rampy przeładunkowej, którą widziałem wcześniej -zapewne ma obsługiwać wielki supermarket spożywczy, największy sklep w tym kompleksie. Zamierzam jednak ominąć to często używane miejsce i znaleźć jakąś inną do środka. Wybieram sobie jedne ze szklanych drzwi. Rozglądam się w poszukiwaniu kamer nadzoru, ale żadnej nie znajduję - co nie oznacza, że żadnej tu nie ma. Obawiam się, że muszę teraz wykazać pewną nieostrożność. Kończy mi się czas, a ja chcę wejść do środka i wyjść stamtąd jak najszybciej. Cóż więc robię? Wychodzę na oświetlony teren, ruszam do wejścia dla klientów i za pomocą wytrychów otwieram szklane drzwi.

Nikt mnie nie widzi, a przynajmniej takie odnoszę wrażenie.

Wchodzę do budynku. Tu, w głównej alei prowadzącej przez całe centrum, światła są zgaszone. Po obu jej stronach ciągną się puste wystawy sklepowe. To dziwne, ale nad żadnym sklepem nie ma jeszcze nazwy. Najwyraźniej w centrum handlowym, które ma się otworzyć „wkrótce” nie ma żadnych sklepów.

Ruszam w kierunku centralnej części budynku, wielkiego placu, który łączy wszystkie trzy skrzydła i otwiera się na wielki, ale również pozbawiony nazwy, supermarket. Nad głową mam ogromną

kopułę, podzieloną na dwie części wyraźnie widoczną linią. Tu pali się kilka świateł, więc trzymam się pod ścianami i wykorzystuję naturalne kryjówki. Z jednego z ciemnych skrzydeł dobiega mnie nagle dźwięk silnika jakiegoś pojazdu, więc przykucam i czekam, aż się pojawi. Okazuje się, że to jeden z tych trzykołowych wózków golfowych jakich używali w Akdabar Enterprises w Turcji. W środku siedzi dwóch gości w mundurach ochrony.

Wózek mija mnie, kierując się w stronę skrzydła z supermarketem. Teraz albo nigdy. Ruszam do akcji - doganiam wózek, wskakuję na jego tył i zaskakuję obu strażników. Nim mają czas zareagować i powiedzieć chociaż „Hej!” łapię ich głowy i zderzam mocno ze sobą. Jeden traci przytomność, ale drugi ma widać twardszy łeb. Rzuca się ze swojego siedzenia i przewraca mnie na plecy na tył pojazdu. Wózek skręca gwałtownie w kierunku ściany, a strażnik wali mnie z całej siły w twarz. Przez chwilę widzę przed oczami gwiazdy, ale unoszę kolano w klasycznej obronie Krav Magi, rzecz jasna takiej poniżej pasa. Mój przeciwnik zamiera nagle z bólu.

W tej samej chwili wózek uderza w ścianę. To dobrze, że nie jechał szybko, bo wtedy mógłby przyciągnąć czyjąś uwagę. A tak słychać tylko stłumione „pum” i mój kochany przeciwnik leci bezwładnie na kierownicę. Unoszę się i trafiam go mocno w szczękę. Traci wreszcie przytomność, tak jak jego towarzysz.

Żaden nie jest uzbrojony, ale zabieram jednemu kartę magnetyczną do zamków. Mam wrażenie, że wkrótce mi się przyda.

Zakradam się do ciemnego supermarketu, który jest - co za niespodzianka - całkowicie pusty. W jednej ze ścian widzę podwójne drzwi, które wyglądają jak wejście do ogromnej windy. Oczywiście teraz już wiem co to za miejsce. Żaden supermarket tylko rodzaj punktu zbornego. Tu lądują dostawy, które zabiera się dalej przez te podwójne drzwi - zapewne główne wejście do wielkiego sekretu Tarighian. Ruszam w ich stronę, ale z ciemności dobiega mnie odgłos czyichś kroków w pobliżu rampy. Czekam, póki z cienia nie wynurzą się dwaj strażnicy, zmierzający do podwójnych drzwi. Jeden z nich otwiera je kartą i wchodzi do środka.

Kiedy wejście się zamyka, podbiegam i otwieram je skradzioną kartą.

Niemal gwizdzę głośno na widok, jaki ukazuje się moim oczom. Jest tu długa rampa opadająca stromo w kierunku jasno oświetlonego niższego poziomu, po którym kręcą się liczni robotnicy. Skaczę w bok, jak najdalej od drzwi i toczę się po podłodze za osłonę z piramidy skrzynek. Sądzę, że nikt mnie nie zauważył – są zbyt zajęci, zupełnie jak pszczoły-robotnice przygotowujące ul dla królowej. Mam tu dobry punkt obserwacyjny. Próbuję zrozumieć, co oglądam.

Dosłownie zapiera mi dech w piersiach.

Niech to diabli, to jest silos wyrzutni, albo coś bardzo do niego zbliżonego! Poziom, na którym się znajduję to tak naprawdę obiegająca silos „galeria”, z której rozciąga się widok na niższy poziom, coś w rodzaju rotundy. Poniżej, na środku znajduje się gigantyczne urządzenie przypominające działło, całe wykonane ze nierdzewnej stali. Jego podstawa ma chyba z dziewięć metrów kwadratowych, a

całość waży na pewno wiele ton. Przy podstawie widać wielkie urządzenie hydrauliczne, które unosi i opuszcza lufę tej wielkiej broni. Sama lufa ma chyba około stu metrów długości, kilka metrów grubości i jest ustawiona pionowo, celując w niebo. Zapewne aby wystrzelić windują ją na poziom gruntu.

Dobry Boże! Nagle uświadamiam sobie co to jest! Rozpoznaję tę broń! Widziałem kiedyś rysunki techniczne projektu, który Gerard Bulli zamierzał w latach osiemdziesiątych zrealizować dla Iraku.

To jest superdziało Babilon, ukończone i gotowe do użycia, a centrum handlowe Tarighiana jest niczym innym jak wyrzutnią tej broni. Kiedy będą zamierzali wystrzelić, uniosą działo na wyższy poziom, tam, gdzie jest ten pusty plac pod kopułą. Połówki kopuły rozsuną się wtedy, jak w obserwatorium astronomicznym, i lufa wyceluje w niebo.

Niesamowite! Nie, nie niesamowite, raczej fantastyczne! Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. To piękna rzecz. Najbardziej wytworna i odłotowa broń jaką zdarzyło mi się w życiu widzieć.

Teraz zrozumiałem czego dotyczyły plany, które widziałem w biurze Tarighiana w Turcji. To działo zaprojektował Albert Mertens, prawa ręka Gerarda Bulla. I jest to prawdziwe dzieło mistrza.

Plany na pewno opierały się na oryginalnym projekcie Babilonu Bulla i działo posiada zapewne jego możliwości. Na oko oceniam kaliber na 1000 mm. Z całą pewnością potrzebuje wielu ton paliwa, żeby wystrzelić ogromny pocisk. Maksymalny zasięg wynosi pewnie 1000 kilometrów.

Natychmiast robię zdjęcia tej broni OPSAT-em a potem piszę wiadomość do Lamberta. Opisuję, co tu znalazłem i informuję, że zamierzam spróbować sabotażu. Pułkownik za wszelką cenę musi wydebić natychmiastową pomoc z Narodów Zjednoczonych, albo z NATO, albo z samego piekła, jeśli się da. Musi zrównać to miejsce z ziemią nim Tarighian będzie miał szansę wystrzelić. A sądząc z panującego tu ruchu, ten moment jest bardzo bliski.

Taaaa. Spróbować sabotażu. Niby jak? Jedyne broń jaką ze sobą mam to granaty odłamkowe i karabinek. To tak jakby strzelać do czołgu biurowymi spinaczami.

Najlepiej będzie podłożyć granaty i ustawić opóźnioną detonację - na pewno spowodują nieco zamieszania i dadzą mi szansę bezpiecznego odwrotu. Mam tylko nadzieję, że Lambert przybędzie na czas z odsieczą. Sięgam do plecaka i wyciągam pierwszy granat. Umieszczam go w ukrytym miejscu w pobliżu podwójnych drzwi i ustawiam czas detonacji na czterdzieści pięć minut.

Zaczynam posuwać się powoli górną galerią wokół działa. Za każdym razem, kiedy znajduję odpowiednie miejsce, umieszczam w nim kolejny granat, a czas jego wybuchu synchronizuję z pierwszym. Obchodzę w ten sposób całą galerię, na której na szczęście nie ma żadnych robotników. Wszyscy pracują na dole, spiesząc się jak szaleni, żeby skończyć na czas swe tajemnicze zadanie.

Kiedy znajduję się po przeciwległej stronie silosu, widzę jasne światła pokoju kontroli. Jest to

bunkier, który zapewne ma przetrzymać odrzut działa. W środku widzę kilku mężczyzn. Rozpoznaję jednego z nich - Namik Basaran, alias Nasir Tarighian, patrzy przez okno na swoje dzieło.

Obchodzę dalej silos, rozmieszczając kolejne trzy granaty. Czas stąd zniknąć. Saro, kochanie, już po ciebie jadę. Ruszam do podwójnych drzwi i wyciągam rękę, by otworzyć je kartą - ale słyszę nagle cichy sygnał OPSAT-u. Właśnie nadeszła wiadomość od Lamberta. Brzmi ona:

NASZE SAMOLOTY W DRODZE. ZMYWAJ SIĘ STAMTĄD!

Nie trzeba mi tego dwa razy powtarzać, pułkowniku. Ponownie unoszę kartę, kiedy drzwi otwierają się nagle, a za nimi stoją czterej uzbrojeni faceci. Czyli mam przesrane.

Jeden z nich zauważa mnie - i mój dziwny kombinezon - i krzyczy. Nim mają czas zareagować, rzucam się do ucieczki, roztrącając dwóch stojących w środku. Wpadają na tych obok, przewracając ich na podłogę. Biegnę jak szalony słysząc za sobą dalsze krzyki. Ktoś strzela, a kula przelatuje tuż obok mojej głowy. Zaczynam kluczyć i odbijać się od ścian jak piłka, aby nie być łatwym celem.

Wtedy rozlega się alarm. I, jak to powiadają, wybucha piekło.

Rzucam się w jedną z ciemnych alei, wzdłuż której ciągną się nieistniejące sklepy i biegnę w kierunku drzwi, którymi tu wszedłem. Kiedy dzieli mnie od nich mniej więcej dwanaście metrów, po drugiej stronie szyby zauważam dwóch strażników. Zatrzymuję się tylko na moment, żeby zdjąć z ramienia karabinek, odbezpieczyć i wystrzelić. Kule rozbijają szklane drzwi i zabijają strażników. Szarżuję jak byk, gotów przeskoczyć przez częściowo rozbity szybę, ale strzały za plecami zmuszają mnie do rzucenia się na ziemię. Odtaczam się pod ścianę i staram się na niej całkiem rozpląszczyć, ale kule padają niebezpiecznie blisko. Nadal trzymam w ręku karabinek, więc wystrzeliwuję magazynek w kierunku pościgu leżąc na plecach. Trafiam dwóch, ale inni nikną za osłonami. Daje mi to te kilka sekund, których potrzebuję. Podrywam się i wybiegam przez rozbite drzwi. Odprysk szkła przecina mi kombinezon na ramieniu rozrywając zewnętrzną warstwę i znajdującą się pod nią kieszeń na wodę. Padam na ziemię już na zewnątrz budynku, obracam się i skaczę na równe nogi nie tracąc nic z siły rozpędu.

Parking jest pusty. Prawie mi się udało.

Biegnę do furgonetki elektryka, otwieram drzwiczki i odkrywam, że mojego kumpla już me ma na podłodze. Do diabła z nim, nieważne. Wkładam kluczyk do stacyjki i zapalam silnik, gotów wrzucić wsteczny bieg i wyjechać z parkingu.

Zimny metal lufy pistoletu przyciska się z boku do mojej szyi.

Patrzę we wsteczne lusterko i widzę mojego starego przyjaciela, kierowcę. Nie wygląda na szczęśliwego, pewnie za mocno mu przyłożyłem i nadszedł czas zapłaty. Powoli podnoszę ręce, a on odbiera mi karabinek. Otwiera drzwi z tyłu i wyrzuca go na zewnątrz, akurat kiedy z tuzin, ochroniarzy otacza samochód.

34.

- Panie Fisher - mówi Tarighian, kiedy wprowadzają mnie do pokoju kontroli. - Czy szpiegostwo w moich obiektach stanowi część zbierania danych do pańskiego raportu dla Interpolu?

- Tak się składa - odpowiadam. Wiem, że brzmi to kulawo, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Rozglądam się po pomieszczeniu, by ustalić ilu mam przeciwników. Oprócz Tarighiana i trzech strażników, którzy mnie przytrzymują, widzę tylko Farida i Alberta Mertensa, który zajęty jest czymś przy biurku z jeszcze jednym człowiekiem. Szanse byłyby niemal równe, gdybym nie miał rąk związanych na plecach. Zabrali też mój plecak, hełm, gogle i broń. Opróżnili mi nawet kieszenie.

Gdyby wzrok mógł zabijać, Farid już by tego dokonał. Najwyraźniej dodał dwa do dwóch i domyślił się, że to ja złamałem mu rękę. Uśmiecham się i mrugam do niego.

Tarighian mierzy mnie zimnym wzrokiem.

- Powinien pan zostać w jeziorze Van, panie Fisher. Myślałem, że pan tam skończył.

- Przykro mi, że pana rozczarowałem.

- Jak się pan zapewne domyśla, kiedy oddam pana w ręce moich ludzi zamordują pana i zarejestrują wszystko na wideo. Potem opublikujemy taśmę na islamskiej stronie internetowej i cały świat - cała Ameryka - zobaczy, jak ucieliśmy panu głowę. Bo jest pan Amerykaninem, prawda? A nie Szwajcarem, jak pan twierdził?

Nie odpowiadam.

- Zapewniam, że gdybym miał czas, zmusiłbym pana do mówienia. Ale trochę się spieszę i dlatego będę chyba zmuszony przyspieszyć pańską egzekucję, aby nie zagrażał mi pan podczas porannej operacji.

- A co to będzie? - pytam. Mam nadzieję, że pobudzę jego próżność. - Ma pan tu imponującą broń. Czego jest w stanie dokonać?

Tarighian mruga szybko i podchodzi do okna.

- Piękna, prawda? Nazwałem ją Babilon Feniks. Babilon ponieważ przypomina superdziało Gerarda Bulla, to, które zaprojektował dla Iraku w latach osiemdziesiątych, a Feniks ponieważ odrodziła się z popiołów swego przodka.

Na wzmiankę o broni Mertens unosi głowę i uśmiecha się do mnie.

- To pańskie dzieło, jak sądzę? - pytam.

Belg ignoruje moje pytanie, ale odpowiada za niego Tarighian.

- Tak, profesor Mertens wykonał imponującą pracę. Oczywiście zgodnie z moimi wytycznymi.

- W co pan gra, Tarighian? Co pan zamierza zrobić?

Słyszając swoje prawdziwe nazwisko uśmiecha się do mnie.

- Widzę, że wie pan kim jestem. Tego się właśnie obawiałem.

Dla kogo pan pracuje, Fisher? Dla CIA? FBI?

- Dla ABN, ale nie ma to znaczenia.

Wzrusza ramionami.

- Istotnie, nie ma. Za godzinę i tak nie będzie pan żył. - Potem wskazuje superdziało i mówi: - Babilon Feniks potrzebuje dziewięciu ton specjalnego paliwa, by wystrzelić szesćsetkilogramowy pocisk na odległość mniej więcej 1000 kilometrów.

- Takie miały być możliwości superdziała Bulla.

- Tak. Mogę również, przy użyciu ważącej dwie tony rakiety wystrzelić na orbitę obiekt ważący do 200 kilogramów. Lufa, przy maksymalnym wysunięciu mierzy 156 metrów, a jej przekrój wynosi jeden metr. Działo ma budowę modułową, podobnie jak niemieckie V-3. Lufę tworzy dwadzieścia sześć sześciometrowych sekcji, ważących razem 1510 ton. Do tego cztery ważące po 220 ton cylindryczne hamulce odrzutu i 165-tonowy zamek. Wokół zamka mamy wzmocnienie w postaci pięciu metrów betonu, stali i skały. Z tej bazy możemy zniszczyć dowolny cel na Bliskim Wschodzie.

- Ale to przecież szaleństwo - mówię. - Jak wystrzelicie, cały świat zwali się wam na głowę.

- To prawda - zgadza się ze mną.

- Chce pan wystrzelić tylko raz?

- Tak. Potrzebuję tylko jednego strzału.

- A co, jeśli mogę spytać, jest celem?

- Obawiam się, że umrze pan w nieświadomości - odpowiada Tarighian.

- To może powie mi pan chociaż jaki pocisk chce pan wystrzelić?

Tarighian drapie się w policzek.

- Czemu nie? To 600 kilogramowy pocisk typu MOAB, czyli, jak to nazywacie Massive Ordnance Airburst Bomb. Sądzę, że pan wie, czego może dokonać taka bomba?

Wiem, oczywiście. Ten pocisk jest zbliżony do naszego paliwowo-powietrznego CBU-72. Jest to zaawansowana technicznie zapalająca bomba kasetowa przenosząca gaz etylenowy. Podczas wybuchu powstaje kula ognia i fala uderzeniowa, która rozprzestrzenia się szybko i obejmuje dużo większy obszar niż przy detonacji tradycyjnych ładunków wybuchowych. Skutki eksplozji są bardzo podobne do wybuchu niewielkiej bomby jądrowej, tyle że bez promieniowania. To paskudna i zabójcza broń, z pewnością godna miana broni masowego rażenia.

- Jest pan złym człowiekiem - mamroczę. Oczy Tarighiana zaczynają się iskrzyć. Podchodzi do mnie, odchyła lekko głowę jakby zamierzał mnie uderzyć, ale zamiast tego pluje na mnie obficie. Flegma trafia mnie w twarz i spływa po policzku.

- To właśnie myślę o Ameryce - mówi. Odchodzi i zwraca się do Mertensa. - Proszę rozpocząć kalibrację. Już czas.

Mertens kiwa głową i podnosi słuchawkę telefonu.

- Rozpocząć kalibrację. Unieść Feniksa - mówi.

Sześć sekund później pokój kontrolny zaczyna wibrować, a w całym kompleksie rozlega się głośny pomruk. Przez szyby widzę jak sufit się rozsuwa, ukazując wzniesioną dwa piętra wyżej kopułę. Superdziało i jego ciężka platforma zaczynają podróż na hydraulicznym podnośniku na poziom gruntu.

Zadowolony Tarighian odwraca się w moją stronę.

- Dość już zobaczył. Zabierzcie go do spalarni i zabijcie - mówi do strażników.

Farid chrząka i robi do Tarighiana minę.

- Przykro mi Farid - odpowiada jego szef. - Potrzebuję cię tutaj. Chyba, że chcesz go trochę uszkodzić teraz?

Bydlak uśmiecha się zupełnie jak troll. Choć prawą rękę ma w gipsie jestem pewien, że lewą też potrafi solidnie przyłożyć. Strażnicy przytrzymują mnie, gdy Farid ustawia się do ciosu. Unosi zdrową rękę, zaciska w pięść, bierze zamach i uderza z taką siłą, że niemal urywa mi głowę. Przez chwilę słyszę tylko dzwonienie w uszach, a przed oczami rozbłyska mi jaskrawe światło. Straszliwy ból przenika mój obecnie złamany nos penetrując w głąb mózgu. Nim mam czas choć trochę się pozbierać, Farid wali mnie w brzuch. Kiedy walczę o oddech strażnicy pozwalają mi opaść na kolana. Krew leje mi się z nosa na podłogę.

Słyszę głos Tarighiana.

- Wystarczy. Zabierajcie go stąd i załatwcie sprawę. Tylko wszystko sfilmujcie i postarajcie się, żeby widowisko było makabryczne. Wiecie, co robić.

Strażnicy brutalnie wywlekają mnie z pokoju kontroli.

Pomiędzy Cyprzem a Waszyngtonem jest siedem godzin różnicy. Dokładnie w tym samym momencie, gdy Sam Fisher wchodził do centrum handlowego, pułkownik Irving Lambert zakończył rozmowę telefoniczną z sekretarzem obrony i niecierpliwie czekał przy biurku na wieści od swego Kolekcjonera. Wiedział, że Fisher dotarł bezpiecznie na Cypr, że otrzymał od Brytyjczyków sprzęt do nurkowania i jest w drodze do „centrum handlowego” na obrzeżach Framagusty.

Oczekując na jego raport odbył rozmowy nie tylko z sekretarzem obrony, ale również z samą górą Pentagonu, prezydentem Stanów Zjednoczonych oraz z sekretarzem stanu. Z kolei ci ludzie skontaktowali się ze swoimi odpowiednikami na Bliskim Wschodzie. Lambert chciał otrzymać natychmiastową zgodę, jeśli uderzenie na Cypr okaże się konieczne. W tej chwili wszyscy gracze czekali w gotowości - oprócz Turcji. Nawet w obliczu przedstawionych dowodów tureckie władze nie chciały uwierzyć, że Namik Basaran to naprawdę Nasir Tarighian, mózg najbardziej niebezpiecznej grupy terrorystycznej na świecie. Bogactwo jakie przyniósł ten człowiek południowo-wschodniej Turcji nie podlegało dyskusji. Stworzył miejsca pracy dla setek ludzi. Przekazywał żywność i pieniądze na szlachetne cele. Przyczynił się do powstania atmosfery dobrej woli pomiędzy Turcją a jej sąsiadami. A Stany Zjednoczone twierdzą, że ten człowiek jest groźnym przestępcą!

Odezwał się interkom na biurku Lamberta.

- Tak? - powiedział pułkownik, wciskając guzik.

- Mamy wieści o Horowitzu - poinformował Bruford.

- Już idę.

Wstał, wziął kubek z kawą i pospieszył do sali operacyjnej, gdzie pracował Bruford wraz z resztą zespołu. Carly St. John studiowała trzymane w ręku wydruki.

- Co macie? - zapytał Lambert siadając przy stole.

- Eli Horowitz nie jest Żydem - powiedział Bruford. - Pochodzi z Azerbejdżanu. Przyjechał do Izraela kiedy miał szesnaście lat twierdząc, że jest żydowskim uchodźcą z Rosji. Mossad właśnie potwierdził, że Horowitz - tak się naprawdę nazywa - występował wcześniej pod kilku fałszywymi nazwiskami. Kiedy mieszkał w Azerbejdżanie został aresztowany za współpracę z organizacją terrorystyczną powiązaną z tamtejszymi Kurdami. Z powodu młodego wieku i różnych powiązań politycznych został zwolniony, ale później aresztowano go w Gruzji za posiadanie składu nielegalnej broni. Miał już stanąć przed sądem, kiedy w jakiś cudowny sposób uciekł z aresztu. To była brawurowa operacja, w której brało udział kilka osób. Władze Gruzji uważają, że tę ucieczkę przygotowała rosyjska mafia.

- Sklep?

- Bardzo prawdopodobne. Ta lista potencjalnych terrorystów, na której został z opóźnieniem wykryty przez urząd imigracyjny podawała, że pracował jako kurier dla Sklepu.

Lambert uderzył dłonią w stół.

- Dobra, wiemy zatem na pewno, że to nasz gość. Ale jak go u licha mamy znaleźć?

Odezwała się Carly.

- Mossad okazał się bardzo skłonny do współpracy. Znaleźli jego mieszkanie we Wschodniej Jerozolimie i przeszukali je. Zostawił je w takim stanie, jakby zamierzał wrócić. Znaleźli jego ubrania i rzeczy osobiste - w tym komputer.

Lambert uniósł brwi, w odpowiedzi na co Carly kilka razy pokiwała głową.

- Może coś mamy - powiedziała. - To wydruk zawartości jego twardego dysku. Choć nie ma tu nic, co by go bezpośrednio wiązało ze Sklepem, znaleźliśmy wysłany ostatnio e-mail wskazujący, że planował coś przed przyjazdem Sary Burns do Izraela. Większość poczty sprzed dwóch tygodni została usunięta, ale Mossad zamierza jak najszybciej zdobyć nakaz sądowy, by przedstawić go dostawcy usług internetowych Horowitza. Przejęliśmy też część jego ostatniej korespondencji z Sarą, choć większość znamy już z jej komputera w Illinois. Jest również korespondencja pomiędzy Horowitzem a człowiekiem o imieniu Jurij. Wyśledziliśmy adres e-mailowy Jurija i okazało się, że serwer pocztowy należy do Banku Rosyjsko-Izraelskiego w Izraelu.

- Banku Rosyjsko-Izraelskiego? Jest czysty? - spytał Lambert.

- Tak. To prywatna i stosunkowo nowa instytucja. Otworzył się dwa lata temu, a w radzie nadzorczej zasiadają wyłącznie Rosjanie.

- Ciekawe.

Carly uśmiechnęła się, robiąc pauzę dla większego efektu.

- Jest tam tylko jedno ale. Ten bank to firma-córka Szwajcarsko-Rosyjskiego Międzynarodowego Banku Handlowego.

Lambert uniósł nad głowę pięści.

Bogu niech będą dzięki! Musimy skłonić izraelskie siły bezpieczeństwa, żeby się do niego dobrały i rozniosły na strzępy. Natychmiast!

Odezwał się Bruford.

- Akcja już trwa. Dyrektor banku i pracownicy będą mieli paskudną niespodziankę kiedy przyjdą

rano do pracy - czyli praktycznie teraz, biorąc pod uwagę różnicę czasu.

- Świetna robota, kochani - stwierdził Lambert. - A jeśli jeszcze dostaniemy słówko od Fishera może mój wrzód żołądka trochę się uspokoi.

Wtedy odezwał się Chip Driggers.

- Szefie, mamy transmisję!

Lambert wstał i podszedł do komputera Driggersa.

- Czy to Sam?

- Na to wygląda. Przesyła jakieś zdjęcia.

Kiedy pierwsze zdjęcie pojawiło się na ekranie, obu mężczyznom opadły szczęki.

- Rany boskie, co to jest? - spytał Driggers.

Lambert przetarł oczy i spojrzał jeszcze raz.

- To cholerne superdziało Babilon. Powinniśmy się byli domyślić. Kurwa, powinniśmy byli!

- Idzie więcej zdjęć. Niech pan patrzy.

Cały zespół zebrał się wokół komputera, ze zdumieniem studiując fotografie Feniksa zrobione przez Fishera. Lambert nie tracił czasu na powrót do biura. Podniósł słuchawkę telefonu na biurku Bruforda i polecił:

- Połączcie mnie z prezydentem.

Nasir Tarighian otarł pot z czoła i spojrzał na zegarek. Słońce już wzeszło i czuł, że kończy mu się czas. Jeśli Amerykanin zdążył skontaktować się w nocy ze swoimi ludźmi, to zostało najwyżej kilka godzin - a może nawet minut - do przybycia sił gotowych powstrzymać jego plan ukarania Iraku.

Doradcy mówili mu od miesięcy, że ten plan to szaleństwo. Albert Mertens i jego zespół byli przeciwni atakowi na Bagdad, a szefowie jego Komitetów ostro protestowali przeciw wybraniu na cel Iraku. Tarighian wiedział doskonale, że być może poświęca Cienie dla zaspokojenia osobistej żądy zemsty. Ale nie obchodziło go to. Jego najbardziej zaufany współpracownik, Ahmed Mohammed, określił jego plan mianem „szaleństwa”, ale Tarighian wiedział, że nie jest szalony, przynajmniej nie w sensie choroby psychicznej. Po prostu zamierzał sprawić, by jego żona i dzieci spoczywały w spokoju. A jeśli to oznaczało, że sam musi zginąć śmiercią męczennika, niech i tak będzie. Wielu innych uczyniło to przed nim.

Spojrzał przez okno w pokoju kontroli na wspaniałe działo, które miał wkrótce uruchomić. Babilon Feniks był gotów do pracy, wycelowany na Bagdad. Trwały ostatnie przygotowania, które, jak zapewnił Mertens, nie zajmą więcej niż pół godziny. Mówił to czterdzieści minut temu.

- Mertens! - zawołał zniecierpliwiony Tarighian. - Co się dzieje, do diabła?

Mertens wymienił z Eislerem spojrzenie, które mu się nie spodobało. Zbyt wiele takich ukradkowych spojrzeń ostatnio między sobą wymieniali.

- Tak, proszę pana? - spytał Mertens spokojnie.

- Czy jesteśmy gotowi?

- Niezupełnie. Mamy jakiś problem w maszynowni. Chciałbym, żeby poszedł pan tam ze mną sprawdzić. Chcę, żeby na własne oczy przekonał się pan jaki to problem. Ten pośpiech przy odpaleniu działa zaczyna wywierać efekt domina.

- O co chodzi tym razem?

- Nie jestem pewien. Mechanicy chcą, żebyśmy do nich zeszli osobiście. Proponuję, żeby poszedł pan ze mną.

- Do diabła - wymruczał Tarighian. - Dobra, idziemy. - A kiedy Farid ruszył w kierunku drzwi, stwierdził: - Tak Farid, ty również.

Niemy olbrzym odpowiedział mruknięciem i przytrzymał otwarte drzwi. Mertens i Eisler jeszcze raz wymienili spojrzenia i obaj wstali. Zeszli za Tarighianem i Faridem po kilku stopniach i ruszyli przez platformę w kierunku wielkich urządzeń hydraulicznych otaczających podstawę Babilonu. W pobliżu stało kilku zaufanych bojowników Tarighiana. Obserwowali jak Mertens otwiera ciężkie metalowe drzwi prowadzące do wnętrza mechanizmu.

Mertens uczynił zachęcający gest.

- Pan pierwszy.

Tarighian pochylił głowę i zszedł ostrożnie po metalowych stopniach do maszynowni. Choć oświetlały ją światła robocze, było tu ciemniej niż w innych częściach kompleksu. Ogromny silnik, który zasiliał urządzenia hydrauliczne, górował nad tym pulsującym życiem pomieszczeniem. Kilku mężczyzn siedziało przy panelach kontrolnych, a dwaj pracowali gorączkowo przy samym urządzeniu.

Kiedy cała czwórka weszła i zamknęła za sobą drzwi, jeden z siedzących ludzi, ubrany w jeballę i turban, odwrócił się i stanął przed Tarighianem.

- Ahmend! - wykrzyknął Tarighian. - Co ty tutaj robisz?

Ahmed Mohammed skłonił się lekko.

- Jestem tu już od wczoraj. Byłeś zbyt zajęty by mnie zauważyć.

- Przepraszam, nie wiedziałem. Powinieneś był...

- Martwię się twoimi planami, Nasir. Dlatego tu jestem.

Tarighian objął ramieniem szefa swego Komitetu Politycznego.

- Cieszę się, że przyjechałeś - powiedział. - To właściwa pora. Dziś rano odpalimy Feniksa i w końcu pokażemy Zachodowi, że islam nie pozwoli Ameryce i jej sprzymierzeńcom władać Irakiem czy Bliskim Wschodem. Za kilka minut nie będzie już Bagdadu. Co o tym sądzisz?

Mohammed pokręcił głową.

- Nasir, przyjacielu, muszę ci powiedzieć, że wszyscy jesteśmy zgodni iż za daleko zboczyłeś z obranej drogi. Twój szalony pomysł zniszczenia Bagdadu nie ma sensu. Bagdad to miasto muzułmańskie, a Irak to muzułmański kraj, zaślepia cię żądza zemsty. Wybrałeś błędne cele. Dlatego podjęto decyzję, by odebrać ci przywództwo.

Tarighian zamrugał. Nie był pewien czy dobrze słyszał

- Co powiedziałaś? Ahmed, chyba nie rozumiesz. Jesteśmy gotowi do wystrzelenia już teraz, w tej minucie. wkrótce będziemy panami Bliskiego Wschodu i wyrzucimy stąd zachodnie psy

- Nie, Nasir, to ty nie rozumiesz. Kiedyś byłeś wielkim wojownikiem i przywódcą. Dałeś Cieniom bezprecedensową chwałę. Ale zboczyłeś z drogi prawdziwej wiary. żyjesz na modłę zachodu. Robisz interesy z tymi ludźmi. Masz przyjaciół na Zachodzie. Ciągłe szukasz rozgłosu i łakniesz pieniędzy, w oczach Allacha jesteś wielkim grzesznikiem.

Tarighian cofnął się o krok.

- Co ty mówisz? Nie możecie mi odebrać Cieni! Nie możecie odebrać Cieniom mnie!

Wyraz twarzy Mohammeda był równocześnie smutny i zimny.

- Mylisz się, Nasir. Możemy.

Tarighianowi nie przyszło do głowy że Albert Merten uniesie nagle Glocka, wyceluje w jego

głowę i pociągnie za spust. Czaszka przywódcy Cieni eksplodowała, na ściany rozprysnęła się krew i mózg. Ciało z hukiem zważyło się na podłogę.

Teraz nadeszła kolej Eislera. Szybkim ruchem wyciągnął swój nóż, złapał Farida przez turban za włosy, odciągnął mu głowę do tyłu i poderżnął gardło od ucha do ucha. Reakcje Farida były szybkie i bardzo silne - obrócił się i uderzył Eislera zdrową ręką, rzucając go na biurko. Chciał wyrwać mu serce, ale było już za późno. Krew biła z przeciętych tętnic, a pomruki zmieniły się w rżenie. Złapał się za szyję w beznadziejnej próbie zatamowania krwotoku, a potem, w przypływie wściekłości, spróbował chwycić Eislera za nogę, jednak zrzucił tylko z biurka monitor. Eisler przeczołgał się po podłodze na drugą stronę mebla i cofał gwałtownie przed konającym olbrzymem.

Farid rzucił się do przodu, próbując obejść biurko, ale potknął się i upadł. Wydając paskudne, przypominające dławienie się dźwięki, jeszcze przez ponad minutę rzucał się po podłodze. W końcu, po chwili, która wszystkim wydawała się wiecznością, zmarł.

Reszta obecnych w maszynowni patrzyła na tę rzeź z niedowierzaniem, ale Ahmed Mohammed, Albert Mertens i Heinrich Eisler zyskali w ich oczach szacunek.

Mohammed spojrzał na Mertensa.

- Jako przywódca Cieni daję panu prawo skierować Babilon Feniksa na cel o którym rozmawialiśmy

- powiedział.

Mertens odłożył broń i skłonił głowę.

- Dziękuję panu. To naprawdę najlepsza decyzja. - Odwrócił się do pracowników i powiedział: - Zabierzcie stąd ciała i wrzucie je do komory hamulcowej.

Podeszło czterech ludzi, którzy unieśli ciało Tarighiana, otworzyli drzwi prowadzące do komory i wrzucili do środka zwłoki. Gigantyczne tłoki zmiażdżą je na miazgę. Następnie wrzucono do środka ciało Farida.

Mertens, Eisler i Mohammed wyszli z maszynowni i stanęli przed jej drzwiami. Uzbrojeni ludzie Tarighiana obserwowali ich z ciekawością. Gdzie się podział ich przywódca?

Nim ktoś zdążył zarejestrować co się stało, na biegnącej wokół silosu galerii pojawiło się kilkunastu ludzi i zaczęło strzelać z Kałasznikowów do gwardii Tarighiana. Nagły hałas odbił się echem po całym kompleksie, ku przerażeniu robotników, którzy zamarli w bezruchu. Zupełnie jakby piekło spadło nagle wprost z nieba, rozrywając na strzępy każdego kto stanął mu na drodze. Ludzie Tarighiana nie mieli nawet szans odpowiedzieć ogniem. Po dwudziestu sekundach leżeli na ziemi w kałużach własnej krwi. Ludzie Mohammeda zbiegli rampą z górnej galerii i stanęli na baczność, oczekując dalszych rozkazów.

Ahmed Mohammed przemówił do nich.

- Słuchajcie synowie Allacha! - Wszyscy robotnicy odwrócili się w jego stronę. - Nasir Tarighian nie żyje! Od tej chwili przejmuję przywództwo Cieni! Pracujcie dalej, a Allah was wynagrodzi.

Niektórzy robotnicy zaczęli wiwatować, inni wydawali się zagubieni. Tylko kilku wyglądało na rozczarowanych. Mertens spojrział na Mohammeda.

- Jak pan słyszy, cele Tarighiana nie były zbyt popularne - wyjaśnił.

- Rzeczywiście - stwierdził Mohammed.

- W porządku? - zapytał Mertens Eislera, kiedy wrócili do pomieszczenia kontroli.

- Tak. - Eisler wytarł nóż o nogawkę spodni i schował do pochwy.

Mertens pokiwał głową.

- W takim razie zaczynamy ustawienie Feniksa na nowy cel.

- Tak jest - odparł Eisler. - Jaki?

- Jerozolima.

Dwóch bandziorów prowadzi mnie rampą na górną galerię. Kiedy ruszamy ku podwójnym drzwiom, zauważam kilku uzbrojonych w Kałasznikowy facetów, przykucniętych za barierką, jakby na coś czekali. Ten najbliższy nas kiwa głową do moich strażników. Co się dzieje, do diabła? Czyżby miało tu dojść do jakiegoś buntu? Czy wyczuwam w atmosferze napięcie? Czy będę mógł to wykorzystać na moją korzyść?

Straciłem rachubę ile czasu zostało do wybuchu granatów, ale na pewno te czterdzieści pięć minut zbliża się już do końca - podejrzewam, że zostało jeszcze najwyżej pięć, może dziesięć minut. Wolałbym nie być na tej galerii kiedy granaty eksplodują -niewykluczone, że cała konstrukcja się zawali.

- Sam? - to głos Lamberta. Głęboko w moim uchu. - Sam? Jesteś?

Cholera. Nie mogę odpowiedzieć.

Jeden z moich strażników otwiera kartą podwójne drzwi i wychodzimy z silosu. Niezbyt mnie bawi ta droga na śmierć, więc muszę coś szybko wymyślić. Facet, który otwierał drzwi, ma moje rzeczy. Wprawdzie nie zabrali mi OPSAT-u, ale nic mi to nie da, ponieważ ręce mam związane z tyłu.

Lambert odzywa się znowu.

- Sam? Jeśli mnie słyszysz, uciekaj z centrum handlowego. Nasze siły będą tam za dziesięć minut, może szybciej. Jeśli mnie słyszysz, uciekaj natychmiast!

- Bardzo bym chciał to zrobić, pułkowniku.

Idziemy przez pusty supermarket. Przed sobą widzimy górną połowę lufy działa, która wystaje teraz z otworu na środku placu. Nie otworzyli jeszcze kopuły, ani nie podnieśli działa całkowicie do poziomu gruntu. Moja fascynacja maszynami i bronią sprawia, że mam ochotę zatrzymać się i popatrzeć, ale wiem, że nie mogę. Nie chcę być w pobliżu, kiedy przybędzie kawaleria.

Obchodzimy działą i ruszamy do jednego z trzech skrzydeł budynku. Naszym celem są chyba stalowe drzwi, na których widnieje napis po turecku i angielsku OBSŁUGA TECHNICZNA. Abbott wyciąga z kieszeni klucze, otwiera drzwi i przytrzymuje je otwarte, byśmy mogli wejść do środka, a Costello wbija mi w plecy lufę Kałasznikowa. Rozumiem teraz dlaczego Tarighian nazwał to miejsce „spalarnią” - wielki piec zajmuje całą jedną ścianę. Zapewne palą tu śmieci. W pomieszczeniu pełno jest różnego sprzętu i narzędzi, widzę też piłę tarczową i kilka wózków golfowych.

Na środku, na statywie, stoi kamera wideo. Dwa umieszczone na wysięgnikach reflektory celują w przestrzeń przed piecem. Zastanawiam się ile egzekucji już sfilmowali. A może będę ich debiutem

filmowym?

Abbott otwiera drzwi pieca, a płomienie rzucają złoście rozbłyski na ściany - pewnie ich zdaniem film nabierze w ten sposób większych walorów artystycznych. Następnie włącza reflektory i ustawia kamerę. Patrzy przez wizjer sprawdzając, czy obiektyw obejmuje właściwe miejsce.

- Ustaw go - mówi po arabsku.

Zatem nie są to Turcy.

Costello dzga mnie lufą w plecy, wypychając na „scenę”. Abbott wciska guzik zapisu - na kamerze zapala się czerwone światełko wskazujące rozpoczęcie nagrywania - po czym podchodzi do nas.

Stajemy rzędem, ja w środku - Abbotta mam na prawo, Costello na lewo - twarzą do kamery. Abbott zwraca się po arabsku do przyszłych widzów:

- Oto amerykański szpieg Sam Fisher. Umrze dziś za prowadzenie wojny przeciw islamowi.

Nagle z oddali dobiega nas odgłos strzałów. Jest tak silny, jakby cały pluton strzelał z karabinów maszynowych. Abbott i Costello patrzą na siebie z uśmiechem.

- Mamy nowego przywódcę - stwierdza Costello.

Pora działać. Rzucam się na Abbotta, popychając go w bok, a równocześnie stawiam prawą nogę przy wewnętrznej stronie jego lewej stopy, podcinając go. Przewraca się na podłogę. Nim Costello zdążył zareagować, z całych sił uderzam lewym butem w jego prawą nogę. Robię krok w prawo, obracam się, po czym kopię go prosto w prawe kolano. Słyszę odgłos łamanych kości. Wrzeszczy i ląduje na ziemi.

Abbott próbuje się podnieść, równocześnie starając się wycelować we mnie z Kałasznikowa. Staję nad nim i kopię go mocno w twarz prawą stopą. Upada na plecy, a broń wypada mu z rąk.

Moje szkolenie obejmowało również umiejętność przekładania nóg przez związane z tyłu ręce - to mniej więcej tak, jakby przeskakiwało się do tyłu przez linę. Żeby wykonać tę sztuczkę trzeba być naprawdę wysportowanym - osiągnięcie perfekcji zajęło mi wiele tygodni ćwiczeń. Manewr można również wykonać podczas przewrotu do przodu - wówczas trzeba przerzucić ręce w odwrotnym kierunku niż nogi. Łatwiej jest to zrobić, jeśli człowiek zwinie się przedtem w kłębek. Przykucam zatem, przyjmuję odpowiednią pozycję i robię przewrót przeciągając ręce ponad ciałem. Doskonale. Skaczę na równe nogi, a skrępowane dłonie mam teraz z przodu.

Abbott zdążył się znów podnieść na kolana, ale kolejny cios stopą w twarz pozbawia go przytomności. Na wszelki wypadek kopniakiem posyłam Kałasznikowa poza zasięg jego rąk, a potem

skupiam się na Costello, który wije się z bólu na podłodze. Unoszę nad jego głową lewą stopę i z całą siłą opuszczam ją na dół. Dla niego nastął kres bólu.

Cała akcja zajęła jakieś pięć i cztery dziesiąte sekundy. Nieźle.

Rzucam okiem na OPSAT, by sprawdzić ile mam czasu do wybuchu granatów i stwierdzam, że zostały dwie minuty. Podchodzę do Abbotta i opróżniam jego kieszenie odzyskując nóż, pistolet, gogle i inne przedmioty. Mój karabinek postawił koło pieca - muszę pamiętać, żeby go zabrać wychodząc. Najpierw muszę jednak przeciąć linę krępującą mi dłonie. Podchodzę do piły tarczowej, włączam ją i ostrożnie przysuwam ręce do obracającego się ostrza. Nacinam linę tylko na tyle, aby móc ją rozerwać. Jestem wolny.

Zbieram swoje rzeczy i wynoszę się stamtąd. Ostrożnie otwieram drzwi, wyglądam na zewnątrz sprawdzając, czy nikogo tam nie ma i wychodzę na korytarz. Biegnę na skraj centralnego placu i widzę jak kopuła rozsuwa się na boki, a wielka lufa superdziała zaczyna sunąć w górę na hydraulicznym podnośniku. Po prostu muszę zatrzymać się na chwilę i popatrzeć, tak imponujący jest ten widok. W końcu czubek lufy wychyla się przez otwór w kopule na zewnątrz. Urządzenie celownicze ogromnego działa zaczyna pracować - hałas jest niesamowity - i lufa powoli przesuwana się na południowy wschód.

Właśnie wtedy - bum! bum! bum! - wybuchają moje granaty. Nie mam pojęcia, jakich zniszczeń dokonały, ale mam nadzieję, że opóźni to choć trochę odpalenie superdziała. Obiegam gigantyczną lufę, wpadam do skrzydła budynku, którym się tu dostałem i ruszam do rozbitych szklanych drzwi. Podłoga drży pod moimi stopami, a towarzyszący obracaniu się działa dźwięk przypomina trzęsienie ziemi. Doskonale! Galeria runęła w dół. Miałem nadzieję, że tak się stanie. Na pewno udało mi się spowodować nieco zamieszania.

Wybiegam z budynku. Na zewnątrz jest już widno, ale w pobliżu nikogo nie ma. Furgonetka elektryka zniknęła, więc muszę zmykać na piechotę.

W tym samym momencie słyszę dźwięk samolotu. Spoglądam na północ - nadlatuje stamtąd eskadra sześciu maszyn. Czas w drogę!

Biegnę sprintem przez parking w kierunku bramy, przy której tkwi dwóch strażników z bronią w ręku. Nie mam czasu na zbędne dyskusje, więc wyciągam pistolet, zatrzymuję się, przyjmuję postawę strzelecką i strzelam - raz, dwa - nie dając im szansy na poproszenie mnie o „dokumenty”. Padają na ziemię, zapewne martwi. Ruszam pędem dalej i przeskakuję przez ogrodzenie.

Kiedy wybiegam poza teren kompleksu, oddycham z ulgą, ale bynajmniej się nie zatrzymuję. Wspinam się na wzgórze górujące nad centrum handlowym, skąd powinienem mieć dobry widok na całe przedstawienie.

Naciskam implant na szyi.

- Pułkowniku?

- Sam? Na Boga, dlaczego nie odpowiadałeś?

- Hmm, byłem nieco skrępowany. Ale już wydostałem się na zewnątrz i widzę nasze samoloty.

- Bogu dzięki. Martwiłem się o ciebie. Idź teraz do portu we Framaguście - kapitan Martin zabierze cię stamtąd łodzią do Dhekelii. Mamy dla ciebie przygotowany transport do Izraela.

- Dzięki, pułkowniku. Jakież wieści o Sarze?

- Jeszcze nie. Ale pracujemy nad tym.

Wyłączam się, ale postanawiam poczekać kilka chwil i popatrzeć. Na czele formacji rozpoznaję dwa amerykańskie F/A-1 8E Super Hornet, a za nimi dwa brytyjskie Harriery F/A Mk-2. Chwilę zajmuje mi identyfikacja pozostałych dwóch myśliwców, aż nagle dociera do mnie, że to F-16 z tureckich sił zbrojnych! Cieszę się, że Turcy również zaangażowali się w atak. Wiem, ilu to wymagało dyplomatycznych wysiłków ze strony Lamberta.

Home ty wystrzeliwiają dwa pociski Maverick typu powietrze-ziemia, które uderzają bezpośrednio w superdziało. Powietrzem wstrząsa ogromna eksplozja. Nawet tu, na wzgórzu, czuję falę termiczną wybuchu. Harriery zrzucają kilka bomb, ale nie potrafię rozpoznać ich typu - kompleksem wstrząsają kolejne silne wybuchy. Turcy przyłączają się do bombardowania, ale dym jest już zbyt gęsty, by stwierdzić jaką bronią dysponują.

Nagle rozlega się potworny huk i ziemia wokół mnie zaczyna drżeć. Zupełnie jakby uderzył we mnie podmuch bliskiej eksplozji. Najpierw mam takie irracjonalnie wrażenie, że znalazłem się w samym środku trzęsienia ziemi o sile dziesięciu stopni w skali Richtera, ale potem dociera do mnie dużo gorsza prawda. Terrorystom udało się wystrzelić z Feniksa! Leżę na ziemi na wznak, nieco ogluszony. Patrzę prosto w niebo, a widok jaki ukazuje się moim oczom na zawsze pozostanie mi w pamięci.

Wystrzelony z superdziała pocisk wzbija się z ogromną prędkością ponad samoloty. Mój Boże - przebiega mi przez myśl - to już koniec. Terrorysty jednak wygrali. A potem widzę, jak dwa Hornety wykonują zawrót bojowy i ruszają w pościg. Otumaniony sięgam do plecaka po lornetkę i obserwuję dalej dramat, jaki rozgrywa się na niebie.

Pocisk jest już nad morzem i szybko znika w oddali. Dwa amerykańskie myśliwce to teraz tylko kropki na bezchmurnym niebie. Nagle widzę, jak samoloty odpalają dwa - nie, cztery - pociski powietrze-powietrze. To zapewne AIM-120 AMRAAM Slammer, po-naddźwiękowe pociski typu „odpal i zapomnij”.

A niech to! Całe niebo nad morzem wybucha nagle w jaskrawą, czerwono-pomarańczową kulę ognia, która na pewno ogarnęła również oba myśliwce. Piloci poświęcili własne życie, żeby

zestrzelić pocisk!

Wstaję. Widzę, jak szczątki pocisku i samolotów spadają do wody.

- Sam? Co się dzieje? Mów! - to głos Lamberta.

Naciskam implant.

- Straciliśmy dwa myśliwce. Ich piloci to prawdziwi bohaterzy. Zestrzelili pocisk, spadł do morza.

- Chryste. A co z centrum handlowym?

Obracam się i patrzę na piekło u moich stóp. Po odpaleniu superdziała pozostałe myśliwce przerwały atak, ale teraz podejmują go na nowo i zrównują kompleks z ziemią. Nie widać już wielkiej lufy. Musiała runąć kiedy obserwowałem zmagania nad morzem.

- Nie musi się pan już o nie martwić - stwierdzam. - W zasadzie nie istnieje.

Niemal widzę jak Lambert pociera dłonią czubek głowy i oddycha z ulgą. Reszta zespołu Wydziału Trzeciego pewnie otwiera już szampana.

- Jak udało się panu skłonić Turków do współpracy? - pytam.

- Carly przygotowała prezentację ze zdjęć, które przesłałeś oraz innych zdobytych dowodów. Przesłaliśmy ją rządowi Turcji. Najwyraźniej okazała się przekonująca.

- Nie wątpię.

- A co z tobą? Nic ci nie jest?

- W porządku. Ale teraz muszę się dostać do portu i jechać po córkę.

- No to ruszaj.

Przybywam do Tel-Awivu tego samego popołudnia, na dobę przed upływem terminu wyznaczonego przez porywaczy Sary. Jednak nim do nich zadzwonię zamierzam odbyć rozmowę z kapitanem Abrahamem Weissem z izraelskich sił bezpieczeństwa. Siedzimy na tylnym siedzeniu jego nieoznakowanego, czarnego Lexusa. Kapitan Weiss czekał na mnie na lotnisku Bena Guriona, gdzie zostałem odprawiony jako rządowy VIP - nie musiałem przechodzić przez szczegółową i uciążliwą izraelską kontrolę paszportową i celną.

- Jestem w kontakcie z pańskimi ludźmi - informuje mnie Weiss, gdy samochód rusza. - Pracowaliśmy bez chwili przerwy nad odnalezieniem pańskiej córki i mogę z radością stwierdzić, że ustaliliśmy gdzie ją trzymają. A przynajmniej tak uważamy.

Z radości serce niemal wyskakuje mi z piersi. Właśnie o tę kwestię martwiłem się najbardziej podczas krótkiego lotu z Cypru.

- Gdzie? - pytam.

- Prawie na sto procent w opuszczonym magazynie w pobliżu niewielkiego lotniska na północ od Jerozolimy. - Weiss mówi po angielsku doskonale, ale z ciężkim, izraelskim akcentem. Polubiłem go od pierwszej chwili. Mam wielki szacunek dla izraelskich sił bezpieczeństwa. Bez chwili przerwy żyją w zagrożeniu. Napięcie musi być straszne.

- Mieliśmy szczęście podczas dzisiejszego nalotu na Bank Rosyjsko-Izraelski - ciągnie dalej. - W pierwszej chwili odnieśliśmy wrażenie, że bank działa zupełnie zgodnie prawem i nie mamy tam czego szukać, ale na szczęście zaczęliśmy sprawdzać transakcje dotyczące nieruchomości. Większość z tych inwestycji była całkiem rozsądna, ale jeden z naszych analityków zwrócił uwagę na zakup dwóch budynków położonych w dziwnych miejscach. Jednym z nich jest ten magazyn. Należy do Banku Rosyjsko-Izraelskiego. Nasz analityk wykonywał kiedyś zadanie w tamtej okolicy i pamiętał, że stoją tam w zasadzie wyłącznie porzucone budynki. Wszystkie mają zostać wyburzone w przyszłym roku. Posłaliśmy na miejsce zwiadowców i nie minęła godzina, a zobaczyli jak z budynku wychodzi Eli Horowitz. Wrócił prawie godzinę później. Zwiadowcy są pewni, że prócz niego w budynku znajdują się inni ludzie, ale nie potrafią określić ilu.

- To bez znaczenia, ilu ich tam jest - stwierdzam. - I tak rozwalę ich wszystkich.

Kapitan Weiss wzrusza ramionami.

- Moi zwierzchnicy przekazali mi, że to amerykańska operacja, a my mamy panu udzielić wsparcia. Innymi słowy pan tu dowodzi.

Chcielibyśmy aresztować ludzi odpowiedzialnych za porwanie pańskiej córki i za zamordowanie Rywki Cohen, ale jeśli któryś z porywaczy przypadkowo stanie na linii ognia, nasz rząd nie będzie

stawiał żadnych pytań.

Chce mi przez to powiedzieć, że mogę zrobić z porywaczami co zechcę. Zapewne powinienem dziękować Lambertowi za takie postawienie sprawy.

- Chcę tam iść dziś w nocy. Sam - mówię.

- Podejrzywałem, że pan to powie - odpowiada Weiss. – Może lepiej niech pan najpierw pozna swój zespół wsparcia?

Po czterdziestu minutach jazdy docieramy na północne przedmieścia Jerozolimy i zatrzymujemy się w punkcie zbornym przed fabryką części zamiennych do samochodów. Znajdujemy się w dzielnicy przemysłowej, a kapitan wyjaśnia, że magazyn leży jakieś trzy kilometry stąd. Zespół składa się z dziesięciu żołnierzy z oddziałów specjalnych Shin Bet, gotowych do wymarszu. Shin Bet, czyli inaczej Shabak, to część izraelskich sił bezpieczeństwa, odpowiedzialna za sprawy wewnętrzne. Głównie zajmują się ochroną rządu, tłumieniem zamieszek oraz namierzaniem i likwidowaniem komórek terrorystycznych. Ich praca w dużym stopniu polega na tym samym co moja, dlatego czuję się wśród nich jak w rodzinie.

Żołnierze mają doskonale wyposażenie. Podoba mi się ich następca Uzi, produkowany w Izraelu karabinek Tavor. Ma on kilka wersji, a każda przeznaczona jest do innego rodzaju zadań. Jeden z żołnierzy pokazuje mi swoją broń i wyjaśnia, że to wersja Mikro Tavor, opracowana na potrzeby sił bezpieczeństwa i misji specjalnych. Magazynek zawiera trzydzieści standardowych naboń NATO kalibru 5,56 mm.

Kapitan Weiss podaje mi telefon komórkowy, żebym zadzwonił do porywaczy. Wyjaśnia, że tego telefonu nie da się namierzyć, na wypadek gdyby porywacze próbowali ustalić skąd dzwonię. Odszukuję numer na panelu OPSAT-u i wystukuję na klawiaturze telefonu. W słuchawce rozlega się odtwarzana z taśmy wiadomość nagrana głosem o silnym akcencie rosyjskim:

„Panie Fisher, jeśli jest pan w Jerozolimie, proszę to potwierdzić po sygnale, a wkrótce się z panem skontaktujemy”

Kiedy słyszę sygnał, mówię:

- Tu Sam Fisher. Nie ma mnie jeszcze w Izraelu, ale dotrę na miejsce jutro rano. Jadę z bardzo daleka. Skontaktuję się ponownie jutro przed południem i będę oczekiwać dalszych instrukcji. Proszę nie krzywdzić mojej córki. - Rozłączam się, spoglądam na kapitana i pytam: - Co teraz?

- Poczekamy, aż zrobi się ciemno i oddział zajmie pozycje wokół magazynu - wyjaśnia. - Zakładam, że ma pan podskórny implant umożliwiający komunikację z pańskimi przełożonymi w Waszyngtonie?

No proszę, w środowisku wywiadowczym nic się nie uchowa w tajemnicy.

- To prawda - przyznaję.

- Poprosimy pańskich ludzi o takie skonfigurowanie transmisji, żeby oddział mógł pana słyszeć. Już rozmawiałem o tym z pańskim pułkownikiem. Będzie pan mógł w każdej chwili wezwać wsparcie, gdyby potrzebował pan pomocy.

- To bardzo uprzejme z pana strony.

Ktoś przynosi koszerne kanapki z indykiem i następne kilka godzin spędzamy w Lexusie kapitana. Rozmawiamy o sytuacji w Izraelu i planach likwidacji terroryzmu. Pod wieczór udaje mi się złapać dwie godziny snu. Kiedy się budzę, okazuje się, że właśnie minęła dziesiąta. W międzyczasie Carly St. John przesłała mi na OPSAT plany magazynu. Mam teraz dokładną mapę wnętrza budynku, wskazującą wszystkie wejścia i wyjścia, korytarze i inne pomieszczenia. Korci mnie, żeby ruszać, ale postanawiam poczekać jeszcze dwie godziny. Mam nadzieję, że zaskoczę porywaczy już w piżamach. O północy daję znak kapitanowi, że czas ruszać.

- Wie pan, że prawdopodobnie zastawili na pana pułapkę? - upewnia się.

Wzruszam ramionami.

- Gównu mnie to obchodzi. Idziemy.

- Gotowy?

- Na wszystko.

Kapitan wydaje rozkaz i ruszamy na miejsce kilkoma nieoznakowanymi cywilnymi samochodami. Po jakiejś minucie docieramy na skrzyżowanie.

- To w tamtą stronę, jakieś półtora kilometra - wskazuje kierunek kapitan. - Tu wysiadziemy i resztę drogi przejdziemy na piechotę.

Kierowcy ukrywają samochody za kilkoma opuszczonymi budynkami. Ruszamy wzdłuż drogi po wyboistym terenie. Niewiele jest tu drzew i naturalnych kryjówek. Izrael to jałowy kraj, a o tej porze roku suchy jak pieprz i gorący. Nigdy się moim zdaniem nie wyróżniał urodą wśród krain basenu Morza Śródziemnego. Owszem, ziemia jest tu dość żyzna, ale i tak nie potrafię pojąć dlaczego nazywano go niegdyś „Ziemię Obiecaną”.

Kiedy zbliżamy się do magazynu, odłączam się od oddziału Shin Bet. Chcę sam rozpocząć akcję.

- Panie Fisher? - w moim uchu rozlega się głos kapitana. - Czy pan mnie słyszy?

- Głośno i wyraźnie - odpowiadam naciskając implant.

- Na tyłach magazynu stoją zaparkowane trzy samochody przykryte plandeką. Ferrari, Jaguar i Chevy Cavalier.

- No to w środku nie ma zbyt wielu ludzi.

- Też tak sędzę.

Widzę już teraz magazyn. Jestem dobrze ukryty wśród skał, jakieś piętnaście metrów dalej. Wiem, że ludzie z Shin Bet otoczyli budynek, ale nie widzę ani śladu ich obecności. Naprawdę dobrze się znają na swojej robocie.

Budynek wygląda tak, jakby od trzydziestu lat nie powstała w nim ludzka noga. Większość powierzchni w środku zajmuje jedno duże pomieszczenie. Z planów przesłanych przez Carly wynika, że jest tam jeszcze druga kondygnacja, z oknem. Ten drugi poziom to bardziej antresola zawieszona nad mniej więcej trzecią częścią niższego pomieszczenia, a nie prawdziwe piętro. Oba poziomy łączą schody. Natomiast po bokach budynku ciągną się korytarze z pokojami - zapewne dawniej mieściły się tam biura.

- Jak chce pan to rozegrać? - pyta kapitan

- Zamierzam znaleźć jakieś wejście, zapewne z drugiego poziomu. Poczekajcie na mój sygnał, a wtedy przypuście szturm wszystkim czym dysponujecie. Póki nie znajdę Sary j upewnię się, że nic jej nie jest, nie mogą nawet podejrzewać, że tu jesteście.

- Zrozumiałem - odpowiada.

Wychodzę z ukrycia, ale trzymam się w cieniu. Wokół budynku nie palą się żadne światła. To duży plus. Przede wszystkim szybko obchodzę magazyn wkoło. Frontowe wejście zamykają zardzewiałe stalowe drzwi z resztkami farby i j napisu. Nieliczne okna są zamalowane na biało. Na tyłach znajduje trzy samochody przykryte plandeką i kolejne stalowe drzwi. Wysoko nad nimi widzę okno, tym razem niezamalowane. To mój cel

Wyciągam „cygarniczkę” i linę, przygotowuję hak, po czym wprawiam linę w ruch wahadłowy i ciskam w górę. Od razu za pierwszym razem cygarniczka zahacza o coś na dachu. Szarpnię linę, żeby sprawdzić czy mnie utrzyma, bo czym wspinać się na górę. Kiedy docieram do okna, zaglądam, do środka. Widzę antresolę. Ma jakieś dziewięć metrów szerokości i stoi na niej pełno gratów. Na podłodze widać zapaloną latarnię a obok pusty śpiwór. Nie widzę co się dzieje poza krawędzią antresoli, głównie z powodu stosów złomu. Wystarczy na razie, że nikogo tu nie ma. W porządku. Owijam się liną w pasie żeby mieć wolne obie ręce, i zawisam obok okna. Wyciągam pistolet, włączam kciukiem laserowy mikrofon i kieruję go na szybę. Kwadrat na środku panela nie zapala się na czerwono, znaczy mikrofon nie odbiera żadnych dźwięków. Wspaniale. Wyłączam urządzenie i chowam pistolet, a potem próbuję unieść szybę okna. Ani drgnie. Co najmniej dziesięcioletnia farba stwardniała na mur, ale samo okno nie wydaje się zamknięte. Wyciągam nóż i staram się oczyścić ostrzem szparę wokół skrzydła okna. Potem chowam nóż do pochwy i ponownie próbuję unieść szybę.

Tym razem poddaje się trochę. Zmieniam pozycję, przenosząc cały ciężar ciała na środkową część parapetu i pcham okno w górę gwałtownym ruchem. Tafla wreszcie się poddaje, choć nieco za głośno jak na moje potrzeby. Ale przez powstały otwór mogę się wkraść do środka. Odwijam linę i wchodzę przez okno, stopami naprzód.

Kiedy znajduję się już w środku, ostrożnie podchodzę do brzegu antresoli i spoglądam w dół. Pod mną znajduje się otwarta przestrzeń magazynowa, pusta wyjąwszy graty piętrzące się pod ścianami - głównie stare lodówki i kuchenki elektryczne. Widzę dwoje drzwi prowadzących do innych części budynku.

Nikogo tu nie ma.

Z antresoli prowadzą na dół drewniane schody. Staję na pierwszym stopniu, ale skrzypi stanowczo za głośno, dlatego decyduję się zeskoczyć na niższy poziom. Łąduję na czworakach, z tępym odgłosem uderzenia, ale pojedynczy dźwięk jest zawsze lepszy niż cała seria skrzypnięć.

Skupiam uwagę na drzwiach, które jak wiem prowadzą do korytarza, przy którym znajdują się biura. Ponownie wyciągam pistolet i włączam mikrofon. Celuję w drzwi i tym razem na panelu pojawia się czerwony kwadracik. Ktoś za tymi drzwiami rozmawia. Podkradam się do ściany, przyciskam do niej i słucham.

Głosy są stłumione, a rozmowa toczy się po rosyjsku, przynajmniej tyle jestem w stanie rozpoznać. Rozważam, czyby nie wpaść tam nagle i nie rozwalić wszystkich, ale nim mam czas rozpocząć akcję, słyszę zbliżające się kroki.

Drzwi otwierają się, a ja stoję za ich skrzydłem. Do magazynu wchodzi dwaj ludzie i kierują się na środek pomieszczenia. Przez ramiona mają przewieszony kałasznikowy.

- Włącz światła Jurij - odzywa się jeden po rosyjsku. - Nic tu kurwa nie widać.

Ten, który nazywa się Jurij, rusza w kierunku wejścia do budynku. Niech to szlag. Chcą zapalić światła, a ja tu stoję za drzwiami jak idiota. Więc jakie mam wyjście? Niepostrzeżenie wślizguję się przez drzwi i ruszam korytarzem. Za moimi plecami, w magazynie, zapalają się światła.

Korytarz jest dobrze oświetlony, ale pusty. Widzę trzy pokoje. Drzwi do dwóch z nich są otwarte. To zapewne sypialnie Rosjan - widzę połówki i ślady zamieszkania. Trzecie są zamknięte. Przełączam gogle na termowizję i widzę, że w pokoju leży poziomo ciepłe ludzkie ciało. Czy to Sara? Postanawiam zaryzykować.

Drzwi są oczywiście zamknięte na klucz. Nasłuchując jednym uchem co się dzieje w magazynie - słyszę cały czas jak Rosjanie rozmawiają - ostrożnie dobieram wytrych i próbuję otworzyć zamek. Udaje mi się za trzecią próbą.

Sara leży w środku na połówce.

38.

- Saro! - mówię szeptem. Podrywa głowę. Na mój widok otwiera szeroko oczy. Rzeczywiście, wyglądam jak przybysz z kosmosu w tym kombinezonie i goglach. Odslaniam twarz, żeby mogła mnie rozpoznać.

- To ja - mówię.

- Tato! - rzuca się naprzód i chwyta mnie w objęcia, zupełnie jakbym był ostatnim człowiekiem na Ziemi.

- Ciiii - szepczę. - Musisz być bardzo cicho. Zaraz cię stąd zabiorę.

- Och tato, wiedziałam, że przyjedziesz! - zaczyna płakać, a ja gładzę ją po ciemnych włosach.

- Nic ci nie jest? Skrzywdzili cię?

- Trochę. Jestem... jestem słaba.

- Możesz chodzić?

- Spróbuję.

Wstaje, ale widzę, że ledwie się trzyma na nogach. Będę musiał ją nieść. Pozwalam jej oprzeć się o ścianę, a sam wyglądam na korytarz. Nadal jest czysto.

- Kochanie, zaczekaj tu. Zaraz po ciebie wrócę - mówię.

- Nie zostawiaj mnie! - niemal wpada w panikę.

- Saro, ci ludzie jeszcze tu są. Muszę się nimi najpierw zająć. Obiecuję, że po ciebie wrócę.

Bierze głęboki oddech i ociera twarz.

- Dobrze.

- Moja dziewczynka. Tylko ani mru-mru.

Wychodzę i zamykam za sobą drzwi, ale nie na klucz. Wyciągam Five-sevenN, zakładam tłumik i rozbijam strzałami obie żarówki oświetlające korytarz. Kiedy otacza mnie ciemność, opuszczam gogle na oczy i przełączam na nocny tryb pracy.

Zaglądam przez drzwi do magazynu i stwierdzam, że Rosjanie wyszli na zewnątrz. Jest pusto. Szybko wchodzę do środka, przyklękam i celuję w żarówki. Rozbijam wszystkie sześć. Teraz

jedynym źródłem światła - i to bardzo marnego - jest otwarte wejście.

Biegnę do schodów prowadzących na antresolę. Szybko wspinam się na górę, kiedy Rosjanie wracają do środka. Cicho zdejmuję z ramienia karabinek i odbezpieczam.

- Zgasiłś światło? - pyta jeden z Rosjan.

- Nie. - Widzę jak ten o imieniu Jurij podchodzi do włącznika i naciska go. - Co, do diabła?

- Wyłączyli nam zasilanie?

- Nie... nie wydaje mi się. Wład, szybko! - Biegną w stronę wyjścia, najwyraźniej przekonani, że przybyłem na miejsce wcześniej niż się mnie spodziewali. Unoszę się nieco, celuję w drzwi i przygotowuję do oddania strzału, kiedy nagle czuję, jak do mojej czaszki przyciska się zimna lufa pistoletu.

- Nie ruszaj się! - krzyczy ktoś za moimi plecami. - Rzuć broń!

Jurij! Wład! Mam go!

Rosjanie zatrzymują się i patrzą w kierunku antresoli.

- Eli, to ty?

- Tak. Rzuć to! - pozwalam karabinkowi upaść na podłogę. - Ręce do góry! - robię co mi każe.

Eli. Eli Horowitz, ten sam, który zdradził moją córkę. Stoi za mną i trzyma przy mojej głowie pistolet. Latarnia stojąca na antresoli oświetla nas niewyraźnie. Rosjanie zapewne mnie widzą.

- Sprowadź go na dół! - woła jeden z nich.

- Ruszaj - nakazuje Horowitz. - Na schody.

Powoli idę w kierunku schodów, a Horowitz za mną, w jednej ręce trzymając pistolet, a w drugiej latarnię. W magazynie poniżej zapala się światło. Widać Rosjanie znaleźli lampy nie podłączone do głównego wyłącznika. W pomieszczeniu panuje teraz półmrok.

- Przyjechał pan za wcześnie, panie Fisher - stwierdza człowiek o imieniu Jurij. - Przygotowywaliśmy dla pana niespodziankę, ale jest jeszcze niegotowa.

- Tak jest, proszę wrócić rano - śmieje się Wład.

Kiedy dochodzę do szczytu schodów, robię gwałtowny krok w tył, prosto na Horowitza, i łapię go za rękę, w której trzyma broń. Z łatwością wrywam mu pistolet, po czym przerzucam go przez ramię, prosto na schody. Łąduje mniej więcej w połowie ich biegu, na plecach, a cała spróchniała

konstrukcja załamuje się pod jego ciężarem. Horowitz krzyczy z bólu i spada do magazynu wraz ze szczątkami schodów.

Skaczę za jakąś osłonę, a obaj Rosjanie zrywają z ramion kałasznikowy. Kule zaczynają grzechotać po antresoli. Tkwię przykucnięty za starą kuchenką.

- Panie Fisher? - słyszę w uchu głos kapitana Weissa. - Co się dzieje?

- Ruszajcie! - rozkazuję, naciskając implant. - Jestem na górze, na antresoli. Na dole jest ich trzech.

Kule gwizdzą wokół mnie, mimo to wypadam zza kuchenki. Czuję ciepły podmuch pocisku, który trafił tuż obok mojego prawego buta. Stanowczo za blisko, jak dla mnie. Zajmuję bardziej strategiczną pozycję, za wielką lodówkę, i staram się odzyskać oddech. Wyłączam tryb nocny gogli. Widzę teraz, że Rosjanie kryją się za złomem po dwóch stronach magazynu. Cholera, będą mogli ostrzelać ludzi z Shin Bet, którzy wkroczą przez te drzwi.

- Kapitanie! - wołam. - Nie wchodźcie przez frontowe...!

Ale jest już za późno. Wejście staje otworem i do środka wbiegają trzej ludzie. Rosjanie są zaskoczeni, ale mają dość przytomności umysłu, by przenieść ostrzał na intruzów. Wszyscy trzej żołnierze padają na podłogę.

Sięgam do plecaka i wyciągam dwa granaty dymne. Ustawiam je na detonację w momencie uderzenia i ciskam na środek magazynu. Wybuchają z głośnym hukiem, napełniając całe pomieszczenie gęstym czarnym dymem.

Rosjanie pode mną strzelają teraz na oślep w środek pomieszczenia, a także w górę, w moim kierunku. Rzykuję zeskok z antresoli i ląduję ciężko na podłodze. Słyszę jak w innych częściach budynku tłuką się szyby - zapewne w biurach na tyłach - gdy reszta oddziału wchodzi do środka inną drogą. Biegnę się ukryć, a Rosjanie strzelają dalej we wszystkich kierunkach. Na tyłach budynku słychać krzyki i strzały - czyżby kryli się tam inni porwacze? Pod osłoną dymu przebiegam przez magazyn i wpadam do ciemnego korytarza. Wbiegam do pokoju Sary - leży na połówce. Biorę moją córkę na ręce i wynoszę. Kiedy docieram do magazynu, ludzie z Shin Bet są już w środku i strzelają z ukrycia w kierunku Rosjan. Hałas jest straszny. Czuję jak córka trzęsie się w moich ramionach. Nie dam rady wyjść tędy, więc biegnę korytarzem do drugich drzwi. Shin Bet wyłamali je szturmując budynek.

Przepuszczam kilku żołnierzy, a potem wybiegam na dwór, nadal z Sarą w ramionach. Odbiegam dobre trzydzieści metrów od magazynu nim zatrzymuję się i kładę ją na ziemi.

- Sara, kochanie, odezwij się.

- Tato! - Nie chce mnie puścić.

Unoszę gogle i wreszcie mogę się jej uważnie przyjrzeć. Ma na ramionach i twarzy kilka siniaków.

- Co te dranie ci zrobili?

- Torturowali mnie - szlocha. - Nie chciałam im podać tego tajnego numeru do ciebie, ale nie dałam rady, tato. Nie dałam rady!

Przytulam ją i gładzę po głowie.

- Już dobrze, kotku. Zrobiłaś co trzeba. Nikt by tego nie wytrzymał. Ale teraz już będzie dobrze.

Koło nas zjawia się kapitan Weiss z jeszcze jednym żołnierzem.

- Panie Fisher? Czy z nią wszystko w porządku? - pyta Weiss.

Kiwam głową. Sara nadal nie chce mnie puścić.

- Sierżant Marcus zabierze ją w bezpieczne miejsce - mówi Weiss.

Unoszę córkę z ziemi.

- Saro, kotku, ten żołnierz cię stąd zabierze.

- Nie odchódź! - krzyczy.

- Obiecuję, że zaraz wrócę i zabiorę cię do domu. Ale najpierw muszę tam wrócić i odegrać rolę wkurzonego ojca. Nie wolno robić takich rzeczy mojej małej córeczce!

Uśmiecha się, ale nadal nie puszcza mojej szyi. Odwracam się do sierżanta, a on bierze ją na ręce. Sara nie protestuje. Sierżant odbiega drogą, a kapitan Weiss podaje mi karabinek Mikro Tavor.

- Chce pan spróbować?

- Z przyjemnością.

Biorę broń, nasuwam gogle na oczy i ruszam ku tylnemu wejściu.

W środku panuje piekło. Chowam się za jakimiś gratami i widzę, że obaj Rosjanie tkwią za mocną osłoną i strzelają do nas zupełnie bezkarnie. Na podłodze leży kolejny martwy żołnierz z Shin Bet, a reszta oddziału siedzi poukrywana za gratami i ostrzeliwuje się. Mierzę z Tavora i strzelam, ale oba cele są doskonale chronione. Rosjanie popełnili jednak poważny błąd, nie zapewnili sobie żadnej drogi ucieczki. W końcu zabraknie im amunicji.

Wtedy któryś z żołnierzy rzuca granat tam, gdzie kryje się jeden z Rosjan. Kiedy wybucha, słyszę okrzyki bólu. Rosjanin, najwyraźniej ranny, próbuje uśmiercić jeszcze kogoś z nas. Podnosi się - to ten o imieniu Wład - wychodzi zza lodówki i strzela jak oszalały z Kałasznikowa. Żołnierze z Shin Bet rozprawiają się z nim bez problemu. Pada, uderzając w podłogę z głośnym pac.

Dym z mojego granatu zaczyna się rozwiewać. Drugi z porywaczy nadal do nas strzela. Tym razem to ja wyciągam granat odłamkowy, ustawiam na wybuch przy uderzeniu i rzucam w jego kierunku. Kiedy wybucha, broń Rosjanina nagle milknie. Przez chwilę panuje cisza. Słyszę, jak kapitan wydaje rozkazy i dwaj żołnierze ruszają na rekonesans. Przez chwilę szukają Jurija, po czym wyciągają jego bezwładne ciało zza kupy złomu. Ciągną go na wolną przestrzeń na środku magazynu i rzucają na podłogę. Kolejne głośne pac.

Podchodzę do martwych porywaczy i zaglądam im w twarze. Nie rozpoznaję żadnego z nich.

- Przeszukajcie resztę budynku - wydaje rozkaz kapitan. Podchodzi do mnie i pyta czy ich znam.
- Nigdy przedtem ich nie widziałem - odpowiadam. - Zwracali się do siebie Wład i Jurij.
- Niedługo ustalimy ich tożsamość.

Idę do szczątków schodów i stwierdzam, że kogoś tu brakuje.

- Gdzie on...? Tu był wcześniej jeszcze jeden - mówię.
- Sierżant twierdzi, że złapali kogoś na tyłach budynku. Zastrzelili go kiedy wchodzili przez okna.

Ruszam do pomieszczeń na tyłach i znajduję ciało trzeciego porywacza - młody człowiek, postrzelony kilka razy w klatkę piersiową, ale nie Eli Horowitz. Jeden z żołnierzy przegląda jego portfel.

- Macie jego papiery? - pytam.
- Tak jest. Nazywał się Noel Brooks. Mieszkał we Wschodniej Jerozolimie.

Zamierzam właśnie przyłączyć się do przeszukiwania budynku, ale nagle przychodzi mi coś do głowy. Zatrzymuję się i oglądam uważnie plany przesłane mi przez Carly.

- Hej, w podłodze jest wejście do piwnicy! - wołam. Wskazuję kierunek i prowadzę żołnierzy na miejsce. Rzeczywiście znajduje my tu drzwi w podłodze, niedaleko tylnego wyjścia. Otwieramy je.

Naszym oczom ukazują się schody prowadzące do ciemnej piwnicy. Schodzę tam za dwoma żołnierzami i przełączam gogle na tryb nocny.

Powietrze jest tu zatęchłe i pełne kurzu. Wokoło piętrzą się stosy żelastwa i zdezelowanych

urządzeń sanitarnych - głównie umywalki i wanny. Śmierdzi straszliwie. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł tu wytrzymać dłużej niż dziesięć minut. Żołnierze oświetlają pomieszczenie latarkami i zagląдают za kupy śmieci.

- Nic tu nie ma - mówi jeden z nich.

- Tak wygląda - odpowiadam. - Idźcie szukać dalej. Ja się tu jeszcze rozejrzę.

Wchodzą po schodach i znikają. Stoję na środku piwnicy i powoli obracam się wokół własnej osi. Przełączam gogle na termowizję w nadziei, że zobaczę gdzieś ciepłe ludzkie ciało. Nic. Jednak kiedy zamierzam przełączyć się z powrotem na tryb nocny zauważam na podłodze ślady ciepła. Pochylam się, żeby się im przyjrzeć i stwierdzam, że to nie ślady ciepła, a raczej odciski butów w kurzu na podłodze. Włączam tryb fluorescencji i teraz widzę więcej takich zaburzeń w warstwie kurzu. Niewidoczna dla oczu ludzkich linia prowadzi w kąt pokoju, gdzie piętrzą się zrujnowane sprzęty kuchenne. Odgarniam na bok śmieci torując sobie drogę w tamtym kierunku. Muszę wręcz wspiąć się na stos gratów, żeby dotrzeć na miejsce.

Widzę trzy stare lodówki, kilka zlewów, dwa piecyki... wszystko pochodzi chyba z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Otwieram po kolei lodówki, ale są puste. To samo robię z piekarnikami, ale tam też nic nie ma. Właśnie mam dać sobie spokój, kiedy dostrzegam opartą o ścianę wannę, odwróconą do góry dnem. Odwracam ją.

W środku siedzi Eli Horowitz, skulony ze strachu. W mgnieniu oka celuję mu w twarz z pistoletu.

- Nie strzelaj! - krzyczy.

- Wyłaż stamtąd i trzymaj ręce tak, żebym je widział.

Młody człowiek wyłazi z wanny i unosi ręce nad głowę. Przeszukuję go jedną ręką. Nic nie znajduję, ale specjalnie traktuję brutalnie okolice jego krocza. Krzywi się, ale nie wydaje żadnego dźwięku.

Kiedy zdobywam pewność, że nie jest uzbrojony, łapię go za kołnierz koszuli i unoszę nad ziemię.

- Powiniennem cię zabić na miejscu. Powiniennem ci złamać kark i zostawić cię tu, żebyś zgnił, ty mały brudny skurwysynu - warczę. Widzę jak jego oczy rozszerzają się ze strachu.

Przysięgam, że naprawdę mam ochotę to zrobić, powstrzymuje mnie jednak ten wyraz paniki na jego chłopięcej twarzy. Może i ma dwadzieścia trzy lata, ale w tej chwili wygląda na trzynaście.

Puszczam jego koszulę, a on upada na podłogę. Czołga się przede mną jęcząc: - Przepraszam, przepraszam.

- Wstawaj dupku. - Stawiam go na nogi i potrząsam nim. – Weź się w garść. - Kicha, wyciera nos i kiwa głową.

Prowadzę go na górę i zabieram na zewnątrz. Shin Bet przestawili samochody w pobliże magazynu. Na tylnym siedzeniu jednego z nich widzę Sarę. Prowadzę Horowitza do kapitana Weissa.

- Ma pan tu jednego żywego - mówię. - Założę się, że chętnie wszystko wyśpiewa.

Oczy Horowitza wbite są w samochód, gdzie siedzi Sara.

- Proszę - mówi. - Chcę ją przeprosić.

- Nic z tego - mówię. - Masz szczęście, że nie oderżnąłem ci jaj, kiedy cię znalazłem.

Sara woła jednak: - Eli!

Otwiera drzwi samochodu, ale nie wysiada. Owinięta jest kocem. Gestem wskazuje, byśmy podeszli. O co jej chodzi? Zabieram do niej chłopaka, ale na wszelki wypadek trzymam go mocno za kark.

- Saro - mówi. - Przepraszam. Naprawdę... Za wszystko. Nie chciałem... Naprawdę nie myślałem, że...

Moja córka znajduje dość siły by wstać i stanąć z nim twarzą w twarz. Nim Horowitz ma czas skończyć swą zawiłą myśl, pluje na niego.

- Pierdol się, Eli - mówi. Potem opada z powrotem na siedzenie i okręca się ciasno kocem.

- Zabiorę go stąd - mówi jeden z żołnierzy i zakłada Horowitzowi kajdanki.

Po jednodniowym pobycie w Tel-AvMe odbieram Sarę z wojskowego szpitala mieszczącego się na lotnisku Bena Guriona. Lekarz twierdzi, że jest niedożywiona i bardzo słaba, ale poza tym w dobrej formie, zważywszy co przeszła. Prowadziła strajk głodowy przez niemal tydzień, ale na szczęście cały czas piła wodę. Gdyby przestała, zapewne byłaby teraz poważnie odwodniona i ciężko chora. Po kilku dniach odpoczynku i odpowiedniej diety wróci do zdrowia.

Jednakże efekty psychiczne mogą się utrzymywać jeszcze przez wiele lat. Dwaj Rosjanie, których Mossad zidentyfikował bardzo szybko, torturowali ją, by uzyskać kontakt do mnie. Nie będę opowiadał, co dokładnie jej zrobili - wystarczy chyba, jeśli powiem, że użyli obcęgow i młotka. Dzięki Bogu niczego jej nie złamali, ani nie okaleczyli jej nieodwracalnie. Zostało tylko kilka siniaków, a te w końcu przecież znikną.

Eli Horowitz zaczął śpiewać, gdy tylko przejęło go Shin Bet. Ujawnił, że pracował dla Sklepu i że wypełniał rozkaz, który nakazywał likwidację mojej osoby. Jedyna droga prowadziła przez Sarę -

złożyłem Lambertowi pełny raport na ten temat. Pułkownik zajmuje się teraz organizowaniem całodobowej ochrony dla mojej córki, bez względu na to gdzie będzie przebywać. Jestem zdania, że powtórzenie się takich wydarzeń jest mało prawdopodobne, ale oczywiście czuję się spokojniejszy.

Jeśli chodzi o Sklep to oddziały Szwajcarsko-Rosyjskiego Międzynarodowego Banku Handlowego w Baku i Zurychu zostały przeczesane, a wszyscy, którzy mieli z nimi jakieś związki -aresztowani. Niestety, szefowie organizacji, łącznie z jej mózgiem, Andriejem Zdrokiem, uciekli. Nikt nie wie gdzie przebywają, ale jestem pewien, że usłyszymy o nich prędzej czy później. Dużo bardziej niepokoi nas naruszenie naszego systemu bezpieczeństwa. Sklep był w posiadaniu listy Kolekcjonerów - w jaki sposób ją zdobył? Jestem pewien, że w najbliższej przyszłości ta sprawa stanie się dla mnie priorytetem.

Cienie poniosły ciężkie straty. Nic nie zostało z centrum handlowego na Cyprze - czy raczej z superdziała Babilon Feniks -i zginęło ponad stu pracujących tam ludzi. Nie wiadomo, czy terroryści są nadal w stanie się przegrupować i wybrać nowego przywódcę. Jedno natomiast jest pewne - będzie im teraz znacznie trudniej zdobyć fundusze. Turcy wyszli ze sprawy Basarana-Tarighiana nieco skompromitowani, ale w końcu przyznali się do błędu. Rząd irański wystosował do nich notę z podziękowaniem za wysłedzenie Tarighiana i pozbycie się go. Ta akcja oszczędziła Iranowi wielu kłopotów. Tak się również składa, że Stany Zjednoczone nie otrzymały ani słowa podziękowania.

Późnym porankiem wsiadam wraz z Sarą do wojskowego odrzutowca, który zawiezie nas do Waszyngtonu. Dwóch młodych żołnierzy piechoty morskiej popycha wózek na kółkach i okazuje Sarze masę uwagi, co bardzo podoba się mojej córce. Zaczęła już jeść i - co jeszcze ważniejsze - zaczyna się również uśmiechać, a nawet śmiać. Jest twarda, jak jej staruszek, więc sądzę, że szybko odzyska równowagę.

Zajmujemy fotele i czekamy na start. Sara bierze mnie za rękę i opiera głowę na moim ramieniu. Ziewa, a potem wzdycha ciężko.

- Cieszę się, że nic ci nie jest - mówię. - Gdyby coś ci się stało...

- Ciii - szepce. Chichoczę cicho.

- Dobra - mówię. - Nie będę robił z tego sprawy. Przynajmniej póki nie wrócimy do domu.

- Kocham cię, tato - mówi Sara cicho kiedy samolot startuje.

- Ja też cię kocham, kotku - odpowiadam, ale okazuje się, że już zasnęła.

KONIEC